ZESZYTY WROCŁAWSKIE

KWARTALNIK KRYTYCZNO-LITERACKI

STEFAN ŻÓŁKIEWSKI
HENRYK BARYCZ
STANISŁAW PIGOŃ
JULIAN KRZYŻANOWSKI
JERZY MICHALSKI

*

JAN KASPROWICZ
ANONIM 1905
JULIUSZ KRZYŻANOWSKI

*

ANNA KOWALSKA
JAN PIERZCHAŁA
TADEUSZ ZELENAY

*

KRONIKA
NOWE KSIĄŻKI

ROK 5 – WROCŁAW 1951 – Nr 1

ZESZYTY WROCŁAWSKIE

KWARTALNIK KRYTYCZNO-LITERACKI

ROK 5 — WROCŁAW 1951 — Nr 1

Rękopis otrzymano 17. V. 1951 | Nakład 2.000 egz.
Druk ark. 16 1/2 ukończono 28. IX. 1951 | Papier dziel. żeb. kl. V, 70×100, 80 g.

ZAKŁADY KARTOGRAFICZNE, WROCŁAW, KOŚCIUSZKI 29 — 618/51 — (F 2—33081)

STEFAN ŻÓŁKIEWSKI

STAN BADAŃ I POTRZEBY NAUKI O LITERATURZE POLSKIEJ [1]

Rozwój syntezy historii literatury polskiej

Synteza historii literatury polskiej, oparta o celowo prowadzone badania źródłowe, powstaje właściwie dopiero w okresie pozytywizmu. Chociaż każdy z nas podziwia do dziś trafność estetycznego sądu Mochnackiego, dotyczącego uchybień kompozycyjnych *Konrada Wallenroda*, chociaż właśnie ostatnie badania — silniej niż kiedykolwiek przedtem — uwypuklają rolę Dembowskiego w procesie walki o literaturę zaangażowaną po stronie rewolucji ludowej, to dopiero od Chmielowskiego prace historyczno-literackie traktujemy jako składowe elementy uzupełnianej i modyfikowanej, lecz aktualnej wiedzy o literaturze, a nie jako elementy tradycji naukowej przeszłości.

Wiedza o literaturze odgrywa zasadniczą rolę w procesie wyboru tradycji kulturalnych, tradycji, których społeczne znaczenie dobrze rozumiemy, jako jednej z więzi wspólnoty narodowej. Oczywiście, inne tradycje współtworzą naród burżuazyjny, inne socjalistyczny, inne odkryjemy w dziejach rewolucyjnego tworzenia się narodu burżuazyjnego, inne w jego schyłkowym okresie. Tak społecznie istotna, tak ważna z punktu widzenia dążeń klasowych walka o te tradycje w dużej mierze rozgrywa się na gruncie nauki o literaturze. Ta nauka poza tym odgrywa poważną rolę w procesie kształtowania literatury danej epoki, w procesie kształtowania ideałów i gustów estetycznych. Pośrednio i częściowo bezpośrednio uczestniczy w szerokich procesach społeczno-wychowawczych, jak się wyżej mówiło. W tych warunkach będzie rzeczą zrozumiałą i bezsporną, że nauka o literaturze jest dziedziną ideologii o wyraźnych, dominujących cechach klasowych, zdecydowanie górujących w społeczeństwach klasowych nad jej dorobkiem obiektywnie cennym, trwałym z punktu widzenia poznawczego. Z wstępnych stwierdzeń tego rozdziału wynika, iż polska nauka o literaturze, która była zdolna

[1] Fragmenty referatu Podsekcji Badań Literackich na I Kongres Nauki Polskiej.

kusić się o naukowe syntezy, powstawała w okresie pełnego — krótkotrwałego u nas — cyklu rozwojowego społeczeństwa kapitalistycznego. Była to przeto nauka burżuazyjna. Fakt, że kształtowała się w drugiej połowie XIX w., a wyniki ostateczne osiągnęła u schyłku tego wieku, decyduje, iż szybko do tej nauki przenikają tendencje ideologiczne właściwe dobie imperializmu, że zasadniczy rozwój literaturoznawstwa burżuazyjnego w Polsce przypada na okres rozkładu kultury kapitalistycznej. To wszystko decydowało o charakterze syntezy historycznoliterackiej u nas.

Metodologiczna charakterystyka pierwszego etapu w rozwoju polskiej syntezy historycznoliterackiej nie będzie się zasadniczo różnić od charakterystyki tegoż etapu w rozwoju historii literatury w skali światowej. Mieliśmy wtedy do czynienia z tainizmem w rozwoju tej syntezy. Literatura traktowana była jako wyraz dążeń społecznych, ale z idealistycznego, choć socjologicznego punktu widzenia, jako wyraz autonomicznych dążeń umysłowych w ogóle lub estetycznych w szczególności.

To stanowisko metodologiczne — w porównaniu z dwudziestowiecznymi syntezami burżuazyjnymi — dawało w rezultacie próby syntezy rozwoju literatury polskiej o tyle cenne, że traktujące literaturę zasadniczo jako zjawisko społeczne, ujmujące więc ją dostatecznie szeroko. Taką wartość mają do dziś ze względu na bogactwo informacyj poważne prace Chmielowskiego i Brücknera. Zasadniczą ich wadą z punktu widzenia wymagań nauki współczesnej jest zdeterminowana stanowiskiem idealistycznym, autonomizującym społeczny proces rozwojowy literatury, niezdolność wyjaśnienia motorów dynamiki literatury. W swej interpretacji dynamiki literatury nie ukazują one sił społecznych i społecznych antagonizmów, które ją warunkują, zatrzymują się bezradnie niejako na pierwszym etapie interpretacyjnym. Zestawiają sumiennie fakty erudycyjne. Stwierdzają, iż taki był rozwój literatury, bo takie były dążenia umysłowe lub gusty epoki. Nie próbują wyjaśnić, dlaczego były one właśnie takie, nie usiłują odsłonić społecznych i klasowych korzeni zjawisk w autonomicznej dla nich sferze faktów kultury umysłowej. Cechuje to stanowisko płaski i ograniczony empiryzm, typowy dla burżuazji pozytywistycznej minimalizm poznawczy.

Lecz te ogólne formuły pozwalają nam zaledwie zorientować się w sytuacji. Aby ocenić stan ówczesny wiedzy o literaturze z punktu widzenia dzisiejszych — i historycznych, i normatywnych kryteriów — trzeba ukazać ideologiczne, klasowe tendencje tej pozytywistycznej syntezy na materiale wiedzy ogólnej o poszczególnych epokach rozwoju literatury polskiej.

Historycy pozytywiści byli już także historykami literatury okresu pozytywizmu. Szczególne zasługi położył tu Chmielowski, którego spuścizna naukowa zawiera olbrzymie, niedorównane do dziś bogactwo informacji rzeczowych, dotyczących piśmiennictwa drugiej połowy XIX wieku. Synteza ta jednak została dokonana z punktu widzenia walki o realizm mieszczański, realizm krytyczny. Ograniczona postępowość tej syntezy wyrażała się w obronie postępowych tendencyj burżuazji polskiej z okresu, kiedy walczyła ona o laicyzację kultury, humanitaryzm, obalenie feudalnych przesądów stanowych, rasowych, wyznaniowych. Niestety, postępowość burżuazji polskiej była szczególnie ograniczona. Ograniczona jej słabością, wczesną tendencją do sojuszu burżuazyjno-arystokratycznego, bez prób uzyskania dla burżuazji wyraźnej hegemonii w tym sojuszu, ograniczona ugodowością wobec zaborcy, ograniczona z tych względów oportunistycznym stanowiskiem wobec interesów chłopa, o którego pełne wyzwolenie burżuazja nasza, rychło sprzymierzona ze szlachtą, nie walczyła konsekwentnie. Ograniczona wreszcie przez wrogi stosunek do ruchu robotniczego, narastającego w Polsce gwałtownie już w drugim dziesięcioleciu okresu pozytywizmu polskiego. A Chmielowski, którego myśl zaciążyła nad całym literaturoznawstwem tego czasu, był właśnie ideologiem tak pojętego sojuszu [2]. Chmielowski w swych ocenach, w swej syntezie literatury pozytywistycznej nie reprezentował najbardziej postępowych tendencyj tej epoki. Ustępował tu miejsca np. Świętochowskiemu, który we wczesnym okresie bronił przynajmniej hegemonii mieszczaństwa w sojuszu burżuazyjno-arystokratycznym, był przeto o wiele konsekwentniejszym obrońcą ograniczonego postępu swego czasu. Chmielowski jako szermierz realizmu krytycznego nie piętnował dość stanowczo jego rażących ograniczeń w polskich realizacjach artystycznych, raził go np. krytycyzm Prusa, często słabszy niż namiętny, pełen potężnego gniewu mas chłopskich krytycyzm Tołstoja, czy najokrutniejsze nowele Turgieniewa w rodzaju *Mumu*. Nic więc dziwnego, że z dorobku naszych realistów nie doceniano i pomijano najistotniejsze utwory, mocne w krytyce jak najdoskonalsze dzieła realizmu mieszczańskiego w literaturze światowej; takie np. rzeczy, jak młodzieńcze nowele Orzeszkowej. Chmielowski wreszcie nie widział jasno zasadniczej ograniczoności realizmu krytycznego jako metody twórczej, petryfikował jego osiągnięcia jako ostateczne, fałszywie identyfikował realizm mieszczański z pełnym realizmem, który mógł powstać nie na fun-

---

[2] Por. M. Janion, *Z zagadnień wczesnej działalności Chmielowskiego*, Pozytywizm, cz. I, Wrocław 1950, IBL.

damencie poznawczym burżuazyjnego empiryzmu, ale na fundamencie materializmu dialektycznego.

Z tych pozycyj klasowych, metodologicznych i estetycznych, nie mogła również powstać w owym czasie i nie powstała synteza romantyzmu polskiego. Nie tylko Krupiński, ale i inni ideolodzy pozytywizmu prowadzili walkę z romantyzmem jako literaturą, której poetyka ograniczała postulowany przez nich realizm. Tak wymierzony jednak atak był tylko zamaskowaniem właściwego uderzenia. Krytyka pozytywistyczna walczyła z romantyzmem jako artystycznym wyrazem ideologii rewolucji szlacheckiej i w dojrzałej swej fazie ideologii demokratyczno-rewolucyjnej. Walkę prowadzono jednak raczej nie bezpośrednio, lecz metodą przemilczeń, zafałszowań, powierzchownych interpretacyj, zubożających treść ideowo-artystyczną spuścizny romantycznej. Burżuazja walczyła tu z obcą jej ugodzie ideologią walki narodowo-wyzwoleńczej, rewolucyjną ideologią kształtowania się polskiego narodu burżuazyjnego w warunkach wszechstronnego ucisku narodowego. Tym niemniej proces tworzenia się polskiego narodu burżuazyjnego trwał nadal w początku doby pozytywizmu. Wtedy bowiem dopiero dopełnił się jeden z zasadniczych warunków tego procesu: chłop otrzymał własność. Toteż krytyka pozytywistyczna nie mogła odrzucić tak cennej dla formowania się tego procesu tradycji patriotycznej literatury romantycznej. Ale przemilczała jej rzeczywistą treść rewolucyjną. Skrzywiła proporcje i hierarchie zjawisk. Znikł Mickiewicz, autor *Trybuny Ludów*, znikli ideolodzy demokratyczno-rewolucyjni, jak Dembowski czy Ściegienny, zepchnięty w cień został Berwiński, nie uwypuklony realizm Słowackiego. Pozostała tylko wyjałowiona z treści ludowych i rewolucyjnych patriotyczna tradycja romantyzmu. Literatura romantyczna zaczęła być traktowana jako zjawisko przede wszystkim estetyczne, odkrywcze, ale obce artystycznie realizmowi krytycznemu, przede wszystkim nacechowane fantastyką i wyuzdaniem nie kontrolowanej wyobraźni. Po gwałtownych i prostackich wystąpieniach Krupińskiego deklaratywnie uznawano wielkość tej literatury, ale jej nie pokazano. Miejsca i dorobku literatury romantycznej w rozwoju historycznym całej literatury polskiej nie umieli pozytywiści prawidłowo określić.

Przeszkadzał im w tym przesadny biografizm, każący interpretować dzieło literackie jako dokument indywidualnych, osobistych przeżyć pisarza. Przykładem karykaturalnych rezultatów tej metody jest książka Kallenbacha o Mickiewiczu, pisana zresztą z pozycyj raczej krakowskich konserwatystów. Nie dziwi nas przeto, że dla Kallenbacha sens II części *Dziadów* polega na przestrzeżeniu przed porywami naruszającymi usta-

lony „porządek“ społeczny i tok życia „porządnego“ człowieka i na zachęcie do sumiennej, ograniczonej pracy w „swoim kółku, jak każe duch boży“ [3]. Tym niemniej krytyka pozytywistyczna ma zasługę rozpoczęcia historycznych badań nad romantyzmem. Wobec wynaturzenia burżuazyjnej myśli naukowej w dobie imperializmu, wiele spośród prac pozytywistów ma większą wartość aniżeli prace późniejsze, oparte nawet na bogatszych badaniach szczegółowych. Małecki np. utorował drogę do źródłowego poznania życiorysu Słowackiego. O niektórych pisarzach romantycznych nie mamy nawet nowszych prac. To się da powiedzieć o szeregu szkiców Chmielowskiego, np. o Ludwiku Sztyrmerze, a nawet o jego większych pracach, jak np. monograficzny zarys działalności J. I. Kraszewskiego.

O charakterze błędów pozytywistycznej syntezy literatury oświecenia polskiego może najlepiej nas poinformuje przykładowa analiza w książce Chmielowskiego, *Liberalizm i obskurantyzm na Litwie i Rusi*, dotyczącej początków XIX w., ale omawiającej ideologię bezpośrednio wywodzącą się z oświecenia. Chmielowski, zgodnie ze swą zasadniczą postawą, traktuje tu literaturę jako wyraz ideologii społecznej. Wyróżnia on zasadniczo dwa obozy ideologiczne: burżuazyjnego postępu — liberałów i feudalno-szlacheckiego zacofania — obskurantów. Sytuacja społeczna owego czasu była tymczasem już o wiele bardziej złożona. Ale Chmielowski celowo tak konstruuje obraz dziejowy, by środowisko nosicieli ideologii burżuazyjnej reprezentowało niezróżnicowany obóz postępu. W ten sposób dążenia postępowe pokazane są jako zawsze burżuazyjne i postęp ma mieć przeto zawsze oblicze umiarkowane, ograniczone, oportunistyczne, obce istotnemu radykalizmowi i rewolucyjności. Reakcją nie jest natomiast nigdy burżuazja, żadna jej frakcja, lecz zawsze i tylko najbardziej wsteczne, zacofane, nawet dla burżuazyjnego sojuszu z arystokracją niemożliwe do przyjęcia tendencje społeczne. Jednocześnie Chmielowski tak komponuje rozdziały swej książki, że program postępowców oświecenia jest identyczny co do zakresu z programem pozytywistów, mniej sprecyzowany jedynie co do treści. A więc mamy tam hasła pracy organicznej, pracy u podstaw, kultu nauki, emancypacji kobiet, tolerancji rasowej i religijnej. W ten sposób program postępu burżuazyjnego jest — jeśli nie wyraźnie wiecznym co do zakresu, bogacącym się przez wieki co do treści programem postępu w ogóle — to przynajmniej jest programem jedynym i tradycyjnym w Polsce od XVIII wieku, od czasów nowożytnych począwszy. Autor zupełnie

---

[3] J. Kallenbach, *Adam Mickiewicz*, Kraków 1897, t. I, s. 151.

jawnie ukazuje tyle z dążeń postępowych oświecenia, ile mieści się w ramach programu ograniczonego postępu burżuazyjnego drugiej połowy XIX w. A wiemy, że ten ostatni program był bardziej ograniczony i zacofany aniżeli rzeczywisty program postępowców XVIII w.

A więc i tu synteza pozytywistyczna polskiego oświecenia to widzi z tej literatury, co godzi się, co popiera, co może być żywą tradycją ograniczonych dążeń burżuazyjnych epoki pozytywizmu. Tym niemniej tradycje bohaterskiego okresu dążeń burżuazyjnych, dążeń oświecenia znajdowały obrońców właśnie wśród radykalnego odłamu ideologów pozytywizmu, wśród tych, którzy przeciwni byli społecznej i politycznej ugodowości naszej burżuazji. Toteż zwłaszcza publicystyka XVIII w. znalazła poważnych badaczy właśnie w okresie przedimperialistycznym, właśnie w okresie przed ucieczką burżuazji od jej własnych tradycji postępowych. Ten okres przyniesie do dziś nie przezwyciężone, pomimo wszystkich braków, książki Smoleńskiego i staranne, erudycyjne prace Pilata. Lecz najistotniejszą sprawą w stosunku do literatury naszego oświecenia było wydobycie jej nurtów najbardziej krytycznych, libertyńskich, wreszcie rewolucyjnych i jakobińskich [4]. Dorobek ten ukryty był w rękopisach; nie zawierały go cenzurowane przez wsteczne wpływy wydania drukowane. Lecz te tradycje nie były potrzebne już późnym wnukom burżuazji. Pozostały w rękopisach. Ani pozytywizm, ani późniejsza epoka nie dały nam poprawnych i pełnych wydań Trembeckiego, Węgierskiego, Zabłockiego, Jasińskiego, nie ukazały tak ostro postępowego oblicza teatru stanisławowskiego z wielkim Bogusławskim na czele [5]. Nie rozstrzygnięto żadnych spraw autorstwa, tak kapitalnych dla tej rękopiśmiennej spuścizny. Tu nauka pozytywistyczna nie wywiązała się nawet z elementarnych obowiązków naukowego przygotowania materiału do poprawnej syntezy literatury XVIII w.

O syntezie dotyczącej literatury XVII w. nie można nawet mówić w tej dobie. Literatura XVII w. w ogóle nie była wtedy znana. Ale tu pozytywistyczni literaturoznawcy, a zwłaszcza A. Brückner, mają trwałe zasługi dla rozwoju nauki polskiej, gdyż oni to wydobyli z pyłu zapomnienia rękopiśmienną przeważnie literaturę XVII w. O ich konkretnych zasługach w tym zakresie powie się w następnym rozdziałku. Sądy ogólne o polskim w. XVII będzie próbowała formułować dopiero krytyka burżuazyjna doby imperializmu i to zadecyduje o charakterze tych sądów.

---

[4] Por. Jan Kott, *O nową syntezę polskiego oświecenia.* Pamiętnik literacki, 1950, nr 3—4. T. Mikulski, w pracy zbiorowej: O sytuacji w historii literatury polskiej, PIW, 1951, s. 165—185.

[5] Por. Jan Kott, *op. cit.*

Największe niewątpliwie zasługi i najtrwalsze ma natomiast krytyka pozytywistyczna i wierna jej założeniom metodologicznym krytyka późniejsza — w zakresie syntezy renesansu polskiego i wiedzy o najwcześniejszych zabytkach literatury polskiej. Zainteresowanie szermierzy postępu w XVIII w. dla literatury wieku złotego spowodowało, iż te dzieła nie były w XIX w. zapomniane i nie wydane.

Praca nad literaturą renesansową, zaczęta w duchu pozytywistycznego filologizmu w drugiej połowie XIX wieku, była kontynuowana aż do końca lat międzywojennych w oparciu o nie zmienione zasadniczo założenia. W tym zakresie w dużej mierze szczęśliwie uniknięto zgubnych wpływów rozkładowej myśli burżuazyjnej epoki imperializmu. Toteż zrobiono więcej i lepiej aniżeli w jakimkolwiek innym zakresie literaturoznawstwa. Na ogólnej interpretacji zaciążyły tendencje kosmopolityczne, próby interpretacji przemian literatury przy pomocy wpływów i zależności. Lecz i te badania dały jako cenny produkt uboczny poważną znajomość kultury, zwłaszcza antycznej, naszych humanistów (cenne prace Sinki dotyczące doby nie tylko renesansowej). Rozwiązano wiele problemów biograficznych, problemów autorstwa, problemów działalności pozaliterackiej pisarzy, problemów filologicznych (np. Chrzanowski o Bielskim, Brückner o Reju, Wąsik o Petrycym z Pilzna, Mikulski o Czahrowskim, Heck o Szymonie Szymonowiczu, Kot o Modrzewskim, Górski o Grzegorzu Pawle z Brzezin i wiele innych prac). Dużo rzeczowego materiału wniosły tu sumienne i szerokie poszukiwania Bruchnalskiego w zakresie dziejów wiersza i poetyki renesansowej. Tu wreszcie mamy najcenniejsze osiągnięcia edytorskie. Z tego kręgu naukowego wyrosły pionierskie poszukiwania dotyczące naszego piśmiennictwa różnowierczego Brücknera, rozwinięte poważnie przez Kota i grupę jego uczniów, skupionych przy wydawnictwie *Reformacja w Polsce* (od r. 1921), wśród których mieliśmy tak krytycznych badaczy, jak M. Wajsblum. Rezultaty te układają się same w pewną całość, były również przynajmniej w szkicowej formie syntetyzowane parokrotnie, aż do zbiorowej *Kultury staropolskiej* włącznie. Synteza ta, zgodnie z minimalistycznym empiryzmem burżuazyjnym, dobrze i obficie informuje o faktach, podawanych bez dostatecznego związku. Jej brakiem zasadniczym jest traktowanie i humanizmu, i reformacji jako autonomicznych ruchów umysłowych. To był trwały do końca lat międzywojennych rys szkoły brücknerowskiej. W tym ujęciu cenne są wyniki historyczno-biograficzne, zawodzi natomiast interpretacja z punktu widzenia rygorów naukowych, ograniczona do uporządkowania rejestru danych filologicznych. Szczególnie jaskrawo wystąpią ostateczne konsekwencje tego stanowiska

w dobie imperializmu. Fideistyczne stanowisko badaczy burżuazyjnych każe im widzieć w szermierzach różnowierczych po prostu... heretyków. Będą ich interesować odstępstwa od ortodoksji katolickiej. Szczególnie wymownym przykładem będzie tu Górski jako historyk różnowierstwa polskiego. W tym ujęciu nawet polemik reformacyjnych nie interpretowano jako maski sporów społecznych, lecz wyłącznie jako filologicznie stwierdzalne kontrowersje dogmatyczno-teologiczne. Nic dziwnego, iż wtedy znikały z oczu badacza korzenie społeczne i charakter społeczny ruchów umysłowych renesansu [6]. Rozstrzygającym przykładem może tu być książka Kota o Modrzewskim, późny i dojrzały owoc szkoły brücknerowskiej. W książce tej nie ma Modrzewskiego szermierza społecznego, uczestnika określonych walk klasowych, polityka, pokazuje się tylko przedstawiciel autonomicznego ruchu umysłowo-religijnego, spierający się z ortodoksami heretyk.

Omawiamy tu stan badań literackich z punktu widzenia potrzeb współczesnych, a nie ze stanowiska historii nauki. Dlatego świadomie pomijam tu współczesnych Chmielowskiemu i Brücknerowi „stańczykowskich" historyków literatury. Ich pozycje społeczne tak bardzo uwsteczniły ich wyniki historyczne, że te dziś już należą tylko do historii, i to do historii, z której bodaj nic nie da się ożywić.

Drugi etap w rozwoju burżuazyjnej syntezy historycznoliterackiej stanowi doba imperializmu. Okres ten, wraz z pogłębianiem się tendencji wstecznych myśli burżuazyjnej, przynosi pogłębienie tendencji idealistycznych, agnostycyzmu i fideizmu. Załamują się metodologiczne podstawy syntezy pozytywistycznej. Myśl burżuazyjna posuwa się dwoma torami: idealizmu subiektywnego w kierunku konwencjonalizmu i formalizmu, oraz drogą prób odrodzenia idealizmu obiektywnego, zainicjowaną przez szkołę Diltheya, drogą strukturalizmu, psychologii ducha, prowadzącą w ostatecznym wyniku w literaturoznawstwie też do swoistej odmiany formalizmu [7]. W okresie tym mamy zanik ambicyj syntetycznych; nie ma prac o rozmachu i sumienności, bogactwie informacyjnym Chmielowskiego czy Brücknera. Pojawiające się syntezy całej literatury polskiej są raczej informacyjnymi szkicami encyklopedycznymi, któ-

---

[6] Por. Ł. Kurdybacha, w wyd. zbior. O sytuacji w historii literatury polskiej, s. 87—124.

[7] Szerzej piszę o tych sprawach w szkicu: *O literaturoznawstwie burżuazyjnym epoki imperializmu w Polsce*, Pamiętnik Literacki, 1950, nr 1; przedruk: *Stare i nowe literaturoznawstwo*, Wrocław 1950; tam zob. *Aktualny etap walki o literaturoznawstwo marksistowskie w Polsce*.

re najczęściej pozostały fragmentami (Dobrzycki) lub kontynuują zalety i błędy poprzedniego okresu (I wyd. *Dziejów literatury pięknej* PAU).

Zasadnicze zmiany znów widzimy w próbach syntezy epok. Krytyka już wypowiada się na temat literatury epoki imperializmu w Polsce. Nie widzi w niej twórczej walki o realizm, o realizm socjalistyczny w końcowej fazie (w twórczości Wasilewskiej, Kruczkowskiego, Kowalskiego, Broniewskiego). Jest zupełnie pozbawioną naukowego krytycyzmu próbą apologii antyrealistycznych tendencji schyłkowej literatury burżuazyjnej. Tu też święci tryumfy skrajny kosmopolityzm [8].

Jest to okres ostrego ataku na literaturę pozytywistyczną. Krytyka burżuazyjna, zarówno spod znaku nacjonalistycznego (Chlebowski) jak i spod znaku prawicy PPS (Feldman), zdecydowanie zwalcza z reakcyjnych, imperialistycznych pozycji nawet ograniczoną postępowość własnej klasy [9]. Jest to walka z realizmem krytycznym w imię dominujących w literaturze burżuazyjnej antyrealistycznych tendencyj. Jest to jednocześnie walka z laickimi, empirycystycznymi i humanitarnymi tradycjami pozytywizmu w imię rzekomego przezwyciężania „ograniczeń rozumu" na rzecz intuicji, „bankructwa" nauki na rzecz wiary, darwinizmu na rzecz klerykalnego spirytualizmu.

Słusznej oceny literatury w tym okresie bronią pierwsi przedstawiciele antagonistycznego nurtu kultury tej epoki rewolucji proletariackich, krytycy socjalistyczni (np. Róża Luksemburg o Mickiewiczu), oraz zdecydowani bojownicy swobód burżuazyjno-demokratycznych, zbliżający się po r. 1905 do socjalizmu, jak np. Nałkowski, opowiadający się po stronie spadkobierców realizmu z Zolą na czele, pierwszy, który już w r. 1905 umiał właściwie ocenić Gorkiego i jego zasadnicze nowatorstwo literackie jako realisty socjalistycznego. Natomiast dla burżuazyjnej syntezy literatury epoki imperializmu realizm krytyczny jest zboczeniem z drogi rozwoju kultury narodowej (Feldman). Ustalenie tego ciągu rozwojowego kultury narodowej odpowiada, zgodnie z analizą Stalina (*Marksizm a kwestia narodowo-kolonialna*), etapowi w rozwoju narodu burżuazyjnego w Polsce. W dobie imperializmu burżuazja już tylko szermuje frazesem nacjonalistycznym, pokrywając swój egoistyczny interes klasowy sprawą rzekomo „ojczyzny". W tradycji narodowej szuka nurtów wstecznych jako ciągu kultury narodowej. I na tym tle kształ-

---

[8] Obszerniej K. Wyka, w wyd. zbior. O sytuacji w historii literatury polskiej, s. 295—320, oraz krytyka metodologiczna typowych prac: S. Żółkiewski, *Stare i nowe literaturoznawstwo*, s. 44—51 i 26—27.

[9] J. Kulczycka-Saloni i J. Baculewski, w wyd. zbior. O sytuacji w historii literatury polskiej, s. 212—294.

tuje się synteza literatury romantycznej w dobie imperializmu [10]. Patriotyzm romantyczny identyfikuje się z mesjanizmem, kulturę narodową, myśl patriotyczną sterylizuje z treści rewolucyjnych, a obciąża całym balastem mistycyzmu, jako rzekomego wyrazu polskiej psychiki narodowej. Metodologia tej epoki pozwala na nieliczenie się z faktami historycznymi, danymi filologicznymi.

Feldman jest inicjatorem koncepcji, że rozwój literatury narodowej jest rozwojem artystycznego wyrazu mistycznych doświadczeń ducha. Szczytem tego rozwoju miała być — *risum teneatis* — zakłamana, formalistyczna i pusta literatura początków XX wieku [11]. Nie dokończoną próbą jakby historii literatury romantycznej w Polsce stawała się książka Ujejskiego pod znamiennym tytułem *Dzieje mesjanizmu w Polsce.* Ale pełnej historii literatury romantycznej nie napisano dotąd. Można tu powiedzieć, że niedołężna metodologia literaturoznawstwa imperialistycznego sprzeciwiała się sama przez się powstawaniu syntez. Bo też próby syntezy literatury romantycznej w dobie imperializmu dokonywają się pod znakiem metodologii diltheyowskiej, antypozytywistycznej.

W związku z tym literatura romantyczna traktowana jest nie jako zjawisko społeczne, nie jako wyraz i narzędzie walk klasowych, a jednocześnie rewolucyjny i krytyczny obraz życia polskiego, ale jako wyraz określonej postawy duchowej, postawy romantycznej, swoistej struktury duchowej, której dominantą miały być tendencje religijne, mistyczne, wypowiedziane w systemie mesjanistycznym.

Jeśli istotą romantyzmu miała być określona struktura duchowa, obiektywizowana przez ducha indywidualnego twórcy, to główną tendencją historii literatury musiała być oczywiście tendencja monograficzna. Tendencja do pisania dziejów indywidualnego ducha pisarza, a nie dziejów literatury. Stąd pojawienie się, jako najbardziej reprezentatywnych dla tej epoki, prac Kleinera o Słowackim i Mickiewiczu. Te tendencje metodologiczne, prowadzące ku idiografizmowi, obiektywnie były skoncentrowanym wyrazem najbardziej wstecznych dążeń ideowych burżuazji imperialistycznej. Były próbą koncentrowania uwagi na mitologicznych pseudoproblemach fenomenologii ducha indywidualnego, byle odwrócić uwagę od społecznej problematyki dziejów w ogóle i dziejów ideologii w szczególności. Były walką z realizmem, z poznawczą i społeczną funkcją sztuki, której przypisywano rolę subiektywnego

---

[10] Por. K. Wyka, w wyd. zbior. O sytuacji w historii literatury polskiej, s. 295—320.
[11] Por. K. Wyka, ib.

pamiętnika duszy artysty, jednostki wyrastającej ponad tłum i zdolnej do swoistych, rzekomo najgłębszych metafizycznych przeżyć. Były walką z poznaniem naukowym, z myśleniem deterministycznym, materialistycznym i historycznym, na rzecz intuicyjnego wczuwania się w duchowy sens wartości kulturalnych, traktowanych ahistorycznie, poza wszelkimi determinantami społecznymi i materialnymi.

W literaturze romantycznej konsekwentnie, aż do ostatniej książki Kleinera o Mickiewiczu, widziano powolne kształtowanie się artystycznego wyrazu psychiki romantycznej, to znaczy psychiki przede wszystkim religijnej, aż do jej pełnego wyrazu w artystycznych odpowiednikach kontemplacji mistycznej wartości najwyższych, wiecznych, ogólnoludzkich, to znaczy pozaspołecznych i pozahistorycznych. Mistycyzm traktowano jako przyrodzoną, właściwą osobie ludzkiej, a przy tym najdoskonalszą potrzebę (Kleiner). Jej artystyczny i adekwatny wyraz — jako szczyt sztuki. Nic więc dziwnego, że w tej sytuacji nie ukazała się ani jedna poważna monografia mickiewiczowskiej *Trybuny Ludów*. Korbut nawet nie wyodrębnia działu dotyczącego tej publicystyki w swojej bibliografii mickiewiczowskiej, która osobno zestawia nawet opracowania poszczególnych wierszy. Natomiast od r. 1870 ukazało się około 80 prac o Towiańskim, które Korbut notuje, z tych około 60 wydrukowano po r. 1900.

Nie negowano haseł narodowo-wyzwoleńczych w literaturze romantycznej, ale interpretowano je nacjonalistycznie (Pigoń). Widziano w nich etap do filozofii mesjanistycznej.

Nie dostrzeżono natomiast związku romantyzmu z kształtowaniem się narodu burżuazyjnego w Polsce, z ideologią samotnej, oderwanej od mas rewolucji szlacheckiej typu dekabrystowskiego w pierwszym etapie i stopniowego dojrzewania koncepcji rewolucji ludowej, ludu jako realnej siły historycznej, rewolucyjnej, co prowadziło w ostatecznej konsekwencji ideowej poprzez socjalizm utopijny do ideologii demokratyczno-rewolucyjnej typu mickiewiczowskiego lub hercenowskiego. W płaszczyźnie artystycznej to dojrzewanie ideowe było dojrzewaniem realizmu w literaturze romantycznej, było walką o ten realizm, tak widoczną choćby w rozwoju dramatu Słowackiego. Oczywiście, zboczenia mistyczne z właściwej drogi rozwoju rewolucyjnej ideologii romantycznej były nie konsekwentnym, docelowym punktem dojścia w rozwoju romantyzmu, ale właśnie wyrazem wahań, sprzeczności, niekonsekwencji i niedojrzałości ideowej poszczególnych pisarzy, którzy nie umieli wyjść całkowicie poza stanowisko swojej klasy, zająć pozycji ludowych.

Toteż zasadniczą tendencję interpretacyjną burżuazyjnego literaturoznawstwa epoki imperializmu — Ujejskiego, Kleinera, Pigonia — musimy traktować jako pomyłkę o obiektywnej reakcyjnej wymowie i klasowych korzeniach. Ale trzeba tu się wyraźnie zastrzec, iż prace tych uczonych nie były nigdy metodologicznie do końca konsekwentne. Byli to nacjonaliści, fideiści i idealiści, ale w swej praktyce naukowej raczej eklektycy niż konsekwentni diltheyowcy. Dlatego to, co się wyżej mówiło, dotyczy zasadniczego kośćca interpretacyjnego ich prac. Poza tym kośćcem ich eklektyczne studia zawierają wiele cennego materiału biograficznego i filologicznego, wiele subtelnych sądów estetycznych i pomysłowych ustaleń znaczenia symbolów romantycznych na tle szeroko podanej i dobrze zbadanej literatury porównawczej. Trzeba dodać, iż swoiste rozwydrzenie studiów porównawczych kładło na tych badaniach piętno kosmopolityzmu, a często po prostu naiwności w powierzchownych obserwacjach zewnętrznych podobieństw. Mamy np. taki fragment książki Wojciechowskiego o *Werterze w Polsce*, gdzie autor, zasłużony przypomnieniem treści od dziesiątków lat nie czytanych pierwszych powieści polskich, uważa za „werteriady" powieści, w których może stwierdzić podobieństwo drugorzędnych motywów z arcydziełem Goethego, chociaż — jak sam pisze — brak cienia analogii między ideologią tych powieści a ideologią *Cierpień młodego Wertera*. Podobnie — a już całkiem karykaturalnie — wypadła geneza literatury romantycznej u Szyjkowskiego:

> ...natknęła się na gessneryzm i osjanizm, poprzedzony *Nocami* Younga, z dziedziny zagadnień politycznych i społecznych zaczęła przejmować powoli i na własny użytek przerabiać ideę Russa, zwolna i stopniowo wyłamała się spod wpływów francuskiej szkoły pseudoklasycznej... rozpoczęła żmudny kurs niemczyzny pod przewodem pani de Staël ...przydała do nich już wypróbowane dekoracje z Osjana, nasyciła się liryką Schillera, od Szekspira, Walter Scotta i Byrona wyprowadziła początki swojej „brytanomanii", choć już przedtem teren przygotował tutaj Gessner, Rousseau, Goethe i Schiller. Taki jest rozwój zbiorowego ducha.

Dobrym przykładem naukowo fałszywych konsekwencji kosmopolityzmu i bezdusznej metody śledzenia wpływów i zależności była legenda o „bluszczowatości" i całkowitej literackości poezji J. Słowackiego. Jest faktem, że doświadczenia literackie przerastają doświadczenia życiowe młodego Słowackiego, lecz do tezy o „bluszczowatości" mogło doprowadzić przesadne skupienie uwagi na wpływach, a całkowite zaniedbanie badań nad związkiem twórczości młodego Słowackiego z życiem polskim, z konkretnym kształtowaniem się ideologii rewolucji szlache-

ckiej w przededniu powstania i jej krytyki nazajutrz po powstaniu listopadowym. A taki jest właściwie stan badań w tym względzie. Pamiętamy, iż Lenin mówi o możliwości drogi „od religii do socjalizmu" (w dziele *Marks, Engels, marksizm*, Warszawa 1949, s. 254). Ale też obiektywny udział myśli religijnej w kształtowaniu się ideologii romantycznej ułatwiał jej fałszowanie w duchu potrzeb reakcji imperialistycznej. Toteż w XX w. przeważają w polonistyce fałszywe zainteresowania romantyzmem nad wszystkimi innymi. Trzeba tu dla ścisłości dodać, iż epoka imperializmu stworzyła i drugą — już ahistoryczną — koncepcję romantyzmu. Literatura romantyzmu w tym ujęciu miała być po prostu poprzedniczką dekadenckiej, schyłkowej literatury burżuazyjnej epoki imperializmu (I. Matuszewski). Interpretowano romantyzm (z żałosnymi rezultatami), według poetyki imperializmu, jako wieczną poetykę arcypoezji, zgodną z „naturą" poetyckiego tworzenia.

Okres imperializmu — poza szczegółami, o których niżej — nie posuwa naprzód sprawy syntezy oświecenia polskiego. Dopiero po wojnie ukazuje się duża książka Borowego *O poezji polskiej w w. XVIII*, z ducha całkowicie należąca do poprzedniego okresu. Autor nie próbował ustalić dynamiki rozwoju poezji XVIII w., jej periodyzacji, nie próbował pokazać sprzecznych nurtów ideowo-artystycznych, które ją kształtowały, nie widział procesu rozpadu poetyki klasycyzmu, spowodowanego przez wtargnięcie żywiołu realistycznego, który niosły reformatorskie i rewolucyjne walki społeczne epoki. Rewizja jego polegała na starannym wyszukaniu poetów ówczesnego marginesu, poetów religijnych, jako przedstawicieli „prawdziwej" poetyczności. Całą zaś poezję XVIII w. z rozbrajającym ahistoryzmem opisał i ocenił z punktu widzenia schyłkowej poetyki burżuazyjnej XX w., poetyki arealistycznej, aspołecznej, aintelektualnej. Oczywiście, konfrontacja upolitycznionej, realistycznej, intelektualnej, walczącej poezji XVIII w. z normami jej biegunowo przeciwnej poetyki dała bardzo mały rezultat poznawczy. To, co jest w książce Borowego cenne, co dostało się do niej — na przekór założeniom autora — to rezultat jego spostrzegawczości w stosunku do indywidualnych środków artystycznych pisarzy, rezultat jego imponującej znajomości niektórych tekstów, jak Kniaźnina, Drużbackiej lub Benisławskiej. Lecz, jak widać z tych zjawisk, są to marginesy; trzon kultury poetyckiej XVIII w. w Polsce pozostał w tej książce tak samo nieznany, jak był przedtem.

Epoka imperializmu przyniosła natomiast swoistą, szeroko opracowaną i — powiedzmy od razu — całkowicie wsteczną i naukowo bezwar-

tościową syntezę literatury polskiej XVII w.[12] Wysiłki pozytywistów i ich kontynuatorów z Badeckim na czele odkryły tę literaturę. Epoka imperializmu potrafiła umiejętnie fałszując obraz tej literatury znaleźć tam przydatne dla siebie tradycje kulturalne. Z edycji Badeckiego wiemy, iż w w. XVII w Polsce — tak wyraźnie jak nigdy przedtem ani długo potem — wystąpił antagonistyczny w stosunku do literatury klas rządzących plebejski nurt literacki: wcześniej ariański, potem tzw. mieszczański.

Załamanie się u schyłku XVI w. naszych postępowych nurtów społecznych, załamanie się reformacji, przechodzenie szlachty, dotąd reprezentującej pośrednio interesy postępu także szerszych mas narodowych, na pozycje wyraźnie wsteczne — powodują wyodrębnienie się samodzielnych, antagonistycznych, plebejskich nurtów ideowych. Szczególnie ten proces nasila się na przełomie XVI i XVII w., potem zdławiony przewagą reakcji. Otóż historiografia imperializmu (M. Hartleb) — wbrew tym niezbitym i obfitym danym filologicznym — interpretowała literaturę XVII w. solidarystycznie, przeczyła istnieniu nurtów antagonistycznych, sprowadzała je do rzekomo wspólnego formalno-artystycznego mianownika.

Ten formalny wspólny mianownik to było pojęcie stylu barokowego. Pojęcie urobione przy pomocy czysto formalistycznych, ahistorycznych kategoryj klasyfikacji typów wyobraźni artystycznej Wölfflina (np. przewaga tendencyj linearnych lub malarskich, przewaga statyki lub elementu ruchu, operowanie kontrastem lub dążenie do symetrii). Jedność stylu barokowego widziano w jedności typu wyobraźni. Przy uzasadnianiu tej tezy lekceważono wszystkie pozaabstrakcyjno-formalne czynniki. Np. na drodze tych poszukiwań uzasadniano, że cechą barokowej wyobraźni artystycznej jest operowanie kontrastami; np. w rzeźbie będzie to mieszanie czarnego i białego marmuru w tej samej kompozycji, w wierszu ścisłym odpowiednikiem tego będzie makaronizowanie. Przy tworzeniu mitu stylu barokowego przemilczano po prostu sprzeczne z tą koncepcją fakty. W konsekwencji mamy w XX w. swoisty renesans poezji XVII w.; staje się ona modna i ceniona. Interpretuje się ją bowiem faktycznie — zgodnie z tendencjami schyłkowej burżuazyjnej poetyki nadrealizmu — jako twór czystej wyobraźni, jako „poezję *par excellence*“, w myśl imperialistycznych teoryj, jako poezję oderwaną od życia, rzeczywistości, dążeń społecznych. Ta interpretacja idzie na rękę wstecznemu fideizmowi epoki. Okazuje się, iż poezja czysta, poezja wy-

---

[12] Por. K. Budzyk i J. Dürr-Durski, w wyd. zbior. O sytuacji w historii literatury polskiej, s. 125—164.

obraźni, to poezja przeżyć religijnych, poezja wzruszeń wolnych od nacisku krępującej wyobraźnię i poetę rzeczywistości, poezja obnażonych chwytów formalnych, uskrzydlonych przez nieokreśloność żywiołu przeżyć poety. Ta interpretacja była w wyraźnej kolizji z bogactwem, wielością, różnorodnością stylistyczną literatury XVII w. Ta interpretacja przesłaniała przede wszystkim żywiołowe bogactwo treści, konfliktów ideowych literatury tej epoki. Ale była wodą na młyn wstecznej estetyki epoki imperializmu, była historycznym uzasadnieniem formalistycznych i antyrealistycznych tendencyj burżuazyjnej literatury XX w. Była bronią w walce z rodzącym się w służbie sprawy robotniczej realizmem socjalistycznym i w ogóle z tendencjami realistycznymi w sztuce. Taka była obiektywna funkcja pracy Adamczewskiego o Zimorowiczu, maskującej i realizm tego pisarza, i jego dramatyczną problematykę społeczną, taka funkcja starej szkoły wölfflinowskiej wśród młodych wówczas polonistów.

Ta fałszywa synteza literatury XVII w. wychodziła od ostro zaznaczonych tendencyj kosmopolitycznych, od podkreślania wtórności naszej poezji tego okresu (Porębowicz o Morsztynie, Sinko o Szarzyńskim). Trzeba jednak dodać, iż spotykało się to z krytyką i akcentowaniem właśnie rodzimości tego pisarstwa (Krzyżanowski, a także Hartleb).

Studia nad renesansem, jak mówiliśmy wyżej, posuwały się drogą utorowaną przez Brücknera.

Inna rzecz, iż podjęto pewne nowe próby syntezy renesansu oparte na wzorach obcych, całkowicie podporządkowanych tendencjom imperialistycznym. Pośrednikiem był tu Z. Łempicki. Dokonywano takiej diltheyowskiej syntezy renesansu idąc za wzorem Jakuba Burckhardta. Renesans miał być obiektywizacją ponadindywidualnej struktury duchowej, opartej na zasadzie harmonii. W przeciwieństwie do baroku, który miał się opierać na abstrakcyjnej i formalnej zasadzie sprzeczności i kontrastu. Dominantą struktury obiektywnej w kulturze renesansu miała być postawa estetyczna wobec świata. Cała kultura kształtowana miała być wedle zasad kształtowania dzieła sztuki. A więc i państwo renesansowe miało być dziełem sztuki, miało kształtować się wedle zasad estetycznych. Nie trzeba chyba dowodzić, jak ta koncepcja była sprzeczna z historyczną prawdą walk klasowych epoki odrodzenia, jak bardzo fałszywa.

W zakresie historii literatury polskiej w ogóle i w zakresie syntezy poszczególnych epok stoją zatem przed polonistyką poważne zadania. Dotychczasowy stan osiągnięć z naukowego punktu widzenia jest całkowicie niezadowalający. Zawiodła tu metodologia burżuazyjna. Trzeba na

nowych podstawach marksistowskich stworzyć choćby szkicowe syntezy. Droga bowiem postępowania winna tu być taka: od szkicowych syntez do planu badań szczegółowych, przez realizację tak celowo zaplanowanych przyczynków, przez odkrycie zatem nowych faktów, do pełnej, już poprawnej syntezy.

A przed wyżej scharakteryzowanymi błędami ustrzegą nas wytyczne marksistowskiej metodologii, zasady materializmu historycznego.

Dorobek ostatnich lat

Zarysowujący się przełom marksistowski w polonistyce nie jest już sprawą tylko deklaracji; znajduje swój konkretny wyraz w treści i formach pracy naukowej.

Proces przełamywania burżuazyjnej polonistyki zaczęty był wcześnie. Zdecydowały o tym silne związki historii literatury z żywą współczesną krytyką literacką. Walka o nową literaturę torowała drogę nowej nauce o literaturze. W ogniu dyskusyj o realizmie socjalistycznym kształtowały się nowe pojęcia historii literatury i nowe oceny przeszłości literackiej. Bo też i perspektywa nowatorstwa, związanego z ruchem rewolucyjnym i marksistowską koncepcją rzeczywistości, była właściwą perspektywą poznawczą w stosunku do przeszłości artystycznej. Etapy rozwoju walki o marksistowską polonistykę pokrywają się z zasadniczymi etapami rozwoju ideologicznego w Polsce. Przełomowym momentem był schyłek roku 1948, zjednoczenie ruchu robotniczego, rozgromienie tendencyj prawicowo-nacjonalistycznych. Jasno wówczas wysunięte zostało hasło walki o realizm socjalistyczny, co tym samym oznaczało walkę o estetykę marksistowską, o marksistowską historię literatury.

Z kolei jako punkt węzłowy należy wymienić uchwały VI Plenum, które na czoło wysunęły problem tradycji narodowej, problem wyboru tradycji cennych i koniecznych dla nowej fazy w historii narodu polskiego, dla kształtującego się narodu socjalistycznego.

Jak z tego wynika, prace kongresowe nie zainicjowały rewizji dotychczasowego stanu naszej nauki. Toteż i ja, referując prace naszej podsekcji, omówię je wraz z całością przemian i osiągnięć nowej polonistyki. Marksistowska polonistyka rodziła się z trudem. W pierwszym okresie mieliśmy wyraźną przewagę ilościową publikacyj idealistycznych. Wtedy ukazały się tak typowe — jak się mówiło — dla poprzedniego okresu prace Kleinera o Mickiewiczu i Borowego o poezji XVIII w. Górski publikował kontynuacje swoich badań nad reformacją, Adamczewski wznowił swoją książkę o Żeromskim, jedną ze sztandarowych egzemplifikacyj formalizmu w badaniach literackich.

Badacze dopiero zbliżający się wówczas do marksizmu publikowali książki albo pisane przed wojną, np. praca Wyki o Norwidzie, albo nacechowane jeszcze głębokimi wpływami formalizmu, np. Wyki *Pogranicze powieści*. Mieliśmy prace, które próbowały nowe, klasowe problemy wyjaśniać starą, psychologiczną metodą, np. szkic o Strugu w książce Kubackiego *Krytyk i twórca*. W szkicu tym autor próbuje wyjaśnić fakt, że Strug daje nam ekspresjonistyczny wyraz ideologii reformistycznej zamiast realistycznego obrazu rewolucyjnych dążeń ideowych swego czasu — przewagą zainteresowań psychologicznych nad społecznymi w świadomości artystycznej Struga. Nie trzeba chyba szeroko uzasadniać, że Kubacki w takim określeniu typu świadomości artystycznej Struga znalazł tylko inną nazwę, a nie wytłumaczenie dla nie wyjaśnionego nadal podstawowego faktu literackiego, jak daleko i dlaczego Strug odszedł od realizmu krytycznego, z którego się wywodził, o ile i dlaczego nie zbliżył się do realizmu socjalistycznego, o który walczyła literatura postępowa od Gorkiego począwszy.

Ale i środowisko najbliższe marksistowskim dążeniom ideologicznym ulegało przed rozgromieniem prawicowo-nacjonalistycznego odchylenia wyraźnym wpływom burżuazyjnym w krytyce literackiej. Przejawiło się to w pozostałościach kosmopolitycznych, w zainteresowaniu dla formalnych nowinek i w niedocenianiu socjalistycznego realizmu i wzorów literatury radzieckiej. Przejawiło się to w estetyzmie ocen. Przejawiło się w dopatrywaniu się w schyłkowej sztuce burżuazyjnej osiągnięć historycznych, „doświadczeń warsztatu artystycznego". Przykłady tego mieliśmy w szeregu wystąpień krytycznych K u ź n i c y i O d r o d z e n i a.

Nawet pierwszy etap walki o realizm w sztuce nacechowany był charakterystycznymi błędami. Na nowym etapie szukano tradycji nowej literatury ciągle w zaczarowanym kręgu literatury mieszczańskiej. Cofano się tylko do najbardziej postępowych osiągnięć literackich mieszczaństwa, do realizmu krytycznego. Stąd zainteresowanie dla pozytywizmu polskiego, które dało zresztą pomyślne wyniki poznawcze w sensie historycznoliterackim. Teoretycznie jednak w owym czasie nie było jasnego poglądu na zasadnicze różnice między realizmem krytycznym a realizmem socjalistycznym. Nie wiedziano, że dzieli je jakościowy skok. Owszem, wskazywano realizm burżuazyjny jako trwały wzór, nie widząc jego ograniczeń. Szło to w parze z niezwykle szkodliwym zacieśnianiem horyzontu literackiej tradycji narodowej do realistycznej sztuki burżuazyjnej. Nie doceniano ani staropolskiej, czarnoleskiej tradycji, ani demokratyczno-rewolucyjnej tradycji romantyków, ani mickiewiczowskiego realizmu.

Wskazany wyżej przełom ideologiczny umożliwił także oczyszczenie drogi do marksistowskich badań literackich. Dziś scharakteryzowane błędy można uważać za przezwyciężone.

1. O tempie i charakterze przemian polonistyki zadecydowały zmiany organizacyjne. Już w roku 1948 przystąpiono z inicjatywy Partii i przy całkowitym i pełnym zrozumienia poparciu czynników urzędowych do stworzenia podstaw organizacyjnych umożliwiających planową i kolektywną pracę naukową, umożliwiających zerwanie z anarchią i chałupnictwem w polonistyce. Powołany został w listopadzie 1948 r. do życia Instytut Badań Literackich. Odtąd przemiany polonistyki, proces tworzenia się polonistyki marksistowskiej wiąże się wyraźnie z pracami Instytutu Badań Literackich.

Dziś jego zespół kierowniczy obejmuje pracowników naukowych ze wszystkich polonistycznych ośrodków uniwersyteckich. Ogół współpracowników IBL, etatowych i wykonywających prace zlecone, zajmujących się historią literatury, pograniczem badań językowych i literackich, teorią literatury, dziejami języka artystycznego, bibliografią — wynosi ogółem 250 osób. Można powiedzieć, że prawie wszyscy czynni naukowo poloniści są już dziś, po przeszło dwu latach, powiązani z IBL. Dotyczy to zarówno większości przedstawicieli starej, przechodzącej na pozycje postępowe kadry naukowej, profesorów uniwersytetu i poważnej kadry młodszych polonistów. Prace zaś podejmowane przez IBL mają wyraźną marksistowską tendencję metodologiczną. Realizowana jest ona ciągle jeszcze w różnym stopniu, zależnie od marksistowskiego przygotowania danego pracownika. Ale już rozwój naukowy współpracujących z IBL ma wyraźny kierunek ku marksistowskim pozycjom w nauce. Oczywiście IBL nie jest dziś jedynym ośrodkiem pracy polonistycznej i nigdy nim zapewne nie będzie. Zawsze bowiem będą istniały twórcze naukowo zakłady uniwersyteckie. Dziś mamy obok nich towarzystwa naukowe i Towarzystwo Literackie im. A. Mickiewicza. Formalnie są to ciągle ośrodki działające niezależnie. Stan faktyczny jednak układa się tak, że wszelkie poczynania nowatorskie koordynowane i w dużej mierze planowane są już dziś przez jeden ośrodek centralny. I tylko taki stan rzeczy pozwala na planowanie w skali krajowej, to znaczy planowanie rzeczywiste, społecznie cenne, celowe. Temu stanowi rzeczy zawdzięcza Podsekcja Badań Literackich Kongresu Nauki to, iż jej członkowie znaleźli wspólny język, język walki o odnowę polonistyki, o powiązanie jej z życiem Polski Ludowej, z procesami budowania socjalizmu.

2. W ramach prac podsekcji podjęta została rewizja polskiej historiografii literackiej. Wyrazem jej był zjazd polonistów w maju 1950. Rezultaty tego zjazdu zostały ogłoszone w 320-stronicowej pracy zbiorowej pt. *O sytuacji w historii literatury polskiej* (Warszawa 1951, PIW), obejmującej studia metodologiczne i dotyczące historii literatury polonistycznej, podzielonej według epok historycznoliterackich, których dotyczyła. Książka zawiera w kolejności prace E. Krassowskiej, S. Żółkiewskiego, J. Kotta, J. Krzyżanowskiego, Ł. Kurdybachy, K. Budzyka, J. Dürra-Durskiego, T. Mikulskiego, K. Wyki (dwie), J. Baculewskiego i J. Kulczyckiej-Saloni.

Zjazd podjął krytykę nie tylko prac historycznoliterackich, której wyniki zostały ogłoszone, lecz również i wszystkich innych zakresów nauki o literaturze i dydaktyki nauczania literatury. Referaty te częściowo były lub jeszcze będą publikowane w czasopismach. Niewątpliwie, dyskusja zjazdowa nad metodologią historii literatury była o wiele dojrzalsza niż dyskusja nad problematyką teorii literatury.

Zasadnicza przecież marksistowska krytyka burżuazyjnej historiografii literackiej nie ograniczyła się do referatów, dyskusyj i publikacyj zjazdowych. Przede wszystkim zaczęła się wcześniej. Już w czasopismach literackich (Twórczości, Kuźnicy, Nowej Kulturze) ukazywały się systematycznie studia dotyczące ważniejszych zagadnień polonistycznych, krytyczne omówienia bieżącej produkcji, często całe polemiki (np. na temat książki Borowego *O poezji polskiej w w. XVIII*).

Wreszcie zostało zmienione oblicze ideowe centralnego czasopisma polonistycznego, Pamiętnika Literackiego, organu Towarzystwa Literackiego im. A. Mickiewicza. Od r. 1950 czasopismo to jako kwartalnik wydaje IBL wraz z Towarzystwem. Pismo ukazuje się w objętości 80 arkuszy druku rocznie. Przynosi ono w każdym z dotychczas wydanych numerów obszerny dział recenzyj. Dział ten prowadzi naukoznawczą krytykę bieżących publikacyj polonistycznych z pozycyj marksistowskich. W dziale tym mamy również systematyczne informacje o radzieckiej nauce o literaturze, na które składają się metodologiczne analizy bieżących literaturoznawczych publikacji radzieckich.

Ogólnym zagadnieniom metodologicznym poświęcono w różnych publikacjach sporo uwagi precyzując z jednej strony zasady marksistowskich badań, z drugiej poddając krytycznej analizie teoretyczne podstawy idealistycznej metodologii. Ukazały się na ten temat prace Kierczyńskiej, Kotta, Markiewicza, Wyki i Żółkiewskiego. IBL jako tom I swoich studiów historycznoliterackich wydał 10-arkuszową broszurę S. Żółkiewskiego *Stare i nowe literaturoznawstwo* (Wrocław 1950, Ossoli-

neum), która zawiera studia o metodzie marksistowskiej, krytykę filozoficznych podstaw metodologii burżuazyjnych badań literackich epoki imperializmu w Polsce, informuje o radzieckim literaturoznawstwie, jego metodach i organizacji pracy, oraz przynosi propozycje w zakresie metod i warunków planowania badań polonistycznych.

3. Niezależnie od dość szeroko, jak widać, rozwiniętej krytyki metodologicznej podjęte zostały właściwe prace nad nowym marksistowskim oświetleniem poszczególnych epok i faktów literackich.

a) Na fali prac przedkongresowych podjęto (z inicjatywy IBL) rewizję literatury epoki imperializmu. Skoncentrowano uwagę na centralnej postaci epoki, na Żeromskim. W grudniu 1950 r. odbyła się poświęcona mu dwudniowa sesja naukowa. Wyniki tej sesji ukażą się wkrótce drukiem jako 500-stronicowa książka o charakterze swego rodzaju monografii Żeromskiego, rewidującej zasadnicze problemy ideowe i literackie epoki. Na książkę złożą się studia: J. Z. Jakubowskiego, H. Markiewicza, M. Kierczyńskiej, A. Wasilewskiego, K. Wyki, Z. Stefanowskiej-Treuguttowej i E. Korzeniewskiej. Trudno referować tu dziesiątki artykułów w czasopismach literackich, które zasadniczo, po marksistowsku rewidowały nasze sądy o literaturze epoki imperializmu. Niektóre z nich mają trwałą wartość, np. studia Hoffmana o Brzozowskim, Kierczyńskiej o Dąbrowskiej, Jastruna o Staffie. Rewizja twórczości pisarza winna się zaczynać od naukowego poznania jego tekstów, od edycji krytycznych i wydań rękopisów. IBL zainicjował posunięte już poważnie do dziś prace nad wydaniem rękopisu *Dziennika* Żeromskiego. Opracowuje tę edycję St. Adamczewski.

b) Prace nad epoką pozytywizmu rozpoczęte zostały o wiele dawniej. Rewizję syntezy tego okresu zainicjował jeszcze w r. 1948 Jan Kott swoją pracą o *Lalce*. W rezultacie prac zbiorowych, zainicjowanych przez IBL, ukazały się w r. 1949 dwa tomy skomentowanej antologii tekstów pozytywistycznych (trzeci tom w przygotowaniu), a później, u schyłku r. 1950, ukazała się duża, 540-stronicowa praca zbiorowa jako tom II Studiów Historycznoliterackich IBL pt. *Pozytywizm* cz. I; zawiera ona prace: H. Markiewicza *Realizm krytyczny w twórczości B. Prusa*, M. Janion o Chmielowskim, Kubackiego i Sandlera dwie prace o Świętochowskim, Żmigrodzkiej o Orzeszkowej, Kotta o Urbanowskiej, Zakrzewskiego o poezji pierwszych socjalistów, Jakóbca i Gomo-

lickiego dwie prace o stosunkach literackich polsko-rosyjskich, Dłuskiej o wierszu Konopnickiej i Mayenowej o języku liryki pozytywistycznej. Druga część pracy, równie obszerna, ukaże się w ciągu najbliższych tygodni i będzie zawierała sześć większych prac poświęconych czasopiśmiennictwu i historiografii literackiej epoki. Jednocześnie ukazała się blisko 20-arkuszowa praca K. Wyki o tymże okresie w Galicji pt. *Teka Stańczyka na tle historii Galicji w latach 1849—1869*. W druku jest tom poświęcony naturalizmowi, pióra J. Z. Jakubowskiego. Na ukończeniu są prace Drewnowskiego o Bałuckim i Żmigrodzkiej o Orzeszkowej. Zaawansowana jest praca nad archiwum Orzeszkowej. Niezależnie od inicjatywy IBL podjęli i bardzo zaawansowali Krzyżanowski i Szweykowski — pełne wydania Sienkiewicza, Orzeszkowej i Prusa. Mamy już znaczną część nowego, krytycznego, zbiorowego wydania pism Żeromskiego. Trwają prace przygotowawcze, już w porozumieniu z IBL, nad pierwszą pełną publikacją kronik i listów Prusa.

c) Epoka romantyzmu o wiele mniej została przeorana. Tytuł pioniera marksistowskich prób badawczych należy się przedwcześnie zmarłemu Henrykowi Szyperowi. Nowe studia nad tym okresem zainicjował W. Kubacki, który opublikował tom prac o wczesnych utworach Mickiewicza, oddał do druku trzy dalsze tomy, obejmujące twórczość Mickiewicza do *Dziadów* cz. III włącznie, przygotowuje tom poświęcony okresowi rzymskiemu i *Księgom*. Te studia, sumienne i w wielu wypadkach zasadniczo rewidujące obiegowe legendy, są zbyt szczegółowe, aby mogły dać chociaż orientacyjny zarys nowej koncepcji romantyzmu. Toteż w ramach akcji kształcenia nowych kadr naukowych podjęto próbę zbiorowej pracy młodzieży polonistycznej pod kierunkiem profesorów, zmierzającej do dostatecznie szerokiego przemyślenia na nowo problemów romantyzmu. Wynikiem tego był zjazd we Wrocławiu (marzec 1951), gdzie 34 autorów w 15 referatach i w toku pięciodniowych, pełnych treści dyskusji wytknęło ciekawe kierunki przyszłego planu badań, planu zawierającego zasadniczy pomysł nowej syntezy romantyzmu. Wyniki tego zjazdu, częściowo przynajmniej, są teraz publikowane w czasopismach. Z tym wszystkim, w stosunku do literatury romantycznej jesteśmy u początku drogi nowych badań. Roboczą, wewnętrzną nową syntezę romantyzmu, dyskutowaną na razie w IBL, przygotował na 7 arkuszach K. Wyka (zob. również końcowe przemówienie zjazdowe S. Żółkiew-

skiego, Wieś, 1951, nr 17). Poważnym wkładem już zdobytym są natomiast studia Wyki o Słowackim, publikowane ostatnio. Należy zanotować kilka prac młodszych badaczy o literaturze krajowej, np. Janion o Jeżu i Zachariasiewiczu, Zakrzewskiego o Tygodniku Literackim, Olszanieckiej o Żmichowskiej, Przemskiego o Dembowskim. Szeroko prowadzone są prace edytorskie. Wyszło popularne zbiorowe wydanie Słowackiego pod redakcją Krzyżanowskiego i wychodzi takież wydanie Mickiewicza pod redakcją Płoszewskiego. Edycje te przeważnie opierają się na badaniach tekstów i rękopisów, dokonanych w latach międzywojennych. Należy życzyć sobie, aby te podstawowe dla poznania pisarzy badania były obecnie poddane zasadniczej rewizji. Należy ustalać ostateczne redakcje tekstów klasycznych w warunkach swobodnej pracy, wolnej od nacisku reakcji. Doświadczenie radzieckie mówi, jak wiele można zrobić ukazując pisarza bez osłon reakcyjnej cenzury. Publikowane ostatnio w Pamiętniku Literackim *inedita* z XVIII w. mówią głośno, ile w tym zakresie można i trzeba zrobić w Polsce. Wymienione zaś wyżej wydania zbiorowe nie podejmują rewizji międzywojennych ustaleń tekstów. Dlatego w czytelniku zbiorowego wydania Słowackiego budzą się różne wątpliwości. Np. przyjęcie za ostateczną redakcję *Odpowiedzi na „Psalmy przyszłości"* tekstu na pewno mniej dojrzałego ideologicznie i artystycznie, niż wersja odsunięta do przypisów. Słowacki i Mickiewicz czekają na pierwsze pełne, krytyczne, naukowe wydania. W tym zakresie Kleiner opracowuje swoje wydanie Słowackiego, a pierwsze krytyczne wydanie Mickiewicza inicjuje Towarzystwo Literackie im. A. Mickiewicza. Nadto, przede wszystkim z inicjatywy PIW, przygotowuje się szereg edycji pełnych i popularnych pisarzy romantycznych, takich jak Berwiński, publicyści Gwiazdy, Dembowski, Fredro, w nowym, po raz pierwszy krytycznym opracowaniu Pigonia, Żmichowska (w Książce i Wiedzy) itd. Praca jednak, zarówno nad romantyzmem jak i poprzednio omówionymi epokami, jest zaplanowana, tematy poszczególne są w opracowaniu. Można się realnie spodziewać, że — w ramach prac koordynowanych przez IBL — w ciągu roku otrzymamy po kilka studiów z każdego okresu, które pozwolą nam zarysować dostatecznie zasadnicze szkice nowych syntez tych epok literackich.

d) Pomyślniej rozwijają się badania nad oświeceniem. Podjęte zostały tak pilne prace wydawnicze z inicjatywy różnych instytu-

cyj, dotyczące Krasickiego i Karpińskiego (Mikulski), Trembeckiego (Kott[13]), Jezierskiego (Ziomek i Skwarczyński), Jasińskiego (Libera). W związku z tym szereg zagadnień filologicznych i biograficznych opracował Mikulski. Zasadnicze próby rewizji marksistowskiej wieku XVIII w Polsce zaczęły wychodzić z wrocławskiego seminarium Mikulskiego; taki charakter miała ciekawa praca Ziomka o Krasickim. Ideologów i głównych publicystów pokazali historycy: Bobińska i Leśnodorski. W wyniku współpracy Towarzystwa Historycznego z IBL w toku prac kongresowych została zwołana w marcu 1951 r. sesja naukowa poświęcona problematyce wieku XVIII. Polonistycznym przygotowaniem do niej była sesja wrocławska w styczniu 1951 r., poświęcona próbie nowej syntezy rozwoju literatury polskiej epoki oświecenia, z zasadniczym referatem J. Kotta. Koncepcje tego pisarza, dotyczące polskiego oświecenia, podbudowane zostały jego pracami nad klasową interpretacją właściwej rewolucji literatury tego okresu, nad narodzinami realistycznej powieści mieszczańskiej. Problematykę powieści XVIII w. na szerokim tle porównawczym i na tle klasowej analizy nowatorstwa w teorii sztuki tego okresu pokazał Kott w książce *Szkoła klasyków*. Wyniki prac polonistycznych nad literaturą XVIII w. ukazały się drukiem w postaci 550-stronicowego tomu Pamiętnika Literackiego ze studiami syntetycznymi Kotta i Mikulskiego oraz szczegółowymi Leśnodorskiego, Kurdybachy, Libery, Ziomka, G. Sinki, Kalety, Kotta i innych.

e) W stosunku do literatury staropolskiej mamy przygotowany do druku tom K. Budzyka, rewidujący zasadniczo historię literatury XVII w. Inne prace nad tym okresem wiązały się ściśle z pracami dydaktycznymi IBL nad podręcznikiem szkolnym i z popularyzatorskimi odczytami dla Wszechnicy Radiowej. Ich należyte, naukowe pogłębienie jest sprawą przyszłości. W zakresie badań nad staropolszczyzną ważne są akcje edytorskie. Mamy do zanotowania dalsze cenne tomy literatury mieszczańskiej Badeckiego, które się ukazały po wojnie, odznaczone państwową nagrodą naukową. Nadto publikacje nie znanych często dotąd tekstów ariańskich i poezji XVII w., ogłoszone przez Dürra-Durskiego. Z inicjatywy gdańskiego oddziału Towarzystwa Literackiego im. Mickiewicza, podjętej i zasadniczo poszerzonej przez Rząd, przy-

[13] Wyniki ogólne jego poszukiwań wśród rękopisów Trembeckiego mamy w streszczeniach referatów wygłoszonych na posiedzeniach PAU.

stąpiono do prac nad pierwszą pełną edycją pism Modrzewskiego. Prace te są tak zaawansowane, iż w tym roku należy oczekiwać wydania dzieła *De republica emendanda* w nowym przekładzie E. Jędrkiewicza. W toku tych prac powstanie szereg rozpraw o pisarzu i epoce. Konkretnie przygotowywane są już studia Bodniaka, Kurdybachy, Budzyka, Billiga, Pietrusiewiczowej, Nadolskiego i Gryczowej, których wyników możemy w ciągu roku oczekiwać. W sumie, w ciągu dwu lat IBL przygotował i wydał ponad 450 arkuszy tekstów krytycznoliterackich, zasadniczo zmierzających do marksistowskiej interpretacji różnych zagadnień literackich wszystkich omówionych epok.

4. Zasadniczą sprawą dla dokonywającego się przełomu w polonistyce jest rozwiązanie sprawy młodych kadr naukowych, ich marksistowskiego kształcenia i zatrudnienia przy pracy naukowej. Zadecydowała tu inicjatywa Partii, działalność wychowawcza i organizacyjna ZMP i możliwości, które stworzył IBL. Od r. 1946 systematycznie kształci się nowe kadry. Początkowo miało to charakter półprywatnej inicjatywy redakcji tygodnika literackiego K u ź n i c a. Akcja jednak rozwinęła się dzięki wkładowi pracy organizacji młodzieżowej. W tym roku odbył się piąty z kolei doroczny zjazd młodych polonistów. Prace przygotowawcze takiego każdorocznego zjazdu mobilizują do zespołowej i planowej pracy młodzież i współdziałających z nią postępowych profesorów. Systematycznie współpracuje z tą młodzieżą IBL. W pracowniach IBL szkolą się i pracują twórczo, już włożeni do pracy naukowej. Wyżej cytowane nazwiska w znacznej części były przeglądem tej młodej kadry. Część z niej objęła już funkcje pomocnicze w uniwersytetach, zwłaszcza w Warszawie, Wrocławiu, Krakowie i Łodzi. W wyniku tej pracy już dziś możemy spokojnie patrzeć w przyszłość, pewni, że marksistowskie kadry pracowników naukowych na polonistyce mamy przygotowane. A stały ich przypływ gwarantuje kontynuacja dotychczasowej pracy wychowawczej.

5. Powstanie IBL, ośrodka wyposażonego w odpowiedni budżet i możność podejmowania prac zespołowych, zadecydowało o kontynuacji niezmiernie ważnych prac nad rozbudową warsztatu polonistycznego. W roku bieżącym jeszcze będzie ukończone nowe, poszerzone wydanie *Literatury polskiej* Korbuta, opracowanej przez duży zespół pod kierunkiem: K. Budzyka, T. Mikulskiego, R. Pollaka, Z. Szweykowskiego.

Jednocześnie w planie sześcioletnim przewidziane jest wydanie tegoż dzieła, po raz pierwszy uzupełnionego olbrzymim materiałem bibliogra-

fii czasopism literackich XVIII, XIX, XX w. Prace te, prowadzone przez wieloosobowe zespoły pod kierunkiem A. Bara i Wierczyńskiego, są już poważnie zaawansowane.

Prowadzone są również od dwu lat systematyczne prace nad bieżącą bibliografię literacką, której tom I (1000 stron) jest gotów do druku, i nad bibliografią staropolską. Kontynuowany jest tu i dorobek „szkoły Piekarskiego" w zakresie wiedzy o starej książce. Trzeba tu wymienić wydane i opracowywane publikacje Gryczowej i Budzyka z historii książki i drukarstwa XVI i XVII w.

Również zbierany jest zespołowo materiał do historii polskiego języka literackiego. Prace nad językiem pisarzy XVI w. są już zaawansowane. Z zebranych materiałów można korzystać przy pracach naukowych.

Jednocześnie, w związku z tymi badaniami nad językiem artystycznym, prowadzi się prace z zakresu teorii literatury. Zespołowo opracowywane są materiały do słownika pojęć literackich. Skromnie, jak dotąd, zaplanowane są prace teoretycznoliterackie i estetyczne. Należy mieć nadzieję, że dobrze rozwijająca się aktywność katedry estetyki w Instytucie Kształcenia Kadr Naukowych przy KC PZPR zaktywizuje i tę dziedzinę wiedzy o literaturze i sztuce.

Przerywam ten meldunek z pola walki, jakbym przesłaniał taśmę dalej toczącego się filmu.

Nie rejestruję tu planów i rozpoczętych zaledwie prac. Obraz, który zawiera mój meldunek, z pewnością zmieni się w ciągu pół roku. Przybędą nowe prace i nowi ludzie. To, co zreferowałem, jest dorobkiem zaledwie paru lat. A praca naukowa, jak wiemy, dojrzewa długo. I sądzę, że nie należy mówić tu o skromności wyników, ale raczej dostrzec, przeciwnie, poważny zakres poczynań, którego tak szybki wzrost umożliwia tylko nowa organizacja nauki.

Oczywiście, nie można w tym wszystkim nie widzieć braków i błędów. Trzeba mieć pełną świadomość, iż jeszcze nowa polonistyka nie posługuje się należycie metodą marksistowską, że w tym zakresie musi każdy z nas podjąć poważną i intensywną pracę nad właściwym opanowaniem tego subtelnego narzędzia.

Jak jednak widać z powyższego przeglądu, w polonistyce nie mamy do czynienia tylko z dyskusjami i polemikami krytycznymi, ale już z konkretną pracą badawczą, z wcale poważnym ruchem naukowym, obejmującym duży odsetek starszych badaczy i sporą młodą kadrę, który to ruch rozwija się w duchu dezyderatów i wytycznych ideowych Kongresu Nauki.

Nie znaczy to przecież, iżby na terenie polonistyki było już po zwycięstwie. Przeciwnie, toczy się nadal poważna i ostra walka klasowa. Nie wszyscy przedstawiciele idealizmu złożyli broń. Co więcej, jest do przezwyciężenia nacisk już napisanych idealistycznych książek, ich teorii i sądów. Stoimy u początku drogi i mamy świadomość, iż zwycięstwo nowatorskiej polonistyki zależy od tego, kiedy zostaną napisane marksistowskie prace o kluczowych problemach rozwoju literatury polskiej.

Już dziś jednak poważna część badaczy zajmuje marksistowskie pozycje metodologiczne, już dziś istnieje i działa sprzyjająca badaniom marksistowskim struktura organizacyjna polonistyki. Dlatego już dziś, nie czekając pełnego zwycięstwa w walce metodologicznej, podejmuje polonistyka — jak się powiedziało — prace planowe i kolektywne. Prace te mogą obejmować i obejmują nie tylko badaczy, zajmujących te same, nowatorskie pozycje metodologiczne. Do pracy wciąga się wszystkich pracowników naukowych, którzy nie są ideologami reakcji i wrogami demokracji ludowej, nawet jeśli dalecy są jeszcze od marksistowskich pozycji metodologicznych. Wciągani są do prac zbiorowych tego typu, których poprawność gwarantuje zachowanie prostych, elementarnych rygorów empirycznego postępowania. Dotyczy to zarówno trudnej techniki prac edytorskich, jak wielkich przedsięwzięć bibliograficznych itp.

Rekapitulując, struktura organizacyjna polonistyki jest dobra i właściwie rozbudowana.

a) Istnieje centralny ośrodek planowania, finansowania i koordynacji prac, IBL (działający zresztą na zasadzie faktycznych, oddolnych decyzyj, nie ma bowiem wyraźnych uprawnień ustawowych ośrodka centralnego i nie ma żadnej egzekutywy).

b) Istnieje możność planowania w skali krajowej, a nie tylko w skali ośrodka czy katedry.

c) Istnieje centralne czasopismo naukowoliterackie.

d) Prowadzi się systematyczne kształcenie młodych kadr w duchu marksistowskim.

e) Podjęte są zasadnicze prace bibliograficzne, wymagające sił, nakładów finansowych i organizacji o zasięgu krajowym.

f) Podjęte są nowatorskie wydawnictwa naukowoliterackie.

g) Podjęte są prace przygotowawcze, zbieranie materiałów (np. materiał dotyczący historii języka artystycznego), wymagające poważnych kosztów, kilkudziesięciu osób zatrudnionych i ogólnokrajowego kierownictwa.

HENRYK BARYCZ

ANDRZEJ FRYCZ MODRZEWSKI

W CZTERECHSETLECIE PIERWSZEGO WYDANIA „DE REPUBLICA EMENDANDA"

Czterysta lat temu, w czerwcu 1551 roku, opuścił prasy drukarskie w Krakowie pierwszy rzut dzieła *De republica emendanda* Andrzeja Frycza Modrzewskiego, które wraz z wydaną osiem lat przedtem (1543) książką *De revolutionibus orbium coelestium* Mikołaja Kopernika stanowi szczytowe osiągnięcie polskiej myśli aż po wiek XVIII i zarazem wielki wkład Polski do rozwoju nowożytnej kultury europejskiej. Obydwa dzieła, jakkolwiek tematycznie obejmujące diametralnie odmienne dziedziny, łączy głębszy sens i pewna spójnia wewnętrzna: obydwa swym potężnym ładunkiem myśli rewolucjonizowały i burzyły tradycyjne pojęcia — pierwsze w zakresie budowy wszechświata i ustalenia właściwego stanowiska człowieka w przyrodzie, drugie w dziedzinie nowego ujęcia stosunków życia zbiorowego.

Były i inne pokrewieństwa między obu niezwykłymi twórcami. Obydwaj byli nie tyle literatami czy uczonymi, ile przede wszystkim wyznawcami i apostołami prawdy, do której doszli samodzielnie w trudzie całego życia, długoletnim wysiłkiem myśli i zmagań wewnętrznych. Twórczość ich wyrastała z jednakowego celu etycznego. Głęboka postawa moralna bowiem stanowi nie tylko zasadniczą dominantę dzieła *O naprawie Rzeczypospolitej*, ale również dążenie przewodnie i punkt wyjściowy książki Kopernika. Dalecy od ubiegania się o rozgłos i uznanie, w twórczości swej składali swoje najistotniejsze *credo*. Każdy z nich wypowiedział się właściwie w jednym dziele. Wszystko bowiem, co ogłosili przed czy po ukazaniu się głównego dzieła, stanowiło bądź *prolegomena* do niego, bądź uzupełnienia, bądź wreszcie mało znaczące *marginalia* literackie. I co znamienne dla obu, to to, że wznosili swe konstrukcje myślowe bez głębszych podniet zewnętrznych, bez odpowiedniej atmosfery umysłowej, bez możności szerszej wymiany myśli i kontaktowania się z ludźmi o podobnych zainteresowaniach czy dążeniach. Stojąc ponad i poza obrębem ówczesnych kół intelektualnych działali i two-

rzyli swe konstrukcje samotnie: Kopernik w odległej od większych ośrodków umysłowych Warmii, Modrzewski — poza stosunkowo niedługim pobytem w Krakowie — w małej mieścinie prowincjonalnej, Wolborzu.

Można śmiało powiedzieć, że byli nowatorami na wskroś samodzielnymi i oryginalnymi. Stworzone przez nich dzieła wyrosły bez pośrednich ogniw, nie towarzyszyło im działanie tradycji bliższej czy dalszej, stanowiły zjawiska, które wystrzeliły samorodnie, bez powiązań wyraźnych z poprzednim nurtem myśli poznawczej czy publicystycznej. Kształtowała je tylko ogólna atmosfera kultury odrodzenia, oparta na dorobku starożytności i przeświadczeniu o potędze rozumu i samodzielnej, nieskrępowanej myśli badawczej, pogląd, że „zadaniem myśliciela jest dochodzenie prawdy we wszystkich rzeczach, o ile rozumowi ludzkiemu Bóg na to pozwolił". Ale obydwom myślicielom nie zaciemnił horyzontu ani złudny czar antyku, ani metafizyka religijna. Dla Kopernika niektóre pisma Cycerona czy Plutarcha stanowiły tylko ogólną podnietę w szukaniu drogi wyjścia z ciasnego zaułka sprzeczności, jakie znalazł w panujących dwóch systemach układu świata, tj. w tzw. teorii sfer homocentrycznych i systemu ekscentryczno-epicyklicznego. Również Modrzewskiego nauka o państwie poza ogólnym oddziaływaniem myślicieli starożytnych: Platona, Cycerona, a zwłaszcza Arystotelesa — powstała z samodzielnych rozważań i analizy istniejącej rzeczywistości. Pewne tendencje i pokrewieństwa ideowe, jakie wiążą go z poprzednikami, były wynikiem ogólnego nastawienia czy też wykrystalizowania się pewnych specyficznych właściwości polskiej myśli politycznej, miały charakter przypadkowych zbieżności. Łączyły tedy Frycza z działającym przed półtora wiekiem Pawłem Włodkowicem głęboki rys humanitaryzmu i tolerancji, krytycyzm w stosunku do kurii rzymskiej i dążenie do naprawy istniejącego w Kościele zła, zdemokratyzowania jego podstaw, podobna koncepcja odróżniająca wojnę agresywną, rozbójniczą, i obronną, jedynie godziwą; z Janem Ostrorogiem zaś, sprzed trzech ćwierci wieku — ostrymi konturami zarysowany problem uniezależnienia Polski od papiestwa.

Obydwaj z wytrwałością i podziwu godną konsekwencją doskonalili i rozwijali swe systemy. Kopernik bezlitośnie burzył — wbrew uświęconej powagą wieków, autorytetem największych myślicieli starożytności i rzekomą zgodnością z *Biblią* i nauką Kościoła — starą teorię budowy świata. Modrzewski z równym radykalizmem obnażał egoistyczno-stanowe dążenia szlachty, piętnował krzywdę nieuprzywilejowanych warstw narodu i głosił hasło sprawiedliwości społecznej.

Śmiałość myśli prowadziła obu twórców do zasadniczej kolizji z otoczeniem i z opinią ówczesnych kół oświeconych. Obok nielicznej garstki zwolenników i entuzjastów, mobilizowali przeciw sobie bez porównania większy, zwarty zastęp przeciwników. Kopernika wyśmiewano jeszcze za życia, Modrzewskiego prześladowano; dzieła obydwóch doczekały się potępienia. Skazane na przymusowe zapomnienie, zakwitły nowym życiem dopiero po dziesiątkach lat. Podbiły wówczas serca i umysły głębią rozumu, szlachetnością tonu, dalekosiężnym wzlotem myśli konstruktywnej i reformistycznej.

*

Andrzej Frycz Modrzewski pochodził z rodziny zdeklasowanej społecznie i urastał w ciężkich warunkach życiowych. Przyszedł na świat około r. 1503, w dawnym województwie sieradzkim, a więc w Polsce centralnej, w miasteczku Wolborzu, stanowiącym wówczas własność i rezydencję biskupów kujawskich, w drobnoszlacheckiej rodzinie, wywodzącej swe nazwisko zapewne od gniazda rodowego, Modrzewia; występujący przy nazwisku właściwym przydomek Frycz zdaniem niektórych badaczy oznacza jedną odrośl rodu. Ojciec jego, Jakub, zajmował niewysokie w hierarchii społecznej stanowisko dziedzicznego wójta wolborskiego.

Po odbyciu pierwszych nauk w szkółce parafialnej rodzinnego miasta udał się wcześnie, co najmniej w r. 1514, do Krakowa. Początkowo dopełniał tu wykształcenie elementarne w szkole parafialnej Bożego Ciała na Kazimierzu, z której w r. 1517 przeszedł na wydział filozoficzny Akademii Krakowskiej, uzyskując na nim rychło, bo w r. 1517 pierwszy stopień naukowy: bakalaureat sztuk wyzwolonych. Przed ubogim młodzieńcem stała właściwie jedna tylko droga: poświęcenia się karierze kościelnej. Nic dziwnego, że już w tych latach przyjął niższe święcenia kapłańskie, a z nimi tytuł kleryka archidiecezji gnieźnieńskiej.

Akademii Krakowskiej z panującym w niej kierunkiem antyrealistycznym (skotystyczno-tomistycznym) zawdzięczał Frycz przede wszystkim doskonałe wyszkolenie dialektyczne. Metoda scholastyczna (nie treść) odpowiadała jego racjonalistycznej umysłowości. Uważał ją za „dar Boży", za doskonałe narzędzie w poszukiwaniu i poznaniu prawdy; pracy i mozołu, jakie łożył w jej przyswojenie, nie uważał za stracone ani za bezcelowe (*Sylwy*). Metoda scholastyczna w twórczości i rozwoju myślowym Frycza nie ograniczała się do samej znajomości terminologii, rozróżniania pojęć i sylogistycznej metody rozumowania, ale wyra-

ziła się głębiej w budowie poszczególnych traktatów (trójczłonowość w rozkładzie treści), w konsekwentnej dążności pogłębienia i wyjaśnienia prawdy objawionej drogą rozumową.

Ówczesny rozwój Modrzewskiego szedł jednak nie tyle po linii scholastyki, panującej urzędowo w programie naukowym Akademii Krakowskiej. Na wrażliwą duszę młodzieńca wcześnie zaczęły oddziaływać nowe prądy duchowe, idące z zachodu. Lata jego studiów przypadły na tryumfalny pochód idei odrodzenia w Krakowie, na okres niebywałego entuzjazmu dla księcia humanistów Erazma z Rotterdamu, na działalność wędrownych humanistów zagranicznych (Leonard Coxe, Rudolf Agricola młodszy) i swoich. Ówcześni współkoledzy i rówieśnicy Frycza pozostają pod urokiem nowego prądu (St. Hozjusz, Andrzej Trzecieski starszy, Jan Drohojowski, Paweł Głogowski i in.). W murach Akademii, w której przebywał jeszcze w r. 1522, zetknął się także z pierwszymi odgłosami burzy religijnej, idącej z Witenbergi. Obydwa prądy oddziałały niezwykle zapładniająco na dalszą ewolucję duchową Frycza, wytyczając przyszłe drogi jego działalności pisarskiej i reformatorskiej.

Nie uzyskawszy drugiego stopnia naukowego, mistrzostwa sztuk wyzwolonych, opuścił Kraków, przenosząc się w r. 1523, w poszukiwaniu chleba, na stanowisko pisarza kancelarii prymasa i kanclerza koronnego Jana Łaskiego. Pobyt w otoczeniu znakomitego sternika polityki państwowej Polski, przywódcy stronnictwa narodowego i w ogóle długoletnie związki z tą wybitną i ruchliwą rodziną, stanowiły dla Frycza doskonałą szkołę wychowania polityczno-obywatelskiego.

Po dwóch latach pobytu przy boku Łaskiego przeszedł Modrzewski do służby kancelaryjnej biskupa poznańskiego Jana Latalskiego, gorącego zwolennika polityki prymasa, w której przebył do r. 1529. Praktyka notarialna wyrobiła we Fryczu znajomość prawa kościelnego i świeckiego, zetknęła go z wielu praktycznymi problemami ówczesnego życia polskiego. Z niej to zapewne wyniósł ten bogaty zasób obserwacji, którym zabłyśnie w przyszłości w swym głównym dziele.

Zasadniczy zwrot w dotychczasowej skromnej karierze notarialno-dworskiej Frycza przyniosło dopiero nawiązanie bliższych stosunków z młodym, wielkich talentów umysłowych bratankiem prymasa, Janem Łaskim młodszym, dziekanem gnieźnieńskim i wykwintnym humanistą-erazmiańczykiem, z czasem głośnym reformatorem. Poznanie z Łaskim nastąpiło już w r. 1526; zbliżenie się i wejście w służbę doszło do skutku jednak nie wcześniej niż w r. 1531.

Pobyt u boku Łaskiego nadał dotychczas spokojnemu trybowi życia Modrzewskiego inny bieg, wniósł weń dużą ruchliwość, ożywił w nim

zainteresowania intelektualne oraz zetknął go z zagadnieniami wielkiej polityki europejskiej. Ambicje polityczne rodziny Łaskich nie zadowoliły się bowiem przodowniczą rolą w kraju, ale w związku z kwestią turecką wysunęły się śmiało na arenę międzynarodową. Czynny w niej udział Jana Łaskiego, popierającego politykę węgierską swego brata Jarosława, wymagał wiele pracy, rozjazdów. W trakcie tych prac zbliżał się Frycz coraz więcej do swego patrona. Złączyły go z nim podobne rysy charakteru, objawiające się w wysokim poziomie etycznym, wspólne upodobania humanistyczne, a najwięcej bodaj budzące się w nich zainteresowania dla zagadnień religijnych i utrwalające się przekonanie o konieczności przeprowadzenia reformy w Kościele.

Inicjatywie Łaskiego zawdzięczał też zapewne Modrzewski swój pierwszy wyjazd za granicę w zimie 1531/1532. Podjął go nie tyle dla pogłębienia studiów, ile celem zbierania dla patrona potrzebnych informacji o ważniejszych wydarzeniach politycznych, zorientowania go w ścierających się zagadnieniach teologiczno-religijnych. Rola informatora i agenta Łaskiego, jaką Frycz miał pełnić, była ściśle zakonspirowana. Korespondowano za pomocą szyfru, pod kryptonimami (Frycz podpisywał się imieniem Petrus), listy, datowane z fikcyjnego miejsca pobytu, przesyłano za pośrednictwem zaufanych osób (głównie księgarzy) lub osobnych wysłańców.

Pierwsze swe kroki za granicą skierował świadomie do głównego ośrodka ruchu reformacyjnego, Witenbergi, miejsca działalności Lutra, gdzie w półroczu zimowym 1531/1532 wpisał się w album tamtejszego uniwersytetu. Jako mężczyzna już dojrzały, prawie trzydziestoletni, zabrał się do pogłębienia studiów, zwłaszcza źródłowego zapoznania się z interesującymi go żywo problemami kontrowersji religijnych. Ostrożny i chłodny jego umysł, cechujące go zawsze bezstronność i dążność do samodzielnego zgłębienia każdego zagadnienia sprawiły, że chciał sobie wyrobić samodzielny sąd o istocie sporu religijnego, bez przechylenia się od razu na jedną lub drugą stronę.

Długoletni, bez mała dziesięć lat trwający pobyt w Niemczech spędził nie w jednym miejscu. Nie znamy bliżej jego *itinerarium;* pewne poszlaki wskazują, że przerywał je od czasu do czasu wyjazdami do ojczyzny. Doniosłe zwłaszcza znaczenie miało wejście Modrzewskiego (od wiosny r. 1534) w najbliższe otoczenie drugiego obok Lutra przywódcy ruchu reformacyjnego, Filipa Melanchtona, słynnego „preceptora Niemiec". Obydwaj mężowie przypadli sobie do serca: Frycz podbił Melanchtona rozwagą i doświadczeniem życiowym, Polakowi odpowiadało kompromisowe stanowisko reformatora niemieckiego w kwestiach

dogmatycznych. Istnieją poszlaki wskazujące, że w tym czasie Modrzewski służył może Melanchtonowi radą przy opracowywaniu jego najbardziej pojednawczych projektów reorganizacji Kościoła, które miały rzucić pomost między ruchem protestanckim, a katolicyzmem. Może też wpłynął na przyjęcie przez Melanchtona na konferencji w Kassel formuły kompromisowej między zwinglianizmem a ortodoksyjnym kierunkiem luterańskim w kwestii symbolicznej obecności ciała Chrystusowego w Sakramencie Ołtarza.

W latach 1535—1537 Frycz często wyjeżdża do Polski dla widzenia się z patronem; w r. 1536 osiadł na dłuższy czas w Norymberdze, ważnym ówczesnym ośrodku handlowym i politycznym, skąd korespondował z Melanchtonem, który informował go o ważniejszych wydarzeniach. W listopadzie tego roku udał się z polecenia patrona do Bazylei, aby odebrać i przesłać do ojczyzny bibliotekę Erazma z Rotterdamu, zakupioną przez Łaskiego jeszcze za życia wielkiego humanisty. Przy sposobności nawiązał Modrzewski stosunki z gronem tamtejszych wybitnych pisarzy i księgarzy-wydawców: Bonifacym Amerbachem, Janem Frobenem, Janem Oporynem. Znajomość z tym ostatnim odegra w przyszłości dużą rolę. W oficynie drukarskiej Oporyna będą się drukować w latach 1554—1565 (gdy przed pismami Frycza zamkną się podwoje drukarń krajowych) wszystkie jego ważniejsze publikacje.

Z Bazylei zrobił sześciotygodniową wycieczkę do Paryża (grudzień 1536 i początek stycznia 1537). Niedługo potem (z początkiem lutego) wybrał się z Norymbergi na zjazd książąt protestanckich do Schmalkaldu. Zjazd zakończył się klęską pacyfistycznego programu Melanchtona i zadecydował ostatecznie o zerwaniu ruchu różnowierczego z Rzymem. Niedługo po konferencji szmalkaldzkiej (z początkiem maja) spotkał się Frycz z J. Łaskim oraz z F. Melanchtonem w Lipsku, po czym wrócił do Norymbergi, która z uwagi na swe centralne położenie i wybitnie handlowy charakter nadawała się do zbierania informacji dla Łaskiego i załatwiania jego interesów politycznych. Stąd też pewnie odbywał w sprawach swego patrona bliższe i dalsze wędrówki: do Wiednia, Frankfurtu nad Odrą. W r. 1541 zajął się może przeniesieniem do Fryzji wschodniej biblioteki Łaskiego, która towarzysząc swemu właścicielowi w wędrówkach, uległa niestety zatracie.

Najdalej w lecie 1541 r. wrócił Modrzewski na stałe do ojczyzny. Stosunki z rodziną Łaskich zaprowadziły go teraz w otoczenie wojewody Jarosława Łaskiego, z którym już dawniej (w latach 1537—1540) pozostawał w bliższym kontakcie. Przy łożu śmiertelnie chorego polityka spędził w Krakowie długie godziny na żywych dysputach o idealnym ustro-

ju Rzeczypospolitej i o prawach, którymi powinna się rządzić. Stały się one dla Frycza bodźcem do podjęcia niedługo potem walki o naprawę niesprawiedliwych praw i nadużyć ustrojowych.

Drugim impulsem było nawiązanie przez Frycza po osiedleniu się, w r. 1542—1543, w Krakowie bliższych stosunków z kołem młodych intelektualistów, skupionych głównie w kancelarii królewskiej, którzy rozwijali program naprawy wewnętrznych stosunków państwa. Za szczególnie żywotną uchodziła sprawa naprawy niesprawiedliwej, ujętej w duchu egoizmu stanowego szlachty, ustawy o mężobójstwie z r. 1496, która mężobójcę plebejusza karała śmiercią, szlachcica zaś za to samo przewinienie tylko grzywną i więzieniem.

Sprawa ta, która od r. 1538 zajmowała żywo opinię kraju i była przedmiotem obrad sejmowych (1538, 1539, 1540, 1542) oraz kilkakrotnych i pełnych troski instrukcji królewskich na sejmiki, stanowiła dla Frycza bodziec do skreślenia pierwszej pracy publicystycznej, ogłoszonej jeszcze w ciągu obrad sejmowych, z początkiem lutego 1543 (*Lascius sive de poena homicidii*). Wydana w porozumieniu z kancelarią królewską i niejako pod patronatem Zygmunta Augusta, któremu została przypisana, posiada w piśmiennictwie naszym wyjątkowe znaczenie. Po raz pierwszy nieznany pisarz odważył się śmiało, nie anonimowo, na zabranie głosu w drażliwej sprawie, z wyraźnym zamiarem wpłynięcia na zmianę niesłusznego prawa. Wydanie tej broszury to narodziny publicystyki polskiej we właściwym tego słowa znaczeniu.

Mimo niepowodzenia swej pierwszej mowy, Frycz z właściwym sobie uporem nie zaprzestał podjętej akcji publicystycznej. Jeszcze w ciągu obrad sejmu 1543 napisał drugą mowę „Prawdomówcy Perypatetyka", ogłoszoną drukiem w latach 1544, 1545, w której poddał rozbiorowi krzywdzące plebejuszów prawo: uderzył w wydany w r. 1538 zakaz posiadania przez mieszczan dóbr ziemskich. Wkrótce następują po sobie dwie dalsze mowy o karze za mężobójstwo. Nie wniosły one, co prawda, nowych myśli do omawianego zagadnienia, wyróżniają się za to — zwłaszcza czwarta, przeciw głowszczyźnie, wydana pod znamiennym tytułem jako *Skarga na podeptanie prawa Bożego* — bezpośredniością i szlachetnością tonu, duchem prawdziwej etyki chrześcijańskiej, szczerą tendencją demokratyczną oraz głębokim poczuciem praworządności i zrozumieniem potrzeby usunięcia istniejących krzywd społecznych w ustawodawstwie.

Reformistyczne dążności Frycza nie ograniczyły się atoli do wołania o naprawę niesprawiedliwego prawa o mężobójstwie i w ogóle do przeprowadzenia reform wewnętrzno-politycznych w Polsce, jakkolwiek

sprawa ta pozostanie dlań nadal niepokojąca i będzie powracać przez całą jego działalność publicystyczną, aż po ostatni utwór (*Sylwy*). Na razie czujność pisarza obudziła, pod wpływem rosnącego fermentu religijnego i silnie wzbierającej burzy reformacyjnej nad Polską, doniosła sprawa obesłania soboru dla naprawy stosunków kościelnych.

Bodźcem, który popchnął go do chwycenia za pióro, było otwarcie w grudniu 1545 r. nowej sesji soboru w Trydencie.

Mowa o wysłaniu posłów na sobór chrześcijański, skierowana pod adresem „wszystkich stanów całej Sarmacji", była równocześnie odzwierciedleniem poglądów grona bliskich Fryczowi osób, zwłaszcza kilku wybitnych dostojników kościelnych podzielających pogląd o potrzebie przeprowadzenia reformy, a nawet skłaniających się do protestantyzmu: Jakuba Uchańskiego, Leonarda Słończewskiego, Jana Drohojowskiego, Jana Drzewieckiego i in. Traktat odznacza się szerokością horyzontów, głębokością i niezależnością myśli, spostrzegawczością i giętkością w formowaniu poglądów i idei, swobodą w ujmowaniu zagadnień. Najbardziej uderzającą cechą traktatu było połączenie krytycyzmu wobec organizacji i nauki Kościoła z pragnieniem znalezienia wyjścia wśród pogłębiającego się rozdwojenia. Oryginalną zdobycz traktatu Frycza stanowiły zwłaszcza dwa postulaty: 1. żądanie dopuszczenia świeckich przedstawicieli wybranych przez ogół społeczności chrześcijańskiej do obrad soborowych, 2. otwarcia swobodnej dyskusji nad zasadniczymi urządzeniami Kościoła, jako skutecznej rękojmi naprawy zła. Formułując ostatni postulat przyjmował autor możliwość popełniania błędów przez Kościół, a raczej przez ludzi nim rządzących.

Śmiały traktat Frycza znalazł żywy oddźwięk w opinii publicznej. Zelektryzował on nie tylko światlejszą część wyższego duchowieństwa, ale nakłonił senat do wybrania wiosną 1547 r. dwóch oficjalnych przedstawicieli Polski do Trydentu. Oczywiście wszystko to podniosło wielce pozycję i znaczenie autora w społeczeństwie, przede wszystkim u dworu, czego wyrazem było powołanie go, zapewne jeszcze w tymże r. 1547, w poczet — co prawda jeszcze niestałych — sekretarzy królewskich i chwilowe wyzyskanie jego uzdolnień w służbie publicznej.

Pierwszą oficjalną pracą Frycza w służbie państwowej było przydzielenie go we wrześniu 1547 r. do orszaku wojewody sieradzkiego, Stanisława Łaskiego, udającego się w poselstwie do cesarza Karola V dla podjęcia rokowań w sprawie pruskiej, w szczególności dla zapobieżenia projektowanej przeciw pozostającemu pod opieką polską sekularyzowanemu księciu pruskiemu, Albrechtowi, wyprawy wojennej i uchylenia ciążącej na nim banicji z racji jego przejścia na luteranizm. W układach,

prowadzonych przez poselstwo polskie w Augsburgu, Modrzewski odgrywał czynną rolę uczestnicząc przy boku Łaskiego w naradach z zaufanym doradcą cesarskim Granwellą. Spod pióra Frycza wyszedł prawdopodobnie wówczas zasadniczy wywód historyczny o prawach Polski do Prus, przedstawiony cesarzowi i stanom Rzeszy na publicznym posiedzeniu w Augsburgu. Sprawie pruskiej poświęci później autor rozdział drugi księgi o wojnie, w którym rozprawi się z pseudohistorycznymi roszczeniami terytorialnymi, opartymi na przedawnionych „wspominaniach abo osiadłości, których żadnego znaku ni masz, jeno na kartach zbotwiałych, abo krzywd uczynionych tak dawno, że już i z pamięci ludziom wyszły". Na sejmie augsburskim był też Frycz świadkiem dojścia do skutku głośnego rozejmu religijnego (tzw. *interim* augsburskiego), który jako próba kompromisowego rozwiązania kwestii religijnej musiał obudzić jego żywe zainteresowanie.

Darzony zaufaniem i łaską młodego króla Zygmunta Augusta, udał się Modrzewski niedługo po powrocie z Augsburga w samodzielnej misji do ks. Albrechta dla poinformowania go o przebiegu rokowań z cesarzem. Pobyt w Królewcu, w czerwcu 1548, dał mu sposobność do nawiązania bliższych stosunków z protektorem ruchu różnowierczego, ks. Albrechtem, oraz do zapoznania się z tym ważnym ośrodkiem religijnej propagandy na Polskę.

Na rok 1549 i 1550 przypadl drugi wyjazd Frycza do Niemiec, tym razem w charakterze sekretarza biskupa St. Hozjusza, udającego się dla podjęcia rokowań o przymierze z Habsburgami oraz rozwiązania nie załatwionej sprawy pruskiej. Podróż ta, której poszczególnymi etapami były: Praga, Ratysbona, Dylinga, Norymberga, Lowanium, Antwerpia i Wiedeń — wpłynęła niewątpliwie na dalsze krystalizowanie się stanowiska religijnego Modrzewskiego. Ważnym etapem w tym kierunku było już poznanie za pobytu w Czechach nauki i organizacji kościelnej Jednoty Braterskiej. Natchnęło ono zapewne Frycza do rozważań nad wprowadzeniem języka narodowego do liturgii kościelnej oraz nad kwestią udzielania świeckim Sakramentu Ołtarza pod dwoma postaciami.

Pobyt u boku swego kolegi uniwersyteckiego, a obecnie wybitnego przedstawiciela myśli ortodoksyjno-katolickiej St. Hozjusza, częste z nim dyskusje na aktualne tematy religijne, zetknięcie się z wybitnymi pisarzami katolickimi (Piotrem Kanizjuszem, Fryderykiem Staphylusem i in.), wpłynęły na ożywienie skłonności Frycza do rozważań religijnych. Owocem toczonych wówczas z Hozjuszem i jego przyjaciółmi dyskusji było powstanie dwóch utworów, omawiających podstawowe zagadnienia reformacyjne: kwestię zniesienia celibatu księży i sprawę udzielenia kielicha

dla świeckich. Zwłaszcza utwór ostatni — drukiem ogłoszony dopiero w r. 1554 — odegra doniosłą rolę w początkach rozwoju ruchu różnowierczego w Polsce, autora zaś osobiście narazi na wiele przykrości, zmuszając go wobec ataków Hozjusza, znającego rozprawę w rękopisie, do skrzyżowania z nim szpady polemicznej. W ten sposób już w tych latach, 1549 i 1550, — wśród ścierających się poglądów między tymi dwoma wybitnymi indywidualnościami, urastającymi na przedstawicieli dwóch kierunków myśli religijnej w Polsce: ortodoksyjnej, opartej na tradycji Kościoła i bezwzględnym autorytecie papieża, i reformistycznej, uznającej jako jedyny autorytet rozum i *Pismo św.* i wyrażającej dążenia narodowe w zakresie języka i organizacji w Kościele — zadzierżgnął się podstawowy konflikt i sformowały się zasadnicze przeciwieństwa. Na razie jednak między nimi nie doszło do rozłamu; co więcej Hozjusz przez ofiarowywanie Modrzewskiemu pism Ojców Kościoła sam podsycał zainteresowania religijne swego przyjaciela.

Wróciwszy w marcu r. 1550 z poselstwa, rzucił się Frycz gorączkowo do pracy pisarskiej, do wykończenia powziętego już dawniej około r. 1546 i częściowo w ciągu lat następnych, realizowanego zwolna planu wielkiego dzieła, które miało objąć całokształt naprawy głównych dziedzin życia publicznego. Według pierwotnego pomysłu, miało ono składać się tylko z trzech ksiąg: o obyczajach, prawach i wojnie. Zupełnie oddzielnie, nieco później, powstała koncepcja drugiego dzieła, które miało być samodzielnym sformułowaniem polskich dążeń w zakresie reformy kościelnej. Ponowne zwołanie soboru trydenckiego na dzień 1 maja 1551 r. przyśpieszyło redakcję i oddanie do druku tej księgi *O Kościele*. Ale interwencja nie znanych z nazwiska „prałatów i pewnych teologów krakowskich" — wśród nich, być może, również Hozjusza — przyniosła niespodziewanie wstrzymanie druku i konfiskatę książki, która do dziś ocalała w jednym tylko egzemplarzu. Niepowodzenie to nie zniechęciło bynajmniej Frycza ani nie złamało jego energii twórczej, przeciwnie, dodało mu bodźca do podjęcia walki o publikację. Przebiegu jej dokładnie nie znamy; niewątpliwie musiała ona być interesująca, skoro autor opisał jej dzieje w rękopiśmiennej *Apologii*, którą następnie rozsyłał wybitniejszym osobistościom. Chcąc doprowadzić druk swej księgi, mimo wszelkich przeszkód, do końca, postanowił włączyć ją (wraz z planowaną piątą księgą o szkole) do części politycznej swego dzieła *O naprawie Rzeczypospolitej*. Odrębność księgi *O Kościele* była w gruncie rzeczy pozorna: nie poruszała ona zagadnień ściśle dogmatycznych ani nie wysuwała nowych projektów w zakresie organizacji kościelnej. Miała cele czysto praktyczno-polityczne, uwydat-

nienie nadużyć i błędów w Kościele, podanie środków ich naprawy. Do połączenia w jednym dziele obydwóch zagadnień upoważniała zresztą autora tradycja piśmiennictwa starożytnego.

W przekonaniu o słuszności sprawy podjął Frycz równocześnie u miarodajnych czynników kościelnych obronę zakwestionowanej księgi *O Kościele.* Korzystając z zebrania się właśnie z początkiem czerwca 1551 synodu prowincjonalnego w Piotrkowie, zwrócił się doń z żądaniem zbadania prawowierności dzieła i uchylenia zakazu druku. Czekało go wszakże rozczarowanie. Synod nie tylko nie zmienił decyzji w tym względzie, ale nie dopuścił nawet do publicznej obrony księgi przez autora. Stało się to niewątpliwie pod wpływem Hozjusza, który urastając na głównego przeciwnika Modrzewskiego, potępił ostro jego samodzielne, odbiegające od tradycji kościelnej stanowisko. W ostatniej chwili musiał tedy Frycz — zgodnie z decyzją synodu — wycofać księgę *O Kościele* z całości dzieła, które pod zbiorowym tytułem *O naprawie Rzeczypospolitej ksiąg V (De republica emendanda libri V* — w rzeczywistości objęło tylko trzy księgi) opuściło z końcem czerwca 1551 r. krakowskie prasy drukarskie.

Ogłaszając dzieło z czysto praktycznym celem, z zamiarem oddziałania przezeń na czynniki wpływowe w Rzeczypospolitej, zajął się autor zaraz jego rozpowszechnieniem. W tym celu 31 lipca ofiarował jeden egzemplarz książki królowi Zygmuntowi Augustowi, drugi w kilka dni później (3 sierpnia) ks. Albrechtowi Pruskiemu, dodając osobne, w tonie pełnym godności zredagowane listy. W liście do ks. Albrechta apelował o położenie kresu gorszącym sporom teologicznym, wywołanym w Królewcu przez kłótliwego teologa luterskiego A. Ossiandra. Obydwa listy wskazują na wzrost znaczenia pisarskiego Frycza. Potwierdził je w zupełności przebieg obrad sejmu w r. 1552, który wybierając oficjalne poselstwo na sobór trydencki w osobach biskupów Jana Drohojowskiego i Jakuba Uchańskiego oraz wojewody krakowskiego Stanisława Tęczyńskiego, przydzielił doń w charakterze sekretarza, jako najbardziej powołanego, właśnie naszego pisarza.

Wobec odroczenia sesji soborowej Frycz pozostał w kraju poświęcając resztę roku 1552 i rok 1553 na pogłębienie zagadnień dotyczących poprawy stosunków kościelnych i rozszerzenie dotychczasowej księgi *O Kościele.* Zmuszała go do tego akcja nieubłaganego przeciwnika, St. Hozjusza, który podjąwszy z polecenia wspomnianego synodu piotrkowskiego, 1553, opracowanie *Wyznania wiary katolickiej* (drukiem ukazało się z początkiem r. 1553), obszerne partie dzieła poświęcił polemice ze znaną sobie z rękopisu księgą Frycza *O Kościele.*

Rosnącej sławie pisarskiej i uznaniu nie odpowiadała skromna pozycja społeczna Modrzewskiego. Postępując z godnością i bez czołobitności wobec możnych tego świata, broniąc śmiało i niezależnie swych przekonań, pozostał, jak dawniej, ubogi, a jego kariera życiowa, mimo przekroczenia pięćdziesiątki, nie była ustalona. W roku 1549 Zygmunt August nosił się co prawda z zamiarem nadania mu bogatej kanonii sandomierskiej, czemu jednak przeszkodził biskup Samuel Maciejowski. Ofiarowując w r. 1551 uroczyście egzemplarz swego dzieła monarsze zwrócił się doń Frycz wprost o zapewnienie niezależnej, wolnej od trosk pracy pisarskiej przez nadanie stałej pensji ze skarbu królewskiego lub jakiego beneficjum kościelnego, nie połączonego z duszpasterstwem. (Posiadane probostwo w Brzezinach narażało go tylko na kłopoty i spory z kolatorem Lasockim). Przyznanie przez króla w dniu 30 kwietnia 1552 stałej pensji w wysokości 100 złp przyszło jednak za późno i nie zdołało zapewnić spokojnej egzystencji. Zrażony obojętnością oficjalnych czynników, przeniósł się Modrzewski z końcem r. 1553 na swoje dziedziczne wójtostwo w Wolborzu.

Porzucenie Krakowa i zagrzebanie się w pracy rolnej na pięciu łanach ziemi, należących do wójtostwa, i w sądzeniu sporów między mieszczanami, brak atmosfery intelektualnej, której mimo wszystko nie mógł zastąpić dwór biskupów kujawskich: J. Drohojowskiego a potem Uchańskiego, oddanych zwolenników i protektorów pisarza — musiały z konieczności odbić się niekorzystnie na dalszym rozwoju jego twórczości. Co prawda, tkwiące głęboko w Modrzewskim zamiłowania intelektualne zapobiegły całkowitemu zgaszeniu jego działalności pisarskiej, przymusowe jednak odosobnienie się w Wolborzu, przerywane rzadko krótkimi wyjazdami do Krakowa, odciągnęło go, z niepowetowaną szkodą dla sprawy publicznej, od dotychczasowych zainteresowań polityczno-ustrojowych, zacieśniając pracę niemal wyłącznie do przetrawiania zagadnień dogmatyczno-kościelnych.

Przed opuszczeniem Krakowa przygotował jeszcze drugie pełne wydanie dzieła *O naprawie Rzeczypospolitej* (z księgą o Kościele i szkole), które poprzedzone osobno wydanym w Krakowie *Przydatkiem*, ukazało się jesienią r. 1554 w słynnej drukarni J. Oporyna w Bazylei. Wydanie dzieła postawiło Frycza od razu u szczytu sławy pisarskiej. Szybko rozpowszechnione na rynkach księgarskich Europy w ciągu 1554 i z początkiem 1555 r., stało się wydarzeniem dnia. Koła humanistów, wolnomyślicieli oraz zwolenników reformacji przyjęły je z entuzjazmem. Stawiano je na równi z podstawowymi dziełami politycznymi Platona, Arystotelesa, Cycerona. Miarą znaczenia dzieła Fryczowego były rychło doko-

nane jego przekłady, częściowe lub całkowite, na języki: hiszpański i włoski (Jan Giustiniano), niemiecki (Wolfgang Weissenburg 1557), francuski do dziś nie dochowany itd.

Dzieło znalazło również w ojczyźnie autora żywy odgłos, a król, któremu Modrzewski je przypisał, „w uwzględnieniu wiernych jego zasług i wyjątkowej nauki", podniósł w lipcu 1555 dotychczasowe jego pobory do wysokości 200 złp rocznie. Nie to jednak stanowiło nagrodę za trudy pisarskie. Mając ambicję wpłynięcia przez swoje dzieło na bieg spraw ogólnych narodu, z radością widział częściowe urzeczywistnienie swych postulatów w sformułowanym przez izbę poselską na sejmie r. 1555 minimalnym programie reformacyjnym skrystalizowanym w żądaniu nabożeństwa w języku ojczystym, przyznania kielicha, tj. komunii pod obiema postaciami dla świeckich, zniesienia celibatu księży i zwołania soboru narodowego dla uregulowania reszty spraw kościelnych i uniezależnienia się od Rzymu.

Z zacisza wolborskiego wyrwał na krótko Frycza z początkiem r. 1556 rozkaz królewski, przydzielający go do poselstwa, które pod przewodnictwem biskupa J. Drohojowskiego odprowadzało siostrę królewską Zofię Jagiellonkę, świeżo poślubioną ks. Henrykowi brunszwickiemu, do stolicy księstwa w Wolfenbüttel. Była to już ostatnia posługa publiczna Modrzewskiego, ostatni jego wyjazd za granicę. Pozwolił mu on nawiązać nowe znajomości w kołach uczonych i literatów niemieckich, m. in. zetknął go ze słynnym historiografem luterskim, Maciejem Flacichem w Magdeburgu.

W okresie rozgłosu autorskiego, niepostrzeżenie zaczęły się zbierać nad głową Frycza ciężkie chmury. Na groźną jakoby dla Kościoła treść dzieła *O naprawie Rzeczypospolitej* zwrócił pierwszy uwagę zainteresowanym kołom duchowieństwa polskiego już w jesieni r. 1554 słynny pisarz-apologeta katolicki, jezuita Piotr Kanizjusz z Wiednia. Akcję na terenie kraju ujął rychło w swe ręce Hozjusz, zadraśnięty do głębi w swych ambicjach literackich oraz wzburzony śmiałą krytyką instytucji papiestwa w dziele. Tym razem jednak sprawa nie zakończyła się na polemice. Na skutek oskarżeń w Rzymie papież Paweł IV polecił w listopadzie r. 1555 usunąć Modrzewskiego jako apostatę z Wolborza, a równocześnie bawiącemu w Polsce nuncjuszowi Alojzemu Lipomanowi nakazał przeprowadzenie śledztwa kanonicznego przeciw biskupowi J. Drohojowskiemu jako opiekunowi heretyckiego pisarza, co wywołało nawet chwilowe, względami taktycznymi dyktowane odsunięcie się biskupa od Frycza.

Oddany twórczości pisarskiej, nie przeczuwał Modrzewski burzy, ja-

ka zawisła nad jego głową. Przestrzeżony dopiero przez przyjaciół o grożącym mu niebezpieczeństwie utraty życia czy też wolności osobistej, postanowił w sierpniu r. 1556 ratować się z Wolborza ucieczką. W drodze do Małopolski na dwór możnego protektora hetmana Jana Tarnowskiego zredagował w dniu 25 sierpnia we wsi Cieśle w tonie pełnym godności pismo obrończe do papieża Pawła V. W utworze tym, słusznie nazwanym „arcydziełem stylu, argumentacji i zwięzłości", a będącym także miarą poziomu etycznego autora, naszkicował genezę swych zainteresowań religijnych w związku ze swym uczestnictwem w soborze, podkreślił dyskusyjny charakter księgi *O Kościele*, podniósł chęć poddania własnych rozważań pod rozstrzygnięcie soboru, wreszcie uwydatnił swe kompromisowe stanowisko w istniejącym rozłamie religijnym i główny cel pisma: szukanie przez analizę rzeczywistości i przez wykrywanie nadużyć drogi do upragnionej jedności Kościoła. Do pisma dołączył jeszcze traktat o stanach w Kościele, w którym rozwinął swe poglądy na konieczność wprowadzenia do organizacji kościelnej ustroju republikańskiego przez ograniczenie arbitralnej władzy papieskiej.

Nie zrażony tułactwem ani prześladowaniem, pracował dalej wytrwale nad rozwiązaniem spornych problemów religijnych. Na dworze Jana Tarnowskiego w Wiewiórce i w Osieku w ciągu jesieni r. 1556 zredagował drugą księgę *O Kościele*, którą opatrzył pięknym listem dedykacyjnym do hetmana. Złożył się na nią szereg traktatów, powstałych w ciągu r. 1555 i 1556. Formalnie stał w niej na stanowisku katolickim, jednak w ujęciu pewnych zagadnień (np. nauki o przeistoczeniu) znać już wyraźnie wpływy nauki Kalwina.

Kres tułaczce Frycza położył dopiero wydany przez króla na sejmie warszawskim r. 1556, „za pokornymi prośbami pana Fryczowymi, a za przyczynami też ich mości panów", list żelazny i wyjęcie naszego pisarza w ogólności spod sądownictwa duchownego.

Pobyt na sejmie ożywił na krótko zainteresowanie Frycza dla zagadnień politycznych. Wyrazem tego było skreślenie na Nowy Rok 1557 obszernego wezwania do szlachty polskiej i „reszty Sarmacji".

Nawiązując do nie zapomnianej sprawy główszczyzny apelował do zgromadzonej na sejmie szlachty o pozbycie się egoizmu stanowego, o niezasłanianie swej prywaty rzekomym względem na dobro Rzeczypospolitej, wzywał do uszlachetnienia etyki osobistej i przejęcia się zasadami prawdziwej miłości bliźniego. Tymi samymi myślami o konieczności pogłębienia moralności przepoił uzupełnienia o charakterze przeważnie praktycznym do pierwszych trzech ksiąg *O naprawie Rzeczypospolitej*, jakie poczynił w ciągu roku 1557.

Rok 1558 przyniósł w twórczości Modrzewskiego nowy zwrot zagadnień teologicznych. Stało się to pod wpływem nowej akcji polemicznej, niewybrednej w formie, płytkiej i nie wchodzącej w istotę rzeczy, jaką rozwinął nieubłagany jego przeciwnik, St. Hozjusz. Polemika Hozjusza nawiązywała do dawnych poglądów Frycza z r. 1549, na temat bezżenności księży oraz udzielania kielicha dla świeckich. Zabolały zwłaszcza Modrzewskiego złośliwe przycinki Hozjusza, jego lekceważący, szydliwy ton. Jeszcze więcej dotknęły go ustępy skierowane przeciwko bronionej przez niego koncepcji dopuszczenia świeckich do obrad soborowych, zawarte w nowym wydaniu *Wyznania wiary* (1557), w którym Frycz oskarżony został o wywrotowe tendencje społeczne.

Ciosy te, do których w r. 1558 doszło odebranie mu przez prymasa probostwa w Brzezinach a równocześnie umieszczenie jego ukochanego dzieła *O naprawie Rzeczypospolitej* na indeksie rzymskim książek zakazanych, nie złamały jednak energii pisarza. Na wywody Hozjusza odpowiedział godnie dwoma *Obronami* (*Obrona przyjmowania przez lud wieczerzy Pańskiej bez ograniczeń* i *Obrona tego, co dawniej napisał o soborze powszechnym*), w których przedstawił swe stanowisko religijne i wykazał odrębność swej doktryny niezależnej zarówno od Kościoła rzymskiego, jak też od obozu różnowierczego.

Celnym strzałem w stronę centralistycznej władzy papieża i podporządkowania episkopatu woli Rzymu była rzecz *O prymacie papieskim*, powstała w związku z zatargiem o zatwierdzenie przyjaciela Frycza, Jakuba Uchańskiego, na biskupstwie kujawskim. Całość dorobku pisarskiego z tych lat (z wyjątkiem ostatniego dziełka) wcielił Modrzewski do przygotowywanego zbiorowego wydania swych dzieł. Ukazało się ono w r. 1559 u Oporyna w Bazylei pod wspólnym tytułem *O poprawie Rzeczypospolitej ksiąg pięcioro*, w trzech tomach: tom I przyniósł cztery księgi *O naprawie Rzeczypospolitej*, tom II dwie księgi *O Kościele*, tom III resztę pism publicystycznych.

Znaczenie Frycza w piśmiennictwie związane jest nierozdzielnie z tym głównym jego dziełem. Wysunęło go ono od razu na czoło największych teoretyków myśli politycznej, nie tylko w literaturze polskiej, ale i w europejskiej XVI wieku i postawiło w rzędzie takich mistrzów nauki o państwie tego czasu, jak Machiavelli, Morus, Bodin. W rozwoju teorii politycznej Modrzewski zajmuje pozycję całkiem odrębną, niezależną od współczesnych mu teoretyków nauki o państwie. W przeciwieństwie do Machiavella czy Morusa, nie zamierzał kreślić jakiegoś abstrakcyjnego, idealnego obrazu nowego państwa. Wychodził ściśle z rzeczywistości polskiej, z konkretnych stosunków społeczno-politycznych, dążył przez

swe dzieło do naprawy zła nurtującego ustrój i życie zbiorowe swej ojczyzny. Jednakże wykształcenie filozoficzne i wrodzony racjonalizm sprawiły, że swe praktyczne wskazówki i pomysły publicystyczne przyoblekł w szatę teoretyczną, dawał im podbudowę ogólną. Jak sam wskazał w liście do króla Zygmunta Augusta z r. 1551, źródłem i natchnieniem były dlań: 1. lektura autorów starożytnych i współczesnych (z tych ostatnich głównie myśliciela hiszpańskiego L. Vivesa, którego pomysły szeroko uwzględnił zwłaszcza w księdze *O obyczajach*, także Erazma z Rotterdamu i Filipa Melanchtona); 2. przede wszystkim doświadczenie własne, zaczerpnięte z obserwacji bieżącego życia i wypadków.

Ideologia polityczna Modrzewskiego uwarunkowana była w dużej mierze typem umysłowości samego autora, jego intelektualizmem, racjonalizmem i dążnością do kompromisowego załatwiania spornych zagadnień.

W poglądach na istotę i zadanie państwa łączył poglądy starożytnych myślicieli (Arystotelesa, Cycerona) z etyką chrześcijańską. Z uczucia i serca był chrześcijaninem, stojącym ponad kościołami i wyznaniami, z typu myślenia racjonalistą. Zgodnie ze swym racjonalistycznym umysłem wyprowadzał genezę państwa z prawa natury. Zdaniem jego, ludzie przychodzą na świat z wrodzonym instynktem społecznym. Powstanie państwa jest zatem wewnętrzną koniecznością rodu ludzkiego.

Państwo w oczach Modrzewskiego stanowi organizację teleologiczną. Zadaniem jego jest zaspokojenie naturalnych potrzeb swych członków, zapewnienie im warunków naturalnego rozwoju, szczęścia doczesnego. „Rzeczpospolita nie jest niczym innym, jak wspólnym wszystkich pożytkiem i uczciwością".

Los i powodzenie państwa zależy od dwóch czynników: 1. od mądrego, sprawiedliwego i dbałego o dobro ogółu rządu, 2. od oświecenia, karności i moralności wszystkich jego obywateli. Zgodnie z czołowymi pisarzami epoki (np. Melanchtonem) Frycz wyznawał złudne przekonanie, że tylko to państwo jest dobrze rządzone i ma widoki rozwoju, które składa się z jednostek o wysokim poziomie etycznym. Zwłaszcza sfery rządzące, a więc król, senat, posłowie — winni odznaczać się moralnością. W tym ujęciu wszystkie właściwie zagadnienia ustrojowe czy zewnętrzno-polityczne ustępują naczelnemu problemowi, jakim jest wszczepianie moralności i wychowanie obywateli, uszlachetnianie ich życia. Suma dobra, jakie wnosi jednostka, stanowi o wartości państwa i tym samym decyduje o jego przyszłości. Im umoralnienie i uobyczajnienie społeczeństwa wyższe, tym mniejsza zachodzi potrzeba stanowienia praw. Nadawanie praw jest bowiem następstwem moralnej niedo-

skonałości społeczeństwa, szerzenia się zła i niesprawiedliwości społecznej.

Ten wysoki ideał moralny uzyskać można częściowo przez szkołę i wychowanie. Poglądy Modrzewskiego na sprawy wychowania cechuje nowoczesność i głębokość ujęcia. Toteż w pełni należy przyznać słuszność zdaniu jednego z najwybitniejszych znawców dziejów wychowania: „...jeżelibyśmy szukali, w czym Polska przyczyniła się do posunięcia sprawy wychowania wśród społeczeństw europejskich, to przed epoką Komisji Edukacyjnej jednym tylko Fryczem i dziełem jego możemy się pochlubić".

Z pomysłów edukacyjnych pisarza najważniejsze było związanie sprawy wychowania z państwem, w którego ręce składa obowiązek opieki nad szkołami. Wychowanie publiczne i piecza nad nim należy do najbardziej istotnych funkcji państwa, na równi z wymiarem sprawiedliwości i obroną granic. Drugą doniosłą ideą była obrona poniżonego i lekceważonego stanu nauczycielskiego, dążenie do przełamania zakorzenionych stanowych poglądów w tej sprawie, podniesienie godności nauczycielstwa w opinii społeczeństwa i wyznaczenie mu należnego miejsca w układzie społecznym.

> A nie tylkoć ci ludzie uczeni pożyteczni są Rzeczypospolitej, którzy się u dworu abo sprawami Rzeczypospolitej bawią, ale też i ci, co w szkołach abo kolegiach mieszkając, nauki wyzwolone rozmnażają, bo wiele ludzi uczą i do wszelkich spraw barzo pożytecznymi naukami zaprawują.

Trzecią myślą przewodnią wywodu Frycza był projekt stworzenia funduszu szkolnego opartego o wyzyskanie fundacji kościelnych. Wszystkie te podstawowe zasady urzeczywistniać się zaczną dopiero od końca w. XVIII, u nas w działalności Komisji Edukacyjnej.

Jak bardzo wybiegająca naprzód i samodzielna była myśl pedagogiczna Modrzewskiego, dowodzi jego pogląd na znaczenie pracy ręcznej w wychowaniu, przeciwstawiający się największym autorytetom starożytności (Arystotelesowi) i współczesnym pisarzom oraz powszechnie panującej opinii, gardzącej pracą fizyczną jako czymś niegodnym dobrze urodzonego i wykształconego człowieka. Dla zbicia tego szkodliwego przesądu sięgnie pisarz — rzecz znamienna — do ówczesnych stosunków tureckich.

> Powiedają, że się w Turcech tak zachowuje, iż wszytcy ludzie, chociaż też i bogaci, i zacnych domów, w dziecinnych leciech bywają wyuczeni rzemiosła jakiego ręcznego, którym by i ciało swe w pracy trzymali, i jeśliby na nie ubóstwo przyszło, żywność sobie gotowali. [Ale] naszym dwo-

rzanom nie tylko ręczne rzemiosła, ale i wolne nauki umieć zda się być rzecz barzo chłopska. A stądże też żywą w lenistwie i w niczemności, za którą idą szachy, kostki, truneczne biesiady, gamracyje i inne dworne zarazy.

Dalszym podstawowym zagadnieniem jest sprawa struktury społeczeństwa. Według Frycza, w dobrze zorganizowanym państwie, które ma zapewnić byt i rozwój na równi wszystkim swym członkom, winna istnieć równowaga i wzajemna harmonia stanów, dochodząca z czasem do ich równouprawnienia. Problem nierówności interesował Modrzewskiego od dawna, toteż stanowi on rdzeń jego wywodów. Licząc się z konkretną rzeczywistością nie występuje on z radykalnymi wnioskami zniesienia nierówności politycznej czy ekonomicznej, rad by tylko zapobiec, w myśl prawa natury i wymagań rozumu, najbardziej rażącym krzywdom społecznym. Głównym więc postulatem Frycza było uprawnienie wszystkich stanów w zakresie ustawodawstwa cywilnego i karnego, zapewnienie chłopom nienaruszalności posiadania ziemi, prawa swobodnego przesiedlania się, możność powoływania swych panów do sądu. Pragnąłby również zmniejszyć ucisk ekonomiczny chłopa przez przesunięcie ciężarów podatkowych na szlachtę, duchowieństwo, patrycjat miejski.

W kwestii ustroju państwa jest Modrzewski zdecydowanym monarchistą. Król winien być wyposażony w silną władzę; nie wolno mu jednak być tyranem ani władcą absolutnym: istota jego władzy polega na wypełnianiu istniejących praw i liczeniu się z interesami ogółu. Społeczeństwo oddaje królowi władzę nad sobą, toteż w razie dążności absolutystycznych może niegodnemu monarsze wypowiedzieć posłuszeństwo; czynne prawo oporu oddaje jednak nie ogółowi, lecz przedstawicielstwu narodowemu, osobnym stróżom praw. Rozważania na temat wojny przypominają w dużej mierze podobne sprzed półtora wieku wywody Pawła Włodkowica. Modrzewski odróżnia wojnę napastniczo-rozbójniczą, agresywną i obronną — jedynie sprawiedliwą i dopuszczalną. Podjąć ją można dopiero po wyczerpaniu wszystkich dostępnych środków pokojowego załatwienia konfliktu w obronie zagrożonej ojczyzny, dla pomszczenia krzywd i ucisku, odebrania nieprawnie zabranych ziem.

Charakterystyczną cechą teorii politycznej Frycza jest ścisłe zespolenie problemów religijnych z politycznymi i społecznymi. Ideałem religijnym pisarza były: zasada miłości Boga i miłości bliźniego oraz pogłębianie etyki osobistej. Obce mu były natomiast kwestie dogmatyczne; ponad ich subtelność przekładał walkę o naprawę życia. Podobnie jak w życiu indywidualnym tak i zbiorowym propagował zasadę miłości

bliźniego, ideę tolerancji religijnej. Postępowaniem każdego człowieka winna powodować zasada: nie czyń tego, czego byś nie chciał sam doznać — teza, którą przed półtora wiekiem w tych samych niemal słowach sformułował Paweł Włodkowic. Stąd ostra krytyka, jaką kierował pod adresem szlacheckich przywódców reformacji polskiej za ich ciasne, egoistyczne, stanowe przemilczanie krzywdy społecznej warstw „niższych".

Projekty reformy kościelnej w ujęciu Modrzewskiego cechowało umiarkowanie i kompromisowość pod względem dogmatycznym i liturgicznym, radykalizm pod względem organizacyjnym, dążność do całkowitego uniezależnienia się od Rzymu. Gorący propagator i wyznawca ideału powszechnej jedności Kościoła, pragnął przez wzajemne ustępstwa dogmatyczne doprowadzić do zgody między wyznaniami, zaciekle się zwalczającymi. Tę jedność upragnioną pragnął osiągnąć nie drogą przymusu, za pomocą ostrych kar na heretyków, ale za pomocą łagodnego sposobu działania, przez stworzenie kościoła narodowego i przyprowadzenie do niego wszystkich obywateli. Dążył nie tylko do pogodzenia ewangelików z katolicyzmem. Myśl jego wybiegała dalej; chciał pomieścić w łonie Kościoła dawno odpadłe patriarchaty: konstantynopolitański, antiocheński i aleksandryjski. Stąd w pierwotnym swym programie naprawy Kościoła zakreślał niewielkie zmiany w samej nauce i obrzędach. Bez porównania dalej szedł w dziedzinie organizacji, ograniczenia władzy absolutnej papieża i wprowadzenia ustroju republikańskiego, zapewnienia poszczególnym narodom autonomii kościelnej pod zwierzchnictwem ich władz państwowych. Naczelnymi władzami tych kościołów narodowych byłyby synody krajowe złożone z przedstawicieli duchowieństwa i stanów świeckich. Jako nadrzędną władzę w Kościele uznawał, wzorem koncyliarystów z XV w., sobór powszechny, z którym przez długie lata wiązał nadzieje na naprawę Kościoła.

Zbiorowe wydanie dzieł stanowi cezurę w twórczości Frycza; jest zamknięciem jego działalności publicystycznej a zarazem zakończeniem jego wysiłków reformatorsko-kościelnych. Straciwszy około r. 1560 nadzieję na pomyślne załatwienie naprawy Kościoła przez sobór, pogrąża się coraz więcej w dociekaniach dogmatycznych, które przepaja ideologią kalwińską. Na ten zwrot w kierunku zagadnień religijnych wpłynęła — obok pobytu na wsi i oddalenia od ośrodków kulturalnych — także chęć rzucenia na szalę swego autorytetu w rozwijających się coraz silniej walkach dogmatycznych, wreszcie namowy i zachęty przyjaciół, pragnących zasięgnąć rady bezstronnego, stojącego nad zwalczającymi się obozami pisarza. Najpierw z zachęty Hieronima Ossolińskiego, wy-

bitnego przywódcy kalwinów małopolskich, zajął się Modrzewski kwestią pośrednictwa Chrystusa między Bogiem Ojcem a ludźmi, którą w łonie Kościoła małopolskiego wzniecił kłótliwy emigrant włoski Franciszek Stankar. Owocem rozważań było powstanie trzech ksiąg *O pośredniku*, w których Frycz zajął stanowisko zbliżone do Stankara.

Obok problemu chrystologicznego zajęły pisarza pewne zagadnienia dogmatyczne, które w ujęciu otrzymały charakter praktyczny, mianowicie problem grzeszności natury ludzkiej, wartości dobrych uczynków dla zbawienia i zadośćuczynienia za grzechy, sprawa grzechu pierworodnego i wolności woli ludzkiej. Traktaty te wraz z trzema księgami *O pośredniku* złożyły się na tom, wydany w r. 1562 prawdopodobnie w Bazylei. Książka stanowiła dalsze praktyczne oddalenie się Frycza w dziedzinie dogmatycznej od nauki Kościoła, przesunięcie się na stanowisko doktryny kalwińskiej (w zagadnieniu o grzechu pierworodnym i wolnej woli).

Postępujący od r. 1562 rozłam w obozie różnowierczym w Polsce na tle nauki o Trójcy Św., podział na ortodoksyjnych kalwinistów i przeciwników Św. Trójcy, czyli tzw. antytrynitarzy z jednej strony, z drugiej nowe projekty zwołania synodu narodowego — ożywiły słabnącą energię pisarską Modrzewskiego i skierowały ją na nowe tory. Zwłaszcza idea zebrania się soboru narodowego otwarła przed pisarzem widoki na wcielenie jego pomysłów. Pod znakiem jej stanęła większość izby poselskiej na sejmie piotrkowskim w r. 1565, nieobcy jej był również protektor Modrzewskiego, Jakub Uchański, prymas kościoła polskiego. Pierwszym krokiem do tego synodu miała być, według planu reformistów, zgoda wewnątrz walczących obozów różnowierczych. W tej akcji pojednawczej odegrał Modrzewski dużą, choć zakulisową rolę, stanowiąc łącznik między prymasem a izbą poselską. Gdy jednak okazało się, że spór o dogmat Trójcy Św. wykopał nieprzebytą przepaść w łonie reformacji polskiej, Frycz na osobnym posłuchaniu u króla pod koniec sejmu otrzymał oficjalną misję obmyślenia dzieła pacyfikacji religijnej i przygotowania rozmowy religijnej między katolikami a różnowiercami. W tym celu tegoż jeszcze roku zajął się rozświetleniem spornego problemu istoty Trójcy Św. Podjęte studia w oparciu tylko o *Pismo św.* i przesłanki czysto rozumowe zawiodły go na radykalne stanowisko antytrynitarskie: uznania samoistności i oddzielności trzech osób boskich (w traktacie *O trzech osobach i jednej istocie bożej*, 1565). Przeciwwagę tego utworu, poruszającego najbardziej subtelne kwestie dogmatyczne, stanowił równocześnie (w grudniu tego roku) powstały traktat *O konieczności odbycia zjazdu dla uśmierzenia sporów religijnych*. Uzasad-

niając konieczność przeprowadzenia rozmowy religijnej pod przewodnictwem króla rozwijał równocześnie Frycz stary swój program przywrócenia jedności religijnej (przez naprawę karności kościelnej, zniesienie celibatu, wprowadzenie komunii pod obiema postaciami dla świeckich i języka narodowego w liturgii, wybór duchownych przez gminy świeckie). Obydwa traktaty wraz z trzecim *O chrzcie niemowląt*, skierowanym przeciw objawiającym się skrajnym tendencjom nowochrzczeńskim z r. 1566, oraz nowym pismem chrystologicznym (*O Jezusie Chrystusie, Synu Boga i człowieka, a zarazem Bogu i Panu Naszym* z r. 1568) złożyły się na ostatnie dzieło Frycza, które od różnorodnej swej treści otrzymało tytuł: *Silvae*. Ukazaniu się książki przesłanej do druku do Szwajcarii przeszkodziły nieprzewidziane wypadki, mianowicie wykradzenie rękopisu z drukarni przez rodaka Krzysztofa Trecego, zaciętego kalwinistę. Tekst *Sylw*, zrekonstruowany przez autora w r. 1569 (w układzie nieco zmienionym), ukazał się (już po zgonie Modrzewskiego) w Rakowie, w r. 1590.

Ruchliwość Frycza w dziedzinie kościelnej w ostatnim dziesięcioleciu jego życia sprowadziła nań nowe prześladowania. Najpierw w r. 1561 podjął z nim walkę na pióra, dla przypodobania się hierarchii kościelnej, jego dawny przyjaciel, Stanislaw Orzechowski, na którą odpowiedział Modrzewski godną, spokojną, rzeczową obroną. Próbowano wywrzeć nacisk na prymasa Uchańskiego, aby odsunął Modrzewskiego od siebie i nie udzielał mu pomocy. Główny cios miał spaść na pisarza dopiero w r. 1567. Było nim żądanie papieża Piusa V, skierowane do nowomianowanego biskupa kujawskiego Stanisława Karnkowskiego, aby rychło usunął Frycza z wójtostwa jako znanego pisarza antyrzymskiego. Sprawa ostatecznie została załatwiona polubownie wiosną 1568. Frycz za odszkodowaniem pieniężnym dobrowolnie ustąpił z wójtostwa i z żoną i maleńkimi dziećmi rozpoczął tułaczkę. Jak w r. 1556, tak teraz wystosował list do papieża, przedstawiając niezasłużoną krzywdę, jaka go spotkała za czujność i dążenia do zjednoczenia całego Kościoła. Pięknym wywodem o tolerancji religijnej i wzajemnym miłowaniu się ponad dzielące różnice dogmatyczne zakończył Frycz swą skargę, będącą zarazem zakończeniem jego szlachetnej działalności pisarskiej.

W tułaczce swej nie chciał korzystać z pomocy dostojnych swych protektorów: króla Zygmunta Augusta i prymasa Uchańskiego, którzy cenili jego wiedzę i szlachetny, niezłomny charakter, z którymi nie tak dawno jeszcze rozwijał plany pacyfikacji religijnej. Nie mając stałego dachu nad głową pozbył się nawet swej biblioteki, sprzedając ją Karnkowskiemu. Dzięki dużej zapobiegliwości i energii, jakby w przeczuciu

bliskiej śmierci, zdołał na wiosnę r. 1572 zakupić w stronach rodzinnych dwie wsi: Skrzynki i Małecz (w powiecie brzezińskim), ugruntowując w ten sposób byt dla swej rodziny. W kilka miesięcy później, w jesieni tego roku, padł w Wolborzu ofiarą szalejącej zarazy. Mimo daleko odbiegających od urzędowej nauki Kościoła przekonań, mimo rozwijanych poglądów antytrynitarskich na dogmat Trójcy Św., umierał w wewnętrznym przekonaniu jako katolik i w ostatniej godzinie życia zażądał katolickiego kapłana dla odbycia spowiedzi. Zwłoki znakomitego pisarza i niezłomnego szermierza nowych idei religijnych i politycznych znalazły doczesny spoczynek w nowonabytym Małczu.

Myśli i poglądy reformistyczne Modrzewskiego przechodziły zmienne koleje. Z bogactwa jego idei najwięcej zajęcia budził i najaktualniejszy okazał się w kraju i za granicą postulat wprowadzenia jednolitego prawa dla wszystkich obywateli, zniesienia upośledzenia warstw niższych wobec prawa i sądu, połączony z odważnym i bezkompromisowym uderzeniem na uprzywilejowanie szlachty. Jak daleko szedł pisarz w tym kierunku, dowodzi jego żądanie wprowadzenia — w wypadku utrzymania nierówności praw — podwyższonych kar za przestępstwa popełnione przez osoby z klas uprzywilejowanych. Doszły go jeszcze żądania wysunięte na sejmie lubelskim r. 1569, „aby *poena* (kara) o mężobójstwie była redukowana do prawa bożego, głowa za głowę". Z satysfakcją wewnętrzną czytał może głosy, jakie pojawiły się w r. 1572 — roku jego śmierci — spod pióra dwóch światłych publicystów na temat kary za mężobójstwo, mianowicie Andrzeja Ciesielskiego — z wyraźnym powołaniem się na Frycza — „ut voluntaria homicidia poena capitis puniantur" (aby dobrowolne zabójstwa były karane na gardle) i Andrzeja Wolana, który niebawem (w r. 1599) poświęci tej palącej sprawie osobny traktat (został — rzecz znamienna — w rękopisie pt. *De lege Polonorum homicidio non capitali impia oratio*). Radykalizm myśli Frycza, jego prawie rewolucyjne żądania sprawiedliwości społecznej, wyrwania warstw niższych z upośledzenia, ulżenia doli chłopów, nie mogły budzić sympatii wśród utrwalających swą wyłączność stanową mas szlacheckich. W epoce pierwszego i drugiego bezkrólewia (1572—1576), skierowanej ku budowie ustroju w duchu złotej wolności i wszechwładzy demokracji szlacheckiej, minął całkowicie bez echa nasiąkły bólem głos Frycza. Jego program wzmocnienia władzy monarszej i zapewnienia stanom niższym równouprawnienia nie mieścił się w ramach Rzeczypospolitej szlacheckiej z jej zwichniętą równowagą stanów i nierównością oraz krzywdą społeczną. Ruch reformistyczny, zarówno polityczny jak religijny, który pobudzał Modrzewskiego do pisania, wygasał, a różno-

wierstwo po wywalczeniu równouprawnienia wyznaniowego w konfederacji warszawskiej (1573) cofnęło się wyłącznie na pozycje obronne. Jedyna próba przypomnienia społeczeństwu wielkiego programu reformy państwa, nakreślonego przez Frycza, jaka wychodzi z łona różnowierstwa polskiego, podjęta przez Cypriana Bazylika i Andrzeja Wolana, obu — rzecz znamienna — przedstawicieli warstwy plebejskiej, nie odnosi większego skutku. Ogłoszony przez Bazylika przekład czterech ksiąg *O naprawie Rzeczypospolitej* (z wyłączeniem księgi *O Kościele*), poprzedzony piękną i obszerną charakterystyką autora, pióra Wolana z r. 1577, pogrążyła rychło fala zapomnienia.

Tylko nieliczni pisarze o większej kulturze literackiej nawiążą z końcem w. XVI do pomysłów Frycza, z reguły nie wymieniając jego nazwiska, czy to gdy będą się przeciwstawiać prawu o główszczyźnie (Krzysztof Warszewicki, A. Wolan), czy przedstawiać sposoby naprawy sejmowania (K. Warszewicki, *De optimo statu libertatis*, 1598), reformy skarbu i stworzenia tzw. banku pobożnego (*Votum szlachcica polskiego*, 1596). Ale i te nawiązania niebawem zanikają, a pisarze polityczni, nawet najwybitniejsi w XVII wieku, jak Sz. Starowolski czy Ł. Opaliński, ze względów oportunistycznych w swych rozważaniach nad zagadnieniem kary za mężobójstwo nie wzniosą się na wyżyny swego poprzednika z XVI wieku. Dopiero po dwóch wiekach milczenia epoka stanisławowska przyniesie odkrycie i poznanie myśli wielkiego pisarza.

Inaczej kształtowało się oddziaływanie pism Modrzewskiego na zagranicę. Teoretycy absolutyzmu, jak np. Bodin, zwalczali go i poddawali krytyce za jego śmiałe dążenia do naprawienia krzywdy społecznej i ujmowanie się za warstwami niższymi. Bodin wręcz określi jako rzecz absurdalną, jeśli „kto jak on pragnie ukształtować prawa i obyczaje swej rzeczypospolitej". Natomiast z bogatej skarbnicy myśli Fryczowej korzystali i z uwielbieniem odnosili się do osoby pisarza polskiego przedstawiciele kierunku przeciwnego. Zwłaszcza — po chwilowej przerwie na przełomie wieku XVI i XVII — w drugiej ćwierci w. XVII. Szalejąca wojna trzydziestoletnia, z jej doprowadzonymi do ostateczności przeciwieństwami i nienawiścią wyznaniową, zaktualizowała na nowo myśl pojednawczą polskiego myśliciela, dostarczając argumentów dla pisarzy kierunku irenistycznego. Na autorytet jego powoływał się słynny Hugo Grotius. Wysoko cenił Modrzewskiego dla zasług położonych około uśmierzenia rozdwojenia w Kościele liberalny hugonota francuski Jan Hotman de Villiers, dyplomata i konsyliarz królewski. Irenistyczne koło myślicieli w Strasburgu, zgrupowane wokół profesora tamtejszego Uniwersytetu, Macieja Bernaggera, powzięło nawet pod wpły-

wem Hotmana myśl przedruku księgi *O Kościele* (we Frankfurcie nad Menem). Ortodoksyjne koła kalwińskie żywiły natomiast w dalszym ciągu nieufność do Frycza i próbowały (jak profesor i poeta altdorfski, Michał Virdung, lub teolog lejdejski, Francuz Andrzej Rivet) osłabić jego wpływ i oddziaływanie. Po roku 1640 myśli Frycza giną w fali zapomnienia. Interesują się nimi, ze względów erudycyjnych, co najwyżej drugorzędni pisarze encyklopedyści i erudyci.

STANISŁAW PIGOŃ

„Z PODRÓŻY PO BURZY"

W swej książce pokazał nam T. Mikulski i to także „spotkanie wrocławskie": W. Pola w lecie 1847 r. oglądającego dniem i nocą miasto, szukającego tu znajomości z uczonymi i z młodzieżą, a nade wszystko nasłuchującego po ulicach wrocławskich nierzadkich jeszcze pogłosów polskości, ech dawnej piastowskiej tradycji[1]. Z dłuższego przebiegu owoczesnej podróży Pola wybrał autor, wskrzesił piórem i rumieńcem życia ozdobił jeden odcinek: kilka dni spędzonych przez poetę we Wrocławiu. Ten jeden był mu z założenia badawczego potrzebny i wyszedł w pełnym bogactwie kształtu i barwy.

Wyrazista ta ewokacja nęci, żeby ją trochę „rozdłużyć i rozdalić", żeby opowiedzieć podróży owej *anteriora* a zwłaszcza *posteriora*. Epizod wrocławski bowiem był w życiu Pola ogniwem w łańcuchu wydarzeń dłuższych, a łańcuch miał dlań w rezultacie podźwięk dość nieprzyjemny. Z podźwięku tego uda się tu coś niecoś pochwycić. W ten sposób wyjdą wyraziściej pewne okoliczności życia i charakteru poety, a także ciężar atmosfery, w której mu to życie pędzić wypadło.

Pobyt Pola we Wrocławiu w sierpniu 1847 był, jak się rzekło, parodniowym postojem w ciągu dłuższej podróży. Wyjechawszy ze Lwowa, przez Kraków, Wrocław, Poznań dotarł on do Berlina, stamtąd na Rugię; po drodze odwiedzał bodajże jakieś dwory ziemiańskie w Wielkopolsce, a wracając zahaczył o Lipsk i Drezno. Zwiedził w ten sposób szmat świata. Bywał „w tej i tamtej stronie", zatrzymywał się „tu i tam". Czego szukał po tym świecie?

We Wrocławiu znajomości z uczonymi słowianoznawcami, w Cieplicach zdrowia, w Karkonoszach wrażeń wysokogórskich, u Schlettera, Korna i Bocka nawiązania stosunków księgarskich z Zakładem Narodowym im. Ossolińskich, który z tego właśnie powodu ową wycieczkę fi-

---

[1] T. Mikulski, *Spotkania Wrocławskie*, Wrocław—Warszawa 1950, s. 161 i n., rozdział: *W przelocie taboru.*

nansował[2]; na Rugii wreszcie śladów prasłowiańszczyzny. Ale w Poznaniu, ale we dworach wielkopolskich, a choćby i w Dreźnie? Czy tylko przypomnienia dawnych znajomości? Czy nie chodziło o nic więcej, jak o wrażenia turysty i o interesy kupieckie, zwłaszcza w takim czasie, tuż po roku 1846? Dla domysłów pole otwarte.

Zrozumiemy je zwłaszcza, gdy pamiętamy, że Pol się do poezji wyłącznie czy choćby do geografii nie ograniczał. Oprócz tamtych odzywała się w nim od czasu do czasu także pasja działacza politycznego, spiskowca. Uległ jej w r. 1833, gdy z ramienia tajnego związku Dwudziestu Jeden jeździł podobnoś na Podole, by w porozumieniu z Goszczyńskim przeciwdziałać nieodpowiedzialnym przygotowaniom do wyprawy Zaliwskiego[3]. Czy więc owa dwumiesięczna wyprawa jego r. 1847 na Śląsk, do Wielkopolski i dalej, prócz jawnych celów nie miała jeszcze i takich, o których się nie mówi, które turysta tail w swych relacjach publicznych a nawet prywatnych, zarówno więc w drukowanej rozprawie *Z wycieczki* jak i w listach?

Cele mogły być polityczne. Poszlakę pewną stanowi fakt, że kiedy Pol bawił w Poznańskiem, dyrektor policji ze Lwowa, osławiony Sacher, w gazetach pruskich oczerniał go i przestrzegał rząd przed jego osobą. Tak przynajmniej podawał sam Pol[4]. A jeśli mogły być polityczne, to jakie? W jakim duchu i z czyjego ramienia? Frapowało to niejednego.

Mówi przysłowie: „Nie ma dymu bez ognia". W naszym wypadku nie wiemy jeszcze akuratnie, jaki był ogień, ani nawet, czy był rzeczywiście. W każdym razie dymu było sporo, a gryzł ostro w oczy samego poetę. Rozciągnął się zaś niebawem ten dym koło niego szczególnie gęsto, kiedy znowu przejściowo wmieszał się był w życie publiczne, w lwowskie wypadki 1848 r., a tym samym siadł na cenzurowanym. Wiemy, że zaczął on tam odgrywać rolę dość znaczną. Razem z Fredrą, Bielowskim i Szajnochą chodził w deputacji do gubernatora Stadiona w sprawie zniesienia cenzury i uzyskania koncesji na nowe pismo, w duchu liberalno-narodowym. Był czynny w organizowaniu Gwardii Narodowej[5], pracował w kancelarii jej sztabu, a Ujejski[6] podaje, że był tam nawet podszefem sztabu.

---

[2] Tytułem zwrotu kosztów podróży otrzymał Pol z Zakładu Narodowego im. Ossolińskich kwotę 300 złr. Zob. M. Mann, *Wincenty Pol*, Kraków 1906, II 58.

[3] S. Goszczyński, *Podróż mojego życia*, Wilno 1924, s. 74.

[4] W Dzienniku Narodowym, 1848, nr 50 — oraz w Tygodniku Polskim, 1848, nr 21, z dn. 20 maja; zob. Mann, *o. c.*, s. 71.

[5] Zob. Mann, o. c., s. 69 i n.

[6] K. Ujejski, *Listy spod Lwowa*, Lipsk 1861, s. 112, w pamflecie pt. *O Januszu i p. Wincentym Polu.*

Otóż właśnie jako działacz ściągnął on na siebie baczniejszą uwagę publiczną. Różne gadki, jakie dotąd chodziły o nim szeptem, teraz ozwały się półgłosem, a nie obyło się bez tego, żeby ten czy ów nie wykrzykiwał ich całą gębą. Otoczyła poetę „dusząca mgła nieporozumień" i nieufności. Nie wszystko bowiem w dotychczasowym postępowaniu Pola wydało się jasne podnieconej opinii publicznej.

> Odżyły dawne niechęci — powiada jego biograf — powstały nowe zawiści, niegodziwe plotki obiegały miasto, przez jednych przyjmowane z wiarą, przez drugich z oburzeniem, przez innych — obojętnie: zdania były podzielone [7].

„Odżyły" — powiedziano. A więc żyły już dawniej, a więc już dawniej szarpano dobre imię Pola. Rzeczywiście reputacja jego wśród demokratów zepsuła się od dość dawna. Orientowano się w jego odchyleniu się na prawo i przymknięciu ku żywiołom konserwatywnym spory czas przed 1846 r. Już w r. 1841 nie tak dawny towarzysz pracy, S. Goszczyński, w złośliwym felietonie P s z o n k i pt. *Szlachcic z głupia frant*, przedstawił go w sposób wcale przejrzysty („pan Janusz") jako nieomal rękodajnego Fredry („pana Aleksandra") i pokazał, jak w dowcipnie podstępny sposób odprawiają oni obaj z kwitkiem emisariusza-demokratę. [8] Widzimy zatem, że zła opinia o Polu już wtedy doszła była aż na emigrację. Ileż żwawiej i w jaskrawszym ujęciu kursować musiała po kraju.

Wśród plotek nie brakło potwornych. Opowiadano nie tylko, że po katastrofie powstania chłopskiego, w której sam osobiście ucierpiał, poeta do reszty zmienił przekonania, odsunął się od obozu demokratycznego, sprzeniewierzył się dawnym sztandarom i oddał się na posługi dążnościom politycznym wstecznym. Przypominano też, że w r. 1846 Pol wydostał się z więzienia za sprawą podobnoś samego Stadiona. Nie cofano się wreszcie przed niecnym oszczerstwem, że łączyły go jakoby jakieś ciche stosunki z dyrektorem policji Sacherem itp.

Nas tu obchodzi, że w związku z tym wydobyto również sprawę wycieczki Pola z lata roku ubiegłego; napomykano, że jeździł on tam jako „ajent". Czyj ajent? — nie dopowiadano wyraźnie, ale pozwalano domyślać się najgorszego. W tym związku wspomina ową wyprawę Ujejski, dotykając „zarzutu ciążącego na p. Polu od lat 15, a niestety p r z e s z ł o r o c z n ą j e g o p o d r ó ż ą o d n o w i o n e g o" [9]. Do tego też odnoszą się delikatne słowa biografa poety: „starano się wyjaśnić cel

---

[7] M a n n, o. c., s. 70.
[8] S. G o s z c z y ń s k i, *Dzieła zbiorowe*, Lwów b. r., IV 160 i n.
[9] K. U j e j s k i, o. c., s. 109.

ostatniej podróży Pola po Niemczech"[10]. Najwyraźniej miała ona jakąś złą sławę, widocznie wzięto ją poecie za złe. Jak widzimy, gorzkie były owoce wrażeń zbieranych podówczas przez niego „w przelocie taboru".

Te gryzące dymy plotek i oszczerstw, a także pewne osobiste naciski skłoniły Pola do kroku osobliwego, ostatecznie nie udanego, a w wykonaniu po prostu dziwacznego. Dnia 16 maja 1848 r. urządził on w mieszkaniu swym tłumne zebranie, na które zaprosił bliższych i dalszych znajomych, czy też nieznajomych zgoła, ale coś w opinii publicznej Lwowa znaczących. Towarzystwo składało się „z obywateli ziemskich, uczonych, literatów, duchowieństwa, przedstawicieli emigracji, Gwardii Narodowej i młodzieży akademickiej, wreszcie z przyjaciół i towarzyszów szkolnych poety". Przed takim gronem Pol odbył publiczną spowiedź generalną. Opowiedział koleje swego życia i działalności od lat młodych. Z oburzeniem i skutecznie odparł oszczerstwa o stosunkach łączących go jakoby z biurokracją austriacką we Lwowie. Poruszył też sprawę drugą: zmiany przekonań, tudzież stosunków swych z obozem arystokratycznym i konserwatywnym.

Ale tu sprawa nie wyszła już tak jasno. Penitent wyraźnie kluczył. Nie negował tych stosunków, starał się tylko usprawiedliwiać je intencjami, które go tam skierowały. Według tego, zbliżył się on do tych kół, nie żeby się z nimi solidaryzować, ale właśnie, żeby je odciągnąć z dróg, po których się toczyły. Wiązał się faktycznie z arystokracją, ale jego styczności z nią „miały na celu skierowanie umysłów i chęci na drogę postępu — i otwarte wypowiedzenie prawdy ludziom, którzy ducha czasu nie pojmowali lub dla samolubstwa pojąć nie chcieli". Po prostu apostoł wśród faryzeuszów. Nie bardzo to zebranych przekonało. Rozeszli się z niedosytem i niesmakiem, którego nawet niedawni najbliżsi przyjaciele ukryć nie zdołali. Czuć go w kwaśnej relacji, jaką z zebrania tego ogłosił zaraz w Dzienniku Narodowym przyjazny dotąd poecie K. Szajnocha, któremu właśnie zawdzięczamy wiadomość o tym niezbyt miłym epizodzie[11]. Nie dospowiadał się wtedy Pol do końca i rozgrzeszenia w opinii publicznej nie otrzymał.

Czy i jak wyjaśniał on wtedy cele swej podróży z r. 1847 — nie wiemy. Relacja Szajnochy o tym milczy. Dowiedzieć się o nich atoli możemy skądinąd, ze źródła dotąd jeszcze na jaw nie wydobytego. Dowiedzieć się wszelako i tym razem nie tyle o ogniu, ile o dymach, o pogłoskach, i to o dymach, co się zawlokły daleko na emigrację. Baczną

[10] Mann, o. c., s. 70.

[11] Dziennik Narodowy, 1848, nr 50, stamtąd wzięto słowa wyżej przytoczone.

uwagę na poczynania Pola w r. 1847 miała bowiem nie tylko opinia lwowska. Nastawiły ją również postępowe czynniki emigracji, mianowicie Centralizacji Polskiego Towarzystwa Demokratycznego. Miała i ona przecież w kraju swoje „oczy i uszy".

Zasłyszał więc wtedy o Polu coś niecoś jeden z czołowych działaczy Centralizacji, Wiktor Heltman. Zajął się tym gorliwie, bawiąc w Galicji w 1848 r. A kiedy u schyłku swego bogatego życia rejestrował jego przebieg w zamierzonym swym pamiętniku, to i tej sprawie pragnął w nim poświęcić trochę miejsca. Jeżeli mająca tam wejść sprawa Pola dochodzi teraz, po latach, do naszych uszu, jest to do zawdzięczenia prostemu przypadkowi. W zbiorach Poznańskiego Towarzystwa Przyjaciół Nauk odpisałem ongiś tyczące się jej listy z autografów, które dzisiaj również pewnie już nie istnieją.

Pracując nad pamiętnikiem i zamierzając włączyć weń sprawę Pola z r. 1847, szukał Heltman dodatkowych a wiarygodnych informacyj. Gdzie i do kogo o nie się zwrócił, o tym mówi list jego do Bibianny Moraczewskiej, zasłużonej i czcigodnej działaczki demokratycznej w Wielkopolsce. Z dostępnego mi ongiś brulionu przepisałem go w całej rozciągłości:

Bruksela, 1 grudnia 1871.

Ostatki sił, jakie mi jeszcze pozostały, postanowiłem użyć głównie na skreślenie pamiętników żywota mojego. S t r z e c h a lwowska podjęła się je ogłaszać od Nowego Roku. Praca ta, sił moich nie przechodząca, bo pod wielą względami łatwiejsza od innych, nieraz wszakże w wielki wprawia mię ambaras, zwłaszcza kiedy przyjdzie mówić o czynnościach Centralizacji Towarzystwa Demokratycznego, której przez wiele lat byłem członkiem; akta albowiem jej mimo usilnych starań nie mogły być dotychczas odszukane. Wszystko więc przypominać muszę, a że nie bardzo ufam mojej pamięci, radzę się innych.

Otóż udaję się i do Pani dla rozjaśnienia następujących szczegółów:

Pod koniec 1847 czy na początku 1848 r. Hieronim Ruszczewski[12] doniósł Centralizacji o zawiązaniu się tajemnego stowarzyszenia, mającego na celu zatamowanie wpływu na kraj doktryn demokracji emigracyjnej przez wydawanie rządom jej wysłanników, niszczenie jej publikacyj, i że Wincenty Pol podjął się tej misji w Poznańskiem, o czym zawiadomił go (Ruszczewskiego) jeden obywatel poznański wciągany do tego związku jako głośny przeciwnik Centralizacji wersalskiej.

Donosząc o tym przysłał zarazem Ruszczewski obszerny artykuł o Trentowskim, który w rzeczonym związku miał pismami swoimi uderzyć na demokrację emigracyjną. D e m o k r a t a zaczął był ten artykuł drukować pt. *Reakcja przeciw demokracji* w numerach z 11, 16 i 23 marca 1848 r.

---

[12] Emigrant i emisariusz; wiemy o nim, że w r. 1853 mieszkał w Londynie jako pomocnik księgarski.

Powszechnie wtenczas panujące uczucie puszczenia w niepamięć niesławnej przeszłości przeciwników naszych nakazywało wstrzymać druk dalszy, aby nie zamykać drogi poprawy tak znakomitemu skądinąd mężowi.

Tymczasem będąc w Krakowie zmuszony byłem rzecz tę na nowo podnieść. W pamiętnikach moich tak ją opisałem:

„Przed samym wyjazdem[13] . . . .
. . . . takim jak Zienkowicz".

Wiadomość o tym wypadku rozeszła się we Lwowie. Pol zaprosiwszy mię do swego mieszkania tłumaczył mi się, że był wprawdzie w Poznaniu, ale w celu zawiązania stosunków literackich dla mającego się wydawać we Lwowie przeglądu naukowego, zdaje się: Zakładu Ossolińskich. Jako dowód składał korespondencję, w tym przedmiocie prowadzoną.

Po długich rozprawach stanęło na tym, że miał do mnie napisać list powtarzający ustne tłumaczenie się, ja zaś ten jego list miałem przesłać do Poznania, wzywając do odpowiedzi, przez co rzecz ostatecznie by się wyjaśniła. Pol listu do mnie nie napisał, więc do dziś dnia rzecz została niewyjaśniona.

Trentowski już w grobie, nie odpowie. Ale jest Pol, który teraz po 23-letnim podejrzanym milczeniu oczyści się może. Daję mu sposobność i innym jeszcze, w pamiętnikach moich dotkniętym. I dlatego to głównie ogłaszam je teraz, kiedy jeszcze żyje. Niech się obie strony rozprawią; publiczność osądzi, sprawa wyjdzie na wierzch. Prawda niesprawiedliwie ogadanego uniewinni; winnego wprawdzie skarci, ale będzie to przestrogą dla tych, co sądzą, iż intrygi ich, byleby tajemnicą okryte były, ujdą im bezkarnie.

Nie dowierzając już, jak wspomniałem, pamięci własnej, udałem się po objaśnienie do Ruszczewskiego, który mi listem z d. 30 lipca rb. tak odpowiada:

„...To pamiętam dobrze, iż będąc w Poznańskiem w 46 czy 47 roku mówiono tam głośno, iż w Galicji, przypisując rzeź 1846 r. robotom Centralizacji, zawiązano wrogi dla nich spisek. Że jednym, głównym może nawet jego zadaniem było: śledzić i wydawać w ręce austriackie wysłanników Centralizacji, a niszczyć wszelkie jej pisma propagacyjne. Że do tego spisku oprócz arystokratów i jezuitów galicyjskich weszli dla myta[14] Trentowski i W. Pol. Że ci dwaj, jak to zwykle bywa ze zmiennikami, byli najzawziętszymi jego działaczami. Że W. Pol przyjeżdżał do Poznańskiego, aby tam taki sam niecny spisek utworzyć. Że przecież nie znalazł tam adeptów, chociaż i tam nie brakowało zażartych nieprzyjaciół Centralizacji i demokracji w ogóle.

„Rzeczą więc jest niezawodną, że wam o tym wszystkim w swoim czasie doniosłem. Ale czy pisałem o tym jako o wiadomości tylko głoszonej w Poznańskiem, czy też raportowałem wam o tym jako o fakcie pewnym, tego

[13] W brulionie listu Heltman nie przepisał wspomnianego ustępu, dał tylko pierwsze i ostatnie jego słowa. Ustępu brakującego nie można było z innego źródła uzupełnić.

[14] Dla zapłaty, a więc z osobistego interesu, jako najemnicy.

dziś w żaden sposób przypomnieć sobie nie mogę... Tak samo jak nie mogę sobie wcale przypomnieć artykułu o Trentowskim... Równocześnie prawie, gdy byłem wysłany przez was w Poznańskie, wysłany był do Galicji i Krakowa Erazm Żmichowski. Czy nie on to czasem z wiadomości powziętych w Galicji doniósł wam o rzeczonym spisku jako o fakcie prawdziwym i o należeniu do niego Trentowskiego i Pola? Czy nie Żmichowski też przesłał wam o Trentowskim artykuł?

„Jeżeli zaś pewny jesteś tego, że ten artykuł ja wam posłałem, to p. B. Moraczewska albo jest jego autorem, albo co najmniej wie o nim. W tym bowiem czasie, kiedy ja byłem w Poznańskiem, ona była prawie jedyną osobą, co miała rozleglejsze w polskim świecie stosunki, z którą ja byłem w najściślejszej komunikacji. Nic prawie dla niej, co mi przychodziło z ziem polskich, nie było tajnym. To wszystko więc, co wam mogłem donieść o Polu i Trentowskim, albo z jej wiadomości pochodziło, albo z nią było obszernie przeze mnie omówione, zanim do was doszło. W tym też razie p. B. Moraczewska niezawodnie cały tok tej sprawy lepiej ode mnie dzisiaj pamięta. Do niej więc radziłbym udać się po objaśnienia, których ja ci dać nie mogę..."

Otóż, Szanowna Pani, do Niej się udaję w nadziei, że prośbie mojej zadość uczynić zechcesz, stosownych udzielając mi objaśnień. Zaniechać tej sprawy przez wzgląd na starca, skądinąd sprawie narodowej zasłużonego, nie podobna. Zbyt głośne było oskarżenie w Poznańskiem, w Krakowie i we Lwowie, abym o nim w pamiętnikach moich mógł zamilczeć. W interesie samego Pola lepiej jest podnieść je, jeżeli jest niewinnym. Jeżeli zaś dał się uwieść na chwilę niegodnym machinacjom reakcji, odpokutować musi. Na to nie ma rady...

W. Heltman

o

List ten wiele nam wyjaśnia. Dowiadujemy się więc, że pierwsze oskarżenia Pola padły z kół emisariuszowskich: od Ruszczewskiego czy Żmichowskiego (brata Narcyzy). Widzimy, skąd szły owe gryzące dymy, które osaczyły poetę we Lwowie w r. 1848; nie było to zresztą bez przyczynienia się samego Heltmana. Rozumiemy teraz, o jakie to „ajentowanie" go oskarżano: mówiono rzeczywiście o kolaboracji Pola z władzami policyjnymi państw zaborczych. Jasne też jest teraz wzburzenie, jakie w pewnych kołach obudziła wycieczka jego z r. 1847: pomawiano go o organizowanie przy jej sposobności szerokiego i zdecydowanego przeciwdziałania wpływom i robotom Pol. Towarzystwa Demokratycznego w kraju.

W ten sposób wyjaśnia się nam zarazem bezwzględność uderzenia wymierzonego w Pola przez byłego towarzysza i przyjaciela, Goszczyńskiego, w r. 1841. Ujejski mówi wyraźnie, że akcja Pola przeciw Pol. Towarzystwu Demokratycznemu musiała trwać od kilkunastu lat, tzn. zacząć się wnet po r. 1833, a zatem jeszcze za pobytu Goszczyńskiego w Galicji. Już wtedy więc miałby on pewne dane, by stwierdzić jego od-

stępstwo od sztandaru, od emisariuszy zaś zasłyszeć musiał o zdecydowanym przejściu Pola do wrogiego obozu. Z tym przekonaniem pisał on swój artykuł w Pszonce.

W liście powyższym uderzyć musi jeszcze jedno: Widać, jak zawzięty był prokurator z W. Heltmana, nieubłagany w piętnowaniu za dawne winy ludzi nawet „skądinąd w sprawie narodowej zasłużonych". Nie powściągał go w tym wzgląd, że i jego przeszłość nie była bez skazy. Dopiero za naszej pamięci odsłonili to Askenazy i H. Mościcki [15], jak uwięziony w r. 1823 nie okazał on hartu w śledztwie i niepowściągliwie „sypał", „poczynił daleko idące zeznania dotyczące związków akademickich i szkolnych, kompromitujące mnóstwo osób". Można by więc było spodziewać się po nim większego wyrozumienia i względności. Tymczasem rzucał on ostro kamieniem, choć sam nie był bez winy.

Tę niepomiarkowaną porywczość Heltmana znamy zresztą i skądinąd. On to przecież był sprawcą nieugruntowanej i fałszywej — jak dziś wiemy dowodnie — wersji o tym, jakoby Bartosza Głowackiego po Maciejowicach oddano w austriackie kamasze.

Ale tym razem nadmierna jego zawziętość instygatorska skrzyżowała się wnet z wyrozumiałością i spokojną sprawiedliwością kobiety.

Moraczewska odpisała na list bezzwłocznie.

Poznań, 7 grudnia 1871 r.

List Szanownego Pana z 1 grudnia doszedł mię dopiero przed dwoma dniami. Zamierzam odpowiedzieć na niego sumiennie i szczegółowo, o ile rzecz całą o Polu zachowałam w pamięci.

Był on po rzezi galicyjskiej w Poznaniu. W czasie tym z małymi wyjątkami wszyscy byli w więzieniu [16]. Udał się do Cegielskiego, który co tylko był złożył profesorstwo, a ten go przyprowadził do brata mego Jędrzeja. Chodziło tu głównie o odwrócenie nadal narodu od zużywania sił w orężnej walce, a zwrócenie ich na drogę tzw. organicznej pracy, robienia tego, co po r. 63 za konieczne uznano. W tym celu proponował założenie pisma, co było z wielu względów w Poznańskiem możebne, a czego wyrazem był w Krakowie Czas. Był to moment tak drażliwy, że każde słowo naganiające tory konspiracyjne poczytywano niemal za zdradę kraju. Otóż Pol, poeta, co dotąd na lud patrzał przez pryzmat własnego ideału, strącony został z obłoków na ziemię; sam będąc zbity, z goryczą mówił o tych, co w patriotyzm ludu wierzyli, choć sam w to niedawno jeszcze wierzył.

Wysłańcy owego czasu Centralizacji, schowani głęboko po domach, każdej wieści wierzyli, ba, każdej plotce. Rozniosło się w Galicji, że Pol

[15] H. Mościcki, *Wilno i Warszawa w „Dziadach" Mickiewicza,* Warszawa 1908, s. 182. — Sz. Askenazy, *Łukasiński,* I 258 i n.

[16] Było to przed wielkim procesem politycznym, wytoczonym jesienią 1847 r. w Berlinie dużej rzeszy działaczy narodowych Wielkopolski, oskarżonych o zdradę stanu.

miał jakieś bluźnierstwa prawić do mego brata. Wskutek tego 1848 r. napisał do mego brata — jeżeli się nie mylę — Trzecieski z Galicji. List ten czytałam, również jak odpowiedź mego brata, że to fałsz wierutny, bo Pol nic takiego, co by mogło obrazić zacność Polaka, nie wyrzekł.

Biorąc rzecz psychologicznie — wyrzec nie mógł, kto potem pisał *Pieśń o ziemi naszej*, kto po r. 63 napisał wiersz *Biali i Czerwoni*. Wierzaj mi Pan, chociażby Pol (jak to robią wszyscy na ziemi poeci) wyrzekł jakieś nierozważne słowo lub nosił się ze złym projektem, to poezje jego tyle patriotyzmu wlały w serca młodzieży, że znaczą więcej niż wiele wygranych bitew. Nie wolno narodowi, i to bezpodstawnie, znieważać swoich wieszczy, swoich proroków.

Czytałam w Dzienniku Literackim 1860 r. w artykule Ujejskiego[17], iż w 1848 r. Pol zwołał jakby mityng i tam zrobił publiczną spowiedź ze swego publicznego żywota, poruszając też uczyniony mu zarzut ajentowania. Zapewne wystąpienie Szanownego Pana we Lwowie i rozmowa z Polem wywołała owo tłumaczenie prawie publiczne, o którym w swoim czasie wiedziano w Poznańskiem, choć nie dość szczegółowo.

Co do Trentowskiego, ten zbyt zatracił zmysł polski, duch jego rozpłynął się w spekulacji niemieckiej; pisał, co u niego obstalowano, jako Ojczyźniak[18]. Brak instynktu polskiego zaszkodził jego zdolnościom; dziś nikt go już do ręki nie bierze, zaledwie w historii literatury obszerniej trochę o nim wspominają.

Sądziłabym, abyś Szanowny Pan Pola nie podawał publicznej wzgardzie, skoro nie masz innych dowodów, a nawet śladów, jak krążące o nim wieści, *alias* plotki. Lepiej to Pan wiesz ode mnie, że na takich podwalinach dziejów opierać nie można. Weź Pan do rąk Kitowicza: doczytasz się tam, że Kościuszko był prostym zdrajcą ojczyzny[19].

Pan, jak Pol, oba służyliście z miłością sprawie Ojczyzny, jednego jak drugiego imię naznaczyło głęboki ślad na kartach dziejów ducha narodu. Centralizacja krzewiła demokrację w kraju wyrywając naród z zastoju, równając go na drodze rozwoju ogólnego ludzkości — to główna i największa zasługa emigracji. Wieszczowie znowu rozbudzali miłość i godność wielkiej dziejowej przeszłości, krzewili cześć dla własnego narodu, do ziemi rodzinnej. Niejako jedni dopełniali drugich.

Zacni i osiwiali ojcowie męczeńskiego narodu, podajcie sobie raczej dłonie, przebaczając wszelkie urazy. Niechęć wasza zobopólna miała także źródło w tej samej miłości Ojczyzny. Każdemu z was się zdawało, że droga, jaką obrał, wiedzie jedynie do jej uszczęśliwienia, nie myśląc, że niezliczona liczba posług różnych, odmiennych, wiodących węższymi lub szerszymi szlakami, jest jej niezbędna. Praca publiczna, domowa, warsztatowa, bankowa itd. rąk, głów i serc — wszystko do życia Polski potrzebne,

---

[17] W cyklu artykułów przedrukowanych potem w *Listach spod Lwowa*.

[18] Pod tym pseudonimem wydał był książkę *Wizerunki duszy narodowej*, Paryż 1847.

[19] Rzeczywiście w *Pamiętnikach J. Kitowicza do panowania St. Poniatowskiego*, ogłoszonych przez Poplińskiego (Poznań 1845) można znaleźć ostre sądy o Kościuszce za lekkomyślne wywołanie insurekcji i jeszcze bardziej lekkomyślne wysunięcie na swego zastępcę Wawrzeckiego, niemal zdrajcy ojczyzny (II 269, 283).

a w ujarzmionym narodzie różni pracownicy nierzadko otrzymują stygmat męczeństwa. Są przy tym nieraz starcia, budzą się niechęci: kupiec z literatem, historyk z poetą wiodą spór o lepszość służby sprawie publicznej swoim zawodem. Nierzadko wyrośnie i przylgnie potwarz, bo w zapale przechodzimy nieraz granice zakreślone sprawiedliwością. Taka jest natura ludzka...

B. Moraczewska

List Moraczewskiej w części informacyjnej po trosze nas zawodzi. Autorka nie wiedziała już, czy też nie chciała powiedzieć, spod czyjego np. pióra wyszedł artykuł o Trentowskim. O samym Trentowskim wydała sąd wyraźnie za surowy. Ale sprawę Pola rozstrzygnęła stanowczo: Nie zawiązywał on w Wielkopolsce tajnego związku zwróconego przeciw działalności Centralizacji, tym bardziej nie „ajentował" nikomu. Poddawał inicjatywę czasopisma, pragnął był oddziaływać w sposób jawny na opinię publiczną. Prawda — w duchu przeciwpowstańczym, prawda — dążności i wiar Centralizacji nie podzielał. Wypadki 1846 r. rzeczywiście zgasiły w nim wiarę w rychłe wyjarzmienie się orężne, zwłaszcza przy pomocy ludu wiejskiego. Apostołuje więc „pracy organicznej", tzn. idei, która na tamtym gruncie za sprawą wybitnych umysłów: Marcinkowskiego, Cegielskiego, Cieszkowskiego — dobrze już zapuściła korzenie, a niebawem skupi koło siebie założycieli Ligi Polskiej.

Nade wszystko jednak list Moraczewskiej uderzał wzniosłym duchem zgody i pojednania, tchnął chęcią zduszenia dawnych zaognień i namiętności, stłumienia waśni i starych porachunków. Autorka rada by wskazać punkt widzenia, z którego ujęte doraźne rozbieżności antagonistów wiążą się przecież w jedność wyższego rzędu, we wspólnotę pracy narodowej.

Heltman zażyty z tak wysoka, nie został głuchy na szlachetny, pojednawczy apel zasłużonej działaczki, czcigodnej patriarchini ruchu wolnościowego: zmitygował się w swej zaciętości. Odstąpił od myśli oskarżenia, o czym nie omieszkał swej korespondentki wnet zawiadomić.

Bruksela, 15 grudnia 1871.

Najserdeczniej dziękuję Pani za objaśnienia i uwagi, tak prawdy pełne i tak serdecznym uczuciem ożywione. Objaśnienia jej wywiodły mię z niemałego kłopotu. Bolesnym albowiem byłoby dla mnie powtarzać oskarżenie wymierzone na człowieka, który tyle usług oddał sprawie narodowej. Teraz śmiało twierdzić mogę, że były to wieści przez jego niesumiennych nieprzyjaciół wymyślone i nierozważnie przez innych roznoszone. Nieprzyjaciół zaś tych było niemało, i to we wszystkich stronnictwach.

We Lwowie mówiono, iż prócz kilkunastu stałych jego wielbicieli — wierzchołki arystokracji i demokracji przeciwko niemu się obróciły, posądzając go: jedni o sprzyjanie demokracji, drudzy o stosunki z arystokracją.

Po owej konferencji, na której i ja byłem, uważano go za człowieka skompromitowanego na zawsze. Słyszałem, jak jakiś jegomość pytał drugiego: — Czy byłeś na pogrzebie Pola? — Nic więc dziwnego, że wieści o udziale jego w spisku reakcyjnym znachodziły wiarę.

Dzięki Pani, wielki ciężar spadł z sumienia mego. Z radością widzę oczyszczonego kochanego śpiewaka Ziemi naszej.

Zająłem się pamiętnikami moimi, które mam wygotować do styczniowego numeru Strzechy, każda więc chwila jest dla mnie droga...

W. Heltman

Na tym się wymiana listów skończyła.

Autorytatywnym wyjaśnieniem B. Moraczewskiej sprawa Pola i charakteru jego podróży z r. 1847 została w ten sposób zamknięta. Heltman uznawał autorytet ten i poddał mu się w zupełności. Prócz obiektywnych miał po temu racje także osobiste. Wiedział, że Moraczewska jest mu jak najbardziej życzliwa, a życzliwości tej dowodzi nie tylko słowem. Za jej to głównie przyczynieniem się stało się, że znaczna ilość ziemian i mieszczan wielkopolskich utworzyła fundusz zapomogowy, który pozwolił sędziwemu weteranowi demokracji uniknąć nędzy w ostatnich latach życia i wydobyć się z upokarzającej sytuacji rodzinnej [20]. Nie miał więc Heltman wątpliwości, że z listu Moraczewskiej mówiła szczera prawda, a w stosunku do niego równie szczera życzliwość. Bez zachodu więc uznał sprawę za zamkniętą.

Zresztą cała sprawa wnet przestała być dla niego aktualna. W pisaniu i ogłoszeniu pamiętników jego zaszła jakaś trudność. Nie ukazały się one w Strzesze ani w r. 1872, jak było planowane, ani w następnych. Sędziwemu autorowi nie służyło już widać pióro. Mocował się z zadaniem swym jeszcze w r. 1873, a więc na rok przed śmiercią. Dzieła jednak nie dokonał. Dziś po nim został zaledwie ślad w pamięci. Pozostałe drobne ułamki pamiętnikarskie pochłonął ostatecznie ogień w katastrofie warszawskiej. W Strzesze ukazało się tylko w r. 1872 drobne wspomnienie o Janie Lewickim.[21]

Uratowana i ogłoszona tutaj wymiana listów Heltmana z B. Moraczewską, drobny ślad rozległej jego korespondencji, pozwala wszelako rozjaśnić dość szczegółowo obchodzącą nas tu sprawę W. Pola i jego podróży z r. 1847.

Krzywdzące poetę oskarżenie wyszło, jak widzieliśmy, od emisariuszy i poprzez Centralizację P. T. D. rozeszło się po kraju, ściśle mówiąc — po zaborach austriackim i pruskim. Znalazło ono grunt podatny o tyle,

---

[20] Dosadnie mówi o niej T. T. Jeż, *Sylwety emigracyjne*, Lwów 1904, s. 21.
[21] H. Łuczakówna, *Wiktor Heltman*, Poznań 1935, s. 3.

że Pol rzeczywiście był poniekąd zmiennikiem, nie pozostał wierny ideałom i przekonaniom młodości, odszedł od wyznawanych niegdyś zasad demokratycznych i irredentystycznych. Towarzysko obcował wiele ze szlachtą i z bogatym ziemiaństwem; w poezji dawał wyraz pojęciom i uczuciom tradycjonalistycznym, tracąc przy tym coraz bardziej wyczucie miary i smaku. W poglądach społecznych po r. 1846 przechylał się ku hasłom pracy organicznej.

Bytując przejściowo na dwu przeciwstawnych sobie skrzydłach ideologii, szacunku — jak to bywa — nie miał ni tu, ni tam. W opinii publicznej jako charakter, a po części nawet jako poeta, należytego oddźwięku nie znajdował. Poza garstką oddanych wielbicieli trafiał częstokroć na słuchaczy opornych lub wręcz nieprzyjaznych. Nie brakło też jaskrawych wystąpień krytycznych przeciwko niemu: najpierw K. Ujejskiego, później W. Spasowicza.

Na tym gruncie przyjąć się też mogły krzywdzące go, oszczercze plotki o „ajentowaniu" i o kolaboracji z policją austriacką czy pruską. Turystyczna wycieczka poety przez Wrocław w r. 1847 zaniepokoiła ludzi nieufnych i podejrzliwych, dała sposobność do wydobycia starych domysłów i do zaostrzenia wrogiej mu kampanii. Tyle lat musiało minąć, zanim oszczerstwo można ostatecznie obalić.

Wyjaśniona obecnie „sprawa Pola" może być dobrą ilustracją dusznej, koszmary rodzącej atmosfery w kraju i na emigracji wśród głębokiej nocy niewoli, w przededniu wiosny ludów.

JULIAN KRZYŻANOWSKI

PÓŁ TYSIĄCA LISTÓW HENRYKA SIENKIEWICZA

1

W toku ustalanych od lat kilku planów prac naukowo-literackich, mających objąć również wydawnictwo materiałów źródłowych, a więc przeróżnych dokumentów literackich, zagadnieniem o pierwszorzędnej doniosłości jest sprawa poprawnego ogłoszenia korespondencji naszych pisarzy, zarówno wielkich, jak pomniejszych. Uzasadnianie tej doniosłości u nas może na pierwszy rzut oka wydawać się wybijaniem drzwi otwartych. Wiadomo przecież powszechnie, iż pierwsza nasza monografia naukowo-literacka, książka A. Małeckiego o Słowackim (1866), wyrosła przede wszystkim ze znajomości i należytego wyzyskania listów poety, których wydanie przez L. Méyeta (czy raczej St. Krzemińskiego, 1899) stało się niecodziennym wydarzeniem. Wiadomo również, choć tylko zawodowym badaczom literatury, iż poprzednikiem Małeckiego był J. I. Kraszewski, który swe studium o Wł. Syrokomli (1862) oparł głównie na listach od „Słowika litewskiego", a który tą samą metodą sporządził nieświetną zresztą biografię Krasickiego (1879).

Obojętność dla korespondencji literackich poczęto u nas przełamywać dopiero w okresie międzywojnia, gdy wydania listów znanych pisarzy wywoływały nieraz sensację, i to nie tylko w ujemnym znaczeniu tego wyrazu (Przybyszewski), ale i w dodatnim (Orzeszkowa). Co więcej, w okresie tym Polska Akademia Umiejętności, mająca w swym dorobku pozycję tego rzędu, co *Korespondencja Filomatów*, podjęła planową akcję wydawniczą, udostępniającą listy Jana Śniadeckiego, M. Grabowskiego, Goszczyńskiego i Trentowskiego; równocześnie zakrzątnięto się około puścizny epistolarnej Norwida i Asnyka, a zanosiło się na druk listów Wyspiańskiego.

Na lata te właśnie przypadł — jak się dalej okaże — żywy ruch około listów Sienkiewicza, ruch jednak bezplanowy, nieskoordynowany, hamowany przez najrozmaitsze czynniki i wskutek tego naukowo mało owocny.

Sprawa ta ma swoją, niezupełnie jasną historię. W lutym mianowicie r. 1917 krakowski Głos Narodu przyniósł artykulik I. Chrzanowskiego *O listy Sienkiewicza*, brzmiący jak następuje[1]:

Śp. Henryk Sienkiewicz za życia swego niejednokrotnie wyrażał życzenie, żeby po jego śmierci nie ogłaszano zbyt pospiesznie jego listów pisanych do przyjaciół i znajomych, zwłaszcza listów o charakterze ściśle prywatnym, nie rzucających żadnego światła na jego twórczość. A i w pamiętnikach (pisanych dla rodziny) znajduje się pomiędzy innymi taki ustęp:

„Trudno jest określić, gdzie kończy się ścisłość biograficzna, a zaczyna się plotkarstwo. Listów prywatnych nie wolno ogłaszać nawet po latach, po prostu dlatego, że nie były do druku przeznaczone. Krytycy i biografowie powinni być gentlemanami — a jakże często nimi nie są!"

Otóż niżej podpisany, upoważniony do tego przez najbliższą rodzinę śp. Henryka Sienkiewicza, uprasza w jej imieniu wszystkich, którzy posiadają listy Zmarłego, aby ich nie ogłaszali drukiem bez porozumienia się z jego najbliższą rodziną.

Nie wiemy, jakie okoliczności wywołały wystąpienie Chrzanowskiego, w ciągu bowiem trzech miesięcy, dzielących je od śmierci Sienkiewicza pojawiły się tylko fragmenty listów do Stanisława Smolki[2], i to listów o charakterze przede wszystkim dokumentów literackich, rzucających snopy światła na powstanie *Trylogii.* Nawiasem dodać warto, że Czas ogłosił z osiemdziesięciu przeszło listów tylko dwadzieścia cztery, reszta zaś uległa zniszczeniu podczas toczącej się podówczas wojny europejskiej. Wracając zaś do enuncjacji Chrzanowskiego, w którym siostrzeniec Sienkiewicza wziął najwidoczniej górę nad historykiem literatury, przypuścić można, iż działały tutaj zrozumiałe względy rodzinne i ludzkie, podszyte również zrozumiałym, choć niekoniecznie fortunnym pietyzmem dla zmarłego pisarza. Obawiano się więc zapewne, iż wypowiedzi jego prywatne o ludziach, którzy jeszcze podówczas żyli, mogłyby być dla nich przykre. Na pewno jednak w grę wchodziło coś innego jeszcze. Dla inteligencji tych czasów, zwłaszcza nastawionej zachowawczo, Sienkiewicz, począwszy od jubileuszu z r. 1900, był swoistym bożyszczem, ubrązowionym za życia, rzecznikiem sprawy polskiej na forum światowym, wielkim człowiekiem, wolnym od normalnych ludzkich słabości i słabostek. Korespondencja zaś prywatna zawsze ukazuje człowieka, nawet największego, w wymiarach bardzo ludzkich, togę zastępuje szlafrokiem, a sandały z brązu pantoflami. Legenda sienkiewiczowska, spotęgowana przez działalność twórcy *Krzyżaków* w Szwaj-

[1] Głos Narodu, 6 II 1917, nr 32.
[2] Czas 18—20 XI 1916, nr 584 i 587.

carii, trwała jeszcze w całej sile, mimo ataków krytyki neoromantycznej, i ona to dyktowała Chrzanowskiemu słowa jego apelu.

Apel istotnie poskutkował, nie na długo jednak, po roku bowiem ponowiono go [3], a zresztą sam jego autor nie wytrzymał i w cztery lata później rozpoczął serię wydawców korespondencji Sienkiewicza. W numerze mianowicie noworocznym Kuriera Warszawskiego z r. 1921 ogłosił urywki z listów Sienkiewicza do młodzieńczej narzeczonej, Marii Keller, pisanych z Belgii i Francji w r. 1874, co osobliwsze zaś, urywki te włączył w roku następnym do zbioru *Pism nie wydanych i zapomnianych* (1922), gdzie obok listów do J. Balińskiego i A. Galdemara, pisanych z myślą o druku i ogłoszonych za życia autora, znalazł się również list amerykański z r. 1876 do Anny Leo. Osobliwość polegała tu na tym, że wszystkie te listy mają charakter całkiem prywatny, no i na tym, że wydawca nie podał nazwiska Kellerówny, zaznaczył natomiast, że Sienkiewicz „z podróży tej pisywał do znajomych [!] obszerne listy, z których tutaj podaje się wyjątki“ [4]. Dodać trzeba, że w dziesięć lat później, znowuż w noworocznym Kurierze Warszawskim (1931) Chrzanowski wydrukował kilka listów z Hiszpanii, pisanych do Jadwigi Janczewskiej, siostry pierwszej żony Sienkiewicza i serdecznej jego przyjaciółki.

W ślady Chrzanowskiego poszedł jego uczeń, Józef Birkenmajer. Powziąwszy myśl napisania książki o Sienkiewiczu (do czego kilkakrotnie a bezskutecznie namawiałem Chrzanowskiego), począł on systematycznie zbierać, odpisywać i częściowo ogłaszać listy Sienkiewicza w Ruchu Literackim i najrozmaitszych innych czasopismach. Wychodząc z założenia, znanego z odezwy Chrzanowskiego, odróżniał on listy z wiadomościami o dziełach Sienkiewicza od „prywatnych“ i ogłaszał je grupami, dotyczącymi tych dzieł właśnie. Stanowisko takie doprowadziło do rozproszkowania materiałów korespondencyjnych, osobno bowiem ukazała się garść listów związanych z *Sabałową bajką*, osobno z *Trylogią*, osobno wreszcie z *Rodziną Połanieckich* [5]. Na dobitkę, wydawca drukował te materiały w mało dostępnych pismach prowincjonalnych, jak Wici Wielkopolskie lub całkiem niedostępnych amerykańskich, tak że nawet bibliograficzne uchwycenie tych publikacyj jest dzisiaj bardzo trudne, ponadto zaś nie zawsze orientował się poprawnie w chronologii listów i w ich treści, wskutek czego drukował je

[3] W Bluszczu z lipca r. 1917 (nr 29, s. 224), w związku z ogłoszeniem, za zgodą rodziny (!), urywków listów przez J. Czempińskiego.

[4] *Pisma zapomniane*, s. 355.

[5] Dokładną bibliografię listów drukiem ogłoszonych podaję na końcu szkicu, gdzie ułożono ją według nazwisk wydawców.

w błędnej kolejności i z błędnymi datami, tak że połapanie się w ich sensie jest wskutek tego nie zawsze łatwe[6].

Analogicznie postępowali poprzednicy i rówieśnicy Birkenmajera, posuwający selekcję dalej jeszcze, z posiadanego bowiem zasobu listów wybierali tylko pewne pozycje dotyczące dzieł lub pisarzy, co gorsza zaś, z samych listów podawali tylko wyjątki. Tak więc J. Czempiński z kilkuset listów do K. Benniego wybrał trzy tylko, a z nich tylko jeden w całości; podobnie E. Krasiński znowuż ze stu sześćdziesięciu listów, które Sienkiewicz napisał do jego matki, Heleny, wykroił i ogłosił urywki z ośmiu! St. Miłaszewski wreszcie z trzydziestu pięciu niezwykle ciekawych listów do E. Lubowskiego udostępnił tylko dwadzieścia cztery. Zbytecznie dodawać, że są to jedyne strzępy korespondencji autora *Bez dogmatu* i z Bennim, i z Krasińską i z Lubowskim, całe bowiem zespoły drugi i trzeci uległy zniszczeniu w czasie powstania warszawskiego.

Inną drogą poszli wydawcy związani z redakcją Pamiętnika Literackiego, drukującego całą korespondencję powieściopisarza z danymi osobami, i to w dodatku wyposażoną w nieodzowne komentarze osobowe i rzeczowe. Tak więc F. Bostel udostępnił tutaj listy do A. Krechowieckiego i Wł. Łozińskiego, zaopatrując je w doskonałe przypisy bibliograficzne i biograficzne, tak St. Demby postąpił z uczniowskimi listami młodzieńczego korepetytora, pisywanymi z Poświętnego, tak wreszcie E. Kurkowa wydała listy do Johanna Prauna, oficera austriackiego i tłumacza Sienkiewicza na niemieckie.

Z tym wszystkim materiały dotąd ogłoszone (około 280 listów) nie dają przybliżonego nawet wyobrażenia o Sienkiewiczu jako epistolografie. Trudno na ich zasadzie wiedzieć, że autor *Bez dogmatu* prowadził przez całe życie ogromną korespondencję, sięgającą — według pobieżnego obliczenia — wysokości 15000 listów. Liczba ta nie jest przesadna, rozbita bowiem na 45 lat daje niespełna list dziennie, z korespondencji zaś znanej wiadomo, iż głośny pisarz w okresie swej największej popularności otrzymywał po 400 listów miesięcznie i że na nie w większości odpisywał; wiadomo też, że spędzając całe miesiące samotnie w przeróżnych uzdrowiskach, brak rozmów z bliskimi zastępował sobie pisywaniem listów, po kilka dziennie. Gdyby nawet podaną liczbę ściąć do 10000 listów, a więc przyjąć nieco ponad 200 rocznie, to i tak Sienkiewicza uznać by trzeba za jednego z najpłodniejszych epistolografów polskich, szczęśliwie rywalizującego z Kraszewskim i Krasińskim. Niestety,

---

[6] Dla przykładu wskażę, iż *Garść listów Sienkiewicza z okresu Trylogii* Birkenmajer ogłosił dwukrotnie w kolejności: 1, 3, 7, 6, 5, 2, 8 (zamiast 1, 2, 3 itd.).

sam Sienkiewicz nie miał zbierackich zainteresowań Orzeszkowej, nie tworzył archiwum listów odbieranych, co pozwoliłoby w przybliżeniu choćby ustalać ilość odpowiedzi na nie. Większość otrzymywanej korespondencji kierował do kosza, to zaś, co pozostawiał, nie uszło zniszczenia w latach dwu wojen światowych.

Był wprawdzie moment w jego życiu, gdy — zapewne pod wpływem namów Stefana Dembego — jemu właśnie udostępnił swą korespondencję; Demby, w r. 1902, przepisał około pół setki listów do Sienkiewicza z okresu jubileuszu powieściopisarza, z przyczyn jednak nieznanych robotę tę przerwał, tak że wynikiem jej stał się pięćdziesięciodwustronicowy kopiariusz (dzisiaj w zbiorach Biblioteki Narodowej, L I-5678), zawierający m. in. listy od Krechowieckiego, Radziejowskiej, Rydla, Tarnowskiego, urywek zagadkowego listu Żeromskiego itp. Biblioteka Narodowa posiada również, ze zbiorów Marii Sienkiewiczowej, przywiezionych z Szwajcarii, teczkę korespondencji z lat 1915—1916, przeważnie rodzinnej, trafiają się tu jednak pozycje tak egzotyczne, jak kairski list księżny Fouad, z domu Grodeckiej (L 2894).

Podobny los (tj. zagłada częściowa lub nawet zupełna) spotkał, niestety, listy samego Sienkiewicza, przesyłane przyjaciołom, znajomym, interesantom wreszcie. I to nawet tam, gdzie korespondenci arkusiki pokryte drobnym pismem barwy zazwyczaj fioletowej wysoko sobie cenili. Typowym przykładem może tu być wieloletnia korespondencja Sienkiewicza z jego naczelnym wydawcą, Robertem Wolffem, kierownikiem firmy warszawskiej Gebethner i Wolff. Pochodzący ze zbiorów J. Birkenmajera jej odpis obejmuje 64 listy z lat 1884—1909, a więc ilość na pierwszy rzut oka bardzo okazałą, gdy się jednak zważy jej rozpiętość chronologiczną, redukuje się ona do niespełna trzech listów rocznie! Ten osobliwy wynik przeliczenia tłumaczy się jasno: z lat 1890, 1898, 1901—1906 nie mamy tu ani jednego listu, z lat zaś 1891, 1908 i 1909 zaledwie po jednym. Ponieważ nie podobna przypuścić, by w latach tych Sienkiewicz milczał, przyjąć trzeba, iż dane listy zaginęły. W przypuszczeniu tym utwierdza okoliczność następująca: Brak tu mianowicie materiału dotyczącego sprawy tak doniosłej — i dla pisarza, i jego wydawcy — jak umowa, na mocy której Sienkiewicz przekazał, w zamian za większą sumę czy jakąś rentę, swe prawa autorskie Gebethnerowi i Wolffowi. Z zachowanych listów wiemy, że dla jej załatwienia Wolff specjalnie wyjeżdżał na Riwierę, gdzie prawdopodobnie paroletnie pertraktacje w sposób dla obu stron zadowalający dobiegły końca. Otrzymawszy, dzięki p. Marii Birkenmajerowej, wspomniany poprzednio odpis, który ocalał wśród innych szpargałów w piwnicy warszawskiego

mieszkania jej męża, sądziłem, że część omawianej korespondencji uległa widocznie zagładzie w czasie pożogi wojennej. A jednak nie. Birkenmajer odpowiednich listów nie znalazł już w archiwum firmy Gebethner i Wolff. Nie było ich tam w r. 1938, gdy J. Muszkowski pisał szkic dziejów tego zasłużonego zakładu wydawniczego (*Z dziejów firmy Gebethner i Wolff*); o transakcji sienkiewiczowskiej wspomniał tam, ale tak ogólnikowo i niedokładnie, iż najwidoczniej do sprawy tej nie miał żadnych dokumentów poza znanymi dzisiaj listami, z których się o niej wnioskuje. Jeśli zaś tak ułożyły się koleje listów Sienkiewicza w dużej firmie wydawniczej, która zarobiła na nim miliony, dziwić się nie będziemy, że gdzie indziej nie było lepiej.

Takie same bowiem wyrwy wykazuje zbiór 44 listów do Antoniego Wodzińskiego, pochodzący z tych samych niemal lat (1883—1913). Wodziński korespondencję pisarza, którego dzieła tłumaczył na francuskie, widocznie cenił, dał ją bowiem oprawić (pożal się Boże, jak to wypadło!) i zaopatrzył ją w daty (często błędne!); a jednak i tu na każdym kroku stwierdza się braki, wskazujące, iż sporo listów przepadło przed oddaniem reszty do introligatora.

A nie lepiej przedstawia się korespondencja z przyjacielem-malarzem, Kazimierzem Pochwalskim, z lat 1887—1909, wykazuje ona bowiem lukę dziesięcioletnią (1896—1905), wywołaną nie przez milczenie, lecz zagubienie listów.

Jeszcze gorzej bywało z listami Sienkiewicza do redakcyj czasopism, których był współpracownikiem. Widziałem w rękach prywatnych garść listów do K u r i e r a W a r s z a w s k i e g o sprzed lat czterdziestu. Właścicielka ich pracowała w sekretariacie redakcji i zauważywszy, iż sekretarz listy niemal bez wyjątku wrzuca do kosza, uzyskała jego zgodę na zabieranie tych odpadków. A wątpić wolno, czy inni potentaci prasowi owych lat postępowali inaczej. Poniszczone archiwa redakcyjne wątpliwości tych nie rozpraszają.

Ten brak pietyzmu, a raczej zwykłego, ludzkiego, na jakiej takiej kulturze literackiej opartego szacunku dla dokumentów literackich, zaważył również — powiedzmy to otwarcie — na naszej polityce bibliotecznej w stosunku do puścizny Sienkiewicza. Myślę, że gdyby zarządy naszych dużych książnic były zwróciły się do posiadaczy rękopisów Sienkiewicza, zwłaszcza jego listów, bezpośrednio po śmierci pisarza, byłyby uzyskały na takich czy innych warunkach niejedno, co dzisiaj bezpowrotnie przepadło. Wyjątek stanowiły tutaj dwie biblioteki tylko: Ossolineum we Lwowie i Miejska w Bydgoszczy; w pierwszej Ludwik Bernacki, w drugiej Witold Bełza po prostu zbierali materiały sienkie-

wiczowskie, po wojnie zaś ostatniej poczęła to robić systematycznie Biblioteka Narodowa w Warszawie. W tych trzech źródłach nagromadziło się też najwięcej listów Sienkiewicza, które znajduje się nadto w Bibliotece Akademii Umiejętności i Jagiellońskiej w Krakowie, Publicznej w Warszawie i Uniwersyteckiej w Łodzi. Prócz tego różne inne biblioteki prowincjonalne mają takie czy inne drobiazgi i niedrobiazgi; zorientowanie się jednak w tym, co i gdzie się znajduje, jest bardzo trudne, nawet bowiem w dużych bibliotekach katalogi i inwentarze pozostawiają niejedno do życzenia. Dość powiedzieć, że w jednej z najpoważniejszych, ilekroć ją odwiedzam, znajduję niespodzianki, jakieś nowości, odnalezione w okresach między odwiedzinami.

Nie ulega wreszcie wątpliwości, iż sporo listów Sienkiewicza znajduje się w ręku rodziny i różnych osób prywatnych. I z kategorią ostatnią związane są kłopoty niewiarygodne. Zbieraczy w wielkim stylu Polska nie miała nigdy w nadmiarze; zawsze górowali nad nimi ciułacze, gromadzący i chroniący zdobyte przypadkiem „skarby", których nie umieli wyzyskać sami, a nie chcieli udostępnić innym. Stykając się z takimi wypadkami, człowiek sądzi, iż trafia na dziwaków, zwykle jednak odkrywa, że chodzi o spekulantów, którzy obawiają się, by ogłoszony drukiem autograf nie stracił swej wartości. Z doświadczenia wprawdzie wiadomo, że zbiory i spekulantów, i maniackich ciułaczy prędzej czy później dostają się do bibliotek, muzeów i archiwów, wiadomo jednak równie dobrze, iż często ulegają one rozproszeniu, a nawet nieświadomemu zniszczeniu.

Gdy się o tym pamięta, nie podobna stłumić obawy, że olbrzymia, ale to naprawdę olbrzymia ilość listów Sienkiewicza dawno już nie istnieje, przy czym zniszczenie Warszawy na procesie tym zaważyło wręcz ponuro, po prostu dlatego, że rodziny osób, do których latami pisywał, mieszkały w Warszawie. Poprzednio już wspomniałem o setkach listów do K. Benniego i o stu sześćdziesięciu do Krasińskiej. Do tego dochodzą znane tylko z wieści lub domyślne listy do przyjaciół tak serdecznych, jak współredaktorzy Antoni Zaleski, Mścisław Godlewski, jak sławny prałat Zygmunt Chełmicki, jak Stanisław Witkiewicz i wielu, wielu innych. Z innych osób, pozawarszawskich zresztą, wymienić tu należy przyjaciół kalifornijskich, Helenę Modrzejewską (w jej archiwum zamiast listów, które prawdopodobnie sama zniszczyła, powinien był zachować się pisany w Kalifornii dramat [7] Sienkiewicza z życia amerykańskiego) i zabawnego jowialistę, kapitana Piotrowskiego. Z ocalałej szczę-

---

[7] Sienkiewicz napisał tam dwa dramaty: *Na przebój* (lub *Przebojem*), dzisiaj znany jako *Na jedną kartę*, oraz drugi, ów zaginiony.

śliwie korespondencji kalifornijskiej z Julianem Horainem wiemy o listach do dwu osób wymienionych, samych jednak listów dotąd nie udało się spotkać nikomu. Poza Polską istnieją gdzieś nie odszukane dotąd listy Sienkiewicza do jego tłumaczy: amerykańskich (jak J. Curtion), francuskich (jak B. Kozakiewicz), czeskich, niemieckich i włoskich. Systematyczne poszukiwania w tej dziedzinie przyniosą zapewne niejedną jeszcze nowość, spodziewać się też wolno, że udostępnione będą listy rodzinne, wspomniane już do Jadwigi Janczewskiej, następnie do syna Henryka, Józefa i do innych bliskich osób. Odnajdzie się też może korespondencja z wieloletnim „doradcą" literackim, Dionizym Henkielem. Obawiać się jednak wolno, że materiały te nie dorównają ilością temu, co dotychczas odszukać się udało i co albo już pojawiło się w druku, albo prędzej lub później w nim się ukaże, a co — jak widać z dodanego tutaj na końcu zestawienia — sięga czterystu listów, dotąd nie ogłoszonych.

2

Gdy w r. 1922 L. Bernacki, jako dyrektor Ossolineum, przystępował do pracy nad wydawanymi przez tę instytucję *Pismami* Sienkiewicza i gdy I. Chrzanowski przygotowywał ich układ, wysunęła się trudność, wspomniana na wstępie szkicu obecnego. W tece Bernackiego zachowały się, z lat zresztą dalszych pochodzące, uwagi J. Birkenmajera kwestionujące słuszność pomysłu Chrzanowskiego, który do zbioru *Pism zapomnianych i nie wydanych* włączył kilka listów o charakterze prywatnym. Trudność polegała tu na konieczności przeprowadzenia granicy między listem prywatnym a nieprywatnym. Po której stronie umieścić list do redakcji, wzywający do składek na jakiś cel dobroczynny lub sprostowanie plotek, krążących wokół osoby pisarza? Lub co począć z listem, który w toku pogawędki z adresatem na tematy poufne przynosi jakieś wiadomości o zamierzeniach pisarskich lub ich realizacji?

Sam Sienkiewicz, który zdawał sobie sprawę z trudności odpowiedzi na pytanie, „gdzie kończy się ścisłość biograficzna, a zaczyna się plotkarstwo", znalazłby się w niemałym kłopocie, gdyby wypadło mu rozstrzygnąć, które z jego listów miały „charakter ściśle prywatny", co więcej, mógłby w tej sprawie odwołać się do własnych, przykrych doświadczeń. W r. 1903 mianowicie warszawski K u r i e r T e a t r a l n y ogłosił jego uwagi na temat ówczesnej dramaturgii, zwalczające „ruję i porubstwo" jako nadużywane przez nią pomysły. Uwagi te były odpowiedzią na ankietę, ukazały się więc w druku; wolno jednak mieć wątpliwości, czy były istotnie do druku przeznaczone. List autora skierowa-

ny był do Romana Jungiewicza, który „Kurier Teatralny redagował“, i bardzo być może, że odpowiedź, ujęta w formę błyskotliwie złośliwego aforyzmu, przeznaczona była dla redaktora, a nie dla czytelników [8]. Wątpić też można, czy po burzy, którą enuncjacja wywołała, Sienkiewicz był wdzięczny redaktorowi za jej ogłoszenie, choć redaktor był tutaj zupełnie w porządku: tak czy inaczej bowiem, była to odpowiedź na ankietę.

Innym przykładem omawianych tu trudności może być *List otwarty do księcia Uchtomskiego* w tomie *Pism zapomnianych*, otwierający dział pt. *Do cudzoziemców w obronie własnego narodu*. List ten, którego oryginał polski posiada Biblioteka Miejska w Bydgoszczy, Sienkiewicz przełożył na francuski i wysłał do kn. Espera Uchtomskiego, redaktora dziennika Санктпетерсбургския Ведомости, w związku z jubileuszem Puszkina w r. 1899. List zawierał szlachetną, choć nieco dziwaczną propozycję. Rosję nawiedziła właśnie klęska głodu, Sienkiewicz więc zainicjował akcję pomocy dla głodujących, wychodząc z założenia, „że najlepszym sposobem uczczenia pamięci... poety... jest przyjść z pomocą choćby skromnym datkiem tym, którzy cierpią i wyciągają ręce o pomoc“. Sam przesłał 50 rubli, o resztę zaś zaapelował do wydawców rosyjskich, którzy robili świetne interesy na przekładach jego dzieł, a honorariów autorowi nigdy nie płacili.

List do Uchtomskiego ma wszelkie cechy listu otwartego, odezwy obliczonej na wywołanie następstw praktycznych, choć trudno go uznać za apel do cudzoziemców w obronie własnego narodu, jak to zrobił Chrzanowski. Równocześnie jednak oświetla on sprawy, znane z korespondencji autora z Wodzińskim, stosunki z wydawcami przekładów jego dzieł, i należy do dokumentów tej samej kategorii, co listy z Wodzińskim. Formalnie jest listem otwartym o charakterze charytatywnym, treściowo zaś dokumentem historyczno-ekonomicznym, negatywnym o tyle, że stwierdza brak poważnych dochodów autorskich. Zależnie więc od tego, jak nań spojrzeć, zaliczy się go albo do publicystyki, albo do korespondencji.

Trudności te i tym podobne sprawiają, że gromadząc korespondencję Sienkiewicza, wymienioną w zestawieniu podanym na końcu szkicu, nie rozbijam jej na prywatną i publiczną, wyłączam z niej natomiast listy otwarte, a więc w formę listu ujęte artykuły czy odezwy, obliczone

---

[8] List do Jungiewicza był w r. 1929 w posiadaniu Kazimierza Budnego w Warszawie; właściciel przesłał odpis I. Chrzanowskiemu w liście z 29 IX 1929, zawierającym relację z pochodu w dn. 5 listopada 1905, w czasie którego Sienkiewicz przemawiał z balkonu mieszkania Budnych.

na czytelnika masowego i apelujące do jego postępowania czy też do jego... kieszeni.

Zestawienie to wymaga paru wyjaśnień, porządkujących zebrany w nim materiał chronologicznie i rzeczowo. Wynika z niego, że poza przygodnymi próbami ukazywania skrawków listów Sienkiewicza, jak ogłoszenie listu do Baworowskiego, pierwsze kroki w dziedzinie wyzyskania ich naukowego zrobił w r. 1901 I. Chrzanowski; on to bowiem odwołał się do korespondencji młodego pisarza z K. Dobrskim, by przy jej pomocy wyjaśnić genezę powieści *Na marne*. Z biegiem lat Chrzanowski, zainteresowany w wydaniu *Pism* Sienkiewicza przez Ossolineum, których układ starannie opracował, zamierzał zająć się dokładniej korespondencją twórcy *Bez dogmatu*. Dowodzi tego nie tylko wspomniane poprzednio ogłoszenie urywków z listów Sienkiewicza do M. Kellerówny i J. Janczewskiej, ale również teka Sienkiewiczianów, udostępniona mi uprzejmie przez rodzinę profesora.

Z Chrzanowskim rywalizował wspomniany już poprzednio bibliofil i bibliograf warszawski, Stefan Demby, który już w r. 1901 zbiorami swymi, pierwodrukami i przekładami dzieł Sienkiewicza, hojnie zasilił wystawę jubileuszową ulubionego pisarza. W posiadaniu Dembego były również autografy i listy Sienkiewicza oraz korespondencja Dobrskiego. Zbiory Dembego niestety przepadły, tak że tylko nikłe ich resztki ma dzisiaj Biblioteka Narodowa. Sam Demby ogłosił nieco fragmentów w swych artykułach biograficznych, drukowanych bezpośrednio po śmierci Sienkiewicza, z biegiem lat zaś wydał starannie 30 listów korepetytorskich z Poświętnego.

O zasługach J. Birkenmajera wspominałem tutaj już kilkakrotnie. Polegały one nie na bezplanowym raczej ogłaszaniu listów Sienkiewicza, wyrywanych z zespołów, do których należały, ile na gromadzeniu materiałów, przechowywanych w rodzinach adresatów. I to materiałów, które dzisiaj albo nie istnieją, albo są niedostępne. Odpisał tedy Birkenmajer listy do J. Horaina, do Morawskich, Kazimierza, Konstancji i Zdzisława, do Roberta Wolffa, dalej listy zachowane w kurii biskupiej w Sandomierzu, następnie kilka listów bez adresatów w zbiorach Biblioteki Jagiellońskiej. Osobno wymienić należy serię korespondencji o charakterze nieosobistym, tj. listy do przedstawicieli Polonii amerykańskiej, pisywane przez Sienkiewicza w związku z jego działalnością szwajcarską czasu pierwszej wojny światowej.

Wspomnieć tu na koniec się godzi Ludwika Bernackiego, rodzinnie (przez żonę, córkę malarza Kazimierza Pochwalskiego) związanego z kołem bliskich przyjaciół Sienkiewicza. W tekach Bernackiego, zawiera-

jących materiały do redagowanych przez niego *Pism* w wydaniu Ossolineum, zachowały się odpisy niewielu zresztą listów Sienkiewicza do Wł. Dieduszyckich, A. Neumanowej, L. Pinińskiego i A. Osuchowskiego.

W oparciu o zbiór Birkenmajera, przekazany mi w r. 1946 przez wdowę po nim, p. Marię Birkenmajerową, począłem wreszcie sam gromadzić korespondencję Sienkiewicza, wydobywając ją przede wszystkim z bibliotek publicznych, inwentaryzując jej pozycje, zagubione w czasopismach, poszukując jej w rocznikach prasy, nie wyzyskanych przez Dembego, i zabiegając o nią u osób prywatnych. Materiałów najwięcej znalazłem w Ossolineum; wrocławska biblioteka tej instytucji dostarczyła mi tedy dużego zbioru listów do W. Ulanowskiej, następnie listów do J. Prauna, Z. Wasilewskiego i kilku innych. W warszawskiej Bibliotece Narodowej wypłynęły listy do Dembego, F. Hoesicka, A. Guttry'ego, L. Merzbacha, J. Ochorowicza, K. Pochwalskiego i Z. Przesmyckiego. Z bibliotek innych najwięcej materiału ma Jagiellońska w Krakowie, tam bowiem znajdują się bruliony listów Sienkiewicza do różnych osób, następnie resztki korespondencji z Kronenbergami, listy do Sarneckiego i Kraszewskiego, listy wreszcie anonimowe, których dotąd zidentyfikować się nie udało. Listów takich kilka znalazło się również w Bibliotece Miejskiej w Bydgoszczy, nabytych prawdopodobnie od Wł. L. Korotyńskiego, niegdyś redaktora *Pism* Sienkiewicza w popularnym wydaniu Tygodnika Ilustrowanego. A podobnie ma się rzecz z warszawską Biblioteką Publiczną, posiadaczką listów do I. Chrzanowskiego i A. Rembowskiego oraz kilku na razie anonimowych.

O losach wymienionych tutaj zbiorów decydował zazwyczaj przypadek. Dowodzi tego choćby rzut oka na listy do Chrzanowskiego. Ponad trzydzieści ich zachowało się u rodziny adresata, dwa w Bibliotece Publicznej w Warszawie, dwa inne w Bydgoszczy. Dowodzić zbytecznie, że sens ich właściwy odczytać można dopiero wtedy, gdy znajdą się one pod wspólną okładką czy we wspólnej tece.

3

Zdanie ostatnie automatycznie stawia nas wobec konieczności odpowiedzi, jaki jest w ogóle sens przeprowadzanych tutaj rozważań, co wart jest naukowo wysiłek wkładany w odszukiwanie i gromadzenie korespondencji Sienkiewicza, i jaki z niej naukowy zrobić użytek. Przygotowanie do tej odpowiedzi znaleźć najprościej można obserwując praktykę tych wszystkich poprzedników, którzy od lat pięćdziesięciu ogłaszali listy sienkiewiczowskie, z wyłączeniem oczywiście wypadków, gdy

wydawcom ich zależało wyłącznie na wywołaniu łatwej sensacji lub gdy chodziło o pokazanie cennej, jak sądzili, „pamiątki".

Odpowiedź najprostszą wynika z poglądu, iż listy pisarza, „choćby tylko od ekonoma list albo przymierze wiecznej miłości z Handzią lub Marylką", są zawsze jakimiś dokumentami biograficznymi. Truizmem byłoby dowodzić, iż podstawowym warunkiem poprawnego, pełnego zrozumienia twórczości pisarza, choćby na pozór z życiem jego nie związanej, jest dokładna, kalendarzowa wręcz znajomość tego życia. Biografii zaś Sienkiewicza dotąd nie mamy, napisanie jej nastręcza duże trudności z tego prostego względu, iż autor *Listów z podróży* już na wstępie tego właśnie dzieła bawił się myślą, iż sąsiedzi z okolic Łukowa „będą mnie uważać za rodzaj powiatowego Ferdynanda Korteza"[9]. Stosunki jego tak się układały, iż zaryzykować można zdanie, że chyba połowę życia spędził w wagonach i hotelach. Czy obliczenie to jest dokładne, odpowiedzieć by można dopiero po ułożeniu *calendarium*, wskazującego, gdzie i kiedy mieszkał w kraju i za granicą, z kim się stykał, widywał, rozmawiał, jak stosunki z ludźmi wyzyskiwał i jako człowiek, i jako pisarz. Jak zaś trudno się było w tym zorientować samemu wędrowcowi, dowodzi list do Dembego. Przyszły organizator Biblioteki Narodowej począł ok. r. 1899 zbierać materiały do biografii żyjących podówczas pisarzy; w tym celu rozesłał ankietę i skierował ją również do Sienkiewicza. Ten, zajęty właśnie kończeniem *Krzyżaków*, zaproponował Dembemu wywiad:

> Byłoby dla mnie najdogodniej, gdybyś Szanowny Pan zechciał potrudzić się do mnie i załatwić tę sprawę na poczekaniu. Miałoby to i tę dobrą stronę, że pytałbyś Pan tylko o te rzeczy, o które najwięcej Mu chodzi. Z datami bibliograficznymi a nawet biograficznymi, zwłaszcza tyczącymi podróży, i tak będzie bieda, ale we dwóch pójdzie zapewne łatwiej.

Gdy się o tym pamięta, poczyna się cenić nawet garść listów z r. 1895 do lekarza warszawskiego, dra Bauerertza, do którego Sienkiewicz stale cierpiący na „scyjatykę" (ischias) i narażony na kłopoty z „granulacjami" (migdałami) zwracał się o pomoc. Bileciki te pozwalają biografowi ustalić daty pobytu autora *Połanieckich* w Warszawie r. 1895.

Listy te następnie kładą kres niejednej legendzie, przyrosłej do jego nazwiska, a nie zawsze odpowiadającej rzeczywistości. I tak od początków naszego stulecia, od namiętnych ataków Stanisława Brzozowskiego, wywołanych wypowiedzią Sienkiewicza na temat „rui i porubstwa" w dramaturgii ówczesnej, ustaliła się opinia o wrogim jakoby stosunku

[9] Dzieła XLI, s. 8.

twórcy *Bez dogmatu* do młodszej generacji literatów. Jak to było w istocie, dowiedzieć się można dopiero z korespondencji, i to z listów prywatnych, jakkolwiek cała sprawa przeszła przez kolumny dzienników. Z końcem mianowicie roku 1888 warszawskie *Słowo*, rychło po ukończeniu druku *Pana Wołodyjowskiego*, przyniosło następujący list: [10]

Kochany Redaktorze!

Jak ci wiadomo, w dniu wczorajszym odebrałem przesyłkę pieniężną, obejmującą piętnaście tysięcy rs i kartkę ze słowami: „Michał Wołodyjowski — Henrykowi Sienkiewiczowi".

Jakkolwiek zwyczaj składania podobnych dowodów pieniężnego uznania dla literatów i artystów jest dość rozpowszechniony za granicą, nie był on dotychczas znany u nas, gdzie — wobec ogólnego ubóstwa — tysiące pilniejszych potrzeb oczekuje zaspokojenia.

Co się tyczy mnie osobiście, przyjęcie takiego daru nie jest zgodne ani z moim usposobieniem, ani z moją fantazją. Nie będąc człowiekiem bogatym, zarabiam tyle, a nawet więcej, ile mi potrzeba. Dlatego mimo wielkiej wdzięczności dla dawcy, ukrywającego się pod pseudonimem Michała Wołodyjowskiego, daru jego przyjąć nie mogę. Pieniądze złożyłem, jako depozyt, w Towarzystwie Kredytowym Ziemskim, gdzie w ciągu trzech lat mogą być za udowodnieniem odebrane. Po upływie tego terminu rozporządzę nimi według własnego uznania.

Zostaję *etc.*

Henryk Sienkiewicz

Widocznie jednak ofiarodawczyni, bogata ziemianka spod Kaniowa, Maria z Hołowińskich Czosnowska (później Łubieńska [11]), znalazła z tej sytuacji jakieś wyjście dla obu stron możliwe, w pół roku bowiem później, w maju 1889, Sienkiewicz „złożył imieniem swej śp. żony, Marii z Szetkiewiczów Sienkiewiczowej, kwotę 15750 rubli" Zarządowi Akademii Umiejętności w Krakowie, jako fundusz stypendialny, z następującym przeznaczeniem:

...odsetki od niego bez względu na wysokość, jaką kapitał w przyszłości osiągnąć może, Akademia wypłaci w kuponach każdego roku, jako jednorazową bezzwrotną zapomogę Polakowi literatowi, uczonemu, artyście-malarzowi, artyście-rzeźbiarzowi lub kompozytorowi muzycznemu, który nie mając potrzebnych środków, a cierpiąc na chorobę płuc (suchoty), będzie potrzebował wyjechać do jakiejkolwiek stacji klimatycznej dla poratowania zdrowia, lub który żonę swą cierpiącą na chorobę płuc (suchoty) zawieźć lub wysłać będzie zmuszony do jakiejkolwiek stacji klimatycznej.

---

[10] Słowo, 11 XII 1888, nr 277.

[11] Nazwisko podaję za broszurą Boleścic Kozłowskiego, *H. Sienkiewicz i ród jego*, 1918, s. 39. Hoesick (*Sienkiewicz i Wyspiański*, s. 201), a za nim Birkenmajer (Przegl. Powsz., 1935, 204, s. 445) wymieniają tu Wołodkowicza (którego przybraną córkę poślubił w r. 1893 Sienkiewicz, przy czym do ołtarza prowadziła ją właśnie Czosnowska). Kozłowski biograf rozbrajająco nieudolny, informacje ma przeważnie dobre, sądzę więc, że polegać na nim i tutaj można.

W korespondencji lat późniejszych niejednokrotnie przewijają się pogłosy tej fundacji. Jeden z wymowniejszych — to uwaga w liście do K. Morawskiego z r. 1894:

> Ile biedy i chorób na świecie! Gdym fundował to stypendium, ludzie patrzyli na nie jak na jakiś pomysł literacki, a teraz przekonywam się, że zdałoby się takich więcej — i że mam prawo wyboru kandydata, jakie sobie zastrzegłem, jest przede wszystkim ogromną dla mnie przykrością ze względu na konieczność odmawiania tylu ludziom potrzebującym prawdziwie ratunku.

W danym wypadku chodziło o to, że Sienkiewicz sam zaproponował Konopnickiej, by wniosła podanie, prosił jednak Morawskiego o zachowanie sekretu, „bo to kwestia jej miłości własnej". Znane są inne listy Sienkiewicza: do Benniego w sprawie chorego Witkiewicza i do Kronenberga zapewne w sprawie Wyspiańskiego, przy czym w obydwu występuje ta sama troska o pomoc, ale tak dyskretna, by nie dotknąć nią osób zainteresowanych. Do osób tych zaś należeli pisarze przekonaniami artystycznymi i politycznymi od Sienkiewicza bardzo odlegli, tacy jak St. Przybyszewski lub G. Daniłowski.

Korespondencja rzuca dalej interesujące światło na wystąpienia polityczne Sienkiewicza, a więc dziedzinę jego działalności bardzo niegdyś głośną, gorąco podziwianą przez jednych, namiętnie potępianą przez innych, dotąd zaś naukowo całkowicie nie znaną. Nie wchodząc w szczegóły, których przedstawienie wymagałoby sporej książki, wskażę na jeden tylko przykład: na listy do K. Morawskiego, wyjaśniające genezę listu otwartego Sienkiewicza do Wilhelma II z protestem przeciw polityce szkolnej Prus, stosowanej wobec ludności polskiej. Poseł do sejmu pruskiego, Mielżyński, prosił Sienkiewicza o zabranie głosu w tej sprawie na łamach prasy francuskiej, nie przewidując, iż pomysł jego otrzyma realizację w skali światowej. Sienkiewicz mianowicie powziął zamiar zaatakowania króla pruskiego; by zaś wystąpieniu swemu nadać charakter enuncjacji możliwie poważnej, zwrócił się o pomoc do dwu ludzi: zawodowego polityka, jakim był Stanisław Tarnowski, i do Morawskiego, Poznaniaka z pochodzenia, a więc obeznanego z faktycznym stanem rzeczy. Ustaliwszy na konferencji z nimi tekst listu, sam zajął się mozolnym jego rozesłaniem, co w czasach, gdy maszyny do pisania były rzadkością, nie należało do zadań łatwych; nade wszystko zaś całą odpowiedzialność wziął na siebie, z góry przewidując środki bezpieczeństwa dla tych, w których obronie wystąpił.

Nie przeceniając doniosłości wystąpień politycznych Sienkiewicza, jego list z r. 1906 uznać się jednak musi za krok starannie obmyślony

i przygotowany, a nie za improwizację literacką obliczoną na wywołanie sensacji [12].

Stwierdzenie tego rodzaju ma swoją wartość dla badacza korespondencji Sienkiewicza. Od początków mianowicie w. XX, od wystąpień Nałkowskiego, Brzozowskiego i Niemojewskiego, zarysowała się u nas tendencja do portretowania autora *Trylogii* na czarno; była to nieuniknionа reakcja przeciwko dawniejszym tendencjom robienia portretów wyidealizowanych, tendencjom, które w r. 1916 i następnych, zwłaszcza w r. 1926, osiągnęły swe nasilenie najwyższe. Biograf Sienkiewicza będzie musiał wziąć w rachubę jedne i drugie i wybrać drogę zgodną z rzeczywistością, z tym, jak to było naprawdę. Nie bawiąc się w proroka, przewidywać można, że żywota Sienkiewicza nie da się wystylizować w manierze Plutarcha. Tak, ale w biografii tej znajdą się karty dowodzące, że głośny pisarz był na codzień człowiekiem bardzo porządnym, i to w życiu zarówno prywatnym jak publicznym, na które skazywała go właśnie jego popularność. Przyjaciel Stanisława Tarnowskiego, zasięgający jego rady przed doniosłymi poczynaniami politycznymi, był niewątpliwie konserwatystą; już jednak dzisiaj, na podstawie dostępnej korespondencji, zaryzykować można pogląd, iż był to konserwatysta, nie zamykający oczu na wymagania życia, nie zaślepiony przez wyznawaną doktrynę, konserwatysta, którego trudno byłoby nazwać wstecznikiem.

Tak stawiając sprawę czynię to nie dla „wybielania“ Sienkiewicza, lecz w przekonaniu, że tak wygląda historyczna prawda o nim, że tak było w istocie. Do takich wniosków wiedzie znajomość jego korespondencji. A jeśli tak, to znaczenie tej korespondencji, jako materiału wiodącego do zdobycia prawdy, w tym punkcie uważać można za udowodnione.

4

Względy dotąd wyłuszczone nie wyczerpują bynajmniej sprawy doniosłości korespondencji Sienkiewicza, wykracza ona bowiem daleko poza obręb materiałów biograficznych i dotyczy zagadnień, którymi zajmować się musi również badacz, który z pola swej pracy eliminuje elementy biograficzne jako „nieważne“. Korespondencja ta mianowicie zawiera mnóstwo wiadomości z zakresu tego, co nazywam biografią literacką, a co jest zespołem danych ściśle wiążących się z twórczością badanego pisarza. I na tym właśnie polu dotychczasowa praktyka wska-

[12] Przemawia za tym również okoliczność, że sprawę listu do Wilhelma II Sienkiewicz omawiał w listach do Osuchowskiego, a prawdopodobnie również w korespondencji z Bennim i ks. Chełmickim.

zuje dowodnie, że materiały korespondencyjne, ogłaszane przez Chrzanowskiego czy Birkenmajera, pozwalają wyjaśnić sporo problemów dotyczących powieści *Na marne* czy *Rodzina Połanieckich*, problemów, które tkwią w tekstach tych dzieł, a na zasadzie samych tekstów rozwiązać się nie dadzą.

Dotyczy to w pierwszym rzędzie spraw najprostszych, takich jak chronologia utworów, a więc spraw bibliograficznych. Przerzucając listy Sienkiewicza raz po raz trafiamy w nich na wiadomości o rozpoczynaniu, pisaniu i kończeniu dzieł mniejszych i większych, o podejmowaniu jednych a zarzucaniu innych pomysłów literackich. Typowym przykładem może tu być ustęp z listu, który Sienkiewicz napisał do Horaina z Los Angeles w końcu września 1876. Ustęp ten, znany wprawdzie, ale w postaci skażonej,[13] brzmi:

> Nie ma jeszcze i dwóch tygodni, jak posłałem *Selima Mirzę* — rzecz także dosyć dużą, tak więc w Anaheim kropnąłem już: I-o Pięć korespondencyj, bitego pisma — każda po sześć arkuszy. II-o Dramat w 5 aktach pt. *Na przebój*. III-o *Selim Mirza*. IV-o *Szkice węglem*. To się znaczy więcej, niż w ciągu jakich dwóch lat w Warszawie. Ot, co znaczy nie wydawać się na fejletoniki. — Korespondencje tyle nie kosztują, bo mają jakiś dotykalny materiał, a fejletoniki nie — trzeba bicz z piasku kręcić i branzlować się. Przy tym widocznie służy mi ciepły klimat. Tego, co w Anaheim zrobiłem, starczyłoby na jaką taką za..... reputację. Najlepszy jest dramat.

Obok tej gaskonady kalifornijskiej wskazać można na listy do Stanisława Smolki czy do Roberta Wolffa, udostępnione drukiem ze względu na zawarte w nich wiadomości o sposobie pisania *Ogniem i mieczem*. Z pierwszych wiadomo, że powieść pierwotnie miała mieć tytuł *Wilcze gniazdo;* do drugich, dotyczących nowej redakcji zakończenia, wypadnie wrócić za chwilę. Obie serie dostarczają zatem materiału do komentarza genetycznego.

Kiedy indziej znowuż na podstawie korespondencji wyskakują przeróżne zagadki bibliograficzne, czekające rozwiązania. I tak w liście do kogoś z przyjaciół, zapewne do Leopolda Mikulskiego, pisanym z Paryża r. 1878, dowiedzieć się można o korespondencji znad morza, wysłanej do Gazety Polskiej, a odrzuconej przez redaktora E. Lea, jako „radykalnie antyreligijnej". List znowuż z Arcachon do J. Ochorowicza odsłania Sienkiewicza jako autora nie zidentyfikowanego dotąd artykułu o Kraszewskim, przeznaczonego dla Temps lub Journal des débats.

---

[13] Urywek ten przytoczył w zakończeniu swego szkicu Czempiński w Bluszczu (1917, s. 261). Wydawca zaopatrzył go w datę 1874 (!) i oczyścił z nazbyt soczystych wyrażeń. Listu tego nie ma w korespondencji Horaina, zachował się natomiast jego odpis ręką Marii Sienkiewiczowej, od której pochodzi owa błędna data i kropki w zdaniu przedostatnim.

Co może jeszcze mniej zwykłe, korespondencja Sienkiewicza przynosi niekiedy gotową odpowiedź na pytania, które stawiali i usiłowali rozwiązać badacze jego twórczości, zwłaszcza jego powieści historycznych. Tak więc w Bydgoszczy zachował się list z 18 czerwca 1885 do jakiegoś nieznanego adresata w Częstochowie (był nim może Klemens Podwysocki), którego zainteresowała sprawa źródeł historycznych, używanych przez Sienkiewicza przy pisaniu *Trylogii*. Obszerna odpowiedź autora zawiera całą, długą listę dzieł naukowych i pamiętnikarskich, mozolnie odszukiwanych po latach przez J. Kijasa i innych badaczy tej dziedziny, do tytułów jednak dzisiaj ustalonych dorzuca pozycje nie znane, jak *Silva rerum Wiśniowieckich* (rękopis w bibliotece Przezdzieckich) oraz *Regestra chorągwi koronnych r. 1648* (rękopis). Na zasadzie znowuż listów do Wodzińskiego i do H. Dynowskiego, ustalić można bez wysiłku znaczną ilość źródeł historycznych, którymi Sienkiewicz posługiwał się przy pisaniu *Krzyżaków*. Dostarczała mu ich w Warszawie biblioteka Kronenberga, w której pracował Dynowski.

Ograniczając się tutaj do uwag ogólnych o najważniejszych zespołach korespondencji sienkiewiczowskiej, na dwu z nich położyć należy nacisk szczególny. I tak listy do A. Wodzińskiego są istną kroniką dziejów sławy Sienkiewicza we Francji, a pośrednio również w całym świecie dziewiętnastowiecznym, wprowadzającą nas w tajniki rywalizacji między wydawcami, przekładów korsarskich, kampanij propagandowych, zabiegów wreszcie samego autora o poczytność wśród obcych. Listy do Wolffa, mimo sporych luk, o których mówiłem poprzednio, rzucają dużo światła na podszewkę ekonomiczną pracy głośnego powieściopisarza, na jego zarobki literackie, a więc na dziedzinę w naszych pracach naukowo-literackich nawiedzaną rzadko i wskutek tego całkowicie nam nie znaną.

Listy znowuż do Lubowskiego wtajemniczają czytelnika w zawiłe sprawy przeżyć psychicznych twórcy *Bez dogmatu*, ukazują jego pracę od strony codziennego wysiłku, od strony mozolnego rzemiosła literackiego, uwydatniają sprawy, których domyślać się tylko można na zasadzie znajomości autografów jego dzieł.

A wreszcie korespondencja Sienkiewicza stale, choć marginesowo, porusza sprawy natury filologicznej czy tekstologicznej, dotyczące poprawności jego dzieł, a więc zagadnienia, z którymi boryka się każdy wydawca jego puścizny, zazwyczaj pozbawiony możności sprawdzenia swych wątpliwości na podstawie zaginionych rękopisów i skazany na domysły. W listach mianowicie raz po raz czytamy skargi na niedbalstwo drukarskie zarówno w czasopismach jak w wydaniach książkowych utworów

Sienkiewicza. I tak już pierwszy list do Wolffa (z 16 V 1884) rozpoczyna się od wymownego zdania:

> Jestem zajęty korektą do drugiego wydania. Pierwsze jest pod psem.

A idzie tu o *Ogniem i mieczem*. List zaś drugi:

> Za kilka dni odsyłam korektę dwóch pierwszych tomów... Bardzo jestem Panu wdzięczny, żeście czekali, bo pierwsze wydanie przepełnione jest nonsensami pochodzącymi z wadliwej korekty. Wyrażenia rusińskie trzeba będzie dać do poprawienia p. Bykowskiemu, który — jak słyszałem — obiecał się tym zająć [14].

W Bydgoszczy znowuż zachował się bilecik Sienkiewicza do przyjaciela, niesłusznie dziś zapomnianego dobrego prozaika, Juliana Łętowskiego, korektora *Trylogii*, pisany w toku druku *Pana Wołodyjowskiego*, w r. 1888:

> Kochany Panie Julianie.
>
> Bądź Pan łaskaw zamiast frazesu Zagłoby *Apud Polonos nunquam sine clamore etc.* napisać: *Poloni nunquam sine clamore et strepitu gaudent.*

Łętowski poprawki nie wprowadził i we wszystkich wydaniach dotychczasowych zdanie to występuje w postaci przez autora zakwestionowanej [15].

Przygotowując wydanie *Quo vadis* utknąłem na ustępie opisującym pożar Rzymu:

> W środku olbrzymie miasto na wzgórzach, zmienione w huczący wulkan, naokół zaś, aż do Gór Albańskich, jedno nieprzejrzane koczowisko [...], pełne gwaru, krzyków, gróźb, nienawiści i strachu, potworny wyraz [!] mężczyzn, kobiet i dzieci [16].

Odczytałem urywek ten kilka razy i wreszcie doszedłem do wniosku, że jednak w rękopisie musiało tu być inaczej, że Sienkiewicz napisał: „potworny wyraj mężczyzn, kobiet i dzieci" — i w tej postaci zdanie to wprowadziłem do wydania *Dzieł* [17]. Łatwo sobie wystawić, z jakim zadowoleniem wyczytałem w liście do Wolffa z 9 VI 1896 następującą uwagę:

> ...korekta *Quo vadis* jest licha, a zwłaszcza niekonsekwentna. Winicjusz pisze się przez *V* łacińskie, a np. Witeliusz przez *W*. Takiej zasady nie rozumiem. Pozmieniano też i wyrazy. Zamiast „wyraj" jest „wyraz", co nie ma sensu.

---

[14] Birkenmajer, *Garść listów*.
[15] *Dzieła* XVIII, s. 158.
[16] *Quo vadis* (pierwodruk), 1896, III, s. 26.
[17] *Dzieła* XXII, s. 19.

By nie mnożyć przykładów, poprzestanę na przytoczeniu jednego już tylko drobiazgu z tekstu *Krzyżaków*, wymienionego w liście z 24 VIII 1897 do M. Gawalewicza, redaktora Tygodnika Ilustrowanego, gdzie powieść się ukazywała [18].

> Piszę znów do Was z prośbą, abyście wzięli w kupę korektę. Jestem od dawna otrzaskany z jej błędami i mało na nie wrażliwy, ale czasem omyłki w *Krzyżakach* zbyt psują rzecz.

Po przytoczeniu kilku nonsensów, które w wydaniach książkowych usunięto, Sienkiewicz ciągnie dalej:

> Bobry w przedostatnim numerze bobrują „po wzgórkach i drogach". Nie mogłem tego powiedzieć o zwierzętach żyjących w wodzie. Miało być „bobrują po jeziorkach i mokradłach". Piszę dość wyraźnie, a trudniejsze wyrazy staram się nawet kaligrafować, pomimo tego jednak ani razu nie złożono: grajęcy, śpiewajęcy, tylko: grający, śpiewający *etc.* Ginie przez to koloryt języka, o który zawsze mi chodzi.

Niestety, owe bobry po staremu bobrują na miejscach niewłaściwych we wszystkich wydaniach po dzień dzisiejszy; z melancholią bowiem wyznaję, że przytoczonego listu nie pamiętałem, przygotowując najnowsze edycje *Krzyżaków*, oparte na pierwodrukach i rękopisie, który zresztą w tym właśnie miejscu wykazuje lukę [19]. Inna rzecz, że w rękopisie tym nie mogło być „po jeziorkach i mokradłach", jak to autor z pamięci rekonstruował, lecz niewątpliwie „po jeziorkach [czy raczej: bajorkach] i strugach", inaczej bowiem trudno by było zrozumieć, jak zecer mógł dane wyrazy przekręcić, zastępując zwłaszcza długie „mokradła" krótkimi i brzmieniowo odległymi „drogami".

Sumując uwagi dotychczasowe dochodzi się do wniosku, że korespondencja Sienkiewicza jest niezastąpionym źródłem nie tylko biograficznym, ale i historycznoliterackim, nieodzownym zarówno dla komentatora tekstów, wyjaśniającego w nich takie czy inne szczegóły, badającego ich genezę czy ich popularność, jak nawet dla wydawcy — tekstologa, ustalającego ich autentyczne, poprawne brzmienie.

5

Omawiając listy Sienkiewicza, nie poruszyłem dotąd tej ich strony, z którą zawsze liczyć się trzeba, gdy chodzi o korespondencję niepospolitego pisarza, strony ich artystycznej. Wskazywałem dotąd na znaczenie ich jako dokumentów literackich, z kolei więc należy odpowiedzieć

---

[18] Listy w Ruchu Lit., 1930.
[19] *Dzieła* XXIII, s. 214.

na pytanie, czy i w jakim stopniu są one również dziełami sztuki. By nie wdawać się w zawiłe dociekania teoretyczne, sprowadzam rzecz całą do sprawy praktycznej, łatwej do sprawdzenia. List znanego pisarza może zainteresować czytelnika zwykłego, który nie zna jego autora, któremu chodzi o sam tekst, a nie o wiadomości o autorze, zajmujące dla czytelnika specjalnego, posiadającego zainteresowania naukowe, niekoniecznie zaś literackie.

Odpowiedź z natury rzeczy będzie tu podwójna. Wśród listów Sienkiewicza są obie kategorie: są listy czysto dokumentarne, jak wspomniane bilety do lekarza czy do Łętowskiego, obok nich są jednak listy, które uznać trzeba za utwory sztuki epistolograficznej, więcej nawet, bo za jeden z najwybitniejszych jej okazów w literaturze polskiej.

Takie postawienie sprawy nie zdziwi nikogo, kto pamięta upodobanie Sienkiewicza do listu jako formy literackiej, zadokumentowane kilku tomami listów z podróży i wycieczek. Dowodem innym, bezpośrednim, będą kalifornijskie listy Litwosa skierowane do kogoś z przyjaciół, drukowane w zaginionym dzisiaj, a przynajmniej w Polsce nie zachowanym roczniku Kuriera Codziennego (1877), udostępnione dopiero w wydaniu zbiorowym *Dzieł,* wydawcy bowiem dawniejsi traktowali je widocznie jako wypowiedzi prywatne lub też może po prostu do danego rocznika dotrzeć nie mogli. Dowodem takim samym będzie omówione poprzednio włączenie do tomu *Pism zapomnianych i nie wydanych* listów do M. Kellerówny i A. Leo, jakkolwiek pozycje te z całością zbioru niezupełnie harmonizują.

Gdyby nie obawa przed pospiesznymi, wskutek tego fałszywymi uogólnieniami, założyć by można, że listów o charakterze artystycznym szukać by należało w korespondencji z zażyłymi przyjaciółmi Sienkiewicza, a raczej z przyjaciółmi i przyjaciółkami. Za regułę jednak uważać tego nie podobna; z jednej bowiem strony zwyczajne zaproszenie do siostrzeńca raz ma postać pospolitą, suchego zawiadomienia, kiedy indziej zaś, jak się dalej okaże, będzie drobiazgiem pełnym dowcipnego wdzięku; z drugiej zaś — list w interesie zmieni się w interesującą pogawędkę. W każdym razie ujęcie sprawy poprawne będzie tu brzmiało, że listy artystyczne występują zazwyczaj tam, gdzie adresatami są osoby uczuciowo bliskie autorowi, co i naturalne, od czasów bowiem co najmniej Cycerona wiadomo, iż dobry epistolograf stosuje się do wymagań adresata. Klasycznym przykładem tego może być nie skończony, a raczej pozbawiony końca list do jakiejś kobiety, pisany w Atenach w r. 1887, przechowany w Bibliotece Jagiellońskiej. Jest to jakby pierwszy szkic *Wycieczki do Aten,* zaprawiony jednak humorem już w zdaniu wstęp-

nym: „Rano pisuję, o 12 jem śniadanie i pyrgam na miasto lub za miasto“, następnie zaś w zabawnej autocharakterystyce, ozdobionej rysuneczkiem-autoportretem. Do tej samej kategorii należą hiszpańskie listy do Janczewskiej z r. 1889, wyprzedzające *Walkę byków*. I w pierwszym, i w drugich występuje wyraźnie znamienna dla Sienkiewicza precyzja w obserwacji szczegółów życia potocznego, której towarzyszy plastyka wyrazu. I właśnie zespolenie tych dwu właściwości stanowi o charakterze artystycznym listów do Horaina, Kazimierza Morawskiego czy Ulanowskiej. Są to żywe i barwne obrazki z życia, ukazujące miejscowości, mieszkańców, zwyczaje i wydarzenia w sposób, który po latach kilkudziesięciu nie stracił nic ze swej świeżości i do czytelnika, w życie autorskie nie wtajemniczonego, przemawia tak, jak zapewne przemawiał do adresata.

Do tego dochodzi humor, niekiedy dyskretny, niekiedy graniczący z gromką jowialnością, niekiedy uderzający dowcipem. Tak więc w Bibliotece Jagiellońskiej zachował się brulion listu do jakiegoś kanonika sandomierskiego z podziękowaniem za pomoc w uzyskaniu zgody biskupiej na kaplicę w Oblęgorku. Sienkiewicz z powagą typowego dziedzica wyjaśnia korzyści tej innowacji dla wiernych, ale równocześnie z uśmiechem godnym A. France'a dodaje, iż siostrzenicy jego, kanoniczce warszawskiej, a — jak skądinąd się okaże — wielkiej miłośniczce kart, chodziło w danym wypadku o księdza przyjeżdżającego ze mszą jako o... czwartego do winta!

Inne akcenty rozbrzmiewają w młodzieńczych, kalifornijskich listach do Horaina. Huczy w nich rubaszna, kawalerska jowialność w stylu imć Onufrego Zagłoby czy jego amerykańskiego modelu, kapitana Piotrowskiego. Słownictwu bardzo dosadnemu, przeniesionemu z zebrań warszawskiej cyganerii artystycznej, stosowanemu zresztą niekiedy i w korespondencji z Wolffem, towarzyszą tu zawiesiste koncepty, m. in. operowanie bardzo zabawnymi, ale wysoce niesalonowymi przysłowiami ukraińskimi. Należy do nich list z Los Angeles, przytaczany poprzednio. Zachował się on, jak wiemy, w odpisie sporządzonym przez żonę autora, eks-kanoniczkę, która nieprzyzwoite wyrazy polskie (te, które rozumiała!) starannie wykropkowała, kawał zaś ukraiński przepisała, z błędami zresztą, nie orientując się widocznie, co on znaczy. Wyobrazić sobie można, jaką uciechę miałby sam twórca Zagłoby, gdyby ten dokumencik ironii losów wpadł mu był w rękę, albo też jak byłby nim uradowany tłumacz Rabelais'go, Boy Żeleński, natrząsający się z analogicznych sytuacyj w biografii Sienkiewicza!

Nawet i później, gdy dawnemu Litwosowi wywietrzały z głowy figle sowizdrzalskie, humor dźwięczał w jego listach tam, gdzie mógł liczyć

na sympatyczny oddźwięk u adresata. Dowodzi tego jedyna w swoim rodzaju pochwała Krakowa w neapolitańskim liście do K. Morawskiego, datowanym 13 marca 1894 w czasie intensywnej pracy nad dobiegającą końca *Rodziną Połanieckich*:

U nas zima kona, a tu już skonała — zostawiwszy na pamiątkę influencę. Mnóstwo ludzi choruje — a mnie już tak zmordowała, że ledwo zipię. Wyobraź Pan sobie katar, ból oczu, ból głowy, łamanie w kościach, upał, *Połanieckich* i od rana do nocy, ale to literalnie od rana do nocy, pod oknami *Foniculi-Fonicula!* lub *Santa Lucia!* na gitarach, katarynkach, skrzypcach, trąbach i tym podobnych narzędziach tortur. W czasie obiadu muzyka w sali jadalnej.

W ogóle Włochy przy influency, przy pracy i innych tego rodzaju miłych warunkach są przesądem. *Łuczsze* [!] *u nas w Kołomyi* — i coraz bardziej dochodzę do przekonania, że gdyby Kopiec Kościuszki trochę dymił, a na Błoniach było trochę więcej wody niż w Rudawie, Neapol nie mógłby iść w porównanie z Krakowem, w którym warunki życia są wprost przednie. Mieszkańcy takiego miasta nie powinni by umierać i jeśli to robią, to sądzę, że w części przez zamiłowanie do stałych tradycji, a w części przez naśladowanie zagranicy.

Zdaje się, że zaczynam naśladować Bukackiego, ale przecie jeśli komu — to mnie to wolno.

Taki sam ton miłego dworowania z samego siebie i otaczającego świata uderza w liścikach do I. Chrzanowskiego z lat 1895 i 1897 (w zbiorach Biblioteki Publicznej w Warszawie). Pierwszy z nich, z aluzjami do *Połanieckich*, brzmi:

Kochany Panie Ignasiu Zawiłowski.

„Familia“ zgromadzi się dziś u mnie o piątej wieczorem na herbatę. Przyjdź, a jeśli masz jakie lekcje, to je opuść, albowiem mędrzec mówi: nie masz rozkoszy nad zaniedbanie obowiązku.

Obyś odziedziczył majątek po jakiej pannie Helenie Zawiłowskiej i oby cię nie zdradziła już żadna Castelka.

H. S.

List drugi, pisany na Trzech Króli w dwa lata później, zabawnie demonstruje ową „familię“: dwie kanoniczki, siostrę Helenę i kuzynkę, a późniejszą żonę pisarza, Marię Babską:

Kochany Ignasiu.

Będzie dziś u mnie wint wołający o pomstę do Boga, to się znaczy, że wezmą w nim udział Helcia i Marynia. Czybyś nie chciał wziąć udziału w tym podeptaniu wszelkich prawideł gry w szczególności, a wszelkiej logiki i inteligencji oraz praw ludzkiego myślenia w ogóle. Jeśli tak, to przyjdź do mnie przed siódmą. Prócz was będzie tylko Janek Komierowski.

Ściskam Cię.

H. Sienkiewicz

W znanej mi korespondencji uderza osobliwa luka; brak w niej listów miłosnych. Wyjątek stanowi tu tylko osobliwostka, cztery listy do Marii Radziejewskiej, ale właśnie ze względu na wyjątkowość ich wolę się nimi tutaj nie zajmować.

W zamian za to chciałbym uwagi końcowe poświęcić innej adresatce choćby po to, by położyć kres plotkarskiej legendzie biograficznej, utrwalonej w dokumentach Ossolineum; w jego bowiem zbiorach przechowało się ponad sto niesłychanie ciekawych listów do Wandzi Ulanowskiej z ostatniego dziesięciolecia życia Sienkiewicza. Była to wychowanka znanego przed laty luminarza krakowskiego, profesora uniwersytetu i sekretarza Akademii Umiejętności, Bolesława Ulanowskiego. Zaprzyjaźniony z jego rodziną Sienkiewicz, zaprzyjaźnił się również z sześcioletnią czy może ośmioletnią Wandzią w r. 1906 i aż do śmierci pisywał do niej listy. Przywiązanie sześćdziesięcioletniego pisarza do jasnowłosej dziewczynki, z biegiem zaś lat przystojnej panienki, stało się źródłem plotek, które dały wynik bardzo zabawny. Z czasem adresatka sprzedała listy bibliotece Ossolineum, nie wiedziała jednak, iż część ich, wydzielona przypadkowo, znalazła się w ręku jej dawnej guwernantki, późniejszej zakonnicy. Osoba ta wychowywała z kolei p. Pochwalską, późniejszą żonę dyrektora Ossolineum Ludwika Bernackiego, i jej listy te ofiarowała. Ostatecznie znalazły się one również w Ossolineum, ale osobno, z metryczką i zastrzeżeniem L. Bernackiego, iż wolno je wydobyć z opieczętowanego pakietu dopiero w r. 1950. Warunek ten wskazuje, jakie musiały być komentarze bogobojnej wychowawczyni!

Sama zaś dziesięcioletnia, przebogata w szczegóły biograficzne korespondencja z młodocianą adresatką mówi bardzo wiele, choć coś całkiem innego, niż mogły przypuszczać osoby, upatrujące w niej starczą miłość autora *Bez dogmatu*. Z listów tych widać raz po raz, iż sześćdziesięcioletni laureat Nobla, a więc pisarz o sławie światowej, od roku żonaty, a więc mający swe ognisko domowe, znalazł się w swoistej pustce. Dzieci, ukochane „berbecie", dorosły i wkraczały na własne drogi, dawni koledzy i przyjaciele albo wymarli, albo zajmowali się sprawami od autora *Na polu chwały* bardzo odległymi, praca wreszcie literacka stawała się coraz uciążliwsza, zdolności twórcze bowiem w sposób naturalny ulegały wyczerpaniu. Nie pozostawało mu zatem nic innego, jak *soliloquia*, rozmowy z samym sobą. Wieloletni nawyk pisywania listów sprawił, iż owe monologi przybrały postać rozmów z dziewczęcą adresatką, która była tutaj właściwie tylko pretekstem do wypowiadania poglądów, które domagały się uzewnętrznienia, a które trudno było wyładować w inny spo-

sób. I wydaje mi się, że w listach do Wandzi Ulanowskiej ta tragiczna, choć ze względu na adresatkę złagodzona nuta osamotnienia jest czynnikiem górującym nad wszelkimi innymi, i ona w zupełności tłumaczy powstanie całego zespołu korespondencyjnego.

Mimochodem dodać warto, że listy te również obfitują w wiadomości i wiadomostki literackie, utrzymane nieraz w tonie żartobliwym. Tak więc 8 października 1910 r. Sienkiewicz pisze z Oblęgorka: „a ja zabrałem się już do Stasia i tej Nel, która pożyczyła oczu od jednego Kotka". A w jakiś czas później wysyła małej przyjaciółce „korespondentkę" z Krakowa takiej oto treści:

Szanowna i Łaskawa Pani.

Po powrocie z podróży afrykańskiej i oddaniu Nel w ręce p. Rowlisona [!], ukończyłem szkołę marynarki w Southampton. W ostatnich czasach zostałem mianowany kapitanem pancernika Redbreast. Przedtem postanowiłem jednak zwiedzić kraj rodzinny. W czasie pobytu w Warszawie dowiedziałem się od p. Sienkiewicza, osobistego Pani przyjaciela, że Pani zaczęła otaczać sympatią zarówno osobę Nel jak i moją. Z tej przyczyny ośmielam się złożyć u stóp Szanownej Pani pudełko czekoladek wraz z wyrazami najgłębszej wdzięczności i wysokiego poważania.

Stanisław Tarkowski
kapitan pancernika Redbreast

PS. — Po drodze do kraju zostawiłem w Wiedniu 12 piesków egipskich, 36 papug o głosie melodyjnym i młodego hipopotama. Gdyby Czcigodna Pani zechciała przyjąć ode mnie na pamiątkę te miłe istoty, czułbym się nadzwyczaj szczęśliwy. S. T.

*

Pozostaje jeszcze sprawa czysto praktyczna, jak naukowo wyzyskać i udostępnić okazały epistolarz Sienkiewicza, sięgający dzisiaj do liczby ponad pięciuset pozycyj, tj. obejmujący prawdopodobnie połowę tego, co z korespondencji autora *Krzyżaków* w ogóle ocalało. Lepiej by było oczywiście, gdyby się miało w rękach cały materiał, ale na to czekać nie podobna m. in. i z tego względu, że — jak wiadomo z doświadczenia — zasób wydany drukiem staje się rychło żywym pniem, obrastającym nowym listowiem, po prostu wywołuje pracę przyczynkarską, zachęca posiadaczy listów — jeśli nie ukrywanych, to zaniedbanych — do wydobycia ich i udostępnienia. Na pewno są u nas ludzie, którzy mają listy Sienkiewicza, ale jakoś nie przyszło im do głowy, że warto by je ukazać światu.

Wyzyskanie zaś naukowe zasobu obecnego jest tym łatwiejsze, że końca dobiega pierwsze, jeśli nie pełne, to od dotychczasowych daleko pełniejsze wydanie zbiorowe *Dzieł* Sienkiewicza, ukazujące się nakładem Państwowego Instytutu Wydawniczego. Jeden z jego tomów końcowych ma mieć charakter dokumentacyjny, w ramach więc kalendarza, ustalającego możliwie dokładnie daty biograficzne, przyniesie on dokumenty Sienkiewicza — od metryki chrztu po akt zgonu. Tak jak rzecz układa się dotąd, podstawowym zrębem materiałowym będą tu dane pochodzące z korespondencji pisarza.

W planie *Dzieł* przewidziano również dwa tomy na samą korespondencję, w której — z natury rzeczy — miejsce naczelne przypadnie listom o charakterze artystycznym, równocześnie jednak uwzględnione będą listy dokumentarne, oświetlające stosunki pisarza z wydawcami, tłumaczami i czytelnikami. Zgodnie jednak z założeniami wydania zbiorowego, omawiane tomy dadzą tylko wybór listów, i to bez komentarza, zastąpionego krótką informacją o adresatach. Przy listach artystycznych nie zrobi to większej różnicy, przy dokumentarnych jednak nie pozwoli to wniknąć we wszystkie sprawy w nich poruszane. W każdym jednak razie ta pierwsza próba ukazania Sienkiewicza jako epistolografa, przeprowadzona systematycznie w wydaniu książkowym, a nie przygodnie, w artykule czasopisma, powinna zaspokoić częściowo przynajmniej wysunięty tutaj postulat udostępnienia korespondencji Sienkiewicza w ujęciu naukowym, a raczej naukowo-popularnym.

Rozwiązanie zaś w pełnym sensie naukowe wyobrażałbym sobie jako wydanie wszystkich listów Sienkiewicza w sposób od dawna przyjęty, w naszej dziedzinie zastosowany tylko przez F. Bostela. Teksty listów powinny by tedy otrzymać tu staranny komentarz osobowy i rzeczowy, wyjaśniający te wszystkie drobne i doniosłe sprawy, o których autor mówi lub tylko napomyka. Sporządzenie tego rodzaju objaśnień nie należy do zadań łatwych, wymaga bowiem uważnego przewertowania kilkuset ogromnych foliałów dzienników z lat 1870—1915, między innymi takich jak gdańskie, toruńskie czy choćby berlińskie, a kompletu tych dzienników nie ma żadna z naszych bibliotek dzisiejszych. Dotyczy to nawet komentarza osobowego; z własnej bowiem praktyki wiem, jak trudno jest nieraz ustalić dane o kimś, kto przed laty w pewnym środowisku, nawet stosunkowo dobrze znanym, odgrywał jakąś drugorzędną rolę, później znikał bez śladu, by powrócić po latach jako przedmiot nekrologu, o ile nekrolog ten przypadkiem się znajdzie.

Problemem mniejszej wagi jest układ listów (wydania naukowego: bądź chronologiczny, bez względu na adresatów, bądź abecadłowy, we-

dług nazwisk adresatów, z zachowaniem chronologii w obrębie każdej korespondencji z daną osobą. Każdy z tych dwu systemów ma swe zalety i swe wady, występujące przy poszukiwaniu w listach wiadomości dotyczących pewnych określonych spraw. Ponieważ jednak trudności z wad wynikające łatwo jest opanować przy pomocy dokładnych skorowidzów, nie sądzę, by sprawą tą warto było się bliżej tu zajmować, z tym tylko zastrzeżeniem, iż duże luki w zespołach listów do pewnych adresatów nie przemawiają w tym wypadku za systemem abecadłowym. Rzecz jednak w tym, by w którymkolwiek z dwu układów ukazać w całej pełni Sienkiewicza jako epistolografa wysokiej klasy. Wtedy też dopiero wystąpi sens wysiłków naukowych, zainicjowanych przed półwieczem w szkicu I. Chrzanowskiego na temat pierwszej powieści Sienkiewicza.

KORESPONDENCJA H. SIENKIEWICZA

ZESTAWIENIE

Znaki: B = Bibl. Miejska w Bydgoszczy, BJ = Bibl. Jagiellońska, BN = Bibl. Narodowa, BP = Bibl. Publiczna w Warszawie, Oss = Bibl. Z. N. im. Ossol. * oznacza listy znane tylko z fragmentów, Odp. JB = odpis J. Birkenmajera.

Adresat	Daty	Ilość	Autograf	Miejsce druku — Uwagi
Akademia Nauk, Ptsb.	1897, 1915	3	BP, Ak. Nauk Sow. Soc. Rpb.	Autogr. brulion polski B. Fotogr. pism łacińskiego i francuskiego w tekach Chrzanowskiego.
Akademia Umiej. Kraków	1889	3	PAU	Przegl. Powszechny, 1935, t. CCVI, s. 445—450.
Akadem. Komitet sprowadz. zwłok Słowackiego	1904	3		Echo Tatrzańskie, 1919, nr 11—12.
Anonim, list z Aten	1886	1	BJ	
„ z Częstochowy	1885	1	B 422	Adresat: Kl. Podwysocki (?).
„ Feliks	1887	1	BP	Adresat: Feliks Fryze (?).
„ kanonik sandom.	1903	1	BJ	Brulion.
„ profesor	1880	1	BP	
„ tłumaczka *Quo Vadis*		1	BJ	
„ warszawski	1895—1905	3	BJ, BP	
„ z Wisły	1899	1	BJ	
„ wydawca		1	BJ	
„ z Ameryki	1905	1	Muz. Pol. Chicago	Pam. Lit. 1937, 34
„	1896	1	BP	
Baliński Ignacy	1900	1		Wieczory rodzinne, 1901, nr 1 = *Pisma zapomniane*, 1922, s. 415—416.
Barret Wilson		1	BJ	Brulion polski i angiel.
Bauerertz Adam	1895	8		Ruch Lit., 1930, 5, s. 220—221.

Adresat	Daty	Ilość	Autograf	Miejsce druku — Uwagi
Baworowski Wiktor	1889—1894	3	Bibl. Baworowskich.	Gazeta Lwowska, 16 XII 1890 = Nauka i Sztuka, 1946, nr 7—8, s. 180—182, Ruch Lit., 1934.
Bełza Władysław	1897	1	Wit. Bełza	
Benni Karol		6*	Oblęgorek(?)	Z kilkuset listów dwa, w tym jeden w urywku, druk. Bluszcz, 1917, s. 193, 201, cztery Kur. Warsz., 1916, nr 323.
Biskup Sandomierski	1903	1	Kuria Sand.	Odp. JB
Boniecki Adam	1901	2		Wiadom. Lit., 1939, nr 22.
Borodzicz Tadeusz		1		Ruch Lit. 1929, 4, 251.
Boyer d'Agen	1912	1		K. Warsz., 1912, nr 63.
Chełkowska Maria	1911	2		Zob. bibliogr.: Szaynowa.
Chrzanowski Ignacy	1895—1916	22	B (2), BP (2)	4 listy, druk. Myśl Narodowa, 1936, nr 47.
Claretie Jules	1901	1	BJ	Brulion.
Czytelnia Akadem. Lwów	1894	1	Wł. Jarocki	
Demby Stefan	1895—1902	6	BN 2737	
Dobrski Konrad	1864—1871	37		6 listów w Chrzanowskiego *Okruchach literackich*; 31 u Dembego, *Sienkiewicz w Poświętnem*.
Donimirski Antoni	1896	1	B 159	
Dynowski Henryk	1897—1901	3	BJ	
Dzieduszycki Włodz.	1903—1914	2		Odp. Teki Bernackiego.
Ejsmond Julian	1912	1		Odp. Teki Chrzanowskiego.
Finkel Ludwik	1909		Arch. U. Lw.	Pam. Lit., 1933, 30, 572.
Flammarion		1	BJ	Brulion.
Galdemar Ange	1901	1		*Pisma zapomniane*, s. 417—419.
Gawalewicz Marian	1895—1904	11	BJ (?)	Ruch Lit., 1930, 5, 15—18.
Gluziński Antoni	1894	1	B 840	
Godebski Cyprian	1897	1	BJ	
Godlewski Mścisław		2		Odp. JB.
Górski Konstanty M.	1892—1900	15		9 listów: Tygodnik Powszechny, 1946, nr 60.
Groppler Henryk	1886—1887	6		Gaz. Warsz., 1924, nr 350.
Guttry Aleksander	1916	1	BN 2736	
Henkiel Dionizy	1894	2*	Oblęgorek (?)	Podbipięta, 1937, nr 6.
Hoesick Ferdynand	1902—1908	4	BN 7003	
Hora František	1905	1	Hist. Museum	Plzno.
Horain Julian	1876—1883	23		Odp. Ossolineum, Teki Bernackiego, JB.
Jabłonowski Władysław	1900	1	BJ	
Janczewska Jadwiga	1889	13*		13 listów K. Warsz. 1931, nr 1.

Adresat	Daty	Ilość	Autograf	Miejsce druku — Uwagi
Jankowski Teodor	1906	1		IKC, 1929, nr 307.
Kamiński Jan Maur.	1886—1890	4		Tyg. Il.
Karłowicz Jan	1901	1	BJ	
Keller Maria	1874	4*		*Pisma zapomniane*, s. 355—357.
Koło literackie, Lwów	1916	1	Oss 5483	
Kozakiewicz Bronisław	1901—1913	1		
Krasińska Helena	1889—1896	8*		Z 160 listów urywki 8 u E. Krasińskiego, *O Radziejowicach*, 1934.
Kraszewski J. I.	1882	4	BJ T. 71 s. 558—563	
Kraushar Tadeusz	1909	1*		Kur. Warsz., 1924, nr 300.
Krechowiecki Adam	1889—1912	37		Pam. Lit., 1935, 30, s. 527—571.
Kronenberg Leopold	1899—1904	3	BJ	Druk. (o Wyspiańskim) Dzien. Pol., 1946, nr 251.
Kruszka Wacław	1903	1		Kruszka, *Historia polska w Ameryce.*
Kwiatkowski Remigiusz	1914	1		
Leo Edward	1879—1890	2	BJ	Odp. JB.
Leo Stefania	1876	1		*Pisma zapomniane*, 1922.
Lubowski Edward	1876—1911	24		Z 35 listów w posiadaniu E. Krasińskiego, 24 wydał St. Miłaszewski w Podbipięcie, 1936—1937.
Łętowski Julian	1888	1	B 186	
Łoziński Władysław	1879	4		Pam. Lit., 1935, 30, s. 525—527.
Masłowski Ludwik	1906	1	B 239	
Maszyński Piotr	1906	1		Kur. Warsz., 1906, nr 343.
Merzbach Henryk	1888	2	BN 2738	
Mien Juliusz	1884	1		Facs. w jednodniówce: Wisła. Ofiarom powodzi, 1884.
Morawska Konstancja	1894—1895	4		Ruch Lit., 1935.
Morawski Kazimierz	1890—1903	16		Zob. w bibliografii Birkenmajer.
Morawski Zdzisław	1892—1914	14		Odp. JB.
Mysyrowicz Władysław	1884	5		Myśl Narodowa, 1938 = Łowiec, 1938, nr 23—24.
Naganowski Edmund(?)	1897	1		Pam. Lit., 1933, 30, s. 572—573.
Neumanowa Anna	1891—1897	2		Odp. Teki Bernackiego.
Nowodworski Franc.	1898	1	B 218	
Ochorowicz Julian	1883—1884	4	BN 2848	
Osada Stanisław	1915—1916	2	Muz. Pol. Chicago	Pam. Lit., 1937, 34.
Osuchowski Antoni	1905—1907	15		Odpisy Teki Bernackiego, fotografie BN, Sg. 313.
Pawlicki Stefan	1906	1	BJ	
Pawlikowski Michał	1909	1	BJ (?)	Odp. Teki Bernackiego.
Perełyczyn Mikołaj	1900	1		Odp. Teki Chrzanowskiego.

Adresat	Daty	Ilość	Autograf	Miejsce druku — Uwagi
Peszke Józef	1900	4	BN 7005	
Pietkiewicz Z. (A. Pług)	1903	1		Odp. Teki Bernackiego.
Piltz Erazm	1878—1879	4	J. Krzyżanowski	
Piniński Leon	1916	1		
Pleszczyński Adam	1896	1	J. Krzyżanowski	Odp. Teki Chrzanowskiego.
Pochwalski Kazimierz	1887—1907	14	BN 2895	
Pol. Rada Narod. w Ameryce	1916	2	Muz. Pol. Chicago	Pam. Lit., 1937, 34.
Praun Johann	1887—1908	7	Oss 6519/I	Pam. Lit., 1934, 31.
Przesmycki Zenon	1887	1	BN 2859	
Rabski Władysław	1906—1909	2	BN 2731 (1)	Kurier Warsz., 1924, nr 302.
Radziejowska Maria	1899—1907	4		Kurier Lit.-Nauk. (IKC), 1936, nr 31—33.
Radziwiłł Michał		8	Nieborów	Nauka i Sztuka, 1946, nr 7—8.
Redakcja Biesiady Lit.	1902	1		
„ Czasu		1		
„ Kuriera Teatraln.	1903	1		
„ Kuriera Warsz.		1		
„ Słowa		1		
„ Tygodn. Ilustr.		1		
Rembowski Aleksander	1897	2	BP	
Rodziewicz Maria	1911	1		Kurier Warsz., 1911, nr 163.
Rolland Romain	1915	2		Odrodzenie, 1947, nr 28.
Sarnecki Zygmunt	1887—1897	3	BJ	
Siemiradzki Henryk	1890—1891	6		Tyg. Ilustr., 1933, s. 905—906.
Smolka Stanisław		25		Czas, 1916, nr 584, 587.
Szumlańska Teofila	1913	1	Oss 6949	
Szwoynicki Roman	1902	1	BN 5296	
Tarnowski Stanisław	1887	1		
Ulanowska Aleksandra	1909—1911	9	Oss 6949	Odp. Teki Bernackiego.
Ulanowska Wanda	1906—1916	99	Oss 6949; 5465.	Duży zbiór spłonął w Rudniku nad Sanem (1915).
Ulanowski Bolesław	1911—1913	2	Oss 6949; 5465.	
Warsz. Tow. Akc. Artyst. Wyd.	1901	1	L. Gocel	
Wasilewski Zygmunt	1906—1908	4	Oss 5983/II	Myśl Narod., 1926, nr 40.
Whitney & Co		1	BJ	Brulion pol. i ang.
Wierzbowska Brygida	1882	1	PAU	
Wodziński Antoni	1882—1913	44	Uniw. Łódź	
Wolff Robert	1884—1909	64		Odp. JB. Por. bibliogr.: Birkenmajer.
Wrotnowska Maria	1906	1	Przemyśl	Ruch Lit., 1931, 6, 277.
Wrotnowski Lucjan	1897	1	Muz. Diec.	Wasilewski, *Pomnik Mickiewicza*, 1899, 11.
Zgliński Daniel	1877	1	L. Zgliński	

BIBLIOGRAFIA LISTÓW SIENKIEWICZA

BEŁZA Witold: „Quo Vadis“ Sienkiewicza a „Mondo antico“ A. della Spada. *Słowo Polskie* [L. Masłowski].

BIRKENMAJER A.: Nieznane rarissimum sienkiewiczowskie. Odb. z *Księgi Pamiątkowej na dziesięciolecie Biblioteki Miejskiej w Bydgoszczy*. Bdg. 1932 [K. Morawski — St. Pawlicki].

BIRKENMAJER J.: Listy Sienkiewicza do doktora Bauerertza. *Ruch Lit.*, 1930, 5, 220—221.

Listy S. do M. Gawalewicza. *jw.*, 15—18.

Kłopoty H. S. z „Rodziną Połanieckich“. Odb. z *Kuriera Polskiego*, Milwaukee, 1938 = Gorzki ugór Sienkiewicza. *Podbipięta*, 1937, nr 6 [D. Henkiel*].

List H. S. *Kurier Lit. — Nauk.*, dod. do *IKC*, 11 XI 1929, nr 307 (45) [T. Jankowski].

Listy S. o „Rodzinie Połanieckich“. *Ruch Lit.*, 1935, 10, 123—124 [K. Morawska — K. Morawski — R. Wolff].

Sienkiewicziana, *jw.*, 1929, 4, 20 [K. Morawski]; *jw.*, 1931, 6, 277 [Wrotnowska].

List S. o Krakowie. *Gazeta Lit.*, 1932, nr 3 [K. Morawski].

H. S. o tragediach greckich. *Filomata*, 1929, nr 10 [K. Morawski].

S. wobec sprawy szkolnej poznańskiej. *Wici Wielkopolskie*, 1933, nr 2, s. 9—11 [K. Morawski].

Listy H. S. do pp. Mysyrowiczów. *Łowiec*, 1938, nr 23—24 = *Myśl Narodowa*, 1938, nr 26.

Nieznane listy S. *Tygodnik Ilustr.*, 1933, s. 905—906 [H. Siemiradzki].

Listy S. o „Sabałowej bajce“. *Ruch Lit.*, 1934, 9, 211—213 [R. Wolff].

Garść listów S. z okresu Trylogii. *Ruch. Lit.*, 1934, 9, 148—151 = J. Michałowski: Listy S. z okresu Trylogii. *Kultura*, 1934 [R. Wolff].

Sienkiewiczowska fundacja w Akademii Umiejętności. *Przegl. Powsz.*, 1935, t. 206, 445—450 [Akademia — Smolka — Z. Morawski*].

Listy H. S. w Muzeum Polskim w Chicago. *Pamiętnik Lit.*, 1937, 34 i odb. [Anonim — St. Osada — Polska Rada Narodowa].

BOSTEL F.: Z korespondencji H. S. *Pamiętnik Lit.*, 1933, 30, 512—573 [Wł. Łoziński — A. Krechowiecki — L. Finkel — E. Naganowski (?)].

CHRZANOWSKI I.: Marzenia młodości. *Pisma zapomniane*, 1922, 415—416 [I. Baliński].

O genezie „Quo vadis“. *jw.*, 417—19 [A. Galdemar].

Z podróży do Kolonii, Ostendy i Paryża. *jw.*, 355—370 [M. Keller].

List z Ameryki. *jw.* 371—372 [A. Leo].

Kilka słów o powstaniu pierwszej powieści H. S. *Okruchy literackie*, 1903, 163—181 [K. Dobrski].

Sienkiewicz w Vevey. *Myśl Narod.*, 1936, nr 47, 737—739 [I. Chrzanowski].

Nie drukowane listy S. z podróży do Hiszpanii. *Kurier Warsz.*, 1931, nr 1 [J. Janczewska].

CHW[ALIBÓG] F.: Listy H. S. do Henryka Gropplera i jego żony. *Gazeta Warsz.*, 1924, nr 350—351.

CZEMPIŃSKI J.: Ze wspomnień o H. S. *Bluszcz*, 1917, s. 193, 201, 250, 266 [K. Benni* — K. Dobrski* — J. Horain*].

DEMBY ST.: Sienkiewicz w Poświętnem. *Pamiętnik Lit.*, 1937, Rk 33 i odb. [K. Dobrski].

DWORZACZEK W.: Przodkowie H. S. *Wiadomości Lit.*, 1939, nr 22 [A. Boniecki].

[GÓRSKI K. M.]: Listy H. S. do K. Górskiego. *Tygodnik Powszechny*, 12 V 1946, nr 19 (60), s. 3.

HAHN W.: H. S. i W. Baworowski. *Nauka i Sztuka*, 1946, nr 7—8, s. 180—182.

KOBYLAŃSKI J. W.: Cztery nieznane listy H. S. *Tygodnik Ilustr.*, nr 13, s. 201 [J. M. Kamiński].

KRASIŃSKI E.: O Radziejowicach i ich gościach niektórych. W-wa 1934, s. 53—56 [H. Krasińska].

KRAUSHAR T.: Testament Olszewskiego. *Kurier Warsz.*, 1924, nr 300 [T. Kraushar*].

KRZYŻANOWSKI J. Echa kalifornijskie w twórczości S. *Sprawozdania TNW*, 1947, 40 [2. S. i J. Horain].

Listy Sienkiewicza. *Dziennik Polski*, 1946, nr 251 [L. Kronenberg (?)].

KURKOWA E.: Z nie wydanej korespondencji H. S. *Pamiętnik Lit.*, 1934, 31, 526 i n. [J. Praun].

KWIATKOWSKI R.: H. S. a Polacy na obczyźnie.

ŁEPKOWSKI K.: Nieznane listy H. S. do Marii Radziejowskiej (1899—1907).

Kurier Lit.-Nauk., dod. do *IKC*, 1936, nr 31—33.
MIŁASZEWSKI S.: Nieznane listy S. *Podbipięta*, 1936, nr 6; 1937, nr 1—11 [E. Lubowski].
NADOLSKI B.: Stosunki S. z Ujejskim i Baworowskim. *Ruch Lit.*, 1934.
RABSKI WŁ.: Dwa listy S. *Kurier Warszawski*, 1924, nr 302 [W. Rabski].
SANDER J.: „Ogniem i Mieczem" jako libretto. *Ruch Lit.*, 1929, 4, 251 [T. Borodzicz].
SMOLARSKI M.: Nieznane listy H. S. *Nauka i Sztuka*, 1946, nr 7—8, s. 82—87 [M. Radziwiłł].
[SMOLKA ST.]: Z listów S. w epoce Trylogii i „Krzyżaków". *Czas*, 1916, nr 584, 587 = *Słowo Polskie*, 1924.
STULGIŃSKA M.: Nie opublikowany tekst z dziennika R. Rollanda. *Odrodzenie*, 1947, nr 28.
SZAYNOWA Maria: H. S. w Śmiełowie. Dwa nieznane listy wielkiego pisarza. Dodatek literacko-naukowy do *Gazety Warsz.*, 1 X 1933, do *Kuriera Lwowskiego* i in. [M. Chełkowska].
WASILEWSKI Z.: Z życia H. S. *Myśl Narod.*, 1926, nr 40, s. 206—208 [Z. Wasilewski].
Pomnik Mickiewicza w Warszawie. W-wa 1899, s. 11 [L. Wrotnowski].

JERZY MICHALSKI

RZUT OKA NA DZIEJE WARSZAWSKIEGO TOWARZYSTWA PRZYJACIÓŁ NAUK (1800—1832)

Tradycje tworzenia akademii oraz towarzystw naukowych i literackich sięgają czasów odrodzenia. W wieku XVII i XVIII, w epoce powstawania nowoczesnej wiedzy przyrodniczej i erudycji humanistycznej, wyrastają tego typu instytucje niemal we wszystkich krajach europejskich. Obok posiadających wysoki ciężar gatunkowy i cieszących się poparciem najwyższych czynników państwowych akademii, jak francuska, petersburska, berlińska czy Towarzystwo Królewskie w Londynie, tworzą się małe, prowincjonalne towarzystwa naukowo-literackie, skupiające w swych szeregach, obok rzeczywistych badaczy i erudytów, najczęściej amatorów, dyletantów i trzeciorzędnych literatów. Polska przez długi czas i na tym polu pozostawała w tyle za innymi krajami Europy. Wpływał na to specyficzny układ stosunków społeczno-kulturalnych dawnej Rzeczypospolitej. Jednostronnie rolnicza struktura gospodarcza kraju, brak jakichkolwiek poważniejszych miejskich ośrodków przemysłowo-handlowych i wynikająca stąd nikłość warstwy mieszczańskiej, niewytworzenie się silnego centrum dworsko-stołecznego — powodowały, że rozlane po szerokich obszarach dawnej Rzeczypospolitej życie polskie płynęło mało intensywnym nurtem i miało charakter wyłącznie niemal ziemiańsko-wegetatywny, co w wyjątkowy sposób nie sprzyjało rozwojowi nauki i tworzeniu się środowiska i atmosfery naukowej. Szkoły akademickie w wieku XVII i w pierwszej połowie XVIII znajdowały się w niewątpliwym upadku. Warunki społeczno-polityczne nie wytwarzały w Polsce zapotrzebowania na ludzi wykształconych, stąd brak zrozumienia konieczności popierania nauki i wyższego szkolnictwa. Inaczej nieco przedstawiały się stosunki na zachodnich kresach Rzeczypospolitej: w zachodniej Wielkopolsce i w miastach Prus Królewskich z Gdańskiem na czele, gdzie dzięki odmiennej od reszty kraju strukturze gospodarczej wytworzyły się stosunki społeczno-kulturalne zbliżone do bardziej zaawansowanych w rozwoju krajów europejskich. Stamtąd pochodzili, tam w dużej mierze

skupiali się uczeni przyrodnicy, lekarze, prawnicy, filologowie i historycy-erudyci. Dominował oczywiście sam Gdańsk, gdzie zamożne mieszczaństwo stworzyło ośrodek, tak różny stylem życia i kultury od innych ziem ówczesnej Polski. Tam też, w Gdańsku, powstały pierwsze towarzystwa literackie i naukowe z *Naturforschende Gesellschaft* na czele. W reszcie ziem Rzeczypospolitej wykształcenie reprezentowała i monopolizowała w swych rękach jedna tylko grupa, a mianowicie duchowieństwo katolickie. W stosunku jednak do znaczenia w społeczeństwie, do potęgi bogactw i wpływów, poziom intelektualny duchowieństwa polskiego i jego wkład w dorobek kulturalny był niewspółmiernie niski. Kwietyzm, ciemnota i zacofanie były cechą tak duchowieństwa jak i reszty społeczeństwa szlacheckiego. Wyższy poziom intelektualny i zainteresowania naukowe reprezentowali bardzo nieliczni przedstawiciele pewnych kół zakonnych i wyższej hierarchii. Wskutek takich stosunków nie rodziła się potrzeba szukania platformy zbliżenia czy więzi organizacyjnych drogą tworzenia akademii czy towarzystw.

Od mniej więcej połowy wieku XVIII możemy obserwować proces modernizacji i urbanizacji kultury polskiej. Wiąże się to z powstaniem Warszawy jako centralnego ośrodka życia kulturalnego, skupiającego elitę umysłową kraju. W związku z unowocześnieniem się państwowości polskiej i wzmagającym się znaczeniem centralnych władz państwowych Warszawa z jednej strony staje się coraz bardziej atrakcyjnym punktem dla sfer magnackich, spośród których wielu przedstawicieli reprezentuje stosunkowo duży poziom wykształcenia i przejętych jest wpływami oświecenia. Z drugiej zaś strony zaczyna skupiać w swych murach zaczątki nowoczesnej biurokracji, która siłą rzeczy musi posiadać pewien cenzus umysłowy i która będzie jednym ze źródeł powstania przyszłej polskiej inteligencji zawodowej. Ponadto Warszawa, jakkolwiek pozbawiona wyższej uczelni, staje się poważnym centrum szkolnictwa średniego. Kolegia pijarskie, później jezuickie, a wreszcie przede wszystkim Szkoła Rycerska posiadają najlepsze, najbardziej nowocześnie wyszkolone siły pedagogiczne, o pewnych ambicjach literackich i naukowych. Wzrastające w zamożność mieszczaństwo warszawskie, zasilone poważnie elementem cudzoziemskim, dostarcza coraz więcej ludzi z wyższym wykształceniem i zainteresowaniami intelektualnymi. Wielką również rolę, jak wiadomo, odgrywa świadoma dążność Stanisława Augusta do stworzenia na swoim dworze ogniska życia umysłowego, przede wszystkim artystycznego i literackiego. Wskutek tego w Warszawie wzrasta w liczbę i znaczenie grupa ludzi różniących się od siebie pochodzeniem społecznym i zamożnością, dla których praca umysłowa nie jest jeszcze w więk-

szości wypadków źródłem utrzymania *sensu stricto*, ale dla których jest ona — czy to z racji zajmowanych stanowisk, czy też z racji zainteresowań — główną funkcją życiową. Naturalną jest rzeczą, że ludzie ci odczuwają potrzebę wzajemnych kontaktów i dążą do stworzenia odpowiednich ośrodków umożliwiających współpracę. Takimi właśnie ośrodkami do pewnego stopnia będą powstające wówczas czasopisma literacko-obyczajowe, jak choćby Monitor, Zabawy Przyjemne i Pożyteczne, czy pewne imprezy literacko-wydawnicze, a jeszcze bardziej powstałe z inicjatywy Stanisława Augusta periodyczne zebrania, słynne obiady czwartkowe. Wreszcie zaś rolę taką spełniać będzie, między innymi, Komisja Edukacji Narodowej i Towarzystwo Ksiąg Elementarnych. Rodzą się wówczas projekty założenia specjalnych towarzystw naukowo-literackich, lansowane głównie przez cudzoziemców, obznajomionych dobrze z tego rodzaju instytucjami u siebie. Jeden z takich projektów doczekał się nawet realizacji. Była to *Société physique*, powstała w roku 1777. Towarzystwo to o tyle jest interesujące, że żywo przypomina późniejsze Towarzystwo Przyjaciół Nauk, zarówno składem społecznym swych członków (niektórzy z nich weszli później do Towarzystwa Przyjaciół Nauk), jak i charakterem zebrań. Próby te jednak okazały się przedwczesne (*Société physique* była efemerydą). Warszawskie środowisko umysłowe było jeszcze zbyt słabe i różnorodne, by mogło stworzyć jakieś trwałe ramy organizacyjne. Brak wyższej uczelni utrudniał powstanie ośrodka naukowego, najwięcej takich ram potrzebującego, nie ułatwiał tego również brak większego poparcia ze strony króla, mecenasującego przede wszystkim artystom i literatom. Zresztą, jak wiadomo, zorganizowanie życia naukowego jest kwestią znacznie dłuższego czasu i dłuższych tradycji, niż powstanie środowiska literackiego czy artystycznego.

Katastrofa drugiego i trzeciego rozbioru zdawała się burzyć to, co zbudowała epoka stanisławowska. Przestały istnieć polskie centralne władze państwowe, skasowano Komisję Edukacyjną i Towarzystwo Ksiąg Elementarnych; stworzone przez nią szkolnictwo kurczyło się i żyło pod obawą zupełnej likwidacji. Przestały wychodzić czasopisma, ustał niemal ruch wydawniczy. Wielu ludzi, reprezentujących ówczesną elitę umysłową, opuściło Warszawę, czy to szukając schronienia na emigracji, czy też straciwszy rację przebywania w stolicy rozpierzchło się po prowincji. Katastrofa państwa wydawała się wyrokiem zagłady na naród. Sądzono, że wraz ze zmianą przynależności państwowej przyjdzie zatrata, na rzecz zaborcy, odrębności narodowej. Język polski, usunięty z urzędów i sądów, wypierany z nauczania, zdawał się być skazany na wymarcie. Na tym

tle tym bardziej zaczęto boleśnie odczuwać kosmopolityczny charakter życia górnej warstwy społeczeństwa, czego symbolem była panująca francuszczyzna. Po kilku jednak latach największego oszołomienia katastrofą i stagnacji zaczęło się w kraju budzić znów życie. Do Warszawy zaczęli ściągać z zagranicy i prowincji ludzie żyjący w niej niegdyś owym intensywnym życiem umysłowym czasów stanisławowskich. W świadomości ich właśnie utrzymywanie i kontynuowanie dzieła odrodzenia umysłowego doby stanisławowskiej stało się naczelnym postulatem patriotycznym, a odsunięcie ich od wszelkich niemal funkcji państwowych czy społecznych tym bardziej potęgowało potrzebę szukania rekompensaty w pracy na polu literatury i nauki. Całkowity czy częściowy pesymizm co do możliwości odzyskania niezależnego bytu państwowego kazał na razie głosić, że Polacy — wzorem Greków w czasach rzymskich — powinni rezygnować z ambicji niepodległościowych, a starać się jedynie zachować pamięć Polski przez utrzymanie języka i kultury polskiej oraz przez postawienie ich na poziomie nie ustępującym przodującym narodom europejskim. Pod takim hasłem zawiązało się w roku 1800 Towarzystwo Przyjaciół Nauk. Ambicją jego twórców było skupienie w swoich szeregach wszystkich Polaków posiadających jakiś dorobek literacki czy naukowy, a chociażby pewne możliwości posiadania takiego dorobku. Patronował powstaniu Towarzystwa nad grobem już stojący Ignacy Krasicki; do współpracy wezwano Adama Kazimierza Czartoryskiego, Trembeckiego, Karpińskiego, Ignacego Potockiego, Piramowicza, Kopczyńskiego, Poczobuta i innych. Ale naczelną rolę odegrać mieli nie ci luminarze ubiegłej epoki, ale ludzie bądź dopiero zaczynający w niej swą karierę, bądź stojący wówczas na drugim planie. Ludzie ci przedstawiali różne środowiska i różne poziomy wiedzy i dorobku pisarskiego. Arystokrację i bogate ziemiaństwo reprezentują w Towarzystwie: amatorsko zajmujący się literaturą piękną, estetyką, historią czy historią literatury, wspomniany już Adam Kazimierz Czartoryski, Stanisław i Ignacy Potoccy, czy tylko snobizujący się zainteresowaniami na tym polu, np. Wincenty Krasiński, dalej — kolekcjonerzy oraz znawcy sztuki i starożytności, jak Sierakowski czy Wiesiołowski, a obok nich oddani niemal bez reszty nauce i erudycji: Ossoliński, Czacki czy choćby Chodkiewicz. Przedstawicielami ziemiaństwa będą również powołani do Towarzystwa z racji swych zasług na polu wzorowej gospodarki ludzie tacy jak Glotz czy Geysmar. Spośród kleru widzimy w gronie Towarzystwa przede wszystkim pijarów: Dąbrowskiego, Bystrzyckiego, Czarneckiego, Przeczytańskiego, Bielskiego i innych, a następnie kilku przedstawicieli wyższej hierarchii kościelnej, parających się mniej lub więcej intensywnie

nauką czy literaturą: Albertrandiego, Kossakowskiego, Woronicza, Prażmowskiego, Bohusza... W miarę postępu czasu, coraz bardziej dominującą grupą w Towarzystwie byli ludzie, dla których zasadnicze źródło utrzymania stanowiła wykonywana praca zawodowa. Jednak zarówno granice między tą grupą a grupą ziemiańską, jak i granice podziału wewnątrz na rozmaite typy zawodów, były płynne i zmienne. Ci sami ludzie w swej karierze życiowej są nauczycielami prywatnymi, nauczycielami szkół publicznych, literatami, dziennikarzami, urzędnikami, profesorami uniwersytetu, właścicielami majątków itp. Za zawodowych literatów, jakkolwiek działalność pisarska w tej epoce z trudem daje podstawę utrzymania, można do pewnego stopnia uważać ludzi takich jak Niemcewicz, Dmochowski, Ludwik Osiński, Cyprian Godebski... W epoce jednak Księstwa ludzie ci na ogół znajdą się w szeregach tworzącej się biurokracji i reprezentować będą raczej sferę wyższych urzędników (np. Lipiński, Kruszyński, Koźmian itd.). Bardzo ścisłe związki łączyły tych ludzi w początkowym okresie z grupą świeckich nauczycieli szkół średnich, jak Wolski, Szulecki, Krusiński. Z przedstawicieli wolnych zawodów najliczniej występują w Towarzystwie lekarze, prawie wszyscy pochodzenia mieszczańskiego: Bergonzoni, Arnold, Gagatkiewicz, Filipecki, Kincel, Wolff, Czekierski, Freyer i inni; bardzo nieliczni i mało aktywni są adwokaci: Stawiarski, Zwierzchowski, później Święcki. O zawodowych uczonych dość trudno mówić, ze względu choćby na to, że w środowisku warszawskim nie było początkowo dla nich funkcji czy stanowisk, a z drugiej strony stanowiska profesorów wyższych uczelni były obsadzone przez ludzi posiadających inne podstawy egzystencji, jak to się działo zwłaszcza na wydziale prawnym czy lekarskim. Póki w Warszawie nie było wyższych uczelni, środowisko uniwersyteckie reprezentowali w Towarzystwie luźno na ogół z nim związani eks-profesorowie uniwersytetu krakowskiego: Jan Śniadecki, Czech, Jaśkiewicz, czy też profesorowie uniwersytetu wileńskiego: Poczobut, Jędrzej Śniadecki, Jundziłł, później Groddeck, Lelewel i inni. Powstanie wyższych szkół w Warszawie, ukoronowane utworzeniem w roku 1817 uniwersytetu, dostarczyło bardzo licznych współpracowników. Byli to ludzie, którzy dawniej już zajmowali stanowiska w szkolnictwie średnim czy w innych zawodach (Linde, Antoni Dąbrowski, Ignacy Szaniawski, Szweykowski, Bentkowski, Hofmanowie), jak również, przeważnie bardzo młodzi, na ogół specjalnie szkoleni za granicą dla objęcia katedr uniwersyteckich (Skrodzki, Szubert, Mile, Armiński, Kitajewski, Garbiński, Skarbek, Szyrma i inni). Do grona Towarzystwa należało również kilku przedstawicieli świata artystycznego: muzycy (Elsner i Kurpiński), malarze (Vogel, Bacciarelli, Bro-

dowski). Architekci (Aigner czy Kubicki) stali na pograniczu środowiska artystycznego i środowiska nauk technicznych, reprezentowanego liczniej dopiero pod koniec istnienia Towarzystwa przez ludzi takich jak Lelowski, Metzel, Pausch, Girard. Do tej grupy zaliczyć można również samouka Abrahama Sterna, wynalazcę maszyny do liczenia, pochodzącego z małomiasteczkowej biedoty żydowskiej.

Dorobek pisarski, suma reprezentowanej wiedzy czy talentów były wśród ludzi wchodzących do Towarzystwa w ciągu trzydziestu lat jego istnienia dość różne i niejednolite. Działalność Towarzystwa, zwłaszcza w dwóch pierwszych dziesiątkach lat XIX wieku, przypadła na okres braku wybitniejszych indywidualności w literaturze polskiej, stąd też większość literatów, jego członków, reprezentowała poziom na ogół bardzo mierny, od którego nie tak znów rażąco odbijali wybitniejsi, jak Niemcewicz, Osiński, Koźmian czy później Brodziński, nie mówiąc o Stanisławie Potockim, którego proza i współcześnie nie przez wszystkich była admirowana. Gdy w latach dwudziestych wraz z romantyzmem literatura polska wkraczała w nowy okres rozkwitu, urazy osobiste i konserwatyzm hołdujących pseudoklasycyzmowi członków zamknęły dostęp do członkostwa pisarzom, zwolennikom nowych haseł. Stąd Towarzystwo, w którego gronie figurowali: Molski, Wyszkowski czy Kruszyński, które składało hołdy tworom poetyckim Józefa Szymanowskiego czy Ludwika Osińskiego — dopiero pod presją opinii publicznej, w ostatnim roku swojego istnienia powołało na członka Adama Mickiewicza. Nieco podobnie rzecz się miała z krytyką literacką i znawstwem dawnej literatury, jakkolwiek trzeba przyznać, że w tej dziedzinie, w porównaniu z epoką stanisławowską, nie było cofnięcia, lecz raczej postęp, i że mimo wszelkie zarzuty stawiane przez krytykę, zostającą w kręgu pojęć romantyzmu, Towarzystwo — mając w swoim gronie ludzi o szerokim oczytaniu i kulturze literackiej i estetycznej (Adam Kazimierz Czartoryski, Stanisław Potocki, Brodziński), jak również znakomitych znawców dawnego piśmiennictwa polskiego głównie pod kątem widzenia bibliograficzno-źródłoznawczym (Ossoliński, Linde, Bentkowski) — reprezentowało w tej dziedzinie poważny potencjał, niewątpliwie znacznie większy niż w dziedzinie samej twórczości literackiej.

Na polu nauki możliwości przedstawiały się, zwłaszcza początkowo, bardzo słabo. W naukach humanistycznych za największego niemal uczonego uchodził staruszek Albertrandi, posiadający rzeczywiście wielką erudycję, której jednak charakter należał już do ubiegłej epoki. Słusznie natomiast Towarzystwo czciło wiedzę i dorobek dwóch swoich członków: Tadeusza Czackiego — niewątpliwie wówczas najlepszego

znawcę historii, a zwłaszcza historii prawa polskiego, nie zawsze metodycznego i nieraz schodzącego na manowce, ale którego prace w rzeczywisty sposób posunęły naprzód stan wiedzy o przeszłości kraju — oraz twórcy *Słownika języka polskiego*, Samuela Bogumiła Lindego. Ten ostatni, obok młodszego i później powołanego do Towarzystwa Lelewela, był jedynym reprezentantem w dziedzinie humanistyki, rzeczywistej, na europejskim poziomie stojącej nauki. (Groddeck był wprawdzie członkiem, ale udział jego ograniczył się do przyjęcia dyplomu). Wśród literatów i dyletantów, parających się mniej lub więcej aktywnie historią, sprawami języka czy historią literatury, odbijał on zasobem wiadomości, kontaktami z uczonymi zagranicznymi, a przede wszystkim nowoczesną, jak na swoje czasy, metodą i techniką pracy naukowej. W późniejszych nieco latach pozyskano kilku członków, jak Bentkowski, Jan Wincenty Bandtkie, Surowiecki, Rakowiecki, nie dorównywających wprawdzie Lindemu czy Lelewelowi, ale będących rzetelnymi pracownikami w uprawianych przez siebie studiach nad bibliografią, historią prawa czy starożytnościami słowiańskimi. W dziedzinie językoznawstwa poza Lindem należy wspomnieć o bardzo zasłużonym Onufrym Kopczyńskim, którego jednak poglądy były już wówczas przestarzałe, o Skorochodzie Majewskim, fantaście i dyletancie, będącym w Polsce pierwszym znawcą (na ówczesne oczywiście warunki) sanskrytu, oraz o rzeczywiście znakomitym językoznawcy, nie należącym wprawdzie do Towarzystwa, lecz współpracującym z nim, pułkowniku Mrozińskim. Jak w naukach humanistycznych Czacki czy Linde, tak w naukach ścisłych w początkach Towarzystwa największym autorytetem słusznie się cieszył Jan Śniadecki, rzeczywiście jedyny wówczas — obok brata Jędrzeja, mniej jednak udzielającego się tutaj — naprawdę poważny polski uczony. Staszic bowiem, mimo swej dużej wiedzy i zasług, pozostawał w pewnej mierze dyletantem, w czym winę dzielił z mało jeszcze wyrobioną metodyką dyscyplin, które uprawiał. Mizerne możliwości Towarzystwa w dziedzinie nauk ścisłych podniosły się dopiero, gdy wśród jego członków znaleźli się młodzi profesorowie uniwersytetu warszawskiego. Kształceni specjalnie na wyższych uczelniach zagranicznych, pod okiem naprawdę wielkich uczonych, wynieśli stamtąd nowoczesną wiedzę i metodę pracy. Byli to jednak ludzie rzeczywiście bardzo młodzi, którzy natychmiast przystąpić musieli do licznych obowiązków, jakie czekały ich w kraju, tak ubogim w siły fachowe, a które to obowiązki musiały ich odrywać od pracy badawczej, zwłaszcza że w Warszawie nie mogli korzystać z takich pracowni naukowych, jakie mieli ich koledzy za granicą. Podobnie rzecz się miała z naukami lekarskimi. Towarzystwo

od samego początku niemal skupiało w swych szeregach elitę lekarzy, zwłaszcza warszawskich, doskonałych niewątpliwie w swoim czasie praktyków, przedstawiających — zwłaszcza w okresie istnienia uniwersytetu — poziom nie ustępujący wiedzy europejskiej, ale — podobnie jak w naukach przyrodniczych — raczej z niej czerpiących, niż mogących ją twórczo uzupełniać.

Zamykając ten pobieżny przegląd potencjału ludzkiego, reprezentowanego przez T. P. N., trzeba podkreślić, że na ogół, zwłaszcza w pierwszym okresie, skupiało ono bez reszty cały zasób sił intelektualnych kraju i starało się brać pod swą opiekę każdy, najmniejszy nawet wysiłek na polu twórczości kulturalnej. W późniejszych dopiero latach, w związku z rozszerzeniem się i intensyfikacją życia literackiego i naukowego w Polsce, jak również w związku ze stopniowym zacieśnianiem się Towarzystwa do środowiska warszawskiego i pewnymi zakulisowymi tarciami, poza jego szeregami znajdowało się formalnie czy faktycznie coraz więcej aktywnie pracujących pisarzy i uczonych. Szczególnie krąg naukowy uniwersytetu wileńskiego żył własnym życiem, a całe pokolenie młodych pisarzy, hołdujących romantyzmowi, również znalazło się poza nawiasem T. P. N.

W początkach swego istnienia Towarzystwo, jakkolwiek bardzo skromnie szacowało swe siły, tym niemniej wysuwało dość ambitne zamierzenia i mniemało, że właśnie wspólna i systematyczna praca zdoła nadrobić dotychczasowe zacofanie. Pragnęło objąć swą kontrolą i niejako skupić w swych rękach całą twórczość umysłową kraju. Liczyło, że po jego ocenę, aprobatę i radę zwracać się będą wszyscy piszący, począwszy od poetów, kończąc na autorach dzieł technologicznych. Jednak na ogół w tym się zawiodło. Autorzy przysyłali swe dzieła, ale raczej już wydrukowane do biblioteki Towarzystwa, a nie rękopisy do oceny jego deputacji. W istocie Towarzystwo musiało się ograniczyć w większości wypadków do oceniania dzieł zgłaszanych do czytania na publicznych sesjach przez swych członków, a w późniejszym okresie do omawiania referatów przez nich wygłaszanych na zebraniach wydziałowych.

W pierwszych latach swego istnienia Towarzystwo chciało wziąć na swe barki troskę o oświatę i szkolnictwo. Czyniło w tym kierunku starania u władz pruskich, chciało swój wpływ rozciągnąć na powstające pod berłem Aleksandra I szkolnictwo polskie. Troszczyło się również o odpowiednie podręczniki. Później, gdy powstało Księstwo Warszawskie, zadania te przejęły na siebie ówczesne władze oświatowe. Od początku do końca istnienia T. P. N. wysuwano najrozmaitsze projekty prac, jakie miały być wspólnie wykonywane przez członków. Początkowo cho-

dziło o opracowanie w języku polskim serii dzieł dających wykład poszczególnych gałęzi wiedzy, co pozwoliłoby, między innymi, stworzyć polską terminologię naukową. W ramach tego zamierzonego cyklu ukazała się drukiem właściwie tylko *Geografia matematyczna* Jana Śniadeckiego, zrodzona zresztą z inicjatywy samego autora. Towarzystwo pragnęło również opracować historię Polski, jako kontynuację Naruszewicza, którego dzieło uważano za wzorowe. Początkowo oczy wszystkich zwracały się na Czackiego, później postanowiono opracować dzieło *viribus unitis,* rozdzielając poszczególne panowania wśród ochotniczo zgłaszających się członków i wygotowano „prospekt", mający służyć za wskazówkę piszącym. Kandydaci na autorów byli jednak, mimo swego oczytania czy nawet pewnej erudycji, dyletantami, prawie wszyscy zresztą nie dotrzymali swoich obietnic. Jeden Niemcewicz w bardzo szybkim tempie napisał i opublikował swoje *Panowanie Zygmunta III,* będące bardziej romansem niż pracą historyka. Poza tym Kajetan Kwiatkowski wydrukował dzieje Władysława IV i Michał Krajewski złożył rękopis dawniej przez siebie opracowanego panowania Jana Kazimierza. Oba te dzieła nie przedstawiały większej wartości i dalekie były od metod naukowych, wprowadzonych już wówczas do polskiej historiografii przez Lelewela. Projekt opracowania poszczególnych gatunków literackich doczekał się częściowego wypełnienia przez rozprawy Niemcewicza o bajce, Lipińskiego o sielance i Brodzińskiego o elegii i satyrze. Rozprawa zaś Wężyka o poezji dramatycznej została odrzucona przez Towarzystwo, jako zbyt ulegająca wpływom poglądów romantycznych. Wysunięte przez Woronicza zadanie ułożenia zbioru pieśni o tematyce głównie patriotycznej, który odgrywać miał rolę wychowawczą wobec szerokich rzesz, podjęte później przez Brodzińskiego, nie doczekało się realizacji. Z kręgu jednak tych planów zrodziły się *Śpiewy historyczne* Niemcewicza, jedna z najbardziej popularnych książek w XIX wieku, o rzeczywiście dużym wpływie wychowawczym. Na niczym spełzły projekty wydania wypisów z wzorowych pisarzy, dalej różne pomysły wydawnictw encyklopedycznych, jak słownik geograficzny ziem polskich, encyklopedia starożytności polskich, słownik synonimów itp. Jedno właściwie zbiorowe przedsięwzięcie doprowadzone zostało niemal do końca. Była to sprawa ustalenia ortografii polskiej, rzecz naprawdę paląca wobec panującej wówczas różnorodności i dowolności w tej dziedzinie. Sprawa ta, wysuwana już od dawna, weszła na warsztat prac specjalnej deputacji Towarzystwa w ostatnich kilku latach jego istnienia. Wydany w przeddzień wybuchu powstania pokaźny tom *Wniosków i rozpraw o ortografii polskiej* miał być wprawdzie jedynie

podstawą do dalszej dyskusji i ostatecznego uregulowania pisowni polskiej, ale ponieważ wypadki polityczne nie pozwoliły na dalsze prace, wnioski deputacji zostały na ogół przyjęte przez społeczeństwo jako obowiązujące.

Słabe podstawy finansowe utrudniały sprawowanie na szerszą skalę mecenatu nad twórczością naukową czy literacką. Początkowo dochody opierały się na dobrowolnych ofiarach i składkach członków. Pierwszą własną siedzibę uzyskało Towarzystwo dzięki hojności Staszica, który zakupił dlań dom przy ulicy Kanonia. Gdy lokal ten nie wystarczał, sprzedano ten dom, a za uzyskane stąd pieniądze i dalsze subsydia Staszica wzniesiono nowy, obszerny budynek u zbiegu Nowego Świata i Krakowskiego Przedmieścia, zwany do dziś dnia Pałacem Staszica. Nieco większe fundusze pozyskano z zapisów członków: Sapiehy i Bohusza, i darowizny autorskiej Niemcewicza, pochodzącej z rozprzedaży *Śpiewów historycznych*. Za sumy te, zresztą w gruncie rzeczy bardzo skromne, wydawano Roczniki, w których drukowano prace członków, w ogromnej większości te, które wygłaszali oni na posiedzeniach publicznych. Roczników (każdy z nich liczył po kilkaset stron) wyszło w ciągu całego istnienia Towarzystwa 21 tomów. Poza Rocznikami wydało Towarzystwo swoim nakładem kilka osobnych dzieł, z których należy wymienić pierwszy tom Naruszewicza *Historii narodu polskiego*, nie wydany za życia autora, i edycję najstarszego polskiego kronikarza, Galla Anonima. Wydawcami Galla byli: Jan Wincenty Bandtkie i Bentkowski — i trzeba przyznać, że edytorska ich metoda stała na wysokości ówczesnych wymagań naukowych i pod pewnymi względami przewyższała metodę zastosowaną w kilkadziesiąt lat później przez Finkla i Kętrzyńskiego. Konkursy, ogłaszane przez cały przeciąg dziejów T. P. N., na które w ostatnich latach swego istnienia zdołało pozyskać nawet zasiłek rządowy, nie dawały większych rezultatów. Przez cały czas uwieńczono zaledwie 5 prac, ponadto przyznano nagrodę ks. Falkowskiemu za zasługi nad założeniem Instytutu Głuchoniemych i Ociemniałych. W roku 1830 ogłaszając konkurs z wspomnianego funduszu rządowego stanęło Towarzystwo już na bardziej nowoczesnym stanowisku, obok bowiem wysuniętych przez siebie tematów ogłosiło również, że będzie nagradzać wybitne prace, podjęte z własnej inicjatywy autorów.

Poważnym dorobkiem T. P. N. były jego zbiory, całkowicie powstałe z ofiarności publicznej. Gromadziły się one bowiem w ciągu dwudziestu kilku lat z darów rozmaitych osób prywatnych (na szczególną wzmiankę zasługuje zapis gen. Henryka Dąbrowskiego, między inny-

mi — bardzo cennego jego archiwum), a uzupełniane były drogą kupna z funduszu ofiarowanego na ten cel przez Aleksandra Sapiehę. Obok pokaźnej biblioteki posiadało Towarzystwo cenny zbiór rękopisów, ponadto gabinet medali i monet oraz zbiory przyrodnicze. Gdyby nie katastrofa powstania listopadowego i konfiskata oraz wywiezienie większości zbiorów, T. P. N. kontynuując swoje dzieło przez dalsze lata mogłoby stworzyć jedną z najbogatszych polskich kolekcji.

Zastanawiając się nad ogólnym dorobkiem Towarzystwa i jego rolą w dziejach kultury polskiej, trzeba podkreślić następujące momenty. Było ono pierwszą polską instytucją powstałą w jednym z najtrudniejszych momentów dziejowych Polski, grupującą wszystkich niemal pracowników na polu literatury, nauki, sztuki i umiejętności technicznych, próbującą zorganizować i pobudzić ich indywidualne prace. Potrafiło zdobyć, zwłaszcza w pierwszym okresie swego istnienia, bardzo duży autorytet w społeczeństwie i dzięki temu, jak i dzięki udziałowi w Towarzystwie ludzi zajmujących wybitne stanowiska w hierarchii państwowej i społecznej, wysoko podnosiło w opinii publicznej stanowisko pracy naukowej. Przez urządzanie zebrań publicznych (dwa razy w roku), przez ogłaszanie na nich sprawozdań z działalności i odczytywanie prac członków wzbudzało w szerszych kołach zainteresowanie dla polskiej twórczości literackiej czy naukowej, co było zwłaszcza ważne w latach początkowych. Zainteresowania te może były, jeśli chodzi o górne warstwy społeczeństwa, dość powierzchowne czy snobistyczne (bywanie na zebraniach T. P. N. należało, zwłaszcza we wcześniejszym okresie, do dobrego tonu), ale miało swoje niewątpliwie doniosłe znaczenie wychowawcze wobec bywającej masowo na zebraniach publicznych młodzieży akademickiej. Pietyzm wobec zabytków kultury polskiej i pamiątek historycznych, szerzony przez Towarzystwo, udzielał się szerszym kołom społeczeństwa. Dowodem tego może być wspomniany już fakt otrzymywania przez nie z całego kraju — od najrozmaitszych osób czy przedstawicieli lokalnego samorządu i administracji — rękopisów, starych druków, monet, znalezisk wykopaliskowych itp. rzeczy, które inaczej niewątpliwie ginęłyby bezpowrotnie. Pod wpływem Towarzystwa powstały prowincjonalne Towarzystwa Przyjaciół Nauk w Lublinie i Płocku, na nim wzorowało się Towarzystwo Naukowe w Krakowie, poprzednik późniejszej Akademii Umiejętności. Czy członkostwo stanowiło dla samych pisarzy i uczonych ułatwienie, podnietę i pomoc w ich pracach i czy miało na nie wpływ? Jeżeli chodzi o literaturę piękną, to było ono dla danego pisarza zaszczytnym wyróżnieniem, możność czytania na publicznym zgromadzeniu zadowalała ambicje, ale

gust i kultura literacka wyrabiały się raczej w literackich salonach Warszawy, które były istotniejszym areopagiem dla pseudoklasycznych pisarzy tych lat. W Towarzystwie na ogół oceniano bądź nadsyłane prace raczej drugorzędnych (w ówczesnych proporcjach) pisarzy, bądź poddawano raczej grzecznościowym recenzjom zgłaszane do publicznego czytania utwory autorów mających już wyrobioną pozycję. Znaczenie kooperacji było oczywiście rzeczą ważniejszą na odcinku naukowym. Początkowo rola Towarzystwa na ogół mogła polegać na dostarczaniu nielicznym rzeczywistym uczonym *forum*, przed którym mogliby komunikować wyniki swoich prac. *Forum* to było przeważnie mało kompetentne. W okresie, gdy Czacki czy Śniadeccy nadsyłali czy czytali swe prace, nie było chyba tutaj ludzi, którzy umieliby je fachowo ocenić i skrytykować pod względem naukowym. Tym niemniej życzliwe przyjęcie, pochwały, stworzenie szerszego jeszcze audytorium przez sesje publiczne, a w końcu publikowanie w R o c z n i k a c h — były momentami niewątpliwie sprzyjającymi twórczości naukowej. W stosunku do ludzi o mniejszej wiedzy i znajomości pracy naukowej Towarzystwo spełniało również rolę czynnika zachęcającego i kierującego. Działo się to zwłaszcza w początkach działalności T. P. N., gdy prowadziło ono usilną propagandę za skierowaniem ku pracy naukowej ludzi, którym sytuacja porozbiorowa zamykała inne drogi działalności. O ile na odcinku literackim Towarzystwo w miarę lat traciło na znaczeniu, to na polu naukowym poziom jego właściwie wzrastał. Jakkolwiek z takich czy innych względów odeszło od niego kilku wybitnych współpracowników, jak Czacki czy Śniadeccy, tym niemniej wzrastali w liczbę fachowcy reprezentujący coraz liczniej i lepiej poszczególne odcinki wiedzy. Stąd powstaje możliwość istotnie fachowej krytyki zgłaszanych przez członków czy nadsyłanych z zewnątrz prac i oceny wyznaczanych przez Towarzystwo deputacji. Mogą one być czymś naprawdę kształcącym dla autorów, jak również mogą eliminować rzeczy słabsze lub zgoła chybione, które w pierwszym okresie łatwiej się mogły przemycić. Jeżeli przez dorobek Towarzystwa będziemy rozumieli te wszystkie prace, które były czytane na posiedzeniach i które znalazły się w 21 tomach R o c z n i k ó w, to ocena tego dorobku nie jest łatwa. Brak opracowań z dziedziny historii nauki polskiej tego okresu utrudnia wypowiedzenie się co do wartości wielu prac, zwłaszcza z dziedziny nauk ścisłych i lekarskich. Wydaje się jednak, że w ogromnej większości wypadków nie były to prace, które by w istotny sposób posuwały naprzód wiedzę; raczej ograniczały się one do referowania wyników współczesnej nauki europejskiej i najwyżej uzupełniały ją

drobnymi przyczynkami. Ale dzięki temu tworzyła się polska terminologia naukowa, inicjowano badania w dziedzinach leżących dotąd u nas odłogiem, zapoznawano się z nowoczesnymi metodami badawczymi i trzymano rękę na pulsie postępu naukowego, idącego wówczas w Europie tak wielkimi krokami. Gdyby Towarzystwo trwało dłużej, gdyby środowisko naukowe mogło stale się zwiększać o nowe siły, kształcone przez wyższe zakłady naukowe w kraju i odbywające dalszy *stage* na uczelniach zagranicznych, braki i niedorozwój zostałyby przezwyciężone i nauka polska mogłaby i w tych dziedzinach osiągnąć prawdziwie twórcze wyniki.

W dziedzinie nauk humanistycznych, z natury rzeczy bardziej partykularystycznych, w których tym samym łatwiej o oryginalność, T. P. N. poszczycić się mogło zwłaszcza na polu historii i słowianoznawstwa poważnymi pracami Lelewela, Surowieckiego czy Lindego. W dziedzinie ekonomii niewątpliwe walory posiadały rozprawy Skarbka. Wypada również podkreślić, że Towarzystwo zdawało sobie sprawę ze swej słabości. Wiedziało ono, że główny nurt rozwoju nauki nie płynie przez Polskę, ambicja więc jego świadomie ograniczała się do badania rzeczy polskich, co tyczyć mogło głównie nauk humanistycznych, i do rozszerzania znajomości i praktycznego zużytkowania zdobyczy wiedzy europejskiej. Ten praktycyzm, to silne powiązanie z życiem, zwłaszcza z gospodarką kraju, stanowi bardzo istotny rys jego działalności. Był to postulat długoletniego jego prezesa, Stanisława Staszica, postulat, który wysuwali też młodzi profesorowie uniwersytetu i powstającej politechniki. Ogromna ilość prac omawianych w Towarzystwie, drukowanych w jego R o c z n i k a c h, a nawet będących pewnymi zbiorowymi wysiłkami grona jego członków, tyczyła najrozmaitszych zagadnień technologicznych, z zastosowaniem do potrzeb gospodarki polskiej. Zainteresowania te są w pełni zrozumiałe na tle panującego, zwłaszcza w okresie Królestwa Kongresowego, ożywienia gospodarczego w związku z tworzeniem się gospodarki kapitalistycznej. T. P. N. zajmowało się więc np. odrodzeniem hodowli polskiego czerwca i możliwością stworzenia tą drogą polskiego farbiarstwa, sprawą ulepszenia techniki budownictwa wiejskiego, poprawą sadownictwa, hodowli bydła, ulepszenia narzędzi mierniczych, nowych typów maszyn rolniczych, wynalazkami w dziedzinie budowy maszyn, zagadnieniem produkcji cukru z buraków, techniką garbarską itd. Interesowano się sprawą komunikacji śródlądowej, racjonalnej gospodarki leśnej, zdrowotnością Warszawy, reformą więziennictwa, opieką nad głuchoniemymi itp.

Warto jeszcze dodać kilka słów o stosunkach Towarzystwa z zagranicą. Najwcześniejszy stosunkowo kontakt nawiązano z nauką krajów słowiańskich i Niemiec. Kontakt ten, choć niezbyt systematyczny, polegał na korespondencji w sprawach naukowych, na wymianie publikacji i na powoływaniu do grona T. P. N., na członków honorowych i korespondentów, uczonych i pisarzy tych krajów. Jednym z pierwszych takich członków był słynny poeta rosyjski, Dzierżawin; później członkami zostali, między innymi, z bardziej znanych Rosjan: Rumiancew i Żukowski, a z kręgu odrodzenia czeskiego: Dobrovský, Hanka, Jungman i inni. Uczonych i pisarzy innych krajów zaczęto systematycznie i na większą skalę powoływać na członków Towarzystwa dopiero w ostatnich latach jego istnienia, gdy do głosu w nim doszli młodzi profesorowie uniwersytetu, szczególnie odczuwający potrzebę kontaktów zagranicznych. Wówczas to poczet członków ozdobiony został nazwiskami tej miary, co Gay Lussac, Berzelius, Arago, Humphrey Dawey, Say, Humboldt, Goethe, Chateaubriand i inni.

W czasie powstania listopadowego T. P. N. manifestacyjnie powołało do swego grona wielką liczbę cudzoziemców, okazujących sympatię dla sprawy polskiej, a dla podkreślenia, że walka toczy się z caratem, a nie z narodem rosyjskim, wybrało licznych przedstawicieli nauki i literatury rosyjskiej.

Przeprowadzona na rozkaz Mikołaja I likwidacja Towarzystwa w roku 1832 i konfiskata jego zbiorów była, obok zamknięcia polskich wyższych uczelni, jedną z największych klęsk, jakie spotkały kulturę polską w XIX wieku, i stała się jedną z przyczyn jej jednostronnego i niepełnego rozwoju w następnych dziesiątkach lat.

JAN KASPROWICZ

WIERSZE SZKOLNE

1881—1882

LIST KASPROWICZA DO J. I. KRASZEWSKIEGO
z 23 maja 1882

Czcigodny Panie!

Niech mi będzie wolno najszczerszą wyrazić podziękę za to szczęście, jakie mnie wskutek starań Czcigodnego Pana spotkało. Odebrałem bowiem list — wczoraj — od p. Lewentala, w którym mi donosi, że w numerze 881 K ł o s ó w drukowano coś z moich poezyj. Nie miałem jeszcze tego numeru w ręku, bo tu, w Raciborzu, nie ma Polaków, co by K ł o s y abonowali, toteż nie wiem, które Czcigodny Pan do druku był łaskaw polecić; w każdym razie może się jeszcze o K ł o s y postaram.

Już sposób, w jaki się Czcigodny Pan o tych kilku drobnych próbkach wyraził, był i jest powodem wielkiej radości, tym bardziej cieszę się dziś, że za wstawieniem się Czcigodnego Pana mogę je oddać w ręce publiczności. Nie wiem wprawdzie, jak często szan. Red. K ł o s[ó w] zechce drukować moje wiersze, ale zamierzam do niej w tej mierze kilka słów napisać.

Odżyłem prawie na nowo, mam znowu więcej nadziei, a to winienem dzisiaj Czcigodnemu Panu; niech mi więc będzie wolno raz jeszcze złożyć ze serca płynące podziękowanie i dołączyć zarazem zapewnienie o najgłębszej czci, którą razem z całą Polską czuję.

J. Kasprowicz

Drukować nadal zamierzam pod pseudonimem Goplanicza.

Racibórz, Kohlenstr. 8, d. 23 V 82.

PROŚBA GUŚLARZA

Marzanno! choć każdą ty warzysz
Roślinę,
Ja niech w twym uścisku nie ginę
Na wieki.
Marzanno, płomienna dziewico!
Spal serce,
Lecz zasiej mi trawy kobierce
Na grobie,
A pośród tej trawy zielonej
Niech wiosną
Czerwone się kwiaty rozrosną
I białe!

Ach! niechaj ci, którzy w rozpaczy
Wciąż żyją,
Nadziei girlandę uwiją
Z tej trawy,
A tym zaś, co darmo ściągali
Tęcz wstęgę,
Niech róża się zmieni w potęgę
Miłości;
A tym, którym pierś już w zwątpieniu
Wysycha,
Niech bije z lilii kielicha
Zdrój wiary.

Marzanno! o, przemień mój kurhan
W grodzisko
I w ognia wiecznego siedlisko
Mą urnę:
Prawnucy się wtenczas z swych zwątpień
Ocucą
I hymny tu przy mnie zanucą
Rozgrzani,
I dymy ofiarne się w górę
Podniosą,
Bo dzięki uczynią niebiosom,
Że wolni!...

RÓŻYCZKO MOJA!

Z PIEŚNI WIOSENNYCH

Różyczko moja, różyczko!
Co się poiłaś śród wiosny
Perłami ros,
Takie bogate masz liczko
W rumieniec czysty, miłosny,
Tak miękki włos,
Różyczko moja, różyczko!...

Tu w strumień jasny, niebieski
Zawracasz oczy swe skrycie
I ronisz łzę;
On, patrzaj! wszystkie te łezki
W młodzieńczym chowa błękicie,
Bo kocha cię,
Ten strumień jasny, niebieski.

Nim jesień szczęście wypłoszy
I czarną chmurą zacieni
Srebrzystą toń,
Kropelki czystej rozkoszy,
Porannych pełne promieni,
Z ust twoich roń,
Nim jesień szczęście wypłoszy.

Różyczko moja, różyczko!
Gdyby ten strumień na wieki
Mógł z tobą żyć,
Patrzeć w rumiane ci liczko
I bez lodowej powieki
Rozkosznie śnić
O tobie, moja różyczko!...

ŁABĘDŹ

Z PIEŚNI JESIENNYCH

Bieluteńki, gdyby mleko,
Rozwiał na wiatr żagli dwoje
I płynie.
A tuż krople z drzew nań cieką,

Z drzew, co lica myją swoje
W głębinie —
Bieluteńki gdyby mleko.

Piersią niby sterem kraje
Opleconą wieńcem trawy
Toń jasną;
Dziś mu więdną świeże maje,
Lecz złociste zórz oprawy
Nie gasną,
Gdy toń sterem piersi kraje.

Ja swą żałość w sercu tłumię,
Tuż o siną wsparty korę
Topoli;
Liść mi szumi, a w tym szumie
Ukołyszęż czarną zmorę
Niedoli,
Choć swą żałość w sercu stłumię?

Wicher coś mi jęczy głuchy —
Gdybyż słodziej i weselej! —
Wciąż szepce:
Łabędziowe, srebrne puchy
Nie usłały ci pościeli
W kolebce! —
Tak mi jęczy wicher głuchy.

Oto biały ptak przede mną,
Pośród wody swymi pióry
Trzepoce;
Spadły krople w toń już ciemną
Z blaskiem tęczy, co sród chmury
Migoce,
Gdy trzepotał ptak przede mną!

Ach! ta rosa, ta perłowa
Nie przystroi chmurnej wody
W błękity!
I mnie śnieżność łabędziowa

Nie rozerwie, gdy ja młody
A zżyty —
Och! ta rosa, ta perłowa!...

Ptak odpłynął, a mnie głuchy
Wiatr ni słodziej, ni weselej
Wciąż szepce:
Łabędziowe srebrne puchy
Nie usłały ci pościeli
W kolebce!
Tak mi jęczy wicher głuchy!...

Z PIEŚNI ŻEBRACZYCH

Oj, marnieje moje życie,
Oj, marnieje!...
O szczęśliwszym marząc bycie,
Człek się za nim w pogoń ciska,
Rani stopy o cierniska,
Lecz nie widząc gwiazd w błękicie,
Słaby mdleje
I tak całe téra życie.

W mojej chacie głód i nędza...
O! w tej chacie
Anioł biały nie odpędza
Rozsrożonych duchów czerni.
Chleba coraz, coraz mierniéj
I jedwabna nie lśni przędza
W mojej szacie,
Tylko łachman, głód i nędza.

Po co mi się było rodzić?
Po co było?!
Kiedy los ma w piersi godzić
Zatrutymi wciąż pociski,
Gdy nadziei gasną błyski,

Gdy mi gorzko trza zawodzić
Nad mogiłą?...
Lepiej wcale się nie rodzić!

Lepiej było głazem zostać —
Zimnym głazem,
Wciąż się kazać żwirem chłostać,
Co go wicher sypie hardy,
Niż od ludzkiej cierpieć wzgardy,
Niż ujrzawszy butną postać
Wić się płazem!
Ach! kamieniem lepiej zostać!...

Lepiej było na ustroni
Być tą wiérzbą,
Co łzy rzewne z liści roni,
Jęcząc szumy żałosnemi
I konary gnąc ku ziemi;
Niż tu, gdzie człek skargi trwoni
Między ciżbą —
Lepiej, lepiej na ustroni!...

Znowu rozpacz, a w rozpaczy —
O męczarnie! —
Ślad się ran mych krwawiej znaczy,
Krwawsze płyną łzy z powieki,
I nim skończę tór daleki,
Przebrzmi żywot mój żebraczy,
Przebrzmi marnie!
A więc dość już, dość rozpaczy!

Ducha w górę i gęśl w dłonie —
Wieszczkę starą!
Może jeszcze ogień płonie
W niezamarłych sercach ludzi,
Może miłość się przebudzi
I zakipi w próżnym łonie
Pełną czarą...
Ducha w górę i gęśl w dłonie!

U STUDNI

Z PIEŚNI GMINNYCH

Widziałam-ci Jasineczka
Mojego,
Kiedy poić był konika
Siwego.
Widziałam-ci go, widziałam
U studni,
Gdzie to woda się tak burzy
I dudni.

— A patrz ino, Jasineczku,
Patrz ino,
Jak te wały się podnoszą
I płyną:
Nie widać tu ani nieba,
Ni słońca,
Tylko woda zapieniona
I wrząca.

Moja pierś się tak podnosi,
Tak wydyma,
Kiedy ciebie, mój jedyny,
Tu nié ma.
Co dzień tęsknię, co dzień patrzę
Z okienka,
Czy nie ujrzę koło chaty
Jasieńka.

Oj i nieraz myślę w łzawej
Boleści:
Może on się tam już z inną
Gdzie pieści.
Może on się już zaleca
Do innéj,
Podeptawszy mój wianeczek
Niewinny.

— A przestań się, Kasineczko,
Tak smucić,

Bo i jakżeż mógłbym ciebie
Porzucić?
Bo i jakżeż mógłbym ja być
Niestały,
Gdy bez ciebie jest mi niczym
Świat cały?

O, nie darmoś, Kasineczko,
O, miła,
Swój wianeczek mi świeżutki
Zwierzyła;
Jak obrazek mam go zawsze
Przy sobie,
A rozstanę z nim się chyba
Aż w grobie.

Już po lecie, więc na żyto
Wciąż orzę,
Oj i siejąc myślę sobie:
Mój Boże!
Skoro żyto się na polu
Wykłosi,
Ojciec swatów na wesele
Zaprosi!...

Oto słowa Jasineczka
Mojego,
Kiedy poić był konika
Siwego.
Jakie szczęście, jaki spokój!
Więc w studni
Niech się woda, jak chce, burzy
I dudni!

DODATEK KRYTYCZNY

PROŚBA GUŚLARZA

Wiersz *Prośba guślarza,* ogłoszony po raz pierwszy w Kłosach, t. XXXIV, 1882, nr 881, z dn. 6/18 maja, s. 307, Kasprowicz dawał do druku jeszcze dwukrotnie: jako utwór tytułowy w tomie *Poezje,* Lwów b. r. (styczeń 1889), Biblioteka Mrówki, t. 257/259, s. 1—2 (redakcja 1889); i ponownie, podejmując wydanie

zbiorowe swojej twórczości: *Dzieła poetyckie*. Wydanie zbiorowe Ludwika Bernackiego, t. IV, Lwów 1912, s. 5—6. Tutaj wiersz został włączony do cyklu *Melodie wiosenne* (1) i otrzymał nowy tytuł *Marzanno!* (redakcja 1912).

Redakcja 1889

w. 35: dzięki / dzięk.

Zachowując poprawkę poprzednią, Kasprowicz później tylko w jednym miejscu dotknął tekstu:

Redakcja 1912

w. 13: Ach! niechaj ci, którzy w rozpaczy / Niechajże ci, co w rozpaczy.

Korekta autorska *Dzieł poetyckich* (w Bibliotece Zakładu Narodowego im. Ossolińskich we Wrocławiu, rkps 6499/I) w tekście *Marzanno!* nie przynosi poprawek tekstowych.

RÓŻYCZKO MOJA

Wiersz *Różyczko moja!*, ogłoszony po raz pierwszy w Kłosach, t. XXXIV, 1882, nr 881, z dn. 6/18 maja, s. 307, przechował się także w sztambuchu Walerii Kryszewskiej, przyjaciółki lat szkolnych Kasprowicza, wpisany przez nią do pamiętnika, w Poznaniu, w r. 1881. Wiersz ten — jak zapamiętała sama Waleria Kryszewska, niewątpliwie adresatka utworu — napisał Kasprowicz wiosną 1881, po wspólnym spacerze do tzw. Glacis w Poznaniu.

Rzut początkowy apostrofy *Różyczko moja!* ocalał w zeszycie szkolnym Kasprowicza z jego pobytu w Gimnazjum Marii Magdaleny w Poznaniu (w zeszycie tym dochowane ćwiczenie szkolne ma datę: „d. 17. 3. [poprzednio 4] 1881"). Oto strofa pierwotna utworu:

Różyczko moja, różyczko,
Cudownie wyrosłaś śród wiosny,
Karmiona perłą ros;
Takie bogate masz liczko
W rumieniec czysty, miłosny,
I taki miękki włos.

Wiersz sztambuchowy z odpisu W. Kryszewskiej ogłosił drukiem Adam Münnich, *Nieznane poezje Kasprowicza*, Myśl Narodowa, VII, 1927, nr 6, gdzie fragment poetycki *Różyczko moja — różyczko*... przedstawia redakcję 1881, wcześniejszą w stosunku do ogłoszonej w Kłosach.

Redakcja 1881

w. 23: Gdyby / Gdybyć.

w. 27: Rozkosznie / Gorąco.

ŁABĘDŹ

Wiersz *Łabędź*, ogłoszony po raz pierwszy w Kłosach, t. XXXIV, 1882, nr 881, z dn. 6/18 maja, s. 307, powtórzył Kasprowicz w tomie: *Poezje*, Lwów b. r. (1889), Biblioteka Mrówki, t. 257/259, s. 27—29 (redakcja 1889); i później w edycji: *Dzieła poetyckie*, t. IV, Lwów 1912, s. 36—37 (redakcja 1912). W obu tych układach *Łabędź* należy do cyklu *Melodie jesienne* (3). Już w czasie druku tomu IV *Dzieł poetyckich* Kasprowicz szukał nowych wersji stylistycznych, jak o tym świadczy

zachowana korekta autorska wydania (w Bibliotece Zakładu Narodowego im. Ossolińskich we Wrocławiu, rkps 6499/I). Z marginaliów Kasprowicza odczytujemy ostatnią redakcję *Łabędzia* (redakcja 1912, korekta).

Redakcja 1889

w. 4: tuż / tu.
w. 8: Piersią niby sterem kraje / Przodem, srebrną piersią kraje.
w. 14: sterem piersi / srebrną piersią.
w. 20: Niedoli / Tej doli.
w. 21: stłumię / tłumię.
w. 23: Gdybyż / Gdybyć.
w. 24: Wciąż / Coś.
w. 36: Ach! ta rosa / Och! ta rosa.

Poprawki te Kasprowicz utrzymał, przygotowując redakcję 1912; wprowadził tylko nową odmiankę w w. 40:

Redakcja 1912

w. 40: gdy / gdym.

Ale nie poprzestawszy na tych zmianach, poeta poddał tekst jeszcze jednej uważnej lekturze w czasie korekty *Dzieł poetyckich*. I wówczas na marginesie kolumny zostawił następujące wersje i wahania tekstowe:

Redakcja 1912 — korekta

w. 2: żagli / żagle.
dwoje / swoje (poprawka skreślona).
w. 16: Tuż o siną wsparty korę / O tę siną wsparty korę.
w. 20: Tej doli / Mej doli.
w. 25: Łabędziowe / O, łabędzie.
w. 36: Och! ta rosa / Hej! ta rosa.
w. 42: Och! ta rosa / Hej! ta rosa.
w. 46: Łabędziowe / O, łabędzie.

U STUDNI

Wiersz *U studni*, ogłoszony po raz pierwszy w Kłosach, t. XXXIV, 1882, nr 882, z dn. 13/25 maja, s. 323, przechował się w autografie Kasprowicza, który umiała ocalić Waleria Kryszewska. Poeta przysłał jej do Poznania kilka utworów, napisanych w Opolu, jesienią 1881, przepisawszy je starannie na arkuszu papieru listowego. W autografie tym wiersz ma tytuł *U studni — z motywów ludowych* oraz — co ważniejsze — datę powstania: Opole, 5 października 1881. Pierwszą redakcję *U studni* ogłosił drukiem Adam Münnich, *Nieznane poezje Kasprowicza*, Myśl Narodowa, VII, 1927, nr 8. Redakcja pierwotna utworu (redakcja 1881) zachowała porzucone później przez Kasprowicza elementy tekstowe. Niektóre z poprawek tekstu drukowanego wprowadził być może korektor literacki Kłosów (np. wariant w w. 41).

Redakcja 1881

w. 15: Tylko / Jeno.
w. 18: Tak wydyma / I wzdyma.
w. 21: tęsknię / tęschnię.
w. 27: tam już / już tam.

w. 33: A przestań się, Kasineczko / A przestańże, moja złota.
w. 34: Tak / Się.
w. 35: jakżeż / jakże.
w. 37: Bo i jakżeż mógłbym ja być / Bo i jakże mógłbym zostać.
w. 41: Kasineczko / Kasineczku.
w. 43: mi świeżutki / świeżuteńki.
w. 44: Zwierzyła / Zgubiła.
w. 47: A / I.
w. 53: na polu / na roli.
w. 55: swatów / kumów.

W zestawieniach tekstowych, jakie dajemy w dodatku krytycznym, na pierwszym miejscu, bez względu na to, czy stanowi wersję utworu wcześniejszą, czy późniejszą, pojawia się redakcja tekstu ogłoszonego w Kłosach. Jedynie przy notowaniu korekty autorskiej *Łabędzia*, na egzemplarzu *Dzieł poetyckich* (redakcja 1912, korekta), przedmiotem konfrontacji jest skład drukarski 1912 i współczesna korekta poety (w tej właśnie kolejności elementów).

KOMENTARZ

Start literacki Kasprowicza stanowi temat zapewne najbardziej pasjonujący w biografii pisarza. Syn chłopski, uczeń gimnazjum w Inowrocławiu, walczący z nędzą materialną i obcą szkołą, poddaje się żywiołowi twórczości i usiłuje wszelkimi drogami — przeniknąć do druku.

Lata młodzieńcze Kasprowicza kryją zagadki bibliograficzne, których rozwiązania szukamy w rocznikach zapomnianych czasopism, nie pomijając przy tym rubryki *Odpowiedzi od redakcji*, rzadko dostrzeganej przez historyków literatury.

Moi współcześni Przybyszewskiego dają zachętę do podobnej kwerendy:

> Po Kujawach, oczywiście na tym inowrocławskim odcinku, krążyły tajemnicze wieści o młodym poecie, który ponoć już w Warszawie drukuje swoje wiersze. Koledzy Kasprowicza przyjeżdżali na wakacje i rozsiewali dziwne gadki: jeden widział cały duży zeszyt, opiewający piękność Gopła, inny zasię początek jakiegoś dramatu, tamten znowu czytał bardzo pochlebną odpowiedź jakiejś redakcji warszawskiego pisma — dość, że Kasprowicz był na Kujawach już popularnym, kiedy nie przekroczył 18 roku życia [1].

Chronologia tego wspomnienia nie jest jasna. Ale wzmianka o wieku Kasprowicza dowodzi, że relacja to z lat szkolnych poety (nie uniwersyteckich, kiedy Kasprowicz był stałym współpracownikiem kilku pism stołecznych). Do świadectwa Przybyszewskiego nie można stosować wydarzenia małej miary: jeszcze w r. 1878 w czasopiśmie gnieźnieńskim Lech (I, 1878, nr 5, z dn. 2 lutego, w rubryce *Telefon Lecha*,

[1] Stanisław Przybyszewski, *Moi współcześni. Wśród obcych*, Warszawa 1926, s. 19.

a więc właśnie wśród odpowiedzi od redakcji) Kasprowicz ujrzał sonet *Poranek*, swój pierwszy wiersz drukowany. Tekst utworu poprzedzała uwaga następująca.

> Jan Kasprowicz w Szymborzu, p. Inowrocław.
> Zdaje się, że Pan posiadasz jeszcze za mało wprawy i wykształcenia poetycznego. Sonety są niezłe jako ćwiczenie, lecz nie tak doskonałe, aby je można drukować. Mimo to dla zachęty przytaczamy tu najlepszy z sonetów pod napisem *Poranek*.

Sukces literacki, o którym opowiada Przybyszewski, musiał być większy aniżeli sonet *Poranek*, wtłoczony do *Telefonu Lecha*. Przybyszewski mówi wyraźnie o pismach warszawskich! Zanim autora *Moich współczesnych* posądzimy raz jeszcze o hiperbolę, szukajmy pilnie dalej.

Kasprowicz 25 maja 1880 wziął świadectwo odejścia z gimnazjum w Inowrocławiu, powadziwszy się z Quadem, jednym z nauczycieli. Młody poeta rozpoczął żywot wędrowny po szkołach Poznańskiego i Śląska. Na rok 1880/81 osiadł w Poznaniu, w Gimnazjum Marii Magdaleny. Niebawem i tutaj doradzono mu, by szukał matury gdzie indziej. Od 29 września 1881 Kasprowicz chodzi do gimnazjum w Opolu, które przyszło mu opuścić po trzech miesiącach, 31 grudnia 1881 r. Nie ryzykując powrotu na Kujawy i w Poznańskie, 1 stycznia 1882 r. Kasprowicz znalazł się w Raciborzu, w „sekundzie wyższej". Na Wielkanoc 1882 r. przeszedł do „primy" [2].

W tej ruchliwej biografii szkolnej wiele miejsca zostawało na twórczość, dotychczas nie wypowiedzianą. Kasprowicz po dawnemu — z uporem, który budzi podziw — zdobywa możliwości druku, sięgając po pierwszą rangę poetycką. *Telefon Lecha* i jakieś próby późniejsze dotarcia do czasopism poznańskich przestały wystarczać.

Zapewne w kwietniu 1882 r., z owej „primy" raciborskiej, poeta szkolny postanowił napisać — do Kraszewskiego. Listu tego nie znamy; musiał ulec zatracie wśród licznej korespondencji, jaka napływała zewsząd do starego pisarza, do Drezna. Kasprowicz zebrał wiązkę wierszy, by mówiły o jego talencie, usiłował zjednać Kraszewskiego do pomocy wydawniczej.

Imię patriarchy dotarło do Kasprowicza jeszcze na Kujawach. Jeśli zawierzyć Przybyszewskiemu, książki Kraszewskiego krążyły tam powszechnie. Kiedy Dybała Dybalski, nauczyciel ludowy z Szymborza, rozważał losy Kasprowicza z Przybyszewskim, nauczycielem z Łojewa, leżała na stole, jako dobrze wybrany świadek tej rozmowy, powieść *Poeta i świat*. I tę właśnie książkę Przybyszewski, ojciec pisarza, odsu-

[2] O latach szkolnych Kasprowicza: Zygmunt Wasilewski, *Jan Kasprowicz. Zarys wizerunku*, Warszawa b. r., s. 111—126. Ostatnio Roman Horoszkiewicz, *Kasprowicz w Opolu*, Odra, III, 1947, nr 4 (61). Korespondencja.

nął ze słowami: „Trzeba pomóc...“ (tytuł powieści tak bardzo przylega do sytuacji, że nawet gotowiśmy posądzić Stanisława Przybyszewskiego o zamierzony efekt literacki [3]). Bez powątpiewań za to przyjmujemy relację Przybyszewskiego, kiedy opowiada, jak to wiosną 1879 r. odbył się na Kujawach obchód jubileuszowy Kraszewskiego:

> ...wędrował młody, osiemnastoletni Kasprowicz od jednej wsi do drugiej i wypożyczał u okolicznych gospodarzy i okolicznej szlachty konie wierzchowe.
>
> W dniu uroczystości wjeżdżał na czele może dwudziestu dorodnych parobczaków na koniach, w kujawskim stroju chłopskim Jan Kasprowicz do Kruszwicy, gdzie na wzgórku, kędy sterczy Mysza Wieża, cała uroczystość się odbyła [4].

Ten młodzieńczy kult osobisty musiał pobrzmiewać w liście do Kraszewskiego, pisanym wiosną 1882 r. Wartość nadesłanych wierszy przemawiała silnie za nieznanym poetą z Raciborza. I Kraszewski — jak to miał w zwyczaju, jak w r. 1879 odpisał na życzenia Stasia Przybyszewskiego z Łojewa [5] — odezwał się teraz swoim drobnym pismem stenograficznym do Kasprowicza z pochlebną oceną poezji, z zachętą do twórczości. Ale i odpowiedzi Kraszewskiego nie znamy (można tylko ogólnie domyślać się jej treści z ponownego listu Kasprowicza z 23 maja 1882).

Kraszewski nie poprzestał na tym geście pospolitej uprzejmości. Wołanie o druk musiało rozlegać się zbyt silnie w słowach Kasprowicza, żeby sędziwy pisarz, narkoman farby drukarskiej, nie uległ temu naleganiu. Przejrzawszy raz jeszcze wiersze, wysłał je z Drezna do Warszawy, do redakcji K ł o s ó w. Uchylił jedynie podpis debiutanta, który wybrał dla druku pseudonim „Goplanicz“, żeby osłonić się przed pociskami władz szkolnych (może istotnie pretensjonalnie, chociaż z miłości do regionu).

I właśnie K ł o s y, ulegając autorytetowi literackiemu Kraszewskiego, drukowały wiersze Kasprowicza w numerze 881 z dn. 6/18 maja i w numerze 882 z dn. 13/25 maja 1882. Były to wiersze z teki raciborskiej, drukowane w kolejności: *Prośba guślarza*, *Różyczko moja!*, *Łabędź* (w numerze 881), *Z pieśni żebraczych*, *U studni* (w numerze 882).

---

[3] St. P r z y b y s z e w s k i, o. c., s. 17. Inne świadectwo lektury Kraszewskiego na Kujawach, w okresie młodości Przybyszewskiego, zob. *Moi współcześni. Wśród swoich*, Warszawa 1930, s. 17—18.

[4] St. P r z y b y s z e w s k i, o. c., s. 19—20. *Księga pamiątkowa jubileuszu J. I. Kraszewskiego 1879 roku*, Kraków 1881, s. 4 notuje „wycieczki do Kruszwicy“ w ramach uroczystości jubileuszowych, s. 210 telegram z Kruszwicy do Kraszewskiego. Dokładną datę uroczystości kruszwickiej można wydobyć zapewne z rocznika 1879 L e c h a lub D z i e n n i k a P o z n a ń s k i e g o.

[5] St. P r z y b y s z e w s k i, o. c., s. 19—20.

Zamiast „Goplanicza" redakcja Kłosów położyła prosty kryptonim „Jan K.". Tekstom poetyckim towarzyszył przypis, który czynił Kraszewskiego mecenasem Kasprowicza:

> Poezje niniejsze nadesłał nam Kraszewski, zalecając je najserdeczniej nie jako już skończenie piękne utwory, lecz jako pierwsze próbki młodzieńcze, świadczące o prawdziwym talencie, zasługującym na zachętę i podtrzymanie; i dlatego też umieszczamy je w Kłosach.

Kasprowicz dowiedział się o publikacji już 22 maja. To redaktor Kłosów, Salomon Lewental, doniósł uczniowi raciborskiej „primy", że w numerze 881 pojawiło się „coś" z jego poezji. Ale zaniedbał dołączyć do listu egzemplarza autorskiego! Kasprowicz szuka Kłosów w miasteczku, na próżno. W Raciborzu pismo warszawskie nie ma abonentów. Jeszcze nie oglądając tygodnika, nazajutrz, 23 maja, Kasprowicz pisze swój drugi list do Kraszewskiego, pełen satysfakcji autorskiej. Ten właśnie list dochował się w papierach drezdeńskich[6]. „Goplanicz" pisze tutaj ze wzruszeniem i z charakterystyczną dla siebie łatwością podnoszenia się z upadku: „Odżyłem prawie na nowo, mam znowu więcej nadziei...". Uliczka Kohlenstrasse w Raciborzu (dzisiaj Węglowa), w najstarszej części miasta, rozbrzmiewa radością Jana Kasprowicza[7]. Jest to radość tak huczna, że gwar jej dochodzi do domku nauczycielskiego na Kujawach, gdzie dorasta — autor *Moich współczesnych*.

Nie podobna ustalić, czy wiersze ogłoszone w Kłosach stanowiły cały materiał poetycki, nadesłany do Drezna. Z aluzji listu z 23 maja można by wnosić, że Kraszewski przeprowadzał wybór twórczości (był zapewne do tego upoważniony). Ale skoro numer 882 przyniósł jeszcze dwa poematy, wybór nie okazał się zbyt surowy[8].

---

[6] List Kasprowicza do Kraszewskiego z Raciborza, 23 maja 1882, ogłoszony na czele publikacji obecnej, znajduje się w autografie w Bibliotece Jagiellońskiej, *Korespondencja J. I. Kraszewskiego*, t. 49. List Kasprowicza ogłosił poprzednio drukiem Józef Korpała, Ruch Literacki, III, 1928, nr 9, s. 271, podając błędnie sygnaturę biblioteczną (t. 47, zamiast 49, *ib.*, przypis 3).

[7] Dom w Raciborzu przy ul. Węglowej 8, gdzie mieszkał Kasprowicz w r. 1882, został spalony w r. 1945, w czasie działań wojennych (informacja dr Anny Wróblówny z Raciborza).

[8] Publikacja wierszy Kasprowicza w Kłosach w r. 1882 uszła całkowicie uwadze bibliografów poety. Nie znają tej pozycji sumienni i dobrze poinformowani bibliografowie dzieła Kasprowicza: Ludwik Bernacki (1912) i Kazimierz Czachowski (1929). Nawet wydawca listu Kasprowicza do Kraszewskiego, gdzie numer 881 Kłosów wskazany jest z dokładnością uderzającą, Józef Korpała (patrz przypisek 6), nie otworzył rocznika 1882! Natomiast wierszy tych szukał Stefan Kołaczkowski, redaktor *Dzieł* Kasprowicza. Świadectwem tej kwerendy erudycyjnej jest przypisek redaktora, t. XXII. *Pisma prozą,* t. IV, Warszawa 1931, s. 224. Odczytajmy ten przypisek: „Kraszewski był też jednym z protektorów talentu Kasprowicza; zachował się list poety do Kraszewskiego, w którym dziękuje za polecenie go redakcji Kłosów, w piśmie tym jednak żadnego wiersza pod wymienionym w liście pseudonimem »Gopliczanin« nie ma". Można więc ominąć Kasprowicza w poszukiwaniu „Gopliczanina" (!)...

Były to prace Kasprowicza z paru lat: Fragment liryczny *Różyczko moja!* powstał w Poznaniu, wiosną 1881 r., motyw ludowy *U studni* — w Opolu, 5 października 1881. Innych wierszy nie potrafimy datować, stanowią zapewne plon roku 1881 i pierwszych miesięcy 1882. Wiersze *Prośba guślarza* i *Łabędź* zachował Kasprowicz dla tomiku *Poezje*, którego zdołał się dopracować zaledwie z początkiem r. 1889. Dwa inne: *Różyczko moja!* i *U studni* przechowała w swoich wspomnieniach i papierach Waleria Kryszewska, „różyczka" Kasprowicza z r. 1881. Fragment *Z pieśni żebraczych* jest świadectwem trudnej młodości poety, który jednak już tutaj (w ostatniej strofie wiersza) umie zaśpiewać swój *Excelsior!*

Stosunki Kasprowicza z redakcją Kłosów wyczerpały się na tym epizodzie. Pismo uznało zapewne, że poeta otrzymał „zachętę i podtrzymanie" przez publikację owych pięciu utworów. Kasprowicz — jak tego dowodzi jego list do Kraszewskiego — pragnął trwalszego kontaktu. Kłosy, utrzymujące się na pozycji zachowawczej, może odgadły w „Goplaniczu" dojrzewającego radykała. Niebawem, doszedłszy do pewności pióra, Kasprowicz zdołał uzyskać dostęp do periodyków, bliższych mu ideowo. Ale teraz odczuł zapewne boleśnie, że możliwości druku, tak niespodzianie pozyskane, zostały mu znowu odjęte.

Na swoją pociechę poeta z Raciborza mógł odczytać w numerze 886 Kłosów z tegoż roku 1882, wśród odpowiedzi *Od redakcji*, rekuzę: „Panom Stef. Ż., Edwardowi L., Saryuszowi: nadesłanych nam utworów drukować nie możemy". Ale czy odczytał? W Raciborzu „nie ma Polaków, co by Kłosy abonowali"... I tak zresztą nie doszedłby znaczenia kryptonimów.

Z Kraszewskim nie spotkał się już więcej. I nawet, jak się zdaje, nie korespondował. Ogarnięty przez ruch socjalistyczny, nie mógł wracać na drogę, prowadzącą do autora *Starej baśni*. Mimo to pamięć przysługi literackiej, wyświadczonej w r. 1882, pozostała u Kasprowicza żywa. Na pogrzeb Kraszewskiego, idący 18 kwietnia 1887 przez Kraków na Skałkę, udała się z Wrocławia grupa akademików-Polaków w specjalnej deputacji [9]. Był z nimi i Jan Kasprowicz. Może pamiętał jeszcze słowa swojego listu z Raciborza: „Odżyłem prawie na nowo, mam znowu więcej nadziei, a to winienem dzisiaj Czcigodnemu Panu..."

Tadeusz Mikulski

[9] Obecność „Akademików Polaków z Wrocławia" na pogrzebie Kraszewskiego notuje m. in. Czas, 1887, nr 89, z dn. 20 kwietnia. O udziale Kasprowicza w pogrzebie zob. T. Mikulski, *Uniwersytet Kasprowicza* (w tomie: *Spotkania wrocławskie*, Wrocław 1950, s. 335).

WRAŻENIA Z CYTADELI

POŚWIĘCONE PAMIĘCI TOWARZYSZY NIEDOLI

WIERSZ ROBOTNIKA PISANY W KAZEMACIE

I. Fort Aleksiejew

Gdzie Zakroczymskiej wylot ulicy
I gdzie olbrzymi gmach Cytadeli:
Z muru, cementu, cegły, ziemicy,
Fort Aleksiejew z dala się bieli;
Fosy, nasypy, wały i mury
I paszcz armatnich groźne kontury.
    Gdzie główna brama, ściana zębata,
    Co strzelnicami wkoło usiana
    Oddziela wnętrze fortu od świata,
    W podwórzu studnia jest murowana.
    Po obu stronach okna bez kraty,
    Duże i brudne — to kazematy.
Jak amfiteatr w półkole stoją,
Jakoby drugie cyrki Nerona...
Różnymi ludźmi dzisiaj się roją,
Niejedna setka tu w nędzy kona.
Lecz cyrk Nerona to rzecz już stara —
Dziś Polska cyrkiem despoty — cara.
    Rzym patrycjalny swoim cezarom
    W szalonych orgiach słał hekatumby,
    A plebej srogim podlegał karom,
    Prześladowany biegł w katakumby.
    Dziś kazemata równa się z niemi,
    Bo jak i one jest w głębi ziemi.
Dziś samowładca, car, w swej stolicy
Zapija wina, zajada torty;
A lud niewinny, wzięty z ulicy,
Zapełnia twierdze, więzienia, forty!
Tysiące ludzi wszakże już wzięli
Z objęć żon, matek, do cytadeli.

Nie obcym to jest w świecie nikomu,
Czy jesteś winien — nikt cię nie pyta.
Biorą cię z pracy, biorą cię z domu:
Szpicel powiedział — biorą i kwita.
I poznasz wkrótce moc carskiej dłoni,
Za to, że nie chcesz myśleć jak oni!...
Wnętrze kazemat swoim obszarem,
Gdy wejdziesz do nich, wnet cię poraża;
Tu starej słomy dostałeś darem
I pomyj trochę — car tak obdarza...
Tu trzystu ludzi pędzi swe chwile,
W drugiej kazmacie jest drugie tyle.
Smutne w swej piersi kryjesz westchnienia,
Gdzie tylko swoją odwrócisz głowę:
W środku arkady, mocne sklepienia
I mury mocne czterołokciowe.
I piece cztery stoją żelazne,
I czterech lampek światła przyjazne...
Wokoło arkad i pod ścianami
Leżą ze słomy nędzne barłogi,
Nieraz w noc cichą zraszane łzami.
Każdy tu tęskny, każdy ubogi.
Każdemu w smutku długi czas płynie,
Bo śpią jak świnie — jedzą jak świnie...
Olbrzymie białe kazemat ściany,
A z nich napisy wzrok więźnia pije:
Oto tu sztandar wyrysowany,
A na nim godło: „wolność niech żyje“,
Niech żyje naród dręczony katem!
Niech tyran zginie — i „precz z caratem“.
Kiedy przeglądasz owe napisy,
To lżej się jakoś robi na duszy;
Na twarzy więźnia weselsze rysy,
Że krew przelaną przyszłość osuszy,
Że robotnicze wygra rycerstwo,
Zakwitnie równość, wolność, braterstwo!
Bo dziś żal wielki serce ci ściska,
Gdy cię żołdaki przyjmują w forcie,
Sołdat szyderstwem w oczy ci ciska
I z błotem miesza, jakby w retorcie
Wszystkie wznioślejsze twoje uczucia,
Bo brak mu w sobie wiary poczucia...
Gdy chcesz iść na dwór lub przynieść wody,
Za wielką łaskę żołdak to liczy.
Żałują krzynkę słońca, swobody,
I nieraz słychać — oficer krzyczy:
„Gdy się naprzykrza — to sukinsyna
Walić w łeb kolbą od karabina!...“

Wśród trzystu ludzi cicho i smutnie
Trudno usiedzieć. Słychać gonitwę,
Usłyszysz śpiewy, czasami kłótnie,
A czasem nawet zobaczysz bitwę.
Zbrojne żołdactwo wpada w te kupy,
Wtedy są ranni, a nawet trupy...
Czasem oficer, no i żołnierze
Bywają lepsi. Wtedy to gody.
Wtedy się bawim wesoło, szczerze
I każdy z drugim idzie w zawody:
Otrząsa duszę z więziennych pleśni,
I brzmią wesoło tańce i pieśni...
Tu na organkach małych muzyka,
Cudne w powietrzu od nich wibracje,
Tu jakiś fircyk kankana fika,
Tu słychać śpiewy, tu deklamacje;
Tu figle jakieś, a tu pustota,
Tu ładny Żydek tańczy gawota.
I w tych kazemat grobie ponurem,
Tak jest wesoło, tak uroczyście...
Czerwony Sztandar tu płynie chórem,
Śmiało, potężnie, drużno, ogniście.
Polacy ciągną tu *Warszawiankę*,
Tam znowu Żydki rżną *Marsyliankę*.
Chłopiec-kurierkarz, w czapce z numerem,
Wyczytał nowin z pisma po trosze,
Biega po sali z Gońcem, Kurierem,
„Po cenie kosztów sprzedam, dwa grosze,
Kurier Poranny — nowiny świeże,
Od robotników car w skórę bierze!“
Biedak z kurierkiem latał po mieście,
Jak robią mnogie Warszawy syny.
Nie mając zbytu krzyknął nareszcie:
Że strejk jest w Moskwie wielki, jedyny.
A to się wzbrania. Podległ eskorcie
I razem z nami znalazł się w forcie.
Różni tu ludzie, winni, niewinni,
Są wykształceni, są mniej uczeni;
Są robotnicy, ucznie i inni,
Różnych przekonań, różnych odcieni.
Jedno ich tylko do kupy łowi:
Nienawiść wielka przeciw carowi.
Przyjrzyj się bliżej, oto gromada,
Widać od razu, że to Polacy:
Jeden drugiemu pilnie wykłada,
Dlaczego to my nieszczęśni tacy.
Poznasz od razu, że to spiskowcy,
Poznasz po minie, to „pepesowcy“.

A oto dalej gromada druga,
Co sławnym mianem „Bundu“ się szczyci.
Ich dzielnych czynów litania długa —
Dzielni, bo nasi Izraelici!
W agitatorskiej u nas gonitwie
Sławni są w Polsce, w Rosji i Litwie.
Tu trzecia kupka, ale mniej liczna.
Ona by chciała przekonać braci,
że ich idea również jest śliczna.
Każdy ich pozna — to „demokraci“.
Słowem przekonać chcą ludzi z gminu,
Ale nie słowa — tu trzeba czynu!
Młoda gromada od gwaru stroni,
Choć nikt tu krzywdy od nich nie doznał,
Lecz Nolken poczuł moc dzielnej dłoni,
Cyrkuł dwunasty także ich poznał.
Szpicel i kacap od nich niezdrowi —
Każdego znajdą nasi „Bojowi“.
Piąta najmniejsza oto gromada.
Nikt ich do serca tu nie przytula,
Bo kogo spotka, każdemu gada,
że trzeba Polski, szlachty i króla.
Za to też panów tych nikt nie lubi,
Każdy się z nimi kłóci i czubi.
Nie trzeba królów! Sułtan, car ruski —
Czyż nam nie jedno, bracia kochani,
Czy to jest włoski, chiński, czy pruski?
Toć oni wszyscy sławni tyrani,
Co panowanie swe znaczą łzami.
Nie trzeba królów, więc precz z królami!
Niech naród tylko sobie panuje,
Nadaje prawa i praw tych strzeże!
Robotnik darmo niech nie pracuje,
Lecz niechaj dobrą zapłatę bierze!
Dość wyzyskali już nas z cynizmem!
Precz z burżuazją! z kapitalizmem!
Gdy w kazemacie lampy zapłoną,
Spożyje każdy skromną kolację,
Wtedy się zbiera robocze grono
Zorganizować manifestację.
Czerwona chustka służy sztandarem,
A za nią — tłumy z pieśnią i gwarem.
Wkoło kazemat między arkady
Za tym sztandarem idzie parami
Ten tłum roboczy, zbiedzony, blady,
Z okrzykiem „wiwat!“ i ze śpiewami.
I tylko oko gromami błyska,
A pierś zwycięską pieśń katom ciska.

Naraz na drodze zrobił się zator,
W parach ruch jakiś oto się wszczyna,
W pośrodku staje młody orator,
O dniach dzisiejszych mówić zaczyna.
Gdy mówi pięknie, grzmią mu oklaski:
„Brawo! niech żyje!“ — dokoła wrzaski.
A później drugi i po nim trzeci
Wykłada różne prawa, uchwały.
Okrzyk i słowo wolności leci.
Pod oknem żołdak staje zuchwały:
Że tak tym więźniom dobrze, radośnie?
I w głowie jego nowa myśl rośnie.
Po kazematach tłum się rozchodzi,
Jedni na słomie brudnej siadają,
Starsi spać idą, a bardziej młodzi
Siedząc wokoło bajek słuchają.
Inni w kąciku po cichu gwarzą,
A jeszcze inni coś w myśli marzą.
Może o żonie, o dziecku może...
Każdy ma swoich kłopotów sporo:
Ten w domu dziatki zostawił hoże,
Drugi mateczkę ma w domu chorą.
Niejeden twarz swą ukrywszy w dłonie
Śle myśl kochance, siostrze lub żonie.
Bo coraz częstsze przychodzą słuchy,
Że siła ludu to już nie bajki,
Że na Warszawie wielkie rozruchy,
A w całym państwie powszechne strajki.
Stoją fabryki, banki, koleje,
Że stanowczego już się coś dzieje.
Że tam na mieście brak światła, wody,
Że składy, sklepy wszystkie zamknięto,
Że chleb jest drogi, panują głody,
Że na fabrykach jest wielkie święto...
Każdy się lęka o los swych bliskich
Podczas dni wielkich, sławnych i śliskich.
I u nas przeto zastrajkowali:
Rano przynieśli jeść w poniedziałek,
Lecz samą wodę, chleba nie dali...
Rząd nie ma chleba, chleba kawałek?...
Więc się zebrali i krzykły grupy:
Gdy nie ma chleba, nie trzeba zupy!
Co nas obchodzi, że strejk na mieście!
Nam o tym wiedzieć wcale nie trzeba!
Chleba nam dajcie, skąd chcecie, bierzcie!
I z ust pięciuset grzmi: „Dajcie chleba!
Gdyście do więzień nas posadzili!“
I po południu chleb rozdzielili...

Późno już w nocy i ranek bliski,
Morfeusz rolę wziął na się króla.
Już w kazemacie nie takie ściski,
Już się niejeden do snu utula.
Jakby po smacznym już śpią obiedzie,
Jeden na drugim jak w beczce śledzie.
Lecz wielu jeszcze po kazemacie
Jak senne widma po cichu krąży.
Choć rozebrani, w negliżu szacie,
Nieprędko sen ich jeszcze pogrąży.
Po kazemacie nogi ich wleką,
Lecz myślą jasną oni daleko.
Nareszcie owe senne widziadła
Idą do okien — wzrok po nich bieży.
Ręka ich w czas dnia chleb tam pokładła,
Więc może kromka jeszcze tam leży?
Płonne nadzieje, na próżno łaknie,
Zjadł jakiś głodny — niejednym braknie.
Więc na głodnego iść spać potrzeba,
Może cygany przyśnią się w nocy;
Tu w forcie mało słomy i chleba
I z miasta mało mamy pomocy,
Chociaż wysyła się stąd dość kartek,
Że nas odwiedzać można we czwartek.
I kiedy czwartek przyjdzie nareszcie,
Za bramą tłum się ogromny zlata.
Chociaż jest trudno, ciężko niewieście
Zobaczyć syna, męża lub brata,
Niejedna wątła w tłumie się tłoczy,
Tęskne we wrota wpatrując oczy...
W czwartek się z bliskim więzień zobaczy,
Żona mężulka, a matka syna;
Chociaż przy smutku, choć przy rozpaczy,
Niejedna dobra przyjdzie nowina.
Chleba jest więcej, są różne wety,
Bo nawet czytać mamy gazety.
Więc każdy czwartku doczekać pragnie.
Jak długo każdy tydzień tu płynie...
W barłogu nocą tonąc jak w bagnie
Bezsenny myśli o swej rodzinie.
Dla niej posyła z piersi westchnienie,
I dla niej z serca śle pozdrowienie.
Ach, kiedyż, kiedy koniec już będzie!
I kiedyż przemoc, kiedy knut twardy
Przestanie w państwie wszystkich i wszędzie
Na niebezpieczne wodzić hazardy!
Kiedy się lepsza przyszłość zaśmieje?
Kiedy kazmata opustoszeje?

Myśmy swą ciężką dawali pracę,
Bez snu, spoczynku i bez wytchnienia
Pobudowali panom pałace,
Sobie kazmaty, forty, więzienia.
Pany rozkoszne mieli zabawy,
A nam osłodą był pot nasz krwawy!
I z tego potu oto wyrasta
Plon, co położy koniec już biedzie.
Powstają wioski, powstają miasta
I wielka wolność do nas już jedzie!
Wstrzymany strumień zerwał przeszkody,
Porwał i niesie nas do swobody!
Wolność już blisko, już carat kona,
A my wspomnimy dni naszych dzieje,
Trzy szubienice i trzy imiona:
Kasprzaka, Dejcza, zucha Okrzeję!
W ich poświęcenie któż nie uwierzy?
Za naszą sprawę to bohaterzy!
Trzy jeszcze świeże ich szubienice,
Krew robotników, kobiet i dzieci,
Co tak obficie zlała ulice,
Niechaj w nas siłę do walk podnieci!
Dość nas już gnębi, w więzieniach ciśnie.
Powstańmy społem, a carat pryśnie!
Więc, bracia, z serca zakrzyczmy wszyscy,
Niechaj porządek stary się wali.
Niech żyją wszyscy socyjaliści!
Którzy swą pracą wszystko zdziałali.
Wszystkich z niewoli wydobędziemy,
Da Bóg, niedługo wolni będziemy.
Prawda w ostatku zawsze zwycięża,
Nasz wróg upadnie, chwila już bliska.
I matka syna, a żona męża
Z więzień cuchnących wkrótce odzyska.
I z ust swych naród kajdany zerwie.
I nikt od domu nas nie oderwie...
I kiedyś, wkrótce, w złotej przyszłości,
Zostanie po nas się pokolenie.
To nasze dzieci, dzieci wolności
Poślą nam z serca swe dziękczynienie.
I rozmawiając powiedzą w słowie:
Za lud cierpieli bohaterowie...

Fort Aleksiejewa, dn. 29 października 1905 r.

Początki polskiej poezji socjalistycznej sięgają lat 1880-ych, to znaczy przypadają pod koniec pierwszego etapu warszawskiej działalności Ludwika Waryńskiego. Pojawia się wtedy tomik utworów wydanych w Genewie w roku 1882 pt. *Czegoż*

chcą? Tomik ten jest pierwszą antologią poezji socjalistycznej, mieszczącą pośród 24 utworów wierszowanych znany dziś powszechnie hymn proletariacki, a wówczas po raz pierwszy wydrukowany — *Czerwony sztandar*.

Większość utworów poezji socjalistycznej powstawała w więzieniu, a więc reprezentuje typ poezji więziennej, „gatunek" obficie uprawiany w naszej literaturze rewolucyjnej. Całą grupę tych utworów łączy oczywiście fakt, że zostały napisane w więzieniu, co się łączy z pewnym ich pokrewieństwem tematycznym, często zupełnie zewnętrznym i mechanicznym. Istotną różnicę między dawną poezją więzienną a socjalistyczną stanowi jej ideologia, wywodząca się jednakże z demokratycznych tradycji liryki więziennej, już chyba od chwili insurekcji kościuszkowskiej.

Socjalistyczna poezja więzienna jest dotychczas prawie zupełnie nie znana i nie zarejestrowana. Ukazywała się bowiem w warunkach niesprzyjających. Wychodziła z podziemia i żyła w podziemiu. Drukowana bywała rzadko, choć nieraz w dużych nakładach, kolportowana ukradkiem, a tępiona zaciekle nie tylko przez cenzurę carską, ale — o wiele skuteczniej — przez wrogie partie polityczne. Częściej jednak krążyła w odpisach z nielegalnych gazetek i ulotek więziennych, przesyłano ją w „grypsach", powtarzano z pamięci jako pieśń rewolucyjną, która w tradycji ustnej wykazywała niesłychaną żywotność.

Od zapomnienia ratowały ją częstokroć zbiorki wierszy i pieśni proletariackich, wydawane w Genewie, Lipsku, Londynie i w byłym zaborze austriackim, czasopisma socjalistyczne oraz — fragmentarycznie w okresie dwudziestolecia międzywojennego — historycy ruchu socjalistycznego.

Jednym z takich nieznanych więziennych utworów socjalistycznych, który został pominięty przez Ż. Kormanową w *Materiałach do bibliografii druków socjalistycznych*, jest — zamieszczony tu — anonimowy utwór pt. *Wrażenia z cytadeli...* Obszerny ten utwór, o objętości 16 stron druku, ukazał się jako druk ulotny w Warszawie w roku 1905. Cena jego wynosiła 20 groszy. O anonimowym autorze można powiedzieć tylko to, o czym sam wspomina w tekście wiersza. Był on robotnikiem, uwięzionym w forcie Aleksiejewa za przekonania i działalność socjalistyczną. Wiersz swój napisał 29 października 1905 roku. Ten anonimowy utwór proletariusza jest z kilku względów dokumentem niezwykle ciekawym i znamiennym. Powstał bowiem w pamiętnym roku rewolucji, gdy polska klasa robotnicza wspólnie z proletariatem rosyjskim ruszyła do obalenia nienawistnego caratu.

Skoro wojna rosyjsko-japońska, która wybuchła na początku 1904 roku, załamała militarną potęgę caratu, fakt ten stał się hasłem do tak zwanej pierwszej rewolucji rosyjskiej. W Królestwie Polskim, za przykładem Rosji, żywioły rewolucyjne coraz bardziej dochodziły do głosu. Pośród partii najpoważniejszą rolę odgrywała PPS, licząca wówczas około 4 tysięcy członków i występująca zdecydowanie z przekonaniem, że klęska Rosji carskiej będzie zwycięstwem polskiej klasy robotniczej. Już w marcu 1904 roku, skontaktowawszy się z socjalistycznymi partiami Łotwy, Litwy i Białorusi, przyłączyła się PPS do odezwy wzywającej proletariat wszystkich ujarzmionych przez carat narodowości do działań mających na celu przyspieszenie klęski rosyjskiej.

Hasłem do zapoczątkowania rewolucji rosyjskiej stał się lipcowy zamach na ministra spraw wewnętrznych, Plehwego, który dobrze był znany pierwszym socjalistom polskim jako osławiony prokurator warszawski. Analogicznie do wypadków w Rosji, mnożą się i w Warszawie coraz częściej burzliwe manifestacje uliczne i strajki. Tak np. na wieść o styczniowej masakrze w Petersburgu, której ofiarą

padło około tysiąc manifestantów, proletariat polski proklamował w imię solidarności interesów klasowych strajk powszechny, który objął cały omal kraj, ogarniając około 400 tysięcy robotników. Pod wpływem wypadków rosyjskich, działacze SDKPiL starali się skoordynować swoją akcję z rewolucyjnym ruchem rosyjskim, przeciwstawiając się ugodowej akcji innych stronnictw politycznych. Wiosną 1905 roku, na ulicach Warszawy działają bojówki na olbrzymią skalę, choć rząd carski, wprowadziwszy stan wojenny, zwalcza bezwzględnie każdą akcję socjalistów.

Z takich to okoliczności wyrósł utwór anonimowego robotnika-socjalisty. Po licznych pogromach fort Aleksiejewa zapełnił się olbrzymią ilością więźniów politycznych oraz ludzi wziętych przypadkowo podczas demonstracji ulicznych. Anonimowy autor wspomina o całym tym społeczeństwie więziennym, złożonym z robotników, inteligentów i młodzieży szkolnej, segregując je według przynależności partyjnych. Są tu więc „pepesowcy" najliczniejsi, i ich radykalny wydział spiskowo-bojowy, „Organizacja Bojowa PPS", która przygotowała słynny zamach na oberpolicmajstra Nolkena. Jest inna grupa więźniów — robotników żydowskich z potężnej wówczas organizacji „Bund", stojącej na gruncie ogólnorosyjskiego ruchu socjalistycznego. Dwie ostatnie, nieliczne, do których autor ustosunkowuje się krytycznie, to gromada uwięzionych „demokratów", przeciwników akcji bojowej, wreszcie zdecydowanych konserwatystów, którzy choć występują przeciwko carowi rosyjskiemu, jednak walczą w obronie Polski szlacheckiej i królewskiej.

We *Wrażeniach z cytadeli* przeplatają i przenikają się dwa nurty tematyczne: jeden konkretyzujący się w zespołach elementów opisowych, drugi — w emocjonalnej i refleksyjnej postawie autora wobec rzeczywistości. Zespół zjawisk opisowych nadaje utworowi wartość cennego przyczynku pamiętnikarskiego. Wprawdzie prymitywny i schematyczny opis fortu Aleksiejewa nie może konkurować z innymi pamiętnikarskimi relacjami z owych czasów, jednak opis życia więziennego daje nam całkiem plastyczny i oryginalny obraz tego środowiska. Poznajemy nie tylko atmosferę panującą między poszczególnymi partiami więźniów, nie tylko ich stosunek do władz więziennych, lecz także tryb życia, radości i smutki, dowiadujemy się o manifestacjach i oracjach więziennych, podtrzymujących i rozniecających zapał i wiarę w nieustanną walkę aż do zwycięstwa socjalizmu. Ta niezłomna wiara w zwycięstwo idei socjalistycznej wsącza się nawet w umysł „zuchwałego żołdaka" stojącego na straży. Wśród więźniów potęgują ją wieści, docierające poprzez mury cytadeli o coraz szerszym rozprzestrzenianiu się rewolucji.

Na tle rzeczywistości więziennej zaznacza się nieugięta wiara w bliskie i słuszne zwycięstwo idei socjalistycznej. I to jest istotnym problematem utworu, usprawiedliwiającym dostatecznie cel, jakiemu ma on służyć. Propagandowa wartość haseł owego głosu „zza kraty" nie jest wyrażona w utworze za pomocą pustych frazesów i sloganów wiecowych. Ma ona artystyczne uzasadnienie w koncepcji całego utworu, wypływa bowiem ze szczerej i głębokiej wiary w realizację programu socjalistycznego. Ta bezpośredniość wynurzeń ideowych na tle życia więziennego jest tym bardziej przekonywająca, że osiąga ją autor podświadomie, za pomocą środków artystycznych najprostszych, jakimi zresztą świadomie może dysponować tylko artysta.

Banalne i naiwne skojarzenia, porównania i metafory, którymi posługuje się autor bardzo skąpo i w sposób prymitywny, wzmagają urok bezpośredniości przeżyć więziennych. Porównanie znienawidzonego cara rosyjskiego z despotycznymi

cezarami Rzymu, reminiscencje i metafory zaczerpnięte z przestarzałych rekwizytów, np. ze świata antycznego, to jedyne bodaj, świadomie użyte środki, świadczące o ambicjach poetyckich i kulturze literackiej autora.

Refleksyjność poety prawie wyłącznie dotyczy zagadnień związanych z walką klasową. Podlega ona charakterystycznemu dla życia więziennego falowaniu uczuć i nastrojów: od żywiołowej radości do smutku, tęsknoty i marzenia o rodzinie.

Na pesymizm jednak nie ma tutaj miejsca. Do zwątpień, rozczarowań, rezygnacji lub kapitulacji z zajętej postawy socjalistycznej nie dochodzi ani na chwilę. Wielkie nazwiska męczenników idei — Kasprzaka i Okrzei — pamięć proletariuszy pomordowanych podczas manifestacji ulicznych, utwierdzają w poecie wiarę w cel walki i jej zwycięstwo. Jedyną prawdą dla autora to socjalizm. Nic więc dziwnego, że on właśnie musi zwyciężyć, obaliwszy carat wraz z jego instytucjami, zniszczywszy burżuazję i kapitalizm. To głębokie przekonanie w zwycięstwo prawdy socjalistycznej nie jest bynajmniej subiektywnym przekonaniem autora. Bije ono żywiołowo i solidarnie z całego zespołu manifestujących więźniów-socjalistów, z ich dysput i przemówień wiecowych. Nie zataja go ani strach przed szpiclami carskimi, ani bojaźń przed konsekwencjami tak jawnie okazanych poglądów. Więźniowie wiedząc, że poza murami cytadeli walczą ich bracia-socjaliści, wierzą w bliskie zwycięstwo.

Rewolucja jednak nie ziściła tak szybko ich pragnień. Z chwilą stłumienia grudniowego powstania robotniczego w Moskwie, z którym związany był Lenin, rząd carski uzyskuje coraz większą przewagę nad ruchem rewolucyjnym. W Polsce sytuacja jest analogiczna; wiara w rychłe zwycięstwo załamuje się. W łonie PPS dochodzi do głębokich rozbieżności, prowadzących do rozłamu dokonanego w listopadzie 1906 roku na IX Zjeździe PPS w Wiedniu.

Mimo stłumienia, rewolucja roku 1905 była wielkim doświadczeniem dla proletariatu. „Wykazała ona, że klasa robotnicza jest jedyną przodującą, rewolucyjną i twórczą klasą, niosącą w sobie przyszłość i potęgę swego narodu. Nauczyła ona proletariat, że zwycięstwo klasy robotniczej jest możliwe, jeśli skupi ona wokół siebie wszystkie siły ludu pracującego, a przede wszystkim masy pracujących chłopów".

Bogdan Zakrzewski

EPIGRAMMATON LIBER

JULIUSZA KRZYŻANOWSKIEGO

Autor, który zamieszczone tu wiersze napisał, odszedł od nas w grudniu 1950 r. Był to człowiek i w naszym niezwykłym czasie niezwyczajny, choć do naszego czasu jakby nie należący. Humanista typu renesansowego, w cztery wieki po naszym renesansie, klasyk o duszy romantyka, entuzjasta schowany w mrukliwej nieśmiałości. Życie jego nie biegło wypróbowaną jedną koleiną, jak u większości z nas. Rozpoczął swą drogę naukową doktoratem z filologii klasycznej w Uniwersytecie Jagiellońskim w roku 1919, po czym, jak się zwykło mawiać, „poszedł na prowincję". To stwierdzenie, które często znaczyło tyle, co „skończył się", w wypadku Juliusza Krzyżanowskiego nie miało się sprawdzić. Kilkuletnia droga, Zakopane — Brzeżany — Kalisz, kończy się w Warszawie. Uczył łaciny w gimnazjach, ale na wakacje wyrywał się za granicę; do Anglii, Londynu, Oksfordu, a najściślej chyba mówiąc do Bodleiany. Tam czytał tragedię elżbietańską i Szekspira. Znał utwory tej epoki chyba na pamięć — jak nikt w Polsce.

W kraju uczył łaciny. Uczył też niezwykle. Należał do grona tych, którzy łacinę chcieli ożywić, uczynić znowu językiem międzynarodowym, i to nie tylko mową uroczystego aktu, ale artykułu, recenzji teatralnej czy filmowej, żartu, rozmówki między cudzoziemcami. Mówił po łacinie z uczniami w klasie. Możemy żywić sceptycyzm dla tego rodzaju poczynań dzisiaj, ale nie możemy odmówić sympatii humaniście, który walczył o swój język. Wojna przerwała i walkę o łacinę, i wyjazdy do Bodleiany. Nauczania łaciny nie przerwała. Profesor uczył na kompletach kształcąc uczniów, których większości miał — sam zbiegły z kierowanego do Niemiec po powstaniu warszawskim transportu — poświęcić tylko klasycznie mitologizujący smutny polski epitaf.

Poznałem go w roku 1945 we Wrocławiu, gdzie objął katedrę literatury angielskiej. Poznawałem niejako od zewnątrz, tak jak się poznaje ludzi nieśmiałych i w sobie zamkniętych, mieszkając z nimi o ścianę, gdy codzienne, sąsiedzkie zetknięcia dopiero powoli, coraz bardziej od-

krywają drugiego człowieka. Wielki, silnie zbudowany pan, z pochyloną lekko na ramię głową, „odkrywał się" nieoczekiwanie. Dyskusją przy kuble z węglem na piwnicznych schodach czy w czasie wieczornej przechadzki po ogrodzie, artykułem w gazecie, godzinami namiętnej gry na pianinie. Gdy się do niego zachodziło w chłodne, jesienne, czy zimniejsze jeszcze, zimowe wieczory, leżał w łóżku dosłownie przykryty stosami książek. Po zajęciach rannych w uniwersytecie dzielił czas niemal wyłącznie między grę i lekturę. Lektura, jak się niejednokrotnie można było przekonać, nie była dlań montowaniem wiadomości do zamierzonych prac ani potocznym „pożeraniem" książek. To była pasja, namiętność humanistyczna odkrywcy, rozmiłowanego szczególnie we wszystkim, co ukryte, zapomniane, nie docenione. W ogóle miał renesansową pasję podróżowania po przeszłości. Najczęstszymi jego wspomnieniami z ostatniego pobytu w Anglii, w r. 1947, były peregrynacje śladami pisarzy i dzieł, gra na fortepianie, na którym spoczywały kiedyś palce Szopena. Miał i erudycyjną pasję szukania drobnych i zapomnianych początków spraw, czego świadectwem artykuły i odczyty o *Niespodziankach* przed Rostworowskim.

Ostatni raz, dla nas niespodzianie, „ukazał się" w epigramach. Wiedzieliśmy, że pisał fraszki i wiersze łacińskie; mawiał o tym sam, mówiono o tym na studium anglistyki, gdzie zaufanemu i przywiązanemu do siebie gronu studentów zwierzał swą trójjęzyczną polsko-łacińsko-angielską muzę, czytając szybko i niemal niedosłyszalnie, zawstydzony, sam jak student, gdy czyta pierwsze wiersze. Było to jednak *forum* wewnętrzne anglistyki, inni, zwłaszcza może „zawodowcy", filologowie klasyczni, słuchali o tych wierszach obojętnie. Cóż, chyba jeszcze jedno wypracowanie w dopasowywanych przemocą do *metrum*, odszukanych w słownikach i *Gradus ad Parnassum* wyrazach — myśleliśmy.

Dopiero, kiedy chcąc uczcić pamięć Zmarłego akademią żałobną, dostaliśmy do rąk pozostawione karty, zobaczyliśmy go nieoczekiwanie jeszcze raz, całkiem innym, niż się spodziewaliśmy.

Zbiorek, z którego wybrane utwory tu podajemy, obejmuje kilkanaście stron maszynopisu. Tytuł: *O. Iulius Neomartialis Epigrammaton liber*, pod nim trzy motta z Marcjalisa o formie i zadaniu epigramu, znamienna dedykacja: *Oblivioni sacrum* (poświęcone niepamięci) i znamienniejsza jeszcze data: *Varsoviae MCMXLIV*. Kiedy zaczęliśmy czytać teksty, by z nich wybrać to, co mogło być do naszej akademii potrzebne, zdziwienie rosło w miarę czytania. To nie były wypracowania metryczne ani centony-składanki z urywków oryginalnych łacińskich wierszy, ani zwykłe filologiczne figle na dobrze opanowanym warsztacie. Trudna

sztuka literackiego *pastiche* jest tu traktowana w sposób tak naturalny, że nie dziwi nas zupełnie obrany przez autora kryptonim — Neomartialis. Fraszki — na pozór żarty, i to dobre żarty — poczęte są w dużej części z ducha rzymskiego epigramatyka; to tworzy ich specyficzny smak. Chodzi tu przede wszystkim o epigramy z czasów okupacji, gdzie najsilniej dochodzi do głosu tkwiąca w naturze Marcjalowego epigramu zajadłość zaczepki. Ale i zebrane w tymże zbiorku utwory przedwojenne świadomie, jak widać, zebrał autor w jednej książeczce. Mały krąg znanych typów przedwojennej inteligencji wyśmiewany jest z rzadka dobrotliwie, najczęściej z pasją. Pasję zrozumiemy, jeśli przypomnimy sobie usposobienie autora fraszek, jego nieśmiałość wobec ludzi, a równocześnie niecierpliwość, jaka go musiała zgryzać. Kilka razy w epigramie Krzyżanowskiego nawraca motyw stanowiska i kariery. Stanowisko osiągnięte wpływami żony lub ciotki, kariera budowana na protekcji — tacy to ludzie pną się w górę, zadzierają nosa. Jaki kredyt zaufania można było przyznać tym świetnościom przedwojennego dnia, okazuje wojna. I w wojnie łowi epigramatyk jej komizm, choć nie jest to komizm „do śmiechu". Fraszka Krzyżanowskiego w jeden cel godzi głównie — w głupotę. Objawy tej głupoty najróżniejsze: od obłędu faszystowskiego okupanta po potoczne śmiesznostki domowych bohaterów, plotkarzy, tchórzów, zbankrutowanych polityków. Głupcy defilują przed nami w najróżniejszych postaciach: od pysznego ziemiańskiego nieuka, pedagoga z protekcji, po „naukowego" wydawcę i krzątających się wkoło własnych interesów filantropów.

Nie w każdej oczywiście fraszce cel wart jest wiersza, nie wszędzie od rzeczy chwytanych na gorąco spodziewać się możemy obiektywnego spojrzenia. Na pewno jednak wychodzą te fraszki poza zwykłą zabawę. Zachowując Marcjalowe cechy — od języka i miary wierszowej, od właściwej i polskiej fraszce rubaszności wyrazu, do celnej pointy-wydźwięku epigramu — malują na swój sposób wiernie i świat dziś miniony, który opisują, i człowieka, który je napisał. Dlatego też nie tylko jako ciekawostka literacka warte są, by je zapomnieniu, któremu są poświęcone, wydarto.

MARTIALIS (1)

O mordax pater et salax sagaxque
Tu cunctorum epigrammatariorum,
Ignoscam tibi, cum canis lubenter
Cunnos inguina mentulas pipinnos,

Cum fellas futuis cacas vomisque,
Sed numquam patiar feram sinamque
Augostos lepores piosque tauros
Et laudes humiles Iovis cruenti.

SCORTUM POLITICUM

„Vivat rex“ clamat cum Sergius officiose
 Suspicit anne cadat desuper aurea crux
Nil di percipiunt. Iterumque iterumque vocavit.
 Sed frustra. Rabidus tum repetit: „Pereat?“

PERASTUTULUS

„Non equidem memini“ — mihi respondere solebas
 Atque videbaris callidus esse tibi.
„Hoc quanti, sodes, emisti, Sordide amice?“
 Siqua quaesierim, „Non equidem memini“.
„Non equidem memini“ — si quando, Sordide quaeram,
 „Menstrua iamne tibi pensa salaria erant?“
Certe, si quaeram, natorum sisne tuorum
 Ipse pater, dicas: „Non equidem memini“.

HEROIS

„Ignavos homines!“ — exclamat Gallia fortis —
 „Tam trepide capiti quemque timere suo.
Huc illuc propero documenta ut ab hoste recondam,
 Pro quisque excusat se ratione alia“.
Gallia, si tantam fortemque heroida spiras,
 Cur non ipsa domi clam documenta tenes?

CUCULLUS MONACHI

Te stola ni tegeret, Theodore, sacerdotalis
 Nollem urbis tenebris obvius esse tibi.

VESPILLO (3)

Epistulas ubique sedulo exquiris,
Quas scriptor obscurus remisit obscuris,
Farragineque superflua notarum ornas
Luxuque magno magnum opus foras edis
Et gloriam ex inglorio tibi quaeris.
Sed mille quisnam epistulas leget viles
Cadaveris, cuius libros legit nemo?

VIR HONORATUS

Tam cito quod cursum summorum ascendis honorum
    Hoc uxor peperit, non tua stultitia.

PIETAS (1)

Supplex genua, Luperce, flectis ambo,
Fraudes ut veteres deus remittat
An donet tibi cras novas? — Utrumque.

ALTER PHOEBUS

Quaeris participem permagna negotia tecum
    Promittisque lucri tu mihi dimidium.
Cum norim fracto te non foetere triente,
    Ne fucum facias, quanto egeas aperi.

ARBITER ELEGANTIARUM (2)

Quare videris tu tibi ipsi maximus
Esse arbiter totius elegantiae
Et me putas rudem atque spernis rusticum?
An quod scholam finire nullis viribus
Poteras magistri nec Monetae gratia?
An quod bibax es impotens nec tam potens
Fututor? An quod pauca lingua Gallica
Ut psittacus loqueris, novissime sapis
Saltare, venari, omne ludo perdere?
Proh! causa sed gravissima haec: rus possides.
Ergo itaque tu recte vocaris rusticus.

RUMIGERULUS (1)

Semper notitias mihi afferebas
Miras: quot milia hostium occidissent,
Quis quem quo domiturus ultimo esset.
Haec et cetera multa, quae tamen mox
Sunt commenticia atque fabulosa
Monstrata omnia, sicut et putabam.
Quid nunc? Num pudibundus obticebis?
Ulcisci cupis et calumniaris
Hosti me memorans favere nostro.

„LEGIONARIUS“

Cur lucrosa gerit tot tantaque munera Gallus?
Tres quondam menses in „legione“ fuit.
Cur vita vacua Gallus fruitur facilique?
Tres quondam menses in „legione“ fuit.
Cur patria pereunte foris fugit cito Gallus?
Tres quondam menses in „legione“ fuit.

„HYSTERICUS“

Caia exire cupit, mavult requiescere Caius
— Caia furens plorat, calcitrat atque ululat.
Suspirat natam miserans ad sidera socra:
„O qualem hystericum filia coniugem habet!“

„ALTRUISTA“

Omnibus hanc vitae inculcat Sextus rationem:
„Non tibi verum aliis vivere mente tene!“
Ipse suo paret placito? Miseros iuvat ille?
Flectere vult alios, ut sibi subveniant.

PHILANTHROPIA (3)

Laudem sibi philanthropias ut acquirat
Labulla fit patrona pauperum illustris
Parvosque liberos suo fovet sumptu
Simul propinquis subicit suos natos,
Quos sustinere non potest inops ipsa.

„OCCUPANTES“ — GENS DOMINATRIX (1)

Urbes mille ruunt micatque flammis
Aether, corpora viva humant ruinae,
Clades imminet atra civitati,
Iam Victoria lucet inter astra
Victis gentibus afferens salutem.
— Mures interea iubent necari
Et pannos veteres legi viritim
Mulcta carcere morte territantes
Murem abscondere si velis vel unum.
O gentem insipidam atque mente captam!

ANGELICAE

Spero equidem septem furum quondam fore acetum
Ex hac angelica virginitate tua.

TEMPORA MUTANTUR (3)

Quos basiabat sponsus aureos crines,
Caius maritus saepe eos spuit cenans.

Z nie należących do zbioru epigramów wierszy łacińskich Juliusza Krzyżanowskiego damy tu jeden — drobny okupacyjny epitaf, który zaświadczy, że autor jego znał w twórczości nie tylko Marcjalową strunę. W myśl klasycznej konwencji, epitaf przemawia sam — w imieniu zmarłego.

PANIS FILII

Me puerum iussit quondam mater viduata
Panem emere (in castris genitor periit miserandus).
Forte via me currentem glans ferrea caedit.
Interfecerunt hostem sed me simul hostis.
Quis matri viduae panem portabit et orbae?

PRZEKŁADY

Przekłady tu podane nie mają żadnych innych pretensyj, jak te, aby czytelnikom, których łacina „zardzewiała", pomóc w zrozumieniu wierszy; dlatego są prozaiczne. Starają się o możliwą wierność, wyjąwszy te miejsca, gdzie wierność byłaby grzechem wobec polszczyzny. Dla ułatwienia metrycznego odczytania oryginałów dajemy tu schematy użytych rzadszych (dla nie-filologa) miar wierszowych. Cyfry kolejne schematów podano w nawiasach przy tytułach utworów. Heksametr i dystych elegijny dla nikogo, kto zna łacinę w zakresie szkolnym, chyba objaśnienia nie potrzebują.

A oto użyte metra:

(1) j e d e n a s t o z g ł o s k o w i e c   f a l e c e j s k i

–́ – –́ ⏑ ⏑ –́ ⏑ –́ ⏑ ⏓ ⏓

(2) t r y m e t r   j a m b i c z n y

⏓ –́ ⏑ –́ ⏓ ‖ –́ ⏑ –́ ⏑ –́ ⏑ ⏓́

(3) j a m b k u l a w y, zbudowany jak poprzedni, z tą różnicą, że przedostatnia zgłoska wiersza musi być długa

⏓ – ⏑ – ⏓ – ⏑ – ⏑ – – ⏓́

Są to oczywiście tylko schematy zasadnicze.

MARCJALIS

O złośliwy ojcze wszystkich fraszkopisarzy, lubieżny i dowcipny. Wybaczę ci, gdy chętnie opiewasz wstydliwe członki męskie i żeńskie, gdy liżesz, spółkujesz, fajdasz i rzygasz. Lecz nigdy nie ścierpię, nie zniosę, nie przyzwolę na augustejskie przymilenia, pobożne hekatomby i uniżone pochwały krwawego Jowisza.

POLITYCZNA LADACZNICA

Gdy służbiście krzyczy Sergiusz: „Niech żyje król!", podpatruje, czy nie spadnie z góry złoty krzyż. Nic bogowie nie dostrzegają. Wołał raz za razem. Lecz na próżno. Więc wściekły podejmuje: „Niech zginie król!".

CHYTRUS

„Doprawdy, nie pamiętam“ — zwykłeś mi odpowiadać i wydawało ci się, żeś chytry. „To za ile, jeśli łaska, kupiłeś, przyjacielu Sordidzie (Brudasie)?“ — gdym pytał — „Doprawdy, nie pamiętam“. „Doprawdy, nie pamiętam“ — jeśli kiedy, Sordidzie, spytam: „Czy już ci zapłacono pensję?“. Pewnie, gdybym spytał, czyś sam ojcem twych dzieci, powiesz: „Doprawdy, nie pamiętam!“.

BOHATERKA

„Co za tchórze!“ — wykrzykuje dzielna Galia. „Tak się każdy boi o swoją głowę. Chodzę i tu, i tam, żeby schować papiery przed wrogiem, a każdy wymawia się czym innym“. Galio, jeśliś taka bohaterka, to czemu sama nie ukryjesz w domu papierów?

KAPTUR MNICHA

Gdyby cię, Teodorze, nie kryła księża sukienka, nie chciałbym cię spotkać w ciemnościach miasta.

GRABARZ

Wyszukujesz wszędzie skrzętnie listy, które nieznany pisarz wysłał nieznanym adresatom, zdobisz je niepotrzebną gmatwaniną przypisków, wielkim kosztem wydajesz wielkie dzieło i szukasz sobie sławy w niesławnym. Ale kto będzie czytał tysiąc podłych listów trupa, którego książek nikt nie czyta?

CZCIGODNY MĄŻ

To, że tak szybko stąpasz drogą najwyższych zaszczytów, sprawiła żona, a nie twoja głupota.

POBOŻNOŚĆ

Klęcząc zginasz oba kolana, Luperku. Czy po to, by ci Bóg odpuścił stare oszustwa, czy dał popełnić nowe? — I jedno, i drugie.

DRUGI FEBUS

Szukasz wspólnika do olbrzymich twoich interesów i obiecujesz mi połowę zysku. Wiem przecież, że groszem złamanym nie śmierdzisz; nie mydl oczu i powiedz, ile ci potrzeba.

MISTRZ WYKWINTU

Dlaczego wydajesz się sobie samemu największym znawcą wszelkiego wykwintu, a mnie uważasz za szorstkiego i gardzisz mną jak chamem? Czy dlatego, żeś mimo wysiłków nauczyciela i łaski Monety nie mógł skończyć szkoły? Czy, żeś nie mocny pijus ani tak mocny rozpustnik? Czy, że coś niecoś po francusku jak papuga gadasz, umiesz najmodniej tańczyć, polować, wszystko tracić w grze? Niestety, najpoważniejszą przyczyną jest to, że masz wieś; więc ty słusznie możesz się zwać chamem. (W oryginale nieprzetłumaczalna gra słów: *rus* — wieś i *rusticus* — w dwu znaczeniach: wieśniak i nieokrzesany, cham).

NOWINKARZ

Zawsze przynosiłeś mi przedziwne nowiny: ilu wrogów padło, kto kogo gdzie ostatnio miał pokonać i wiele innych; w końcu okazało się to zmyślone i bajeczne, jak też sądziłem. Cóż teraz? Czy ze wstydem zamilkniesz? Chcesz się zemścić i szerzysz plotki napomykając, że sprzyjam wrogowi.

LEGIONISTA

Dlaczego Gallus ma tyle zyskownych i tak ważnych urzędów? Był niegdyś trzy miesiące w legionach. Dlaczego Gallus cieszy się lekkim i łatwym żywotem? Był niegdyś trzy miesiące w legionach. Dlaczego gdy ojczyzna ginie, Gallus szybko ucieka za granicę? Był niegdyś trzy miesiące w legionach.

HISTERYK

Gaja chce wyjść, Gajus woli odpocząć. Gaja wściekła płacze, tupie i wyje. Żałując córki teściowa wzdycha do gwiazd: „Och, jakiego histeryka męża ma córka!"

ALTRUISTA

Sekstus wszystkim wbija do głowy taki sposób życia: „Pamiętaj, nie żyj dla siebie, ale dla innych". Czy sam trwa przy swym zdaniu? Czy pomaga biedakom? — Chce innych skłonić, aby jemu pomogli.

FILANTROPIA

By zdobyć sławę filantropki, Labula staje się świetną opiekunką biedaków i własnym kosztem wychowuje biedne dzieci. Równocześnie podrzuca krewnym swoich synów, bo, sama bez środków, nie może ich utrzymać.

OKUPANCI — NARÓD WŁADCÓW

Tysiąc miast pada w gruzy i powietrze drga od płomieni, ruiny grzebią żywe istoty, czarna klęska zagraża państwu, już Zwycięstwo świeci pośród gwiazd niosąc zbawienie zwyciężonym narodom. Tymczasem każą tępić myszy i zbierać od każdego stare łachy, strasząc grzywną, więzieniem i śmiercią, gdybyś chciał ukryć choć jedną mysz. Cóż za niemądry i wariacki naród.

ANIELI

Spodziewam się, że będzie kiedyś ocet siedmiu złodziei z tej twojej anielskiej dziewiczości.

CZASY SIĘ ZMIENIAJĄ

Złote włosy, które Gajus całował jako narzeczony, jako mąż często wypluwa przy obiedzie.

CHLEB SYNKA

Posłała mnie kiedyś, jako chłopca, matka wdowa po chleb (nieszczęsny ojciec zginął w obozie). Biegnącego ulicą, przypadkiem trafia mnie kula. Zabito wroga, ale wróg zabił m n i e. Kto zaniesie chleb matce wdowie i sierocie?

WYDAŁ Z RĘKOPISU I PRZEŁOŻYŁ
JERZY ŁANOWSKI

ANNA KOWALSKA

NA ROGATCE

FRAGMENT POWIEŚCI

W zimowy wieczór.

Gdy obudziłam się następnego ranka, dziwna białość uderzyła mnie w oczy. Okna do połowy zawalone były śniegiem. Wiatr wciąż jeszcze świszczał w kominach, przeciągał nad domem, gniótł szyby miotając śniegiem. Cały dom trzeszczał; raz po raz gdzieś na strychu trzaskało drzwiami. Mimo jęków, wycia, mimo trzasków i świstu, chwilami głucha cisza wypełniała zdębiały od chłodu dom.

Ranek wlókł się powoli. Po obiedzie matka drugi raz napaliła w piecu. Miała wstawić łatę na spodnie Ignaca, ale jakoś nie kwapiła się z robotą; oparta o piec, nuciła półgłosem pieśń o panu Piotrze.

Co tylko najgorszego, używał to pan Piotr,
Z człowieka poczciwego stał się wielki łotr.

Za szybami wciąż padał puszysty śnieg. Gdy wiatr ustawał, cisza dzwoniła w uszach i robiło się jakoś straszno. Matka wcale nie zwracała na nas uwagi, jakby nas nie było w pokoju. Nie lubiłam pieśni o panu Piotrze i starałam się jej nie słuchać. Stawialiśmy z bratem domki z kart, a raczej było tak, że ja stawiałam, a Ignac czekał, aż wyrośnie spiczasta piramida, i wtedy burzył ją dmuchnięciem.

Porzuciliśmy karty, aby przesunąć krzesła pod okno; stanąwszy na nie patrzyliśmy, jak ponad wałem śniegu przywartym do szyb, w głębi modrawego półmroku kołyszą się wiechcie topól włoskich. Chwilami zdawało mi się, że słyszę: — pach, pach — gdy wielka pierzyna śniegu zsuwała się z dachu. W domku strażnika zabłysło światło. Nad falistą miękkością śniegu zadymiło się różowo i złociście. Płotek zwalony ciężarem śniegu znaczył się czarnymi punktami żerdek.

— Mamo, czy już była kiedy taka wielka zima? — zapytał Ignac.

— Et, co to teraz za zimy! Jak byłam mała, to zimy były takie srogie, że drzewa pękały z mrozu, jakby kto z armat walił.

Poruszyła pogrzebaczem w piecu i żarzący stos polan rozsypał się z chrzęstem.

Ignac zeskoczył z krzesła i pobiegł do matki.

— Pożar w domku — powiedział wskazując na czerwoną czeluść pieca.

— Mamo, zostaw tak piec otwarty. Na maleńką chwileczkę — prosił.

— No to patrzcie się, ale prędko, bo zamykam. — Ale nie zamykała i ją bowiem bawił widok żarzących się węgli.

— Opowiedz, mamo, jak pierwszy raz poszłaś do teatru — prosiłam.

Czerwone, sapiące i strzelające iskrami wnętrze pieca przypomniało mi grotę ze skarbami, o której opowiadała mi ciocia Mila. A teatr wyobrażałam sobie jako grotę ogromną, w której dzieje się coś strasznego i przyjemnego zarazem.

Matka zamknęła drzwiczki, usiadła na stołeczku i otuliwszy Ignaca, który przytulił się do jej piersi, kraciastą chustą, zaczęła cicho, trochę dla siebie, a trochę dla nas.

— Było to w jakie pięć lat po śmierci mego ojca. Mieszkaliśmy wtedy w starym domu za błoniem. Wiesz gdzie?

Jakżebym nie miała wiedzieć! Przecie dopiero rok temu babka przeniosła się do nowego domu. Dumni byli wszyscy, że teraz mieszkają jak „ludzie", że okna są duże, podłogi z dębowego drzewa, a grunt suchy. Ach, stary dom! Pokoje niziutkie, ale jakże rozległe; ogród wilgotny, ale pełen potężnych jabłoni i śliw, czereśni i grusz; w głębi ogrodu płynął strumień zarosły z obu stron leszczyną; za strumieniem pięła się góra pocięta terasowato zachodzącymi grzędami.

— Miałam dziewięć lat, gdy umarł ojciec — ciągnęła matka. — Piękny to był mężczyzna, postawny, jasny. Wieczorami grywał w orkiestrze teatralnej, przed południem pracował w izbie skarbowej. Przepadał za muzyką. Jak grał, świat dla niego nie istniał. Za to matka o wszystkim musiała pamiętać. Ileż to się pęczków rzodkiewki i szczypiorku nawiązałam z moimi siostrami! Rano wóz jechał na rynek, wyładowany jarzynami. Niewiele to dawało pieniędzy, bo nie mieliśmy inspektów, a główny zarobek ogrodnicy ciągną z nowalii, ale zawsze parę guldenów matka przywoziła z rynku!

Jednej zimy ojciec przeziębił się, dostał suchotów, a chociaż matka na doktorów pół ogrodu sprzedała, nie udało jej się ojca uratować. Spadał z ciała, niknął w oczach, wreszcie dostał wybuchu krwi i skończył. Byłam najstarsza z pięciorga rodzeństwa, miałam dziewięć lat. Pamiętam, jak na drugi dzień po śmierci ojca matka położyła przede mną

kawał czarnej materii na stole i powiedziała: „Jak chcesz mieć żałobną sukienkę, to sobie uszyj“. Ledwo na oczy widziałam z płaczu, ale uszyłam. W ramionach ciągnęła, gurbiła się na plecach, ale zawsze była to żałobna sukienka. Ze śmiercią ojca skończyło się dla mnie życie. Matka chodziła zgryziona i struta; zawsze prędka i skora do gniewu, teraz nie mogła na mnie patrzeć bez złości. Czasem to tak nieszczęście z ludźmi robi. Potem, jak wyszła drugi raz za mąż, złagodniała. W domu po śmierci ojca zaczęły się sypać nieszczęścia. Dwie moje młodsze siostry, Julijka i Kasia, poszły do roku na gruźlicę, Władkowi garb wyrósł. Bieda dociskała, że strach, często nie było co do garnka włożyć. Matka oddała mnie do krawcowej. Żal mi było strasznie rzucać szkołę, chciałam zostać nauczycielką. Dobrze się uczyłam. Wystarczyło mi raz wiersz przeczytać, już go umiałam na pamięć. Gdzie tylko jaką książkę u kogo zobaczyłam, to tak nudziłam, aż musiał mi dać. Ale mało kto miał książki. Te, co po ojcu zostały — a miał piękne stare książki — to matka antykwarzowi sprzedała.

Do pracowni krawieckiej miałam kawał drogi; dwie godziny szłam w jedną stronę. Trzeba było po ciemku wstawać, późnym wieczorem wracałam do domu. Byłam najmłodsza w pracowni, więc najgorszą robotę na mnie walili. Zanim inne przyszły, musiałam zamieść pracownię, poukładać rozsypane szpilki. W ciągu dnia wyciągałam fastrygi i każdej szwaczce musiałam usłużyć.

Pani Mazanowska, tak się nazywała właścicielka pracowni, była piękna kobieta, chociaż już nie pierwszej młodości. Od rana zjawiała się w pracowni wysznurowana, wypudrowana; co dzień nowy żabocik. Jak wchodziła, można by myśleć, że to królowa jakaś. A sknera była i chciwa na każdy grosz. Wszystko widziała, nic się przed nią nie ukryło. Fastrygi trzeba było wyciągać i nawijać na motek; dopóki przędza nie rozlazła się w palcach, była dla niej dobra; haftki i zatrzaski liczyła, pieklila się o byle co. A suknie, to nie to, co teraz; strasznie pracowite, wszystko na podszewce, pełno plisek, zakładek, marszczeń, a każdą rzecz w rękach szyj. Były elegantki, które długo potem, jak już maszyny były w użyciu, za nic nie włożyły sukni ani bielizny innej, jak w rękach szytej.

Jak przyszedł karnawał, to było urwanie głowy. Już nie dwanaście godzin, ale nieraz i całą noc starsze zostawały w pracowni. A to same drogie jedwabie: mory, atłasy, gazy... W takiej pracowni to można poznać ludzi. Nieraz przyjdzie takie brzydactwo, że strach patrzeć; nie dość, że grymasi i trzeba parę razy przerabiać, ale jeszcze wmawiaj ta-

kiej, że śliczna. Mazanowska dla nas nie miała cierpliwości, ale klientce wszystko było wolno. Im brzydsza, tym więcej jej pochlebiała i chwaliła. Niektóre panie to przywyknąwszy do tych pochlebstw dawały robić suknię, aby tylko nasłuchać się słodkich słówek. Paliłam się nieraz ze wstydu słuchając pochlebstw, a Mazanowska bezczelnie dalej wali swoje.

Prędko połapała się, że mam zgrabne palce i że robota mi idzie. Przestałam sprzątać pracownię; inna sierota teraz to robiła. Dostawałam suknie do wykańczania; każdy szew obrzucić, podszyć jak należy, dziurki obdziergać, haftki przyszyć. Po paru latach, jeśli suknia nie była ze zbyt drogiego materiału, dawano mi do szycia, tyle że do miary to już Jasia szła. Bardzośmy się z Jasią lubiły; wesoła była, śmieszka, dowcipna, cięta, a szykowna jak rzadko. Złote miała ręce, pewne oko. Sama Mazanowska liczyła się z jej gustem. Aktorki przepadały za nią. Potem ją do teatru wzięli za krawcową... Raz dostała dwa bilety na niedzielne wieczorne przedstawienie. Matka nigdy by się nie zgodziła, żebym poszła do teatru. Wcześnie więc położyłam się tej niedzieli do łóżka, niby że głowa mnie boli. Jak Mila zasnęła — spałyśmy w jednym pokoiku — tak ja buciki w garść, płaszcz przerzuciłam przez okno, potem sama przelazłam, za dom przez kładkę i górą do drogi. Mróz był trzaskający, ale jak dobiegłam do teatru, koszula lepiła mi się do ciała. Ledwie odnalazłam Jankę, gdy rozległ się dzwonek i kurtyna poszła w górę...

Usłyszałam stukanie we drzwi i głos ojca: — To ja, ja.

— Idź otwórz, Ignac zasnął — rzekła matka.

— Ale skończysz z tym teatrem, mamo, powiedz, że skończysz.

— Jeszcze czego. No, ruszże się.

Z trudnością trafiłam do drzwi w sieniach.

— A wy co tak po ciemku siedzicie. Mama w domu?

— Nie, wybrałam się na spacer — żartowała matka układając Ignaca na łóżku.

Ojciec jeszcze w płaszczu zapalał lampę. Powoli pełgał płomień po grzebieniu knota, wreszcie chwycił. Szkiełko zaszło parą, gdyż lampa stała w dzień na komodzie przy oknie. Ojciec czekał, aż szkiełko się ogrzeje, wreszcie założył umbrę i podkręcił knot. Jasny krąg światła spoczął na stole, w kątach pokoju jednak drzemał rudawy mrok. Za oknem niebo z granatowego stało się fioletowe. Ogromna cisza wypełniała dom, który zdawał się zagubiony pośród świata zimy.

Ojciec otworzył skórzany mieszek z tytoniem i trzymając w palcach bibułkę spojrzał niespokojnie po matce i po mnie.

— Czemu nic nie mówicie? Stało się co?

Lodomeria.

Szlaban był podniesiony; jeden za drugim przejeżdżały wozy z turkotem, od którego dzwoniły szyby w latarni na szczycie słupa przy szlabanie. Gęganie gęsi, kwik świń kotłujących się pod siatką na wozie, rżenie koni stłoczonych gęsto opodal rogatki przy zajeździe Alerhanda, gwar rozmów, utyskiwania, swary i biadania bab wiejskich denerwowały strażników. Matka zaś chodziła po domu przyjemnie podniecona i raz po raz wyglądała oknem.

— Żeby tak ojciec był inny, moglibyśmy kupić parę gęsi i utuczyć do świąt, albo i prosiaka — marzyła głośno i tak bardzo była tym marzeniem przejęta, że aż lekko zezowała.

Trochę niecierpliwiły mnie matczyne marzenia, bo co tu myśleć o kupnie prosiaka, kiedy od tygodnia jedliśmy tylko kartofle, bo w sklepikach niechętnie już dawali towar na książeczki. Długi z poprzedniego miesiąca nie zostały w całości spłacone.

Mgła podniosła się i ślicznie niebieska, słoneczna pogoda zabłysła nad rogatką. Chciało się dokądś iść i coś z tą pogodą zrobić, a tu matka ledwo sprzątała w domu, zabierała się do kończenia prania, Ignac z szyją obwiązaną marudził w łóżeczku i wpychał klocki w oka siatki.

— Pilnuj dziecka — nakazała matka i wyszła do kuchni.

— Widzisz, ile rybów złapałem? — zachrypiał Ignac.

Zostawiłam go i podeszłam do okna. Strażnik Putek, o którym matka mówiła, że jest podobny do świętego Alojzego, bo miał pociągłą, gładką twarz i słodko się uśmiechał, ojciec zaś nazywał go fircykiem za to, że nosił dopasowany mundur i zawsze błyszczące buty, kłuł szpikulcem siano w wozach badając, czy nie ma ukrytego gdzie szmuglowanego towaru! Robił to sumiennie, chociaż zawsze skarżył się, że nie lubi tej roboty. Gdy odchodził od wozu, lekko skinął głową babie zakutanej w chusty i podszedł do następnej fury z melancholijnym uśmiechem, aby znowu szperać wśród kobiałek. Putek nie lubił tej roboty, ale z obawy, że nie wywiązuje się należycie ze swego obowiązku, był gorliwszy w służbie od innych i baby nazywały go psem.

Na szerokiej ławie koło budki chłopi i baby stawiali kosze, ukazując osełki masła owinięte w płótno, plaskanki sera, garnki ze śmietaną. Starszy strażnik Murdzoń pochylał nad koszykami sumiaste, rude wąsy, ale chociaż wytrzeszczał niebieskie oczyska, niewiele chyba widział, gdyż wcześnie, jeszcze po ciemku, wyszedł na ryby i ledwo zdążył objąć służbę. Murdzoniowa zanosiła mu kawę do budki, ale nie powiedziała do niego ani słowa, za to przyszła potem poskarżyć się do matki. „Rybaka

mam w domu, a nie męża. O nic się nie zatroszczy, o niczym nie pomyśli. Tego lata jednej nocy w domu nie przespał, tylko furt nad stawy gonił. Myślałam, jesień przyjdzie, to się chłop uspokoi, a jego znowu wzięło“. Otarła oczy rogiem fartucha i westchnęła tak głęboko, że mnie aż ciarki przeszły. Uciekłam z domu do urzędu akcyzy.

Przed okienkiem urzędu cisnęły się baby po kwitki. Ojciec wpisywał do ogromnej księgi pociętej na brzegu w wąskie paski, ile kto płacił i za co. Czasem się mylił, gdyż baby i chłopi liczyli w centach, a ojciec miał wpisywać sumy w halerzach. Palił więc papierosa za papierosem i pisząc wysuwał koniec języka w kąt ust, ale to mu snadź niewiele pomagało, bo mruczał od czasu do czasu: „sądny dzień“; często tak nazywał dnie targowe. Tego ranka wychodząc z domu powiedział do matki: „Idę jak na ścięcie!“ Co drugi piątek wypadała mu służba przed południem, kiedy trzeba było obliczać myto za wódkę.

Popatrzyłam na zegar wiszący między oknami; może zdarzy się, że wóz przyjedzie później, właśnie wtedy, kiedy ojciec „skoczy“ na drugie śniadanie, a wtedy zastąpi go Nowak, starszy respicjent, który silniejszy był w rachunkach od niego. Było jednak za wcześnie na śniadanie. I po chwili nastąpiło to, czego się obawiałam. Zobaczyłam nad ramieniem Nowaka, walącego pieczęcie na brzegi kwitariusza, wóz naładowany skrzyniami pełnymi flaszek. Dwa olbrzymie srokacze zamiatały groźnie ogonami i potrząsały dumnie uprzężą nabijaną wielkimi, złocistymi gwoździmi. Stojący opodal chłopski konik w parcianych szlejach wyglądał przy nich na niewiele większego od psa.

Woźnica niecierpliwił się przy okienku. Ojciec huknął: — Nie pali się — i zaczął wpisywać, ile litrów wódki iluprocentowej ma woźnica opłacić. Putek tymczasem liczył skrzynie, oglądał flaszki, często bowiem woźnica oszukiwał.

Ojciec wytarł chustką czoło i sięgnął po nowego papierosa. Palcem przytrzymywał tabelę, mnożył na bibule, dodawał poszczególne pozycje, a na czoło występował mu pot dużymi kroplami. Nowak przestał walić pieczątką, aby nie przeszkadzać ojcu w liczeniu, ale nawet te względy nie na wiele się przydały. Gdy bowiem woźnica odszedł z kwitem, ojciec mruknął do siebie: — Znowu się pomyliłem — i machnął ręką. Odsunął nieco krzesło od biurka, zatrzasnął blaszane okienko na znak, że więcej nikogo na razie nie przyjmuje, przechylił się i zapatrzył przed siebie z desperacją. Czułam, że myśli o tym, aby uciec dokądś, daleko, gdzie nie ma urzędów i trudnych obliczeń.

Siedziałam na ceratowej kanapie i oglądałam kalendarz. Jedną ręką odwracałam kartki, a drugą przyciskałam do kanapy. Gdy chciałam od-

jąć dłoń, cerata jakąś chwilę nie puszczała, a wreszcie z cichutkim westchnieniem opadała; zostawał na niej matowy ślad mojej ręki, najeżony drobniutkimi włoskami.

Nad kanapą wisiała pożółkła, lśniąca tektura, na której u góry widniał napis: Królewskie stołeczne miasto Galicji i Lodomerii. Zastanowiło mnie to ostatnie słowo; brzmiało jakoś dziwnie i nieprawdziwie. Powtarzałam je w myśli po wielekroć, jakby to powtarzanie mogło mi pomóc w dotarciu do sensu słowa. Nikt przecie nigdy nie mówił: Lodomeria. To nie mogła być czysta sprawa. Może właśnie o tym rozprawiali dorośli, gdy szeptali ze sobą i milkli, ledwo mnie dostrzegli.

Zapach dymu tytoniowego, którym przesiąknięte były mury i meble, zapach tuszu na poduszeczkach do pieczątek, i nacieranej naftą podłogi stawał się coraz dokuczliwszy. Widok zaś wielkiego portretu cesarza w złoconych ramach, zezującego w stronę szlabanu rogatki, nie wiem dlaczego wstydził i nudził.

Rzadko zaglądałam do urzędu, chociaż ojcu rozjaśniała się twarz, gdy przychodziłam nie przysyłana przez matkę w jakiejś nieprzyjemnej sprawie, ale z własnej woli. Zawsze jednak po pewnym czasie ojciec zaczynał się robić niespokojny, urząd bowiem nie jest właściwym miejscem dla dzieci, a raczej dzieci nie mają nic do roboty w urzędzie. Ojciec zawsze starał się przestrzegać tego, co jest właściwe lub przepisane, oczywiście w małych rzeczach.

— Może idź kup sobie gwiazdkę u Rufa — nieśmiało zaproponował mi ojciec wyciągając dziesięć halerzy.

Powiedziałam: — Dobrze — i wybiegłam za drzwi. Wtedy dopiero przypomniałam sobie, że powinnam była ojca pocałować; zawsze się skarżył, że go nikt nie kocha. A po prostu zapominało się, że on jest.

W sieni ogarnął mnie mroczny chłód, zalatywało wilgocią z piwnicy; ruch koło budki osłabł. Gęsie pierze ulatywało w powietrzu; słoma i siano leżały w kałużach końskiego moczu. Murdzoń drzemał w budce, wystawiwszy ogromne buty, jeszcze zabłocone z przedrannej wyprawy na ryby. Putek, oparty o szlaban, uśmiechał się słodko; może myślał o tym, że po południu będzie mógł grać na flecie. Chciałam biec do Rufa, by kupić sobie gwiazdkę, ale żal mi było pieniędzy. W glinianej śwince sporo już spoczywało grosza; niedługo nadejdzie dzień, kiedy ją stłukę, a wtedy... Postałam jeszcze chwilę w bramie czekając, że może jednak coś ciekawego się zdarzy, wreszcie rada nie rada, z monetą w spoconej dłoni, wróciłam do domu.

Matka wrzucała bieliznę do balii napełnionej siną wodą.

— Chwała Bogu, już niedługo koniec — plasnęła z pasją dłonią po

wodzie i skręciła wielkie, ociekające wodą prześcieradło w węża, wyżęła je i strzepnąwszy wrzuciła do wanienki, w której do niedawna kąpał się Ignac.

— Mamo, co to Lodomeria? — zapytałam niespodzianie dla samej siebie; tyle o tym słowie myślałam, że samo mi się powiedziało.

— Nie ma żadnej Lodomerii, austriackie gadanie — krzyknęła matka ze złością i z taką siłą trzepnęła w powietrzu ręcznikiem z frędzlami, że opryskała mi twarz.

— Ja wiem, ja tylko tak... — bąkałam przestraszona; bałam się jej gniewów.

— Trzaśnie to wszystko jednego dnia i tylko trochę smrodu zostanie, a ludzie będą się dziwili, że tak długo dawali się nabierać.

Nie bardzo rozumiałam, co miało trzasnąć; wstydziło mnie, gdy matka używała grubych słów. Poszłam więc do pokoju. Ignac spał przywalony klockami.

— Lodomeria — szepnęłam wrzucając niklówkę w szparę na plecach różowej, glinianej świnki.

Zamknięcie miesięczne.

Ojciec zdjął ceratę i przypiął pluskiewkami duży arkusz papieru, pod który podłożył był stare ilustracje od ciotek. Matka zapowiedziała, że mamy być cicho, więc klęczeliśmy z bratem na krzesłach przy oknie, udając, że nas niewiele obchodzi, co się dzieje w pokoju.

Matka sztukowała halkę, otrzymaną niedawno od ciotek, kawałkiem zielonej satyny. Halka była z tafty mieniącej się jak podgardle gołębia, popielatoczerwonozielona. Szeleszczenie długiej, drobniutko plisowanej falbany sprawiało mi przyjemność; tak chyba szeleściły stroje kobiet w teatrze.

— Spójrz no, Ludwik, prawda, że baskina dobrze dobrana?

Ojciec zesunął okulary na nos i zwrócił strapione i roztargnione spojrzenie na matkę.

— Bardzo ładna — przyznał.

— Nie chodzi, czy ładna, ale czy kolory się zgadzają.

— A bo ja wiem? Może trochę zbyt zielona — odważył się ojciec, jak zawsze prawdomówny. „Baskina“ barwą soczystozieloną przypominała majową łąkę.

— A skąd miałam wziąć coś odpowiedniego? — żachnęła się matka. — Sztukuję resztką satyny, jaką podszywałam kapę na stół. Czy mnie stać na kupienie czegoś nowego?

Ojciec prychnął, sapnął i pochyliwszy się nad arkuszem papieru szastnął z pasją ołówkiem raz i drugi.

Znowu dał się słyszeć posykujący szelest jedwabnej falbany i suche trzeszczenie tafty, gdy matka wbijała w nią igłę.

W oknie restauracji czerwona Magdzia umieściła pod flakonem ze sztucznymi kwiatami mały szyldzik: „Dziś flaczki“.

— U Rufa dziś flaczki — powiedziałam.

Ojciec podniósł głowę znad papieru i poruszył zabawnie nosem jak królik. Robił tak nieraz, gdy z kuchni dolatywał zapach jego ulubionej potrawy.

— Skaranie boskie z tymi dziećmi! Ile razy mam wam mówić, że musicie być cicho?! — krzyknęła matka, niezadowolona, że przypomniałam ojcu Rufa.

— Ach, flaczki, posypane parmezanem, z pulpecikami — zaśmiał się ojciec przekornie. — U Antosia był kucharz...

— Trzeba było tam zostać, u tego twojego Antosia — krzyknęła matka z pasją, a falbana z tafty zaskwierczała, zasyczała w jej palcach.

Czerwona Magdzia postawiła teraz w oknie wystawowym półmisek z salcesonem; ruszała się powoli, przesuwając to w tę, to w tamtą stronę słoje z ogórkami.

Jakiś parobczak w wysokich butach i zielonym kapeluszu stanął przed oknem i wpatrywał się w salceson. Czerwona Magdzia zaczęła gwałtownymi ruchami wycierać szybę ścierką, jakby chciała, aby parobczak mógł lepiej przyjrzeć się temu, co było na wystawie. Magdzia nie wiadomo dlaczego przytknęła w pewnej chwili rękę do ust, a potem przyłożyła ją do szyby, w tym miejscu, gdzie znajdowała się twarz parobczaka. Nagle za ramieniem Magdzi ukazała się ogromna, blada twarz szynkarza. Magdzia cofnęła się i zasunęła perkalikową firankę w kwiatki, która oddzielała szynkwas od wystawy, przedtem jednak łypnęła czarnym okiem, wskazując parobczakowi na róg domu.

Zobaczyłam ją po chwili, jak wypadła bocznym wejściem. Mimo chłodu była tylko w cienkiej, czerwonej bluzce, jaką nosiła zimą i latem, ale nie było jej zimno; pucołowate, rumiane policzki pałały ogniem. Nie na darmo ojciec mawiał, że w Magdzi diabeł pali. Parobczak, poznałam w nim teraz Michałka z młyna, który nam przynosił od Marardów mąkę, wydawał się jakiś obrażony; końcem buta kopał ziemię, jak koń, gdy mu się nudzi stać.

Magdzia za to nie traciła czasu; usta jej się nie zamykały, wymachiwała czerwonymi rękami. Ktoś na nią zawołał, bo obróciła prędko głowę.

W drzwiach stał Ruf, posępny i groźny. Michałko wykręcił się na pięcie i odszedł w stronę młyna.

— Mamo, jak wyglądał świat, zanim ja się urodziłem? — zawołał niespodzianie Ignac.

Matka opuściła ręce na jedwabną halkę, która zsunęła się szeleszcząc z jej kolan, a plisowana drobniutko falbana rozłożyła się na ziemi jak ogon wspaniałego ptaka.

— No, jak? Powiedz! — nalegał Ignac.

Podeszła do niego i ucałowała go we włosy.

— Smutny był świat bez ciebie.

— Pachniesz brzydkim mydłem, mamo — poskarżył się odsuwając głowę.

— Powiedz, ulice były, i drzewa były, i wozy jeździły?

Ojciec syknął i cisnął ze złością linię. Miejsce na papierze, skąd ją odjął, zalane było tuszem.

— To przez twojego gagatka — sapał ze złością.

— Czego chcesz od dziecka?! Wstydziłbyś się. Nie ruszaj, aż wyschnie. Potem wydrapię scyzorykiem.

Ojciec przesiadł się na drugi bok stołu i wytarłszy linijkę szmatką, zaczął kreślić linie czerwonym tuszem w innym miejscu.

Znudziło nam się patrzeć na Rufa, więc przeszliśmy na palcach do kuchni. Przez dziedziniec sadził Anzelm, kogut Murdzonia. Chude to było kogucisko, na wysokich, kostropatych nogach; rzucał głową na prawo, to na lewo gwałtownym ruchem, jak stary Kraus, inspektor; złote oko błyszczało złością. Murdzoń chwalił się, że Anzelm ma czternaście lat. Matka wątpiła o tym; ojciec zaś mawiał, że kogut wygląda, jakby miał czterdzieści. Nie lubiliśmy z Ignacem Anzelma, może dlatego, że czasem podrywał się niespodzianie, gdyśmy przechodzili koło ogrodu Murdzoniów, i pędził na nas rozwścieczony bijąc skrzydłami. Ignac nazywał Anzelma diabłem. Pan Nowak, który wszystko wiedział, opowiadał, że Murdzoniom ofiarował koguta ich syn, cyrkowiec; Murdzoń nie wypowiadał się na ten temat. Bardzośmy byli ciekawi, czy naprawdę Anzelm to francuski kogut, przeznaczony do walki. Jedno pewne, że w najbliższym sąsiedztwie nikt nie mógł trzymać koguta; Anzelm kilku rywali zadziobał na śmierć.

— Ach, te ułamki — złościł się ojciec. — Kto to wymyślił. Jakiż głupi byłem, żem się obraził na Antosia. Mogłem dotąd pod Kijowem siedzieć. Tam było życie. Ja tu się duszę.

— Pokaż no, jak te ułamki wyglądają — rzekła matka odkładając robotę na maszynę.

Liczyła szybko, wypisała na kartce wydartej z zeszytu kolumny cyfr, podsumowała. Zgadzało się co do halerza. Ojciec wziął się do przepisywania, już spokojny i w dobrym humorze.

— A jak kasa wygląda? — spytała nagle matka.

Ojciec milczał chwilę, wreszcie rzekł: — Manko. — I wypisał cyfrę na kartce.

Matka pochyliła się nad stołem, z twarzą ściągniętą długimi zmarszczkami.

— Człowieku, ależ to pół pensji pójdzie na to manko. Z czego będziemy żyli?!

— Może wezmę zaliczkę?

— Przecież tamtą dopiero na przyszły miesiąc skończymy spłacać.

— Nie martw się, jakoś to będzie.

— Pójdę jutro do lombardu i zastawię pierścionki. Ale ty się musisz nauczyć rachunków.

— Prędzej mi włosy na dłoni wyrosną.

— Jeszcze się pokaże. Ale czy ktoś ci z kasy nie podbiera pieniędzy? — zastanawiała się mrużąc prawe oko.

Handlarz książek.

Ledwie ojciec wyszedł po południu do miasta, obrażony na matkę, że mu robiła wyrzuty o te jego drugie śniadania u Musiałowicza, kiedy zjawił się mały, żółty człowieczek z workiem na plecach. Nie pierwszy raz do nas zaglądał. Uchylił drzwi od sieni i wystawił głowę rozglądając się po kuchni czarnymi, żywymi oczami.

— Nie, nie trzeba, panie Maks — powiedziała matka stanowczym głosem i spojrzała w okno, czy przypadkiem ojciec nie wraca.

— Ja tylko tak zaszedłem, na wszelki wypadek. Pani pozwoli, że troszkę odpocznę? — ukłonił się i usiadł na stołku, postawiwszy worek przy nodze.

— Ciężko panu tak cały boży dzień z workiem łazić.

— Pytanie? Pewnie, że ciężko. Mówi się, że kamień ciężki, żelazo ciężkie. A książki to może takie lekkie?! Tie — wzruszył ramionami nad głupotą tego, kto by myślał inaczej niż on, i ze złości szarpnął za sznurek, rozwiązał worek z zielonego płótna i uderzył dłonią książkę, aż plasnęło.

Matka udawała, że nie widzi wcale rozwiązanego worka; odwróciwszy się do Maksa plecami, ustawiała filiżanki w kredensie.

— Żeby nie dzieci, to by człowiek nie miał sił na to wszystko — wzdychał Maks wyjmując z worka parę książek. — Te ilustrowane najcięż-

sze — mruczał, niby to do siebie, kołysząc w ręku dużą, oprawną książkę z kolorowym obrazkiem na okładce. Przysunęłam się do niego i przeczytałam: *Dekameron*.

Matka spojrzała przez ramię. I ją przyciągnął kolorowy obrazek bernardyna chowającego się pod łóżko. Wzięła książkę do ręki, otwarła ją i oglądała obrazki oblewając się pąsem.

— Idź się bawić.

Wyszłam ociągając się.

— Nie szuraj butami — krzyknęła matka z pasją.

Stanęłam przy oknie, przytknęłam twarz do szyby. Ulica była obrzydliwie szara. Szynkarz Ruf czyścił sobie paznokcie na progu szynku. Jakieś chude, żółte konie stały przed szynkiem, z budki wystawały nogi, a raczej spodnie, czarne z czerwoną wypustką, i zabłocone buty Murdzonia.

— Nie wezmę tego — usłyszałam głos matki.

— Czy ja mówię, żeby brać? Oglądnąć nie zaszkodzi — zaśmiał się Maks nieprzyjemnie. — O, tu coś dobrego do czytania: *Arsen Lupin*. To się samo czyta. Żeby człowiek miał nie wiedzieć jakie zgryzoty, zapomni. Albo *Lekarz domowy*. To już nie książka, to obowiązek. Zwłaszcza, jak się ma dzieci. Czy ja nie wiem, jak to z dziećmi? Rano dokazuje, a wieczorem czterdzieści stopni gorączki. I rób, co chcesz?! Leć po doktora! A czy to doktor zawsze w domu siedzi? A tak, otworzy się książkę, przeczyta, co i jak, i już człowiek wie. A i bez choroby to ciekawe czytanie.

— Panie Maks, pan mi chce najcięższe książki wmówić.

— Wmówić? — oburzył się. — Czy ja wmawiam? Czy to ja pierwszy raz tu jestem? — Usłyszałam, jak z pasją wrzucał książki do worka. Ale chyba nie wszystkie, bo matka od niechcenia zapytała:

— To za te trzy ile będzie?

Targowali się jakiś czas; zdawało się, że oboje się popłaczą, ale rozstali się ze śmiechem, każde rade z interesu. Matka schowała książki w swojej szafie z bielizną, a Maks poczłapał przez ulicę do Rufa, skąd wyszedł po chwili gryząc placek z cebulą.

Ułamki.

Śmiej się pajacu z swojej głupoty szalonej,
Śmiej się, ach, śmiej się, kogoś ty wziął za żonę...

Śpiewała matka z całej piersi, jakby mnie wcale nie było w pokoju, a ona znajdowała się nie między kredensem a stołem, ale w jakimś

miejscu dziwnym i nieznanym, a — co najgorsze — zdawała się już wcale nie być sobą. Lewą rękę położyła na sercu, a prawą, w której trzymała ścierkę od kurzu, wyciągnęła przed siebie, jakby nasz stary fikus był tym pajacem, co to miał się śmiać ze swojej głupoty.

Jam jest biedny *pajaccio*, uwielbiam twoją żonę

— zaśpiewała, a fikus zadrżał, mnie zaś mrowie przeszło. Od tej soboty, kiedy matka była z ojcem w teatrze, śpiewała o każdej porze dnia, a ja kurczyłam się z zażenowania.

Dodawałam ułamki, a raczej usiłowałam je dodawać, bo nie rozumiałam nic a nic. Pamiętałam jabłko, rozkrajane przez matką na cztery części. Na widok ułamka zaraz przypominało mi się jabłko i zasłaniało zeszyt i rachunki.

Ojciec kupił winówkę, wąską wysoką beczułkę, pełną podłużnych, ciemnoczerwonych jabłek. Całe mieszkanie pachniało jabłkami, i w domu zrobiło się jakoś wspaniale i bogato, ojciec zaś przeistoczył się w kogoś, po kim można się było jeszcze wiele spodziewać. Jabłka były piękne, wprawdzie w smaku gorsze od naszych małych renet, ale cóż znaczy smak wobec koloru. Mnie zresztą zachwyciła sama beczka, jej dziwny kształt i to, że ojciec nazwał ją winówką. Ponieważ przywiózł ją sadownik z Winnik, połączyłam jej nazwę z nazwą miejscowości. Koło Winnik była Czartowska Skała, a słowo to budziło we mnie grozę. Kiedy w wiele lat później znalazłam się w mrokach zapadającej nocy listopadowej nad Jeziorem Awerneńskim, z dala od mieszkań ludzkich, poczułam ten rodzaj sybilijskiej grozy, zapamiętanej z dzieciństwa.

Jak tu poradzić sobie z ułamkami, kiedy nie mogę dotrzeć do ich sensu; każdy znak algebraiczny przyciągał obrazy, wyzwalał uczucia, prowadził na manowce.

A tu jeszcze śpiew matki! Chciałam ją prosić: „Nie bądź pajacem śmiejącym się w straszny sposób, bądź mamą". Ale wstydziłam się; nie byłam już przecież małym dzieckiem.

Matka wycierała liście fikusa i co chwilę oddalała się o pół kroku i przechylała głowę, jak kiedy przeglądała się w lustrze, i z tą samą, zwycięską miną patrzyła na jego ciemne, tłuste liście i różową obsłonkę pąku na szczycie. Była dumna z fikusa, wszyscyśmy byli dumni; miał trzydzieści liści. Jedynie Ignac, wstrętny chłopiec, skoro tylko nikt nie patrzył, robił siusiu pod fikus.

Matka przesunęła fikus bliżej okna i zabrała się do asparagusa. Ciotka Marynia przywiozła na imieniny matki bambusową, trójnożną żardynierkę, asparagus i fioletowy talerz.

Talerz od razu mnie zachwycił. Już sam błękitnofiołkowy kolor był piękniejszy od wszystkiego, co widziałam, a tu jeszcze, gdy było się przyjrzeć starannie, tyle tajemniczych żaglowców wynurzało się z błękitnego morza! Ludzie uginali się pod tobołami, a na malutkich jak groch wzgórzach stały wiatraki.

— No, co tak się patrzysz? nie widziałaś asparagusa? Ucz się lepiej, będziesz nauczycielką jak ciotki.

Skurczyłam się nad rachunkowym zeszytem. Poczułam chłodną cierpkość, podobną do tej, jakiej się zaznaje, gdy się dotknie ustami żelaza. Być jak ciotki? Za nic! Wpatrzyłam się z determinacją w ułamki. Uczyć się? Tak! Ale po to, by nie być do nich podobną.

JAN PIERZCHAŁA

LUDZIE W POTRZASKU

Świt wykipiał buro na horyzoncie. Żółtawe chmury szły ze wschodu na środek nieba. Kasztany zaczęły połyskiwać na czubach dotkniętych pierwszym blaskiem słońca.

Odezwał się turkot wozów na bruku i wtedy to drgnęło powietrze od wczesnych kopalnianych syren.

Daleko, na bezdrzewnej równinie przelatywały lokomotywy, przerzucające wagony na boczne, kopalniane tory.

W skośnych ulicach pokazali się ludzie, podobni do siebie i skupieni w tym wyrazie, który przypomina uśmiech i zdziwienie zarazem. W przepoconych kapeluszach, w obciągniętych surdutach, z rękami zwieszonymi ciężko przed sobą, spotykali się, szli grupkami i tylko nie zwietrzały jeszcze rumieniec snu niepokoił w ich twarzach.

Bramy sześciu kopalń, pełne tłustego, rozdeptanego tysiącami nóg, a potem stwardniałego na kamień od upałów bagna, wciągały ich w gęstwę szybów i zabudowań. Miasto wydawało się cichnąć na osiem godzin.

Za chwilę kupcy otwierali sklepy, potem niektóre dzieci szły do szkoły, a inne na okoliczne hałdy. Wlókł się korowód matek, dzieci, starców patrzących w ziemię... Pędzili z sobą kozy przywiązane do taczek. Szli węsząc w powietrzu dzień: albo dobry będzie, albo zły.

Łomot sześciu kopalni na sześciu krańcach Jarowa, kilkanaście szybów, odbijających dzwonkami takt fedrunku i te białe kozy szukające trawy na piaszczystych ugorach, pod hałdami pełnymi dzieci wydzierających sobie kawałki węgla z rąk — oto ich lato ze słońcem utopionym w dymie.

Spod hałd widać było całe miasto. Od zachodniej strony, gdzie w rozpadlinach było śmietnisko miejskie, ciągnął się sznur niskich chałup krytych słomą, przy nich rozburzone stodoły, pamiątka po czasach, kiedy w Jarowie nie było jeszcze kopalń. W bok, na zboczu stały białe, parterowe domy, każdy na obszernej parceli; niżej, na wschodniej stro-

nie widać było ciasny rynek i kościół z plebanią, utopione w liściach kasztanów.

Trzypiętrowa plebania i księży ogród były w Jarowie wyspą otoczoną dwumetrowymi murami najeżonymi tłuczonym szkłem. Wszędzie indziej w Jarowie można było wejść, wcisnąć się przez dziurę w płocie, przez sień, przez cudzy strych; tu kończył się świat i pilnowali na dodatek.

Po wschodniej stronie miasta, wśród młodych drzew, jaśniały ściany nowoczesnych will. Ścieżki w ogrodach były tam wysypane żwirem, na furtkach przybite były metalowe wizytówki, dzwonki i zawsze błyszczące klapy skrzynek na listy, które czasem szarpnęła ręka dziecka zabłąkanego w tamtej stronie miasta. Przez uchylone okna widać było lśniące ściany łazienek, połyskliwe meble, a wieczorem sączyły się w zieleń ogrodów przyćmione, kolorowe światła. Wśród will panowała nużąca cisza, której nikt z Jarowa nie rozumiał.

Latem w mieście słońce piekło nielitościwie, jak piekarnik rozgrzewało niskie mury i wyboisty bruk; w dzielnicy willowej panował wtedy przyjemny chłód. Snuł się od krzewów, wodotrysków i starannie pielęgnowanych drzew owocowych, które, jakby na udrękę wszystkich dzieci z tamtego Jarowa, posadzono tuż przy drodze z czerwonej, porfirowej kostki.

Nocami było jeszcze ciszej. Nocami cienie kołysały się na drzewach i póki nie zniknął ostatni owoc, klaskały cichutko bose nogi dzieci, ręce zdzierały z młodych jabłoni i czereśni to, czego im nikt nie mógł dać za dnia.

Psy w willach nie szczekały. Były zapasione i rozpieszczone. Czasem nocą przemknęło auto, ale auta posuwały się tu jak duchy, cicho i z niskim światłem.

Niejeden z dziesięcioletnich hałdziarzy jarowskich rozmyślał o willach i o tym, co się w nich kryje. Niejeden całym wysiłkiem rozbudzonego umysłu zastanawiał się nad tym, jak się ci ludzie rozmnażają; dzieci tam co prawda mało, ale gdzieniegdzie są, tylko że pieluch na słońcu nie suszą i żadna z wzdętym brzuchem nie chodzi.

Wille. Wille! Łatwiej zrozumieć gadkę o męce czyśćcowej.

Dołem, na południowej stronie, opasała Jarowo szeroka, asfaltowa droga. Prowadziła z Krakowa do Katowic.

Z Jarowa całymi latami nikt nie wychodził. Nie mieli ludzie jarowscy śmiałości. Przemytnicy byli odważniejsi, ale oni chodzili do Niemiec polami.

Mniej więcej w tym miejscu, gdzie kończył się zakręt asfaltowej drogi

na kopalnię Rudolf, za murem z cegieł ułożonych na sagę leżały dobre dwa morgi cmentarnej ziemi. Cmentarz był podobny do miasta. Po lewej stronie leżeli samobójcy i wywrotowcy, jak ich tam kiedy ubili w ruchawce albo w strajku, pośrodku właściciele krzyżów z fotografią, po prawej sterczały marmury, pod marmurami zaczajeni w ziemi ci z will, nie w pojedynkę jak inni, ale rodzinami, jeden przy drugim, gromadnie.

Między płytami rosła trawa, wybujałe głogi i dwie rozłożyste jabłonie, posadzone tu nie wiedzieć czyją ręką.

Równolegle do asfaltowej drogi, po przeciwnej stronie cmentarza, stały szare, czynszowe kamienice, otoczone szopami, wychodkami i chlewikami skleconymi ze starego, bielonego drzewa. Na wiosnę z wąskich podwórek parował bagnisty zaduch i dokuczliwa woń zaniedbanych ścieków. Dopiero latem ziemia wysychała jak brudne zwierzę.

Na jednym z tych podwórek, w cieniu niezgrabnej, trzypiętrowej kamienicy mieszkał w oficynie Murdzia z żoną i trojgiem dzieci, przez sień zaś naprzeciw, za obwisłymi w zawiasach drzwiami, piekarz Jakub Silbergrad, wdowiec, z córką Heleną.

*

Było południe. Wiatr niósł dymy z kopalń i rzucał je pierzastymi smugami na wschód.

Polną ścieżką pośród zapadlin szli jeden za drugim hałdziarze; każdy pchał przed sobą taczki z węglem. Dokuczliwie skrzypiały koła w piasku, z tyłu przeklinał ktoś zadyszanym gardłem.

Na końcu długiego sznura pochylonych ludzi dźwigał swoje taczki Władek Murdzia, dwunastoletni chłopiec, obok niego szły trzy dziewczynki z wiązkami mokrego drzewa, pokrytego szarym mułem. Najstarsza z nich, mocno zbudowana Hela, przystawała co chwilę i odrzucając zwinnym ruchem głowy kędzierzawe włosy z czoła, spoglądała na Władka; chciała tym podtrzymać jego siły.

Mały upadał ze zmęczenia. Taczki ryły co chwilę dnem ciepły piach, Władek, klnąc siarczyście, wycierał zdrętwiałymi rękami twarz. Pluł skąpo w nieduże dłonie spienioną śliną i znowu człapiąc bosymi nogami, wyciągał pod ciężarem naładowanych wysoko taczek chudą, pulsującą szyję. Dziecinne, jasne oczy chłopca podchodziły krwią, twarz krzywił wysiłek, w otwartych ustach słychać było świst szybkiego oddechu.

Ten sam wyraz wysiłku odbijał się na ciemnej twarzy Heleny. Przyciskając do piersi związane przepalonym lontem drzewo, krok za krokiem szła wolno, nie wyprzedzając Władka.

— Nie klnij, Władziu — prosiła ze spokojem — dojedziemy do domu i będzie dobrze. — Myśli jej były dalekie od słów. Nienawidziła skrzypienia taczek. Ledwie wstrzymywała płacz, kiedy patrzyła na zgiętego w wysiłku chłopca. Była starsza od niego, nie umiała buntować się przeciwko sobie. Dziecinny gniew, wiedziała, ślepy.

Mały puścił naładowane węglem taczki i usiadł na nich. Helena spojrzała w jego otwarte, zaczerwienione dłonie. Wrzosowiska pachniały słońcem, złoty piach połyskiwał plamami między fioletowym kwieciem.

— Wujek Romek idzie — szepnęła Helena i dziewczęcym, bezradnym ruchem podniosła dłonie do otwartych ust. Wewnętrzny przymus zgasił jej wypukłe oczy. Opuściła głowę, bosymi palcami nóg zaczęła wiercić w sypkim piachu.

— Gdzie? — Władek skośnymi spojrzeniami szukał wyczekująco, skąd wypłynie cień. Romka poznałby nawet po cieniu.

— Idzie. Cii... — upomniał zginając kark, jakby czekał na uderzenie. Drażniły go lekkomyślne spojrzenia sióstr: maleńkiej Wandy i niewiele starszej Teresy. Nie rozumiały jeszcze, dlaczego wujek chodzi zapadlinami, przez wrzosowiska, a nie prostą drogą. Uśmiechały się do wychodzącego z rozdołów mężczyzny w czarnej kapocie, zielonych spodniach i wełnianych skarpetach do kolan. Wyglądało na to, że leżał długo we wrzosowniku, bo szedł teraz wolno i prężył się w ramionach. Twarz podobną do zmiętej kuli szarego papieru obracał na boki zniecierpliwiony. Klął pewnie, że musi się rozglądać jak zając, kiedy go zwietrzy pies.

— Wujek Romek idzie ze szmuglu — pisnęła najmłodsza.

Władek rzucił jej złe spojrzenie.

Romek, bo tak go wszyscy nazywali, a nikt nie znał jego nazwiska, przywitał dzieci mrugnięciem oka i bez słowa chwycił taczki. Poszły za nim, dusząc się z ciekawości.

— Ten ma siłę w nogach — pomyślał z uwielbieniem Władek.

Romek poruszał co chwilę rozgrzanymi plecami pod surdutem. Miało się wrażenie, że pchła mu dokucza pod łopatką. Koło taczek nie zapadało się już po oś. Kwiczało szybkim spazmem. Dzieci ledwie nadążyły za nim.

Zapchali węgiel na podwórko, drzewo ułożyli pod ścianą i za kilka minut weszli do chłodnej izby. Romek wszedł ostatni, zamknął drzwi, uśmiechnął się pokazując żółte, jakby nieswoje zęby. Ciężkie poły kapoty zwisały z jego kolan.

— Co rebiata? He? Żyjecie jeszcze? Chodźcie tu bliżej.

Usiadł na krześle i wyciągnął z surduta dwie blaszane puszki.

— No? — spojrzał dzieciom w oczy. — Słodkie życie!

Małe rączki wzięły delikatnie po jednym, białym krążku sacharyny.

— Na, bierz jeszcze jedną — wyciągnął puszkę do Heleny. — Cukiernia. Nie?

— To suszy — bąknął Władek.

— Ale słodkie.

— Słodkie to to jest. Pełna gęba śliny.

Dzieci lizały sacharynę, krzywiąc takim jakimś podłużnym grymasem twarze; potem zaczęły pić wodę z wiadra.

Romek zapalił papierosa. Położył ciężką kapotę na łóżku i wyciągnął się, podobny do żołnierza czekającego na wezwanie do dalszego marszu.

— Zamknij, Władziu, drzwi i cicho — powiedział, jakby do siebie. — Idźcie się bawić. Chleba nie ma w domu? Władziu, słuchaj no, jest co jeść? — Wiedział, że Murdziowa zamyka chleb; spytał małego na wszelki wypadek.

— Jeść nic nie ma, zamknięte — odpowiedziała Wanda.

Romek przenosił z Niemiec sacharynę, kamienie do zapalniczek, zapalniczki, wieczne pióra i dość często broń, małe, płaskie, nie większe od dłoni browningi najnowszej produkcji. Przemyt karany był surowo i może dlatego Romek nie ufał nikomu, sypiał często w ubraniu, nie lubił z nikim rozmawiać o tym, co przyniósł, którędy szedł; z uporem milczał o swoich kontaktach w Niemczech. Własne, dojrzałe życie wewnętrzne ukrywał, rzadko był przystępniejszy; wtedy szczerząc żółte zęby mówił:

— Cóż się tu dziwić. Taka to sztuka przeleźć do Niemiec.

Po każdym takim zwierzeniu dręczyły go wyrzuty.

— Płacę dwa złote za spanie. Dajcie mi spokój. Możemy gadać o czym chcecie, tylko nie o moich sprawach. — Papierowa twarz, pokłuta wągrami, odrzucała każde przyjazne spojrzenie, nikt się więc do niego nie uśmiechał. Z początku myśleli — dziwak. Potem próbowali o nim zapomnieć, na koniec stracili do niego zaufanie. Interesowali się przemytnikiem tak jak człowiek interesuje się nieczystym powietrzem, które musi wdychać.

W tej sytuacji Romek był tajemnicą dzieci. Uwielbiały go wszystkie lękliwie. Helena, kiedy patrzyła na Romka, miała wrażenie, jakby stała przed palącym się domem: nie zbliżała się i nie uciekała od niego, przykuta ciekawością, mimo że kiedyś złapał ją w sieni i uszczypnął znienacka w ledwie odrastające piersi. Nikt się o tym nie dowiedział. Helena miała już dostateczne pojęcie o życiu i gdyby nie czarne, tłuste wągry

na twarzy Romka, może nie odczułaby w czternastym roku życia lęku i kobiecego obrzydzenia.

Władek nie umiał rozmawiać z Romkiem, lubił za to patrzeć w jego mgławe oczy i szarą, przemęczoną twarz. Romek, dużo i chętnie mówił do dzieci, Władek patrzył zawsze w niego z otwartymi ustami, poddawał się urokowi, wielbił jego zrudziałe łachy i tajemnice pojemnych kieszeni.

Dla dwunastoletniego chłopca, zbierającego codziennie węgiel na hałdzie, przemytnik był tajemniczym i wspaniałym, bo osiągalnym marzeniem.

W niedomkniętym okienku szeleściły liście dzikiego bzu. W ich czystej zieleni mrugały plamki słońca.

Zajęci rozmową, nie słyszeli w izbie kroków z podwórza. Tupot odezwał się nagle w sieni. Wtedy dopiero drgnęli. Romek ze złością spojrzał na wpatrzone w niego dzieci.

W otwartych drzwiach stanął Murdzia z wymuszonym uśmiechem na kościstej twarzy, ściągniętej troską. Ubranie miał połatane, u koszuli pod silnie zarysowaną grdyką świeciła blaszana spinka. Kapelusz trzymał w ręce. Wytarte na skroniach włosy świadczyły, że kiedyś był górnikiem, że pocił się w twardym, skórzanym hełmie.

— No co? — Romek usiadł na łóżku i z ciekawością w oczach patrzył w drzwi.

— Ojciec przyszedł, rebiata — rzekł z radością i pomyślał zarazem: — mogła wpaść policja!

Władek przygładził włosy, równocześnie uświadamiając sobie ze smutkiem: — Po co się śmiać do ojca, kiedy on zmartwiony. Znajdzie robotę, to wtedy uśmiechnie się pierwszy.

— O wojnie mówią, sukinsyny — odezwał się Murdzia. — Teraz będziesz wołał o robotę, to cię do Berezy wsadzą, żeś zdrajca narodu. — Usiadł na ławie, przysuwając nogą wiadro z wodą, postawione tu przez dzieci. — Widoków nie ma — rzekł, starał się uśmiechnąć do najmłodszej córki. Dzieci zrozumiały wysiłek ojca i z całą mocą unikały jego wyrazistych ze zmęczenia oczu.

Murdzia wychodził codziennie rano, ale zawsze wracał z niczym, co dzień bardziej przygarbiony i jakby z brzemieniem w ciężko zwisających rękach. Władek rozumiał ojca. Obaj byli smutni, ojciec z rozpaczy, syn z przepracowania i z tego, że dojrzewał za szybko. Zamiast do szkoły, chodził co rano na hałdę. Płakał z bólu, nauczył się przekleństw i wszystkich tajemnic życia, z których tylko jedna nie budziła w nim zdumienia, ta mianowicie, że ojciec-górnik nie może pchać taczek z wę-

glem po chodnikach, między zawaliskami, że powinien jak wszyscy stać przed bramą kopalni i chodzić do związku, powinien czekać...

Dziewczynki wybiegły beztrosko z izby, wysysając ogryzki. Hela Silbergrad zgięła się wstydliwie, kuląc pęczniejące ciało w ciasnej sukience. Uczuła, że coś szarpnęło nią w spojrzeniu Romka. Uciekła na podwórze. Smak sacharyny na wargach przypomniał jej, że Romek próbował traktować ją jak dziecko. Urwała palcem kawał tynku ze ściany i przesunęła się bliżej drzwi. Myśli przeszkadzały jej słuchać. Z wysiłkiem skupiła wzrok na skamieniałej od słońca ziemi.

Tamci w izbie rozmawiali głośno. Helenie przyszło na myśl, że takimi głosami mówią ludzie, którzy nie widzą się nawzajem. Romek opowiadał szybko. Głos jego dźwięczał ostro, wydawał się przekonywać o czymś Murdzię. Klął zawzięcie i Hela zrozumiała, że to, co Romek mówi, to jest beznadziejność.

Murdzia wstał z ławy, wsparty o falisto wyciętą poręcz patrzył w okno, na podwórze.

— Żydów prowadzą z Berlina do nas — powiedział ciszej z ukontentowaniem Romek — ledwiem z powrotem przelazł. Wysiedlają. Tak nas zgniotą razem jak pluskwę. Nawet śmierdzieć nie będzie... Hitler ma siłę. Ani jednego bezrobotnego w całym rajchu. Jakby tobie dali robotę, tobyś się też na nic nie oglądał.

Murdzia odwrócił głowę:

— Tyś, Romek, szmuklerz, nie robotnik.

— Człowieku, Hitler ma armię, żeś jeszcze nie widział — roześmiał się przemytnik.

Murdzia spojrzał spode łba.

— Faszysta każdy to pies — odezwał się drżącym głosem. Rozdrażniony, chciał dokuczyć Romkowi. Tak to powiedział, jakby chciał krzyknąć: — Ty, Romek, też jesteś swołocz. Kupili cię Niemcy za sacharynę.

Złocista smuga słońca opuściła się ze ściany na łóżko. Romek przymknął oczy, drgnął raptem, jakby mu policjant zajrzał w twarz.

Wyblakły od szorowania kredens, stół przykryty gazetowym papierem, krzesła pościągane śrubami, wszystko, co było w izbie, upodobniło się do zmartwiałej postaci Murdzi. Stał zagłębiony w swych gorzkich myślach; szukając w sobie początku gniewu, patrzył przez okno na przytuloną do ściany Helenę. — Musiała słyszeć, co mówił Romek o wysiedlaniu Żydów — pomyślał. — Duża dziewczyna. Rozumie wszystko. Romek jest jak głowonóg; nic nie rozumie prócz bajora, w którym nie wiadomo, jak żyje. Sympatyzuje z Niemcami. Jest zachwycony faszystowskim porządkiem.

Na podwórzu pokazał się Jakub Silbergrad. Szedł pochylony w przesyconym mąką drelichu, w zawiniątku pod pachą niósł chleb.

Helena podbiegła do ojca i pocałowała jego chudą rękę. Twarz Jakuba pokryły grube fałdy radości. Nie zatrzymując się przygarnął córkę do siebie, szedł dalej ożywiony widokiem domu i myślami o wypoczynku. Głębokie zmarszczki od połowy nosa do warg rozchylały się ciągle tym samym ruchem, wyrażającym skąpo wymuszone uczucia.

Silbergrad chorował od dawna. Żaden z lekarzy nie określił jego choroby. Radzili tylko, by zmienił pracę. Łatwo powiedzieć. Jakub pracy nie zmieniał, cieszył się, że ją ma, i po staremu noce spędzał w piekarni nad korytami z ciastem. We trzech piekli przez noc cztery piece chleba. W południe wracał do domu, o dziewiątej wieczorem wychodził już z powrotem.

Ciało Jakuba wysychało jak papier na słońcu, męczyło go kłucie w piersiach i zawroty głowy. Wąską i rudą głowę nosił przechyloną na bok, jakby współczując samemu sobie, że istnieje. Ożywiał się tylko przy córce. Kiedy wpatrywał się w nią dłużej, łzy spadały mu po policzkach. Helena dojrzewała. Jakub dziwił się, co tę dziewczynę jeszcze przy nim trzyma. Czekał, kiedy dojrzy w jej oczach zakłopotanie i oschłość.

Weszli do ciasnej izby. Jakub, opierając się o ścianę jak ślepiec usiadł na łóżku, mruczał coś do siebie dobrotliwie i po kilku minutach zasnął.

Helena podkuliła nogi i rwąc kęsy chleba z bochenka przyniesionego przez ojca, rozmyślała o Romku, który widział Żydów wysiedlonych z Berlina.

Władek przyprowadził tymczasem na podwórze służącą aptekarza; targował się z nią o przywieziony z hałdy węgiel. Potem odezwały się o drugiej syreny. Po nich zapanowała długa cisza, martwa i upalna, dopóki słońce nie zaszło.

Helena przecnęła obudzona silnym głosem Murdziowej. — Wróciła od prania — pomyślała i zaczęła rozpalać w piecu.

Z kamienicy słychać było patefon. Murdziowa usiadła na kamieniu pod ścianą, apatycznie obierała kartofle i wprawnym ruchem, nie patrząc na ręce, rzucała je do wiadra z wodą. Ona jedna opierała się tu życiu. Była zamknięta w sobie i uparta. Robiła wrażenie człowieka, którego nic już w życiu nie zdziwi i nie zaskoczy.

Murdziowa nie lubiła powrotów Romka. Mówiła, że czuć go psem i podejrzewała go ponadto o syfilis. Zrobiła mu siennik, żeby spał osobno, ale on oświadczył, że „nie lubi“, i na sienniku sypiał Władek, córki brała Murdziowa do siebie, kładły się w nogach, między matką a ojcem.

Co z takiego za pożytek? Tyle tylko, że sacharyna i te dwa złote za miesiąc ze spania.

Słońce, obsunięte za krawędź ziemi, zarumieniło powietrze odblaskiem nieba. Było cicho. Naprzeciw, u aptekarza, służąca cerowała w oknie. W podwórzu pachniała słodkawo zasmażka i wykipiała z garnka kawa. Potem słychać było siorbanie zupy. Cichło senne narzekanie dzieci. Z cmentarza szła upajająca fala zapachu maciejki.

Romek zdjął wreszcie ciężkie buty, boso wylazł za próg popatrzyć na gasnące niebo. Ogieniek papierosa świecił blado u jego wargi, jak pierwsza przekłuwająca się gwiazda. Zaparzone w butach stopy chciwie dotykały chłodnej ziemi. Zadzierając głowę wpatrywał się w naelektryzowany błękit nocy; być może rozmawiał ze sobą szczerze.

W otwartym oknie u Silbergrada paliła się czerwona naftówka. Po chwili zgasła. Jakub wyszedł na noc do piekarni, trzymając córkę za rękę. Helena co dzień odprowadzała ojca.

Silbergrad odetchnął swobodnie świeżym powietrzem. Wypoczętemu, w spokojny wieczór wydawało się, że coś kocha, że wystarczy uśmiechnąć się i życie będzie lepsze; ale już za chwilę ślina pociekła mu z warg, ciężar znowu przygniótł plecy.

W piekarni czekały na Jakuba cztery koryta kwaśnego ciasta. Trzeba je wyrobić, potem przeciąć dłonią na kilkaset bochenków.

Romek przywitał Jakuba bez słowa. Uśmiechnęli się, jakby z litości nad sobą.

— Idziesz, Jakub — zapytał przemytnik z taką otwartością, jakby wbrew wewnętrznemu nastawieniu chciał zacząć dłuższą rozmowę.

— Idę — odrzekł Jakub głośno. Bronił się już przed nieszczerością Romka. Ulegał mu często i lekceważył gniewnie w duszy.

— Na noc? — Romek dopiął się do niego jak pijawka. Patrzył drwiąco.

— A na noc. Ty też tylko w nocy chodzisz, nie?

— Takie my nocne ptaki — westchnął Romek, lecz głosem podkreślił: — jednacy to my nie jesteśmy.

— Murdzia ma robotę? — spytał ciszej Żyd, by przerwać wymianę napiętych myśli pod co innego znaczącymi słowami. — Tak dzisiaj cicho u nich... Szczęście ich jakie spotkało?

Romek nie odpowiedział, tylko Helena pociągnęła ojca za surdut, chciała mu w ten sposób wszystko wytłumaczyć:

— Nie pytaj, ojcze, nic się nie zmieniło.

— Co w ogóle słychać, Romek? Ty mów coś — Silbergrad przybliżył się do Romka, szukając w mroku jego twarzy.

— U Hitlera? — spytał rechotliwie przemytnik. Złośliwy grymas zaigrał mu w oczach; chciał sprowadzić myśli Silbergrada w ponurą otchłań lęku przed rasizmem. Od początku rozmowy czekał chyba na to, by szepnąć Jakubowi: — U Hitlera? Coś taki ciekawy, Żydzie?

— Ty o Hitlerze nie mów. Niech trąd zje Hitlera. Niech jemu ciało spadnie z kości...

Romek wysłuchał przekleństwa z zadowoleniem. Lubił dręczyć siebie i innych. Była to zapłata za jego własne, nie znane nikomu życie.

Silbergrad zakaszlał sucho i wytarł szybko usta.

— Chodź, dziecko — objął córkę za szyję, oddalił się pochylony.

Helena, przytulona do ojca, wpatrując się w jego duże buty pokryte zeskorupiałą warstwą mąki, pomyślała, że tak jak oni teraz idą Żydzi prześladowani przez faszystów w Niemczech. Tak samo.

Niebo pokryte dalekimi gwiazdami. Cmentarz po przedwieczornej ciszy zaczynał szumieć. Na asfalcie słychać było skowyt aut. Ponad Zagłębiem buzowały w dalekich mgłach łuny hut. Migotliwe światła Śląska rozjarzyły ziemię, jakby tam kto płachtę ugwieżdżonego nieba ściągnął sobie pod nogi.

W pół godziny po wyjeździe popołudniowej zmiany na miasto wyszły policyjne patrole.

Stromymi drogami, przez widną noc wracali do domów górnicy. Światła karbidówek kołysały im się w rękach; zgarbione cienie, ciężkie, upadające kroki, urwane rozmowy na rogu, czyjeś dalekie wołania w ciszy i jeszcze odleglejsze szczekanie psa.

Murdzia nie spał. Siedział w ciemnej izbie, zapatrzony w dogasający żar w piecu.

To, co nadchodziło, przejmowało go dreszczem. Roboty mu nie dadzą. Za dobrze pamiętają ostatnie wystąpienie w strajku. Do związku nie ma po co chodzić, im tam już drętwieją ręce. Dawniej mówili: — Zaczekajcie, będzie lepiej. — Teraz mówią: — Wojna. — Psie nasienie, nie wie, czego się ma trzymać. A co mówił Romek? Co w nim siedzi? Opowiada ze spokojem o Niemcach, jakby chciał urągać.

Murdzia widział w myślach pochyloną, małą postać Romka. — Nie znam nawet jego nazwiska — pomyślał.

Małe, w zasadzie niewiele znaczące zmartwienia wciskały się w świadomość, spychały na bok troskę o chleb, złe myśli o przyszłości, udręczenie, z którym szukał pracy każdego dnia, na wszystkich kopalniach.

Rok temu podczas strajku Murdzia rzucił się pierwszy na dyrektorskie auto, wywlókł bladego dyrektora krzycząc: — Krwiopijce, do szybu! — Strajk upadł. — Ty Murdzia — powiedzieli mu — nie masz co

szukać pracy. Byłeś górnikiem dwadzieścia lat. Dosyć masz. Za ten jeden okrzyk zdechniesz bezrobotnym; górnikiem już nie będziesz. Idź ulice zamiatać, jeżeli cię przyjmą.

Nigdzie nie chcieli go przyjąć, ale szukał pracy, chodził od drzwi do drzwi, znał wszystkie poczekalnie, tymczasem żona stała w mydlanej parze przy balii, syn zbierał na hałdzie węgiel, pełne taczki za osiemdziesiąt groszy.

Gorycz zalewała mu serce: — Dlaczego nie obronili mnie wtedy? — Gwałtowne odpowiedzi cisnęły się pod czaszką: — Kto miał cię bronić? Ruch związkowy wyprowadzili na manowce! Za pieniądze właścicieli łamali każdy strajk. W osiemnastym roku zeszli na psy i już ich nie nawrócisz. Chyba siłą.

Wszystko było oczywiste dla Murdzi. To, co go dręczyło, to nie była zła, jemu tylko przydzielona samotność. — Ty jesteś bezrobotny, a tamci, na dole, pracują za głodowe płace. Wyprowadzą ich na wojnę tak samo jak i ciebie. Pomyśl lepiej, co jutro do garnka włożyć. Jak zarobić na chleb.

Na bielonej ścianie odcinał się w mroku refleks gwiaździstego nieba, w szybach otwartego okna błyszczał księżyc, ława trzeszczała pod Murdzią przy najlżejszym poruszeniu. Wstał wsłuchując się chwilę w oddechy śpiących: żony i dzieci; postąpił kilka kroków, pewnym ruchem sięgnął po kapelusz leżący na skrzyni i po omacku wyszedł do sieni. Kiedy już był za progiem, odsunął w ciemnym kącie balię, spomiędzy gratów wyciągnął żelazne, zębate szczęki, opasane stalową sprężyną. W dzieciństwie nauczył się zakładać potrzask na zające. Nieraz łapał je prawie do ręki. Umiał kiedyś obiegać wkoło zająca, aż wreszcie zbliżał się do niego na taką odległość, że mógł mu kijem przetrącić grzbiet.

Potrzask był lepki jak świeże, parujące mięso. Murdzia przetarł półkoliste szczęki ziemniakiem i wsadził żelazo pod surdut, przyciskając je ramieniem dla niepoznaki. Szedł wsłuchiwać się w ciszę, czekać na tupot zajęczy. Ukrytemu w sadzonkach, w lesie albo w bujnym wrzosie wydawało się, że jest bezgranicznie wolny. Tak zdobywał choć na chwilę niezależność. W ukryciu.

Noc była głucha, niby dzwon, z którego wyjęto serce. Minął pospiesznie podwórze i wychodząc na ulicę otarł się o coś miękkiego, leżącego pod płotem. Poznał Helenę.

— Helciu, co ty tu robisz?

Dziewczyna ocknęła się przestraszona i zaczęła mówić po żydowsku jak we śnie; siedziała pod płotem zwinięta w kłębek.

Gdy ją podniósł, złe przeczucie stłumiło mu oddech:

— Pobili cię?

— Nie, panie Murdzia.

— Jak to nie. Czemu płaczesz?

— Boję się iść do domu... po co my koło cmentarza... mieszkamy.

— Taka duża dziewczyna. Nie wstyd ci?

— Nie.

Murdzia wziął ją za rękę i zaprowadził do mieszkania.

Romek, przebudzony nagle, poderwał się na łóżku, zaświecił zapałkę, pokazując w płomieniu zwiędłą twarz i szeroko otwarte oczy.

Murdzia nie spojrzał w jego stronę.

Romek splunął na zapałkę; zgasła z sykiem. Poświata księżyca wypełniła izbę niebieskawą mgłą.

Murdzia przeniósł Władka z siennika na łóżko żony, Helenę ułożył przy najmłodszej córce na sienniku. Wyczuł, że wszyscy przebudzili się i to go niespodziewanie krępowało. Dzieci gadały przez sen, słoma chrzęściła w siennikach, skrzypiały rozeschnięte łóżka. Zaczął głośniej chodzić po izbie i teraz dopiero uprzytomnił sobie, że nie wypuszcza potrzasku spod ramienia.

Romek odezwał się z barłogu:

— Daj ją tu, do mnie.

Murdzi wydawało się, że widzi zmysłowy uśmiech w twarzy Romka.

— Nie chcę. Niech mnie pan nie daje — krzyknęła płaczliwie Helena, zrywając się z siennika na nogi. Cień jej przysłonił jasną ścianę i opadł.

Murdzia położył ją z powrotem, pogładził ręką jej mokry od łez policzek. Uczuł na dłoni dotknięcie drżących warg i niespokojne westchnienie. Dziewczyna przylgnęła do siennika i ufnie przytuliła się do małej Wandy.

— Nie będę zdejmować sukienki — odezwała się trwożliwym szeptem do Murdzi.

— Nie zdejmuj, Helciu. Śpij.

Zegar uderzył godzinę na wieży kościelnej, gdzieś w kącie nad piecem pobrzękiwały muchy. Murdzia zanim wyszedł z izby, powiedział do Romka:

— Jak się dowiem, żeś ją ruszył, to cię grom spali, ty knurze. — Pogroził nie wiedzieć czemu, zły na siebie i na spodlony świat.

— Grom jak grom, ale franca to na pewno — wyskoczyła niespodziewanie ze złością Murdziowa, odrzuciła koc z nóg i długie, gniewne westchnienie dźwignęło jej piersi. — Co za podlec, dziecko chce szarpnąć.

Zające są w lesie za bagrem. Podchodzą stamtąd przez doły zarośnię-

te wrzosem do dyrektorskich ogrodów. Potrzask to straszne narzędzie. Złapane w żelazne kleszcze zwierzę męczy się długo, chce uciec przed śmiercią i rozszarpując mocne mięśnie czeka z otwartym okiem na człowieka, który przyjdzie je dobić.

Murdzia zawsze wzdragał się przed spojrzeniem na zamknięte żelazo, nie znosił poszarpanych, okrwawionych futer zajęczych i gdyby nie musiał, byłby już dawno zarzucił ten sposób zdobywania mięsa. Ciągle też pamiętał, że dają za to sześć miesięcy.

Dziś poszedł jak zwykle przez rynek, między parkami do dzielnicy will, a stamtąd ścieżką w stronę bagru. Oblane księżycem drzewa mrugały seledynowymi plamami. Każda pojedyncza szabelka trawy rzucała wyrazisty cień. Szpilkę można było znaleźć w tej urzekającej jasności.

Na wrzosowisku Murdzia odczuł chłód rosy na butach. Szedł przygarbiony oglądając się co chwilę, sprawdzał kierunek, czy znajduje się w prostej linii między ogrodami a bagrem.

Na czystym niebie smużyły się pasma dymu, odpływały na zachód kulistymi kłębami. Zielony przestwór i gwiazdy pławiły się w blasku księżyca. Rozrzucone w dali światła i daleki błysk aparatów do spawania pogłębiły żal w Murdzi. Z tego miejsca świat wydawał się nieprzystępny i wrogi, ale świadomość podpowiadała mu, że musi być i będzie inaczej. Rozluźniając nerwy w ciszy i ogromie nocy myślał, że świat to coś podobnego do kamienia, który musi mieć swe ostatnie uderzenie; wtedy dopiero pęka. I wtedy także każdy podchodzi i bierze swoją część.

Wiaterek wymiatał resztki ciepła z dołów. Zapach wrzosu odurzył Murdzię. — Nie pora na rozmyślania — powiedział do siebie.

Ukląkł na oba kolana, rozgarnął wrzos i jakby układał ptaka na gnieździe, ukrył w trawie ostre półkola potrzasku. Gruby, zwiędły liść kapusty wcisnął na zaczep i odszedł zapatrzony w świecące po nocy dachy will.

Nienawidził tej dzielnicy. — Tu śpi przyczyna biedy. Zresztą nie śpi. Noc głucha, a tu w każdym oknie światło. Śpią dranie przy świetle, czy jak? Boją się ciemności?

Kiedy dochodził do ścieżki, doleciał go przeraźliwy pisk. Wstrząsnęła nim myśl, że to w jego potrzasku szamoce się zając. Pobiegł w tamtą stronę. Ziemia ciężko dudniła pod nim. Skowyt się wzmagał. Czuł już drżenie w kolanach, którymi przygwoździ zwierzę do ziemi. Na sekundę ucichło wszystko i pod nogami Murdzi szarpnął się biały kłębek sierści. Schylił się, przymykając z wrażenia oczy.

Wyciągniętą z chciwą ostrożnością ręką namacał rosły grzbiet, kark i z rozczarowaniem pomyślał: — Pies. Gdzie go tu diabli nadali. Pies.

Pies — zagadał do siebie. Z przyzwyczajenia i dla przekonania samego siebie wyjął zapałki, choć dość było księżycowego światła. Przy chybotliwym płomyku zobaczył zakrwawiony, spłaszczony pysk tłustego szpica ze srebrną obrożą na szyi.

— Tuś wlazł? A poznajesz mnie? — Dyrektor Jäschke woził nieraz psa w samochodzie.

W Murdzi wezbrała długo noszona uraza. Słyszał szum krwi w uszach i jakby to był sam Jäschke, uśmiechnął się straszliwie do psa. Przeleciało mu przez mózg, żeby zrezygnować z żelaza i odejść. — Szkoda — pomyślał — żelaza szkoda. — Z nagłym postanowieniem dobił wyjącego psa i odszedł w dół po wrzosowisku. Blisko w ogrodach odezwało się niezdecydowane wycie — ehe... poczuły już śmierć... Wyjcie, pieski, wyjcie — rzekł półgłosem. Uchodził szybko ścieżkami. Pachniał powój, lipy, wysuszony kwiat jaśminów odbijał srebrem. Droga rozszerzała się. Niedaleko pierwsze domy; blask księżyca leciał skośnym cieniem z okapów na ściany. Zaniepokoiło go naraz trzeszczenie piasku pod butami. — We własnym mieście musi człowiek chodzić jak złodziej.

Wydostał się z pól, był już na bitej drodze.

Przytulony do muru, cieniami szedł teraz szybko, przyciskając żelazo do boku. — Wystarczy spotkać granatowego... Noc. Ani z szychty, ani na szychtę. Za kłusownictwo sześć miesięcy...

Dochodził do rynku.

Kwadrat kamienic wydawał się przechylać na niego. Cienie, ślepe okna, szyby, wygaszone sklepy, wszystko leżało jak zwierzę nie bojące się zaskoczenia. Rzadkie światła uliczne mżyły rudo, mąciły czysty, niebieskawy odblask rozjarzonego nieba. W kasztanach przy kościele pokrzykiwały nocne ptaki. Liście szumiały jak na dużym wietrze, a może Murdzia nie słyszał, tylko wyobrażał sobie wysoki, trzęsący kasztanami wiatr.

Opłynął go kwaśny zapach chlebowego zaczynu. Zatrzymał się. Za Domem Legionistów, gdzie na parterze mieściła się restauracja i hurtownia monopolowa, świeciły niskie, zasłonięte okna piekarni.

— Jakub piecze chleb. Dawnośmy nie gadali — pociągnęło go w tamtą stronę.

W ciasnej sieni przecisnął się między beczkami z wodą; stanął w otwartych drzwiach mrużąc nieznacznie oczy. Do piekarni trzeba było zejść jeszcze po kilku schodkach.

W żółtym świetle czterdziestki pokrytej pyłem z mąki siedział Jakub, oparty łokciem o koryto do mieszania ciasta. Za duży piekarski czepek

zsunął mu się z czoła na twarz. W półotwartych ustach słychać było głośny oddech. Był bez koszuli. Wąskie, wychudzone piersi, ramiona nikłe jak u anemicznego chłopca czyniły zeń coś bardziej podobnego do nieskomplikowanego narzędzia niż do człowieka. Spodnie, oblepione ciastem, brudne i wytarte na kolanach, obwisały z chudych nóg na białe stopy w sandałach z rzemienia. Na oknie cykał budzik z nastawionym dzwonkiem na godzinę wysadzania chleba z pieców.

Murdzia spojrzał na zegar jak na jedyną żywą tu istotę. Było wpół do trzeciej.

Kwaśny, chlebowy ferment, ciepło rozgrzanego pieca, dymiący jeszcze, zalany wodą popiół drażniły nozdrza, oblepiały mdłym nalotem wargi. Spalenizna przypominała Murdzi kopcący lont górniczy, tylko że tamten dym był gryzący i rudy jak Jakuba głowa. Skwierczał kwaśnawo. Wykipiała smoła tak pachnie.

Na sosnowych kawałkach drzewa pod ścianą leżał przyrzucony fartuchem czeladnik. Muchy cięły go w wystające ze spodni gołe stopy. Drgał co chwilę z bólu i konwulsyjnie poruszał palcami jak spętany. Głośny oddech falował fartuchem. Sosnowe szczapy trzeszczały pod krępym ciałem.

— Śpią — pomyślał Murdzia, stawiając sztywne kroki. Cisza i gorąc piekarni onieśmielały go. — Po com tu wlazł? Niech śpią. — Ale to, z czym przyszedł, było silniejsze. — Muszę z Jakubem pogadać o Helenie, o Niemcach...

Nachylił się nad Silbergradem, trącił lekko jego chude ramię.

— Jakub — powiedział cichutko — Jakub.

Żyd zerwał się z krzesła, spojrzał na zegar stojący na oknie i wypalone oczy utkwił w zakłopotanej twarzy Murdzi. — Wszystko w porządku. Sąsiad przyszedł. — Uczucie błogiego uspokojenia odbiło się na jego twarzy, przymknął nabrzmiałe powieki w uśmiechu, który trzeba widzieć, żeby go zrozumieć.

Murdzia teraz dopiero po raz pierwszy dostrzegł krzywe plecy Silbergrada, przykryte wątłymi ramionami piersi i przeraźliwy kształt głowy na długiej szyi.

— Przyszedłeś w odwiedziny, Murdzia? — spytał Jakub, objąwszy dłońmi kolana.

— Szczęścia szukam.

— A co, ty już nie masz nic lepszego do roboty? Szczęścia ci się zachciewa? Lepiej powiedz, że stawiałeś oka na zające.

Murdzia machnął zrezygnowany ręką.

— Pies się złapał. Zahaczyło go za pysk, musiałem go dobić. Popsuł mi noc. Jäschkego pies — popatrzył prosto w oczy Jakuba. Mogą go szukać. Wolałem się wycofać.

— No! Pies nie zając, ale denaturkę z kminkiem do tego i można zjeść.

— Śmierdzi, psiawiara... zjeść można... — skrzywił się Murdzia.

— Z ciebie zły kucharz. Ty go wrzucisz do kapusty albo żur na nim ugotujesz, to on śmierdzi. Trzeba obłupać ciepłego, krew spuścić, żeby smród wyparował i raz trzeba odżałować na słoninę. Potem jest jedzenie. To on potem pachnie jak gęś — roześmiał się. Z jego mocno sklepionego czoła zniknęły na chwilę grube zmarszczki.

— Zaczekaj, Murdzia — odezwał się z cichą obietnicą, otworzył żelazne drzwi magazynu, wyniósł stamtąd pachnący ogniem chleb.

Murdzia zawahał się przez chwilę, podziękował milcząco i wcisnął chleb pod surdut.

— A... nie będziesz miał kłopotu? — zapytał, otrzepując dłonie z mąki i mrużąc nerwowo oczy; w wargach widać było jakby upokorzenie. Stał przygarbiony i napęczniały śmiesznie, pod jedną pachą przytrzymując potrzask, pod drugą chleb. Spoglądał znacząco na czeladnika rozwalonego pod ścianą.

— Śpi — uspokoił go Jakub — on ma spanie, można pozazdrościć.

— Żebyś ino nie miał nieprzyjemności... — powtórzył Murdzia.

— Moje zmartwienie. Niech ci idzie na zdrowie.

— Ciężko, psiamać — westchnął Murdzia.

— W osiemnastym roku to oni tam owies jedli i przetrwali, a ty, Murdzia, masz chleb — zaśmiał się w sztucznym uniesieniu Jakub. — Ty się naucz, Murdzia, wierzyć w Partię. Ona tam jest — pokazał palcem w dół — i odezwę ci przyśle, jak trzeba, i ducha doda. No nie?

Murdzia kiwnął chłopięco skupioną twarzą: — Prawda jest.

— Ja tu siedzę na tym krześle — mówił z ożywieniem Jakub — i śni mi się, że już po wszystkim. Ty rozumiesz, Murdzia? Tak widzę, jak teraz ciebie albo jak własną rękę — podniósł kościstą dłoń pod światło. — Wchodzą tymi drzwiami w skórzanych kurtkach, dają karabin i pokazują z okna odcinek, że niby ja mam bronić. I nie wolno dopuścić nikogo. Majster jak się pokaże, to ty rozumiesz, Murdzia, trzeba strzelać. A potem chleb dla twoich dzieci i sukienka dla mojej Heli... i na moje zdrowie może by kto poradził jakie leki...

Usiadł ciężko na krześle, czepkiem zaczął wycierać kark. Siedział skulony, z podniesioną ręką, podobny do ptaka przykrytego własnym, odartym z pierza skrzydłem. Nagle poderwał się nie wiedząc, co wpierw

ukryć: Murdzię z chlebem pod surdutem, czy siebie; wyprostował wysilony krzywe ciało.

— Kiedy on tu wszedł?

Na środku, pod drzwiami magazynu stał pan Zawiła, właściciel piekarni i jeszcze jednego sklepu w rynku. Rzadko tu zachodził w nocy; w dzień też bywał rzadko. Twarz miał nabrzmiałą od snu i duże, przenikliwe, chciałoby się powiedzieć — piękne oczy. Ubrany był w jasny garnitur i nie wyglądał na kupca. Silbergrad oniemiał pod jego poważnym i groźnym spojrzeniem.

— Cóż to, Kuba — powiedział — strzelać do mnie chcesz? Zmierzył przy tym Jakuba.

— Ani mi do głowy nie przychodzi, panie Zawiła.

— Nie przychodzi ci? A co ten człowiek tu robi?

Murdzia wpił swoje małe oczy w Zawiłę i najpierw rumieniec, a potem blada złość ścięła mu twarz.

— Pytam się, co ten człowiek tu robi? — powtórzył stanowczo i z głębokim przekonaniem, że jest w czymś poszkodowany. Nie unosił się; widział, że samo jego wejście zrobiło już dostateczne wrażenie.

— Sąsiad, panie majster, przez drzwi mieszkamy. — Silbergrad chciał odwrócić uwagę właściciela od Murdzi; pobladł silnie spostrzegając, że mu się to nie udaje.

— Ja się pytam, co on tu robi? — Zawiła pokazał palcem Murdzię, nie podnosząc ręki, jakby chciał zaznaczyć, że nie chce go dotykać.

— Co pan tam ma? — spytał na koniec. — Co pan tam ma? ja się pytam. — Ton jego wykluczał wszelkie możliwe tłumaczenie. Nawet, gdyby Jakub wyjął z kieszeni pieniądze i powiedział: — Kupił, panie majster. Kupił chleb. Tu są pieniądze. — Nawet wtedy Zawiła dochodziłby sprawy do końca. — W nocy ja nie sprzedaję chleba — mówiła jego pełna oburzenia twarz.

Murdzia opasał rękami ciężar pod surdutem i z twarzy widać było, że gdyby miał wolne dłonie, wbiłby palce we włosy z wściekłości i niemocy, jaka go ogarnęła. Zakipiała w nim krew. — Piekarz zacznie się teraz znęcać nade mną jak nad złodziejem. Po co ja brałem ten chleb?

— Oddaj, Murdzia, bochenek — odezwał się przyjaźnie Silbergrad. Mówił spokojnie, nie uwzględniając obecności właściciela. — Trzeba zwrócić. Oddaj, mój sąsiedzie.

Rozognionymi oczami patrzył w twarz Murdzi. Zrozumieli się.

Przebudzony rozmową czeladnik podniósł się tymczasem z drzewa jak oślepły; patrzył to na majstra, to na Silbergrada. Nic nie rozumiał. Ciężki sen uczynił go podobnym do chorego niedźwiedzia.

— Bierz go — odezwał się Zawiła do rozespanego — zrewiduj.

Tamten wstał posłusznie, ale kiedy wyciągnął długie ręce, rozchyliły się drżące wargi Murdzi:

— Co chcesz, krucafiks? He?

— Zawołam policję, jak mi Bóg miły — krzyknął majster. — A ciebie, Silbergrad, wyrzucę na zbity pysk. Złodzieje, psiakrew, jeden z drugim.

— Zabierajcie ten przeklęty chleb — wyrzekł twardo Murdzia; położył delikatnie bochenek na otwartym korycie. Obciągając drżącymi rękami surdut, opuścił piekarnię z podniesioną głową, otarł się nawet w pośpiechu o właściciela.

Jakub postąpił kilka kroków za Murdzią i raptem zatrzymał się na środku piekarni jak ogłuszony. Czuł kłucie w plecach, mściwe myśli rozsadzały mu czaszkę, gasiły wypukłe oczy. Zgiął się.

— Pal licho bochenek chleba. O zasadę chodzi — pomyślał Zawiła. — Trzeba go i tak wyrzucić, bo kiwnie kiedy przy korycie i zapaskudzi ciasto.

Nie wiedział, że Jakuba zgięła tak nienawiść. Nad chorobą umiał panować.

PAWEŁ ANTOKOLSKI

SYN

Pamięci chorążego Włodzimierza Antokolskiego, poległego śmiercią walecznych dnia 6 lipca 1942 r.

1

Wowa! Jam nie spóźnił się. Czy słyszysz?
Dzisiaj razem stajemy w szeregu.
Czemu listów do nas już nie piszesz?
Do rodziców? Do siostry? Dlaczego?

Chłopcze! Ręką ruszyć nie masz siły.
Nie masz siły łez z twarzyczki zetrzeć.
Głowy unieść już nie możesz, miły,
Ani głębiej odetchnąć, syneczku.

Czemu, czemu w oczach twych na wieki
Wszystko błękitnieje, błękitnieje?
Czy skroś twoje zwęglone powieki
Nie przeniknie ten blask, kiedy dnieje?

Słyszysz? Słuchaj, słyszysz? Kanonada.
Nasi, nasi prą ku Zachodowi.
Nasza ofensywa, więc wypada
Powstać z ziemi mokrej i surowej.

Na mój zew, z oddali niezmierzonej,
Gdzie w mgłach dymi przyfrontowa dal,
Odpowiada syn, który zatonął,
Pochłonięty żarem krwawych fal.

— Czemu wołasz? Dlaczego mnie trwożysz?
O, nie wołaj mnie, ojcze, nie wołaj!
My kroczymy po drogach pożogi,
My w oparach krwi nurzamy czoła.

Szybujemy tak, poległych cienie,
Bijąc w chmury skrzydeł swych przelotem.
Tak w tym locie z sobą zespoleni,
Że nie mamy już drogi powrotu.

O spotkaniu nie marz więc i nie śnij —
Wojna trwa i bój się ciągle toczy.
Obaj myśmy źdźbła w świata bezkresie.
Nie zobaczą mnie więcej twe oczy.

2

Zginął mój syn. To było dobre dziecię.
Ładny był, miły, odważny, wesoły.
Dzisiaj w parowach hukają zamiecie
I wzdłuż wyboi, w które runął czołem,
Zawieja w róg schrypnięty pohukuje,
W kurzawach śnieżnych krzyczy, wyje, łka
Pośród gruzowisk.
Ona mi dyktuje
Rachunek śmierci, ludzkiej krzywdy, zła.

Jak dwoje się spotkało? Jak pragnęli
Stać się bliskimi sobie? W którą z nocy
Zapłonął ciepło w macierzyńskim ciele
Błękitny płomyk, tak pełen niemocy?
On jeszcze śpi, lecz już się pręży we śnie,
Wyciąga rączki słabiutkie i nagie.
Zaczekaj, gdy się zbudzi, gdy sen prześni,
Zaraz ołówka, gwizdawki zapragnie.
Ty porwiesz go w ramiona. I błękitny
Wtedy to płomyk żywiej załopoce.
Wczesny dzieciństwa dzień świętem rozkwitnie,
Niedostrzeżony niczym w obcych oczach.

W poranek ten albo w ten wieczór słotny,
Spokojną, cichą rzeką płynął czas.
Ku światłu, ciepłu dążyła istotka,
Krucha roślinka, co rosła wśród nas.

Ale czyż tutaj? Czyliż tu początek?
Początku nie ma. Zresztą brak i końca.
Życie powoli snuło zdarzeń wątek
I cień przyszłości nie zasmucał ojca.
Przepiękne było to życie, ogromne,
Przez długie lata, w których rosło dziecię.
Życie obłoków, lotnisk, sal i komnat,
Orkiestr, burz letnich, zimowych zamieci.

I chłopczyk rósł. Targał mu loki, wzburzał
Wiosenny wiatr. Twarz wiatr zimowy palił.
Pomnę — na nartach leciał w srebrnym pudrze,
Biedny mój druh, lub w morza płynął falach.
Uwielbiał muzykę. Ten jej szeroki
Wicher skrzypcowych strun i miedzi zew.
Nad lekcją gdy zamyślił się głęboko,
Radio sączyło mu nad głową śpiew.
Lubił, gdy w kątach pokoju grzmią raźnie
Litaurów pobrzęk, fagotów wibracje
I bajan z Tuły, i zurna z Kaukazu,
I różne tony, i przeróżne stacje.

Pożądał pracy. To była rzecz główna:
Rysować, lepić, bawić się farbami,
Kolumny logarytmów, cyfry równań
Ze szkoły poszły w świat jego śladami.
Makiety scen, sztuk nie do wystawienia,
Modele jachtów o zastygłych żaglach.
O! na trzy życia starczyłoby marzenia
I na trzy wieki. Tak on pracy pragnął.
I obserwować lubił, jak wzrastały
Spokojnych ulic Moskwy wielkie domy.
Jak rosły całe ze szkła i ze stali
Skąpane w lśniącym błękicie ogromy.

O! Ileż dni, z rowerem swym zgubiony,
Spędzał w Sadowym i za Moskwą rzeką.
I ileż psuł fotograficznej błony,
Fotografując bliskie i dalekie.
I jakżeż często, rankiem, wstając ze snu,
Upewniał się: Samotny? Niesamotny.
Co lubił jeszcze? Lubił porą wczesną
Wyjść na włóczęgę, tam kolegów spotkać.
Bez czapki. Aż do zimy. Co? Zbyt chłodno?
Za to wygodnie. Co tam chłód! Co deszcze!
W stołecznym, tłumnym zgiełku, wśród przechodniów
Czuł się jak w domu. Cóż on lubił jeszcze?

Na Krymie spędzał lato to. W upale
Iskrzył się morski brzeg przypływem słonym.
Iskrzył się piasek. Iskrzył step i fale,
A step dzwonkami cykad drżał i dzwonił.
Wszystko to widział. Wzrokiem nie ominął
Najmniejszych bryzgów srebrnej, morskiej piany.
Tam po raz pierwszy zobaczył dziewczynę.
Inną. Dotychczas nie zauważaną.
I nagle znikła dziewczyna. Czy wróci?
I długo jeszcze dźwięczny śmiech jej dzwonił,
Gdy we krwi poczuł bolesne ukłucie
Nagłego smutku i palący płomień.
Smutek? Lecz któż pozwolił to smutkowi
Wśród skał go włóczyć nadmorskich i smęcić?
Wszak już nie dziecko, choć nie pełny człowiek.
Targał za włosy, dokuczał dziewczętom.
Więc cóż to? Cóż to? Co nieogarnione
Serce mu w piersi tak ściska bezwiednie?
I uskrzydlony, i zaprzepaszczony
Wiedział, że życie ogromne jest przed nim.

Pierwszy raz wtedy marzył on o życiu
I już ostatni raz. Wszystko skończone.
Ty, morze, słonej fali gromkim wyciem
Potwierdzisz mą opowieść zasmuconą.
Burzanie wyschły, stepowy, zaludnij
Świat cały cykad malutkich dzwonkami.
Dziś nie ma już dzieweczki ni południa

I tylko zamieć wieje, wyje zamieć.
Nie ma już synka ni Krymu. Stracone.
Zawieja wieje. Dmie w ochrypły róg.
Tylko się żarzy zarzewiem czerwonym
Święta dalekość przyfrontowych dróg.

I tylko po policzku, w dymie fajki,
Powoli, skąpa, trudna łza się stoczy.
I jeszcze list z żołnierskiej tej kufajki
Na świat spogląda i zagląda w oczy.

I tylko każdej nocy w zdruzgotanym,
Obrabowanym miasteczku sprzed wieków
Zawiei śpiew o chłopcu zakochanym,
O pogrzebionym tu, stąd niedaleko.
Hotelik. Tutaj chyba noc lub dobę
Przebywał. Pewno spał mój syn
Na tym wąziutkim łóżku, tak podobnym
Do wiązki kolejowych szyn.
W niezgrabnych butach szedł po korytarzu,
A później, później tutaj, pod tym kranem,
Zmył chłodną wodą ślad senności z twarzy,
Zaśmiał się z czegoś i wyszedł na ganek.
I oto przed nim rosyjskie, wiekowe
Miasteczko w gruzach swych się rozpostarło,
Opromienione tak jasno czerwcowym
Słońcem.

Lecz oto już ciszę rozdarły
Gwizdy pociągów. Gwizdem wicher wionął.
I cicho westchnął chorąży. O, tak.
Moskwy za mgłami, w swej krasie strwożonej,
Dalekiej Moskwy tak mu było brak.

I znowu gwizd. Z daleka i ochryple.
Bo pokonała go wichury pieśń.
A pociąg biegł, wciąż szybciej, szybciej, szybciej,
Pocztówkę niosąc. Pierwszą z frontu wieść.

Wszystkiemu kres. Minęło już pół roku.
Za oknem mgła, bezludzie, wiatr i chłody.
Do zorzy nie ma snu. Bo mnie zawlokły
Tu, do hotelu, ból i niepogoda.

W hotelu tym mieszkają krótko. Spieszą
Na front, do Moskwy. Sen pierzcha spod powiek.
Zawieja dmie. W myślach coś mąci, miesza
I wszystko może zmieść.
I wreszcie gdzieś tam, w rowie,
Opadnie nagle z sił zawieja-starowina.
Do chłodnej ziemi przylgnie i słucha ze drżeniem,
Może usłyszy krzyk, śmiertelny krzyk jej syna,
Co runął przy okopie, w młodziutkiej sosny cieniu.

3

Słyszałem grom tysiąc-tonowej mocy.
Widziałem tryumf śmiertelnej godziny.
Tu się opowieść zacznie. Powiem prościej:
Tu się rozwarła przepaść pod mym synem.

Odnalazł ją w piroksylinie chemik.
W pociskach ją zagwoździł metalowiec.
Skrywali ją. Zakopywali w ziemi.
Lecz złość nie dała się wszak zahamować.
Z bankierskich kas brząkała wciąż, dzwoniła.
Pełzała chytrze, podle jak gadzina.
W okopów linie się zwijała, wiła.
W tę właśnie runął syn mój rozpadlinę.

W spokojnym roku zaś, dwudziestym trzecim,
Gdy chłopak mój urodził się dopiero,
Już przyglądała się z uwagą naszym dzieciom
Germania zła i chytra jak pantera.
Widziałem ja to miasto, pełne pychy,
W martwej zieleni reklam, w zgiełku kół.
Jakbyś ulice pychą porozpychał
I zmieszał z margaryną pół na pół.

W tym mieście bili się i całowali,
Rodzili się bez celu, marli za nic,
Wyśpiewywali: „Deutschland über alles“.
Tym żyło miasto, od krańca po kraniec.

Jak życie czarne, tępe, jak rozpustą
Ciężkie obłoki gęsto poplamione.
Jak podrożały piwo i kapusta,
Tytoń i sól. Kolumny nieskończone
Rosnących cen coraz to dłuższe, dłuższe.
Zabójcy synów naszych zaś, tymczasem
Śpią słodko, owinięci w swe pieluszki.
Śpią, nie znający doli swej ni czasu.

I ty, odwieczny wrogu. Ty, z tą maską
Kamienną. Berlińczyku. Ty zuchwały.
Ty, na kobiety i na zyski łasy,
Ojcem w tym roku, co i ja, zostałeś.
Tak. Twój potomek będzie rasy czystej:
Błękitnooki, rumiany i blondas.
Mocarny Wotan. Zygfryd oczywisty.
Szynę przegryzie, jeżeli zażądasz.
W publicznych domach młodość spędzi chłystek.
Jak dżuma całą Europę przemierzy.
Lecz czynów jego rejestr osobistych
Jest niepotrzebny. Germania mu wierzy.
Ona to właśnie rozsądnie, otwarcie
W mrok go w dniu jego narodzin wplątała.
Takiego syna czekałeś uparcie.
Takiemu właśnie serce swe oddałeś.

Oto on, w śniegu, jak wykuty młotem,
Jak czołg rozdarty, jak brąz wyrzeźbiony.
Spróbuj go podnieść. Zawołaj: „Verboten“
I wpij się w usta zakrzepłe, skrwawione.
Czyliż pragnąłeś dlań przedwczesnej śmierci?
Chciałeś, czy nie? Jakąż odpowiedź dać?
Nie ja przyniosłem ci złą wieść w kopercie.
Nie moja wina, że nie możesz spać.

Co tak łomoce w skroniach mych? Skleroza?
Czyj cień przez kwadrat okna w głąb przenika?
Ten cień wychynął z mgły tych nocy mroźnych.
Ten cień — to ja. Więc wstań, mój berlińczyku.
Wstawaj no, starcze.
Wstań już.
Przyszła pora.
Pójdziemy tam, kędy twój syn buszował.
Śmierć jego będzie błyskiem reflektora,
A jego życie ekranem filmowym.
Nad nami niebo jak papier rozdarty,
Całe w literach milionletnich gwiazd.
Pod nami zenitówek wrzask upartych
I dymy zrujnowanych ludzkich gniazd.

I śnieg. I śnieg. Wydmy. Zadymek fala.
Zarośla w białych czapach aż po brwi.
Wystygły dym koczowisk. Zapach żalu.
Wciąż bezwzględniejszy żal minionych dni.

Po wioskach, po pustaciach spopielonych
Straszliwe sprawy po nocach się dzieją.
Tam martwe, wyschłe ciała powieszonych
Huśtają się na hakach skrzypiących i chwieją.
Tam rozstrzelani, tam z ubrań odarci,
Spleceni z życiem, porzuceni w rowie,
Szklanym odbiciem sinieją uparcie,
Starcy i dzieci. Matki i ojcowie.
Kto zabił ich? Kto oczy im wykłuwał?
Kto, oszalały od tej krwawej mgły?
Kto chłopskie skrzynie łamał, tłukł, rozpruwał?
Kto? Twój potomek, a więc również ty.

Tyś, wychowawco, spłodził tę gadzinę,
Co mogłaby dorównać jaskiniowcom,
Ty od kolebki wydzierałeś z syna
Wszystko to, o czym marzyć mógł twój chłopiec.
Tyś do bezprawia natchnął go ochotą
I w dniu urodzin pchnął na drogę zła.
Widocznie taka była już epoka —
I oto już w koszarach trąbka gra.

I oto on już gęsim krokiem kroczy
Przez gaje wyrąbane i przez sady,
A ty spoglądasz nań z zachwytem w starczych oczach
I dumny jesteś zeń, z Kaina swego — Adam.

Ty odebrałeś mu światy Einsteina,
Heinego pieśni wydarłeś przemocą.
Aresztowałeś jego myśli tajne,
Zrewidowałeś sny chłopięcych nocy.

Gdy jeszcze syn mój nie znał nawet wcale
Dzieł Rousseau, Marksa, znał tylko nazwiska,
A już na placach i w sportowych halach
Twój z ksiąg tych wielkie rozniecał ogniska.
W ten dzień, gdy chłopak mój dostał maturę,
Był jasny, młody, radosny jak maj,
Twój, zachrypnięty, półnagi, ponury,
Parł z automatem przez nasz piękny kraj.

A tę, przy której syn mój w uwielbieniu
Nie śmiał odetchnąć, nie śmiał słowa rzec,
Twój pomiot z kwikiem, ze źrebięcym rżeniem
Posiadł i rzucił niby ścierkę precz.

I śnieg. I śnieg. Wydmy. Zadymek fale.
Zarośla w białych czapach aż po brwi.
Wystygły dym koczowisk. Zapach żalu.
Wciąż bezwzględniejszy żal minionych dni.
Coraz zawilszy ślad splątanych tropów.
I coraz mroczniej tu. Coraz liliowiej.
Czołowy kraj. Front wschodni Europy.
Miejsce, gdzie nasi starli się synowie.

I prawda w polu pozostanie czystym.
Wykrętów twych zostanie zawsze ślad.
Mój syn był komsomolcem.
Twój — faszystą.
Synem mym człowiek był.
Twoim był — kat.

W płaczu ogromnym i błyskach ogniowych,
I wszędzie. Wszędzie, gdzie tylko wre bój
Sto razy ginąc i rodząc się znowu,
Na odwet syna twego zwie syn mój.

4

A lata szły — trzydzieści osiem, dziewięć —
I wzrost na drzwi framudze zaznaczony.
Wspomnienia płyną w szarej wacie dziejów,
Płyną nie łącząc się, gdzieś, stroną
Ściemiałe.
Jakżeż mi się w mglistą
Przeszłość skroś szkło zmętniałe i omglone
Wpatrzeć, ażeby synowskie dzieciństwo
W nie wszczętą młodość przeszło — nieskończone.

Hebel, obcęgi, zgniecione pudełko
Z gwoździami miar najrozmaitszych,
Młotek, i pompka rowerowa, korek, szkiełko,
I jeszcze mosiężnego drutu motek,
I jeszcze, jeszcze co? Album do marek.
Kredki, wyschnięty krab. I co? Cóż więcej?

Oto jest ojcu zwrócony podarek,
Ułomek jego duszyczki chłopięcej,
Pragnącej żyć. Niewiele i niemało.
Żyć. Tylko żyć. Uczyć się i wzrastać.
Tak odchodzące dzieciństwo ściskało
Ułomki raju w swej malutkiej garści.
Oto jest wszystko, co dziecko zdobyło,
A młodość nie zabrała, nie wykradła.
Odchodząc zaś na bój pozostawiła
Ułomki raju w biureczka szufladach.

Rysunki, mały warsztat, pudło płaskie,
Paleta, dwa nie tknięte płótna płaty
I tubki farb żarzących się barw blaskiem.
Pierwszych „dorosłych“ farb. Pstrokate
Zacisze. Wszystko pospiesznie, „na brudno“.

Wszystko z przeczuciem, że coś się przemieni
Gdzieś w czerwcu, na Wielkanoc albo w grudniu,
Gdy sam te wszystkie głupstewka oceni.
I oto rośnie on. Nieśmiały, miły,
Nasz dziwak, tak niezgrabny, wielkoręki.
Wczoraj go jeszcze bezczynność nużyła,
A dzisiaj? Dzisiaj martwi się i tęskni.
Płótna gruntować. Malować sjeną, ochrą,
Umbrą paloną, by w kleksów promieniach
Zrodził się przedświt młodziutki i mokry,
Ten niczyj jeszcze i pierwszy na ziemi.
Albo zniweczyć i porazić ciszę
Nie znając wszystkich owych *do-re-mi*.
Zedrzeć tercyny. Runąć na klawisze
Huraganowym szturmem swoich dni.

Znowu rysunki, barwy, plamy białe,
Którymi igra pracowity leń.
Tak może właśnie w porywach nieśmiałych
Jeleń rogami trze o drzewa pień.
I napinając suche ścięgna, żyły,
Gotów połamać gałęzistą krasę,
Lecz jeleniowi memu wszak służyły
I mchy, i trawy baśniowego lasu.
I niewidzialny. W szacie księżycowej,
W tak czarodziejskiej wodzie ślad zatopi,
Że chyba tylko wracająca z łowów
Diana odnajdzie jego srebrne tropy.
Za moim mężniejącym zaś jeleniem,
Ochoczo dmąc w swój przeraźliwy róg
Na dolę złą, na zgubę pokoleniom,
Żelazne wyżły swe już pędził wróg.

A lata mkną. Trzydzieści osiem, dziewięć —
I ten graniczny idzie rok czterdziesty.
I zima jest. I biała szadź na drzewach —
I oto już i ten czterdziesty pierwszy.

Dziesięciolatkę ukończył on w czerwcu.
Trzy dni włóczyliśmy się z nim pod rękę.

A syn mój — on oddychał pełną piersią,
Lecz snadź go jakaś bojaźliwość dręczy —
W muzeum spoglądając na Gaughina,
On jakby skradał się, jakby się bał
Gorących błysków słońca, żaru, tlenu,
Wszystkich tych śniadych, obnażonych ciał.

Lecz wciąż jaśniejsza szła nam na spotkanie,
Niby na jakieś wielkie święto strojne,
Od szczytu Kremla, po najdalszy kraniec,
Moskwa oprawna w złoto i dostojna.
Jak zjawisko omglone bulwary.
Jak zadzierżyście przelewa się gwar.
Jak skromnie za listowiem skryte pary,
Pragnące ustrzec swych poranków dar
Przed ludzkim wzrokiem. Wszystko to, co w szkole
Zdobyte, stało się dumną młodością,
Wszystko to znać.
A więc, precz z melancholią!
Trąćmy się kieliszkami, synku.
Rośnij.

W gruzińskiej zaś winiarni obrus plami
Rozlane wino, czerwieńsze od krwi.
I zaczesane na tył, tak starannie,
Pasemko włosów opadłe na brwi.
I zaśmiewając się długo, bez końca,
Tak czarująco, szczerze, tak nieskrycie,
Umoczył usta w płomieniu gorącym,
Nie zachłysnąwszy się pierwszy raz w życiu.

Pij. Człowiek nie jest chciwy w swej młodości.
Później, na drogach stromych, ostrych, krętych,
Pojmiesz, że w każdej winnej latorośli
Trud tysiącleci skrapla się zaklęty
I gdzieś, w czynarów prawiekowych cieniu,
W starczych zurn brzęku i dzwonieniu pszczelim
Posłyszysz święte, świątobliwe tchnienie
Tych tysiącleci.
Jakżeż słońce bieli
Głazy, fontannę u stóp Mostsowietu

I tę dziewczynę, co przysłania oczy
Przed jego blaskiem. Ileż blasku świeci
W oczach przechodniów. Ten blask okna złoci,
Susami świetlnych zajączków wyzłaca
Ściany i obłok purpurą obrzeża,
I wielką spełnia słońce pracę,
Jeśli antenom śpiewającym wierzyć.

I już policzki płoną. Już przenika
Błysk zrozumienia w głąb chłopięcych oczu,
I już półboga wiodłem, nie chłopczyka,
W świat otwarty na ścieżaj.
A już toczy
Burza cygańskie swoje tamburyno
I garść błyskawic niesie zgiętych w łuk,
I ponad miastem sunie stukominnym,
Nam na spotkanie. I widział to Bóg,
I Bóg radował się. Słusznie. W śpiewie gromu
Świat się nie kończył, a właśnie zaczynał.

Więc tylko zwolna, zwolna, wszak do domu
Dojdziemy równym krokiem w pół godziny.

O Moskwo, Moskwo. Ileż burz szumiało
Nad dumnym, pięknym czołem twoim, Moskwo.
Czemu przycichłaś i jak kreda biała
Nie dzielisz z nami naszych chwil radosnych?
O miła, miła, dłoń nam podaj swoją,
By żaden z nas nie pozostawał sam.
I pobłogosław, Moskwo, nas przed bojem.
Jaki tam będzie los — błogosław nam.
O, dzięki tym pomnikom, tym mocarnym,
I blaskom teatrów, i bander czerwieni,
I zbiorowiskom dzięki, rojnym, gwarnym,
Gdzie każdy trwa i gdzie każdego zmieni
Potężna fala nowego przypływu,
I skrzy się życiem modre łono znów,
Gdy fala falę goni, zmienia, zmywa,
I czuwać trzeba, i odejść od snów.

Za nasze szczęście odpowiemy życiem,
A nasz los gorzki — czyliż to grzech twój?

Tak nasze święto mijało. O świcie,
Czwarta trzydzieści, rozpoczął się bój.

5

Czasami pamięć bywa trudna, mglista.
Lecz oto przypadkowy pisma ślad,
Pocztówka przypadkowa w paczce listów —
I już odkryty młodej duszy świat.
Spójrz, spójrz, oto mignęła płocha, trwożna
I uśmiechnąwszy się pierzchnęła w mroku toń.
Jedyna, krzepko, tak jak tylko można,
Związana z nim i należąca doń.
A już rys pióra tworzył się powoli:
Dokładny, skośny, troszeczkę kobiecy.
Wtedy to właśnie był w wojskowej szkole.
Na wschodzie kraju. Pierwszy raz sam w świecie.

Z początku listy były skąpe w słowa:
„Zadowolony, uczę się i zdrów“.
O trudach życia nie było w nich mowy,
Ani czułością nasyconych słów.
Dopiero znacznie później jął się dzielić
Tęsknotą, niepokojem: matka, siostra.
Lecz wkrótce w listach zjawiać się zaczęli
Koledzy. I nawet smutek stępił ostrze.
I oto stamtąd, gdzie w skwarze się trudził,
Podawał nam tak prosto jak na dłoni:
„Tutaj, tatusiu, są wspaniali ludzie“.
I znowu przyjaźń. I jeszcze raz o niej.
I z życzliwością zawsze, z ludzką dolą
W życzliwej zgodzie — w tym cel i zwycięstwo.
W ten sposób właśnie powoli, powoli,
Tworzył się w synu mym charakter męski.

Zeszycik jeszcze jeden. Bardzo czysto,
Schludności szkolnej przestrzegając godnie,

Spisane tu prawa artylerzysty,
Ta matematyka sakralna ognia,
Święta dokładność logiki armatniej.

Oto czym żył on wtedy, co przeżywał
I co wyrosło w nim w ten rok ostatni,
W ścisłą świadomość, w surową uczciwość.
Nigdy się nie rozpraszał. Nie odmieniał.
Czyliż przeczuwał przeczuciem nieśmiałym
To duszy swojej ostatnie schronienie?

I oto szkic na marginesie: Pałac
Cały w weneckich arkach, a tuż z boku
Armata pod cyprysem.
Czekaj. Stój.
Jakimże zamyślenia tęsknym wzrokiem
Spoglądał na rysunek prosty swój?

Jakiż to los? Jakich to marzeń szczyty
I jakich pragnień napój? Na co padł mój wzrok?
Los nie skończony. Napój nie dopity
I podpis też urwany:
„W. Antok...“

6

Możeś spotykał go: rosły, wesoły
Uczeń moskiewskiej szkoły. Smagły, zdrowy,
Gdy wysyłany wolą Komsomołu,
Do prac obronnych, do kopania rowów
Odjeżdżał.
Odjeżdżali chłopcy z Presni,
Do Kropotkińskiej Góry, z Sokolników,
Szli do Arbata młodzi, ze śródmieścia,
Bojowy ludek w pieśni szedł. W okrzykach
Śpiewali w towarówkach: śpiew, że może
Spokojnie miasto spać
i że cudowny
Szeroki kraj rodzinny,
że nie złoży
Chwat nad Irtyszu brzegiem dumnej głowy.

A nawet spotykałeś wcześniej może
Któregokolwiek z synów, z naszych dzieci
Nad wodami Lamanche'u lub nad Czarnym Morzem,
Na całej twojej słonecznej planecie.
Więc w jakim kraju i w jakich preludiach,
Gdzie, w jakiej fabryce, na rynku, w porcie,
Ten smukły uczniak wstępował w krąg ludzi
I na przychylność liczył, niby w sporcie,
Ślepego trafu. I gdy skryty w tłumie,
Wtedy go bliżej zapragnąłeś poznać,
Czy ci odpowiedź dała młoda duma,
Czyli też w zgiełku dni twych, wrażeń, doznań
Już zapomniałeś, że ten prawie dzieciak,
Co się urodził i wyrósł wśród nas,
Wzrastał na naszej wojennej planecie
I piersią spotka swój żelazny czas.

I już go w Pradze żandarm aresztował,
Przesłuchiwany w Brugges był, w Bergen bity
I już trzy dni ukrywał się w parowach
Przed czarną sforą w przyszłości ukrytą.
Już w czas przed burzą groźnych zastrajkowań
Tak spoważniały te łagodne oczy.
Już groźnym pismem zlanego ołowiu
Zdał mu się każdy dzień, co burzę toczy.
Więc pójdźmy za nim, za młodym znajomym,
Na rozstrzelanie drogą asfaltową.
Zatrzymaj go tam, za ostatnim domem,
Niechaj się wpatrzy, rozejrzy w pustkowiu.

A jeśli to nie twój syn, lecz bliźniego
Zjawił się w oczach gestapowskich szpicli,
Zaplątaj jego ślad w głębokim śniegu
I zniknij niewidzialnie i niezwykle.
W rejestr ujęli wszystkie młode lata,
Człowieczej wiosny każdy kwiat, pęd, listek,
Od Pirenejów po Pamir — dach świata.
Jakżeż są w swoich spisach ściśli.

Więc wyczujże, którym z pradawnych podań
Powiało od tej opalonej skroni,
Gdy młodość w nim tak szybko dopalona
Dynamit tłumić zaczęła, swój płomień.
Wszystkich spalonych biblii popieliskiem,
Wszystkich gett polskich i wszystkich kacetów,
Za wszystkich, którzy zginęli, za wszystkich,
On, pół-Rosjanin, pół-Żyd, syn poety,
Z letargu swego ocknął się dziecinnie
Na wojny czas i pojął, zapamiętał:
Wszystko tak czynić, jak czynią to inni.
W tym wszystko inne jest już rozstrzygnięte.

Nie spóźnij się. Siądź przy nim, tu, na ławie,
Zanim z zawiasów drzwi zerwą pogonie.
A w każdym razie cień na mapie zawieś,
Tam w bok od Orła, tam w Żyzdry rejonie.
Zaciemnij ową kropkę wśród zamieci,
Gdzie mu posłanie wieczne pościelono.
Zawiejo, ty, która nad miastem lecisz,
Przysłoń me okno śnieżną swą zasłoną.

I znów, i znów do ciebie mówię, śnieżna
Ty, bezrozumna, niema, pojąć chciej —
Nie będzie mi z nim nigdy dość pożegnań.
Zawsze ich mało jest i coraz mniej.
I oto znów on przy mnie, tuż koło mnie,
A ty zaczekaj. Jeszcze nie, o, nie.
O, nie odnajdziesz go wśród pogrzebionych.
On tylko śpi i ciężko dyszy w śnie.

Nie przebudź go przed czasem. Tyś — starucha,
A on wszak dziecko. Tyś — muzyka, tak, ty,
A on muzycznym obdarzony słuchem,
Potrafi przyszłość wyczuwać przez sny.

7

Nie zdjąwszy butów, płaszcza, spał dzień cały.
Otwarte usta, ot, zmęczony człowiek.
Skronie zapadły się, a posiniały
Te tajemnicze wypukłości powiek.

Zbliżałem się na palcach, bo się bałem.
Bałem się tchnąć na syna, który tak
Z dalekich stron powrócił jak nieśmiały,
Dopiero teraz opierzony ptak.

On wstał. Zaciągnął pas, twarde rzemienie,
Zapewne myślał, kiedy z lekka mnie
Uderzył przyjacielsko po ramieniu:
„Po cóż się trwożyć? Zdążę. Jeszcze nie".

Ostatni wieczór. Już i śmiech prześmiany,
Herbata już wypita, lampa błyska
I milczy syn. Nieznany, nie poznany,
A tak straszliwie bliski. Bliższy wszystkich.
Jakaż to myśl go gnębi? Jak wśród cieni
Ubogi, lampa blask na twarz przemyca,
Że twarz się owa w każdym mgnieniu zmienia.
On patrzy i nie patrzy na rodzica.
I wszystko w nim nie dokochane, nie do
Miłowań pełne. W mózgu jak dzwonienie.
Jak kosy brzęk: „On jedzie, jedzie, jedzie".
Na zegar spójrz i cofnij to spojrzenie.

A nocy tej ja odprowadzam chłopca.
I nie wie syn, i ojciec także nie,
Czy własna tętni w skroniach krew, czy obca.
Wszystko się gubi w rytmie dwojga serc.
I chodzi o to...
Lecz czekaj. O cóż chodzi?
Jam całe życie kochał go. Marzyłem,
Że w moją stronę choć spojrzy ten młody.
Czekałem. Tak. I oto się spóźniłem.

I przerwał syn nie dokończone zdanie:
„Nie odprowadzaj. Lepiej pójdę razem,
Wiesz? Z kolegami. O, ja jestem w stanie
Przenieść się w nowe życie tak od razu.
Tak łatwiej będzie dla mnie i dla ciebie.
Więc zostań, ojcze, zostań." Lecz w bezsile
Ojciec jął błagać. Biło osiem, dziewięć,
Aż o dziesiątej syna uprosiłem.

Ruszyliśmy na dworzec — krokiem takim
Beztroskim, lekkim, jak dawniej bywało.
I tytoń w jego szeleścił plecaku,
Chleb i bielizny zawiniątko małe.
Wypisz, wymaluj; tak to uczeń zdąża
Ze szkoły na wycieczkę w dzionek złoty.
I racja, mógł przysięgnąć mój chorąży,
Że w swym pociągu nie będzie samotny.
Już w metro spotkał on współpodróżników
I razem w piątkę wyszli chorążowie.

Ja byłem szósty.
Tężał ostry wicher.
Dudniły działa. Gdzieś grom przecwałował.
Zdaje się, deszcz pokrapiał. Lecz być może,
Że deszcz jął padać w całkiem inną noc.
Lecz co tam, padał lub nie — cóż pomoże?
Tutaj pomocy żadna nie da moc.

Byliśmy tuż przy sobie i wnet złączył
Mocny, bolesny uścisk nasze dłonie
Na takie długie rozstania miesiące.
Ale czyż mogliśmy znać prawdę o nim.

A tuż, z bliskimi swymi lub bez bliskich,
Trzymając małe wiązanki goździków,
Abiturienci szkół artyleryjskich
Żegnali Moskwę.
A już mrok przenikał
Grubą, żelazną płachtą we framugę
Wejścia na dworzec.
Krzyczały głośniki.
Zaczęto wsiadać.
Już chyba niedługo...
Co? Pół godziny?
I już, synku. Zmykaj.
Cywilów nie wpuszczają. A więc tylko
Uścisnąć się pod niebem i pod deszczem.
Zaczekaj.
Żegnaj.

Zaczekaj choć chwilkę,
Dopóki oddział ten mija nas jeszcze,
I nie wiem, nie, odprowadzając chłopca,
Czyja to krew jak młot łomoce w skroni.
Czyja to krew? Czy własna, czy też obca?

No, jeszcze raz ściśnijmy sobie dłonie.
I tak nieśmiało jakoś uśmiechnięty,
On bardzo długo rękę moją ściska.
I delikatny, pochylony, zgięty,
Coś zwyczajnego szepce o swych bliskich.
O matce, siostrze.
A obok, za progiem,
Czernieje dworzec w błyskach sinych lamp.

A tam, a tam, gdzieś po frontowych drogach,
Wzdłuż rzeczek, przez nie zżęte pola, tam
Poprzez rozdarte, głodne popieliska
Od punktu N. na przełaj pędzi czas.
Cwałuje czas. Nikt z nas go nie odzyska.
Gdy trzeba będzie, sam odnajdzie nas.
Cwałuje czas niebieski, przejmujący,
Unosząc z sobą i słońce, i burzę.
W górze, z chmur szafir poczerniały strąca,
W dole, w błękitach rzecznych się zanurza.
I w blaskach sinych lamp szafirowieje,
Staje się lekki, przejrzysty, odległy
Ten, który całą moją był nadzieją.

A tam, poza nim, tłoczą się koledzy.
Na opalonych, zdrowych twarzach młodych
Rytmicznie drgając lamp odblaski płoną
I lśnią dystynkcje na płaszczów wyłogach.

A między nimi ledwie dostrzeżony
Mój syn jedyny. Mój Wołodia, Wowa.
Jedynak, co przed osiemnastu laty
Pojawił się, odjeżdża. Znika znowu
W żelaznej pustce wojennego świata.

Chce coś powiedzieć jeszcze
i potrząsa
Z daleka czapką.
Lecz go tłum przysłania
I leci noc, i siną lampą pląsa
W ojcowskich oczach.
Ślepa noc rozstania.

8

Cóż łzy! Nad wypaloną deszcz pustynią.
Był deszcz. Łagodnej pory przyszedł kres.
Syn zlecił mi, bym nie żałował syna.
On był żołnierzem i nie chciał widzieć łez.

Żołnierzem? Kłamstwo. To nam nie pomoże
Pojąć stronice zdarte wzdłuż i wszerz.
Kim był mój syn? On był stworzeniem bożym.
Stworzeniem bożym? Nie. To kłamstwo też.

Daleka droga skroś chmury, skroś ściany,
Jedyna droga wiarogodna, wierna.
Już jest obłokiem dziecko me kochane,
W którym dzień każdy jakiś rys zaciera.
Może i rozwiał się w wilgoci, w chłodzie,
W tej nagle z gleby wytryśniętej rosie.
A syn ust nawet nie umoczył w wodzie
I na śmierć szedł, nie chyląc się, po szosie.

Pył trzeszczał, zgrzytał w zębach. Muszka mała
Siadła na skroni, gdy tak szedł bez tchu.
Jaskrawy dzień był i jak w dzieciństwie biały.
Kukułka swoje kukała „ku-ku“.
Co wspomniał wtedy? Co? Jaką melodię?
Czyją twarz? List czyj, z jawy czy ze snu?
Gdy znów ptak głos swój wśród gałęzi podniósł,
Spokojne swoje kukając „ku-ku“.

...Ale jak bardzo zdziwił się tej lepkiej
Krwi buchającej gardłem, jasnej, młodej,
Gdy z tym onieśmielonym swym uśmiechem
Ocknął się nagle gdzieś, jakby pod wodą.

A później, gdy już wygiąwszy swe ciało,
Spokojnie, niby w domu, spał na mchu,
Jeszcze w osieroconym raju drżało
I zapóźnione dzwoniło „ku-ku".
Życie mijało. Mi-ja-ło. I zda się,
Niedługo tylko gościło z wizytą.
I wtem spostrzegło, że wiatr świecę zgasił,
Że dom już pusty. Że szyby wybite.
Że nocą trudno mu się tak przedzierać
Samotnie, poprzez dym zwęglonych chat,
I że niech lepiej w ciszy obumiera
Ten w bujnej trawie rozpostarty kształt.

O, nie kłam przywidzenie.
Cóż tak kłamiesz?
Cóż się chybocesz tak
i wzrok mój nękasz?
Patrz się. Uważnie patrz, zanim się staniesz
Mojego syna przedśmiertelną męką.
I kiedy
rozpaczliwie tak, ochryple,
Zakrzyczał trawę drąc w bolesnym dreszczu,
W gasnącym mózgu mignął mu strzęp myśli
„A jednak żyję.
Jednak żyję jeszcze".

Jak wolno, ciężko, zuchwale, szeroko,
Krwawy po trawie przeczołgał się ślad.
Jak się spotkało z mrącym oko w oko
Całe to życie — osiemnaście lat.

Rwij rany swe, zwidzenie. Nie zapomnij,
Że nie ma innej drogi przez ten świat.
Im bardziej tyś uparte, tym ogromniej
Rośnie tych startych osiemnaście lat.

Tak się więc rozżarz, rozpal do płomienia,
Zetlej na popiół, rozwiej się i rozściel,
I stań się krwią młodego pokolenia,
Miłością ojców i synów miłością.

Nie zblednij. Nie zapadnij w mrocznej toni,
Stań i tą krwawą, zdartą skórą błyskaj.
Cierpienie moje, życie me — do broni.
Wszystko to widzieć, przeżyć, znieść to wszystko.

Wychylił się z okopu. Zapach łanu
Błogim westchnieniem wiatru twarz mu owiał.
I w tym momencie kula zabłąkana
Przeszyła usta ogniem i ołowiem.

On widział wszystko. Wszystko. Nie przeoczył
Wyschłych źdźbeł trawy, którą przegiął płomień.
Ostatni raz błysnęło słonko w oczy.
Żal słonka — lecz już wnet zapomniał o nim.

I wspomniał on, i wspomniał on, i wspomniał...
Przemyślał zapomnienie aż do końca,
I o mym przyszłym smutku myśl, i o mnie,
I pożałował, i zapomniał ojca.

On jeszcze żył pół chwili, może chwilę,
Marząc o życiu, gdy świat w oczach ciemniał.
I runął w zgubę swą gnąc się i chyląc,
I rozstąpiła się mu matka-ziemia.

I do niej przylgnął swym zmęczonym ciałem.
I chciwie, już u kresu ludzkich pojęć,
Szepnął jej nie ustami, ale całym
Istnieniem konającym:
„Matko moja".

9

Ty będziesz długo żyć jak kret w popiołach.
Nie dzień, nie rok, nie lata — wieki całe.

Dopóki wyschłe oko widzieć zdoła,
Dopóki ręka sucha, strupieszała
Ostatniej strofy kreślić nie ukończy —
Wpatruj się w jego rysy ukochane.
Nie syn dziedzicem jest, a właśnie — ojciec.
Taka jest miejsc i kolejności zmiana.

Żałobę dzielisz z całą Moskwą. W oknach
Ni lampy, ni kaganka. Ale mgła
Od tylu łez, chłodu i słot przemokła
Osłoni cię i pomoc tobie da.
Cóż wspomni ona? Szyny, szyny, szyny,
Przelatujące słupy, drogowskazy,
Tułacze, których wiatr w szarugę zwinął,
Szrapnelu gwizd i losu zgiełk żelazny.
Tak. A więc zemsta? Zemsta. Tak wypada,
Ażeby serce syna śmierć przerosło.
Niech się to serce wedrze w kanonadę,
Bo przecież bywa takie serc rzemiosło.

I jeśli w chmurach jest to niebo wojny,
I jeśli wiosna nad ziemią się mai,
Na ziemi wiecznie będziemy we dwoje —
Ten syn, ten ojciec, którzy snu nie znają.

O, nie masz, nie masz na samotny smutek,
Na tę tęsknotę samodzielną prawa.
Gdyby ryzykując ostatnim atutem,
Jak broń do skroni pragniesz ją przystawić,
Pokusom nie ulegnij. Czyż to środek
Na uzdrowienie młodości zmiażdżonej?
Nie szuka syn miękkości ni wygody
I innych synów zwie na bój miliony.
I w walce, w walce tej niezwyciężeni,
Synowie innych, tak jak twój, najdrożsi,
Idą, by tamtych, pierwszych, w walce zmienić
W imię prawd wielkich i wielkich miłości.

10

Sumienie me, żegnaj. O! żegnaj me słońce,
Syneczku mój miły. Ty moja młodości.
I niech pożegnaniem tym moim się kończy
Opowieść o głuchej jak noc samotności.

A ty w niej zostajesz. Ty sam. Odgrodzony
Od światła, powietrza, w tej męce ostatniej,
Zapomnę, że żyłeś, zapomnę, żeś skonał —
I tak w osiemnastych zastygniesz swych latach.

O, jak są dalekie, dzielące nas drogi
Co wiodą przez lata, przez wieki i poprzez
Zatoki traw rzecznych, nadbrzeżne rozłogi,
Gdzie czaszkę strzaskaną posuchy pył okrył.

Już żegnaj. Pociągi ze stron tych nie biegną.
Już żegnaj. Nie leci samolot w te strony.
Już żegnaj. Nie będzie wszak cudu żadnego,
A sny tylko śniąc się topnieją — stracone.

I śnię, że jest twego dzieciństwa poranek.
Że mały, szczęśliwy nóżkami bosymi
Przebiega po ziemi, gdzie śpią pogrzebani.

Tu na tym się kończy opowieść o Synu.

PRZEŁOŻYŁ TADEUSZ ZELENAY

ANNA SEGHERS

SCHRONIENIE

Pewnego wrześniowego dnia 1940 roku, kiedy na placu Zgody w Paryżu powiewała olbrzymia, ozdobiona swastyką flaga, największa ze wszystkich wywieszonych w okupowanych przez Niemcy krajach, kiedy kolejki przed sklepami ciągnęły się przez całe ulice, Ludwika Meunier, żona tokarza, matka trojga dzieci, dowiedziała się, że w jednym ze sklepów czternastego okręgu wydają jajka.

Po godzinnym oczekiwaniu dostała pięć jajek, po jednym na każdego członka rodziny. Wychodząc ze sklepu przypomniała sobie, że w pobliżu mieszka jej szkolna przyjaciółka, Anna Villard, służąca w hotelu.

Ludwika zastała przyjaciółkę bardzo zdenerwowaną, jakkolwiek była zazwyczaj opanowana. Opowiedziała Ludwice, że gestapowcy zaaresztowali poprzedniego dnia jednego z lokatorów, który uchodził w hotelu za Alzatczyka, lecz jak się potem okazało, kilka lat temu uciekł z niemieckiego obozu koncentracyjnego. Lokatora — opowiadała Anna myjąc okno — zawieziono do Santé, stamtąd wkrótce wyślą go do Niemiec, a tam prawdopodobnie rozstrzelają. Jednak bardziej niż o lokatora — ostatecznie mężczyzna jest mężczyzną, a wojna wojną — martwi się o los chłopca, syna aresztowanego. Dzieciak ma dwanaście lat, mieszkał razem z ojcem, uczęszczał do szkoły i mówi po francusku jak prawdziwy Francuz. Matka jego umarła. Nikt nie wie, z czego utrzymywali się ojciec i syn, to zresztą nigdy nie wiadomo u tych cudzoziemców. Gdy chłopiec po powrocie ze szkoły dowiedział się o aresztowaniu ojca, nie uronił ani jednej łzy. Lecz kiedy oficer-gestapowiec kazał mu zbierać manatki i nazajutrz przygotować się do wyjazdu do Niemiec, oświadczył, że woli rzucić się pod pociąg, niż wrócić do krewnych. Oficer wrzasnął, że nikt go nie pyta o to, czy chce wrócić, czy nie. To jest zadecydowane. Pytają go tylko o to, czy woli pojechać do krewnych, czy do domu poprawczego? Chłopiec miał zaufanie do Anny. W nocy opowiedział jej o wszystkim i prosił o pomoc. Rano odprowadziła go do małej kawiarenki, z której właścicielem była w przyjaznych stosun-

kach. Teraz chłopiec siedzi tam i czeka na nią. Sądziła, że uda jej się bez trudu umieścić gdzieś sierotę, lecz nikt nie chce wziąć go do siebie. Strach ogarnął wszystkich. Jej tchórzliwa gospodyni jest oburzona ucieczką chłopca.

Ludwika wysłuchała w milczeniu opowiadania Anny, w końcu rzekła:

— Chciałabym zobaczyć tego chłopca.

Anna dała jej adres kawiarni i poprosiła, by przyjaciółka zaniosła tam chłopcu bieliznę.

Właściciel kawiarni, któremu Ludwika pokazała kartkę od Anny, zaprowadził ją do sali bilardowej, zazwyczaj zamkniętej przed południem. Przy oknie siedział chłopiec i wyglądał na dwór. Był tego samego wzrostu, co jej starszy syn, i prawie tak samo ubrany. W całej jego postaci nie było nic rzucającego się w oczy, co by mogło zdradzić w nim cudzoziemca.

Ludwika oddała chłopcu bieliznę. Nie podziękował, obrzucił ją tylko badawczym spojrzeniem.

Dotychczas Ludwika była matką, jak wszystkie inne matki; wystawała w kolejkach, usiłowała z niczego zrobić coś na obiad, a z czegoś tworzyła niemal cuda. Brała do domu robotę, mimo że własne gospodarstwo kosztowało ją dużo wysiłku. Jednak na widok chłopca od razu postanowiła dopomóc mu i powiedziała, jakby to było zupełnie naturalne:

— Przyjdź dziś o siódmej wieczorem do kawiarenki Briard koło Rynku Centralnego — po czym pośpiesznie wyszła.

Przygotowanie najskromniejszego bodaj obiadu ze skąpo przydzielanych racji żywnościowych wymagało dużo czasu. Mąż był już w domu. Pierwszy rok wojny spędził na linii Maginota; zdemobilizował się trzy tygodnie temu, a od kilku dni znów rozpoczął pracę w fabryce. Pracował tylko pół dnia; resztę wolnego czasu spędzał przeważnie w małej knajpce. Wrócił do domu zły, gdyż wydał ostatnie pieniądze.

Wzburzona Ludwika nie zwróciła uwagi na wyraz twarzy męża. Krzątając się przy kuchni zaczęła opowiadać mu o chłopcu, chcąc wzbudzić w nim współczucie. Gdy mąż usłyszał, że chłopiec uciekł z hotelu i szuka schronienia u Francuzów, przerwał jej gniewnie:

— Twoja Anna jest po prostu idiotka. Toż to szaleństwo pomagać takiemu chłopakowi! Trzeba go zamknąć! Niechno to szwabisko, jego ojczulek, sam głowi się nad tym, jak nawiązać kontakt z rodakami. Nie pomyślał o dziecku! Niestety, nie ma na to rady; niech gestapowiec zabiera chłopaka do domu!

Żona szybko zmieniła temat rozmowy. Dopiero teraz zrozumiała, jak

bardzo opuścił się jej mąż. Dawniej brał udział w każdym strajku, w każdej demonstracji, a 14 lipca zachowywał się tak, jakby był gotów pójść zdobywać na nowo Bastylię. A teraz upokorzył się i był uległy. Ona miała inny charakter; nie poddawała się! Tyle miała kłopotów, a teraz jeszcze myślała wciąż o czekającym na nią chłopcu.

Wieczorem poszła do kawiarenki przy Rynku Centralnym.

— Dopiero jutro będę mogła zabrać cię do siebie — oświadczyła chłopcu.

— Proszę mnie nie brać, jeśli pani się boi — odparł chłopak, patrząc na nią badawczo.

Ludwika zauważyła, że musi przeczekać tylko jeden dzień. Z trudem namówiła właściciela kawiarenki, by pozwolił chłopcu, którego przedstawiła jako swego krewnego, spędzić tam jeszcze jedną noc. Prośba taka nie była dziwna, gdyż w Paryżu było mnóstwo uciekinierów.

Rano powiedziała do męża:

— Spotkałam kuzynkę Alicję. Mąż jej jest w Potivière, w szpitalu dla jeńców wojennych. Chce pojechać do niego na kilka dni i prosi, abyśmy przez ten czas zaopiekowali się jej synkiem.

Mąż nie znosił obcych osób w domu, toteż odpowiedział:

— Uważaj tylko, żeby się to nie przeciągnęło!

Wieczorem przygotowując dla chłopca posłanie, Ludwika zapytała go:

— Właściwie dlaczego nie chcesz wrócić do domu?

— Proszę mnie nie brać, jeśli pani się boi — powtórzył chłopiec. — Do krewnych nie pojadę. Matkę i ojca zaaresztował Hitler. Pisali ulotki i kolportowali je po mieście. Widzi pani, mam wybity przedni ząb: wybili mi go chłopcy w szkole, kiedy odmówiłem śpiewania faszystowskich pieśni. Moi krewni też są faszyści; zamęczają mnie, wymyślają tatusiowi i mamusi.

Ludwika poradziła chłopcu, by nie mówił o tym ani jej mężowi, ani dzieciom i sąsiadom.

Dzieci ustosunkowały się do przybysza obojętnie; unikał wszystkich i nie śmiał się nigdy. Mąż od pierwszego wejrzenia poczuł do niego niechęć: — Jest jakiś dziwnie ponury! — krzyczał na żonę widząc, że oddaje chłopcu swoje porcje; wymyślał kuzynce: — To bezczelność, podrzucić dziecko cudzej rodzinie! — Niezadowolenie swoje zaopatrywał zazwyczaj komentarzami w rodzaju: — Wojna przegrana, to fakt. Niemcy okupują kraj, też niezbity fakt. Niestety, nic się nie da zrobić...

Pewnego razu chłopiec stłukł garnek z mlekiem i Meunier pobił go za to. Gdy mąż wyszedł, Ludwika chciała pocieszyć chłopca, lecz ten odrzekł:

— To nic. Mimo to wolę być tutaj, niż tam...

Któregoś dnia Meunier powiedział do żony:

— Tak chętnie zjadłbym kawałek dobrego sera. Już zapomnieliśmy, jaki ma smak.

Wieczorem tegoż dnia wrócił do domu podniecony:

— Wyobraź sobie, co widziałem! Olbrzymi niemiecki wóz ciężarowy, do samej góry załadowany serami. Biorą, co im się żywnie podoba. Drukują na swoich maszynach miliony i skupują, co zechcą!

Po upływie kilku tygodni Ludwika znów poszła odwiedzić Annę. Przyjaciółka nie ucieszyła się z jej wizyty i dała do zrozumienia, że nie powinna nawet pokazywać się w tej dzielnicy. Gestapowcy dowiedzieli się, w jakiej kawiarni ukrywał się chłopiec, dowiedzieli się również, że przychodziła do niego jakaś kobieta, a potem wyszli — każde z osobna — o różnych porach.

W drodze powrotnej Ludwika zastanawiała się nad sytuacją, w jaką wplątała siebie i rodzinę. Coraz bardziej utwierdzała się jednak w przekonaniu, że idąc za pierwszym impulsem postąpiła słusznie. Kolejki przed nielicznymi otwartymi jeszcze sklepami, spuszczone żaluzje w pozostałych, klaksony niemieckich samochodów mknących bulwarami, swastyki na bramach domów wzburzyły ją tak silnie, że po powrocie do domu odruchowo pogłaskała chłopca po głowie. Lecz mąż ofuknął ją:

— Cóż to, rzucił na ciebie czary, czy co?

Meunier wywierał na chłopcu całą nagromadzoną w nim złość; wszelkie nadzieje prysły, w przyszłości zapowiadało się bezrobocie i niewola. Chłopiec był nieufny, małomówny i nie dawał powodów do bicia, lecz Meunier bił go i bez powodów twierdząc, że dzieciak ma harde spojrzenie.

Wkrótce Meunier był zmuszony wyrzec się jedynej swojej przyjemności: uczęszczania do knajpki. Na końcu ulicy, na której mieściła się owa knajpa, była kuźnia. Niemcy wyrugowali jej właściciela i założyli własny warsztat samochodowy. Cicha i spokojna dawniej uliczka zaroiła się teraz od nazistów. Gromadziły się tu wymagające naprawy samochody, a żołnierze niemieccy obrali sobie pobliską knajpę na miejsce spotkań. Tego Meunier nie mógł znieść. Żona zastawała go często siedzącego z opartą na rękach głową, w ponurym milczeniu. Pewnego razu zagadnęła go, o czym myśli.

— Wyobraź sobie — odpowiedział — wciąż myślę o tym Niemcu, o którym opowiadała ci kiedyś Anna. O Niemcu, który był przeciwnikiem Hitlera i którego aresztowali gestapowcy. Chciałbym wiedzieć, co się stało z nim i jego synem.

— Niedawno spotkałam Annę — powiedziała Ludwika. — Mówiła mi, że Niemca prawdopodobnie rozstrzelano, a chłopiec gdzieś znikł. Przecież Paryż jest wielki. Może znalazł sobie gdzie schronienie.

Nikt spośród robotników nie chciał pić piwa w towarzystwie Niemców. Przyjaciele Meuniera zbierali się u niego w kuchni i przynosili piwo z sobą. Tu można było pomówić o tym, co naziści wyprawiali w Paryżu. W fabryce, w której pracował Meunier, zaszły zmiany. Właściciel przedsiębiorstwa oddał swój gabinet do dyspozycji niemieckiego komisarza, ten zaś zachowywał się jak u siebie w domu. Rzeczoznawcy niemieccy badali jakość wytwarzanych przez fabrykę wyrobów, które następnie zabierali. Skonfiskowane wyroby Niemcy posyłali na wschód, aby niszczyć inne narody. A tu? Obniżka płac, zakaz strajków...

Ludwika Meunier zamykała okiennice i wszyscy mówili półgłosem. Obcy chłopiec spuszczał oczy, jakby się bojąc, że może zdradzić spojrzeniem, co się dzieje w jego sercu... Ostatnio był tak blady i chudy, że Meunier obawiał się, czy nie zachorował i czy nie zarazi dzieci.

Wówczas Ludwika napisała list w imieniu kuzynki. Kuzynka rzekomo prosiła Ludwikę, by zatrzymała chłopca jeszcze przez pewien czas, gdyż mąż jej jest bardzo chory i ona nie może go zostawić.

— Co za bezczelność! — zrzędził Meunier po odczytaniu mu listu przez żonę.

Ludwika natomiast unosiła się nad chłopcem: jest przecież posłuszny, codziennie wstaje o czwartej rano i chodzi na rynek, a dzisiaj zdobył nawet kawałek wołowego mięsa bez kartek.

W sąsiedztwie rodziny Meunier mieszkały dwie siostry. Były to nikczemne kobiety. Często odwiedzały knajpę i piły tam z niemieckimi mechanikami. Niemcy często nocowali u nich i czuli się panami podwórza, na które wychodziły okna mieszkania Meunier.

Meuniera i jego przyjaciół ogarnęła rozpacz. Niemiecki „nowy ład" napełniał ich coraz większym rozgoryczeniem. Niemieckie porządki wykoleiły ich, zniszczyły życie w fabryce i w domu, ukradły im małe i wielkie radości, dobrobyt, spokój, honor, wyżywienie i powietrze.

Pewnego razu, gdy Meunier został sam z żoną, wybuchnął po długim milczeniu:

— Teraz zagarnęli całą władzę! — wołał z oburzeniem. — Lecz znajdą się, tak, znajdą się silniejsi od nich! Cóż my... Jak tylko otwieramy usta, zabijają nas! Pamiętasz tego Niemca, o którym opowiadała ci Anna? Pewnie zapomniałaś o nim, ale ja pamiętam! To był odważny człowiek! A jego syn? Tacy ludzie zasługują na największy szacunek! Ty się niańczysz z synem kuzynki, a mnie ten chłopak zupełnie nie wzru-

sza. Otóż wziąłbym do siebie syna tamtego Niemca, kochałbym go więcej niż własne dzieci i żywiłbym go do syta. Takim chłopcem warto by się zaopiekować. A ci bandyci niechby się tu szwendali nie podejrzewając nawet, kim jestem i kogo ukrywam u siebie! Takiego chłopca chętnie wziąłbym do siebie!

— Już go wziąłeś — odrzekła Ludwika.

PRZEŁOŻYŁA NINA KALISZOWA

SABACHATTIN ALI

AJRAN[1]

Na drodze prowadzącej do stacji topnieje śnieg, błoto sięga kolan, blado połyskują szare, brudne kałuże. Pola jednak lśnią w słońcu nieskalaną bielą.

Mały Hasan idzie w olbrzymich, podkutych gwoździami butach włożonych na bose nogi. Buty są z tyłu przydeptane i bose pięty brną w błocie. Chłopiec trzyma w ręku ciężki, mosiężny dzban, wypełniony po brzegi ajranem. Dzban uderza go w kolana przy każdym kroku, co chwila wymyka mu się z rąk i chłopiec stawia na ziemię cynowy kubek, aby go lepiej uchwycić.

Hasan ma przed sobą dwie godziny drogi. Drogę tę przemierza codziennie, zimą i latem, ale dziś wydaje mu się ona szczególnie długa. Mała, sucha wierzba, stojąca akurat w połowie odległości do stacji, słabo rysuje się gdzieś we mgle.

Chłopiec nie myśli ani o swych dwóch braciszkach, czekających jego powrotu, ani o matce, która pracuje na wsi oddalonej o cztery godziny drogi. Nie myśli również, czy uda mu się sprzedać ajran. Głowę jego zaprząta jedna, jedyna myśl: trzeba będzie wracać tą samą drogą do domu. Chłopiec ciężko wzdycha, wyciera nos grzbietem dłoni, w której zaciśnięty jest kubek. Potem spostrzega, że stacja jest już blisko.

Ponury gmach stoi samotnie w dolinie, okolonej nagimi wzgórzami. Obnażone z liści gałęzie akacji czynią budynek jeszcze bardziej ponurym.

Dwa razy dziennie przechodzi tędy pociąg i po kilkuminutowym postoju, jak gdyby zdziwiony, że przystanął w takim pustkowiu, daje sygnał i rusza dalej.

Hasan odpoczął chwilę i wyszedł na peron. Między budynkiem stacyjnym a torami siedziało na workach dwóch chłopów. Opierając się o ścianę stał skulony żandarm. Prócz nich na stacji nie było nikogo.

[1] *Ajran* — napój z kwaśnego mleka rozcieńczonego wodą.

Na wielkich stacjach jest zawsze pełno handlarzy z owocami, lemoniadą, szaszłykiem. Tutaj tylko latem kilku chłopów przynosiło winogrona, dynie i arbuzy, zimą zaś prócz małego Hasana i starego kulawego chłopa, który sprzedawał gruszki, nie było nikogo. Dziś nie było nawet starego chłopa z gruszkami. Hasan postawił swój dzban na wilgotnej ziemi i w zadumie patrzył na szyny. Dzień w dzień lokomotywa przywoziła nie wiadomo skąd setki ludzi i wiozła ich dalej nie wiadomo dokąd, tymi nieskończenie długimi szynami.

Na dźwięk ostrego gwizdu Hasan drgnął. Pociąg dawał o sobie znać. Lokomotywa przyciągnęła skład wagonów i zatrzymała się. Mały chwycił dzban i kubek i pobiegł wzdłuż wagonów. — Ajran, ajran — wołał patrząc w okna. — Świeży, dobry ajran. — Latem wołał — zimny jak lód — ale teraz, w ten zimowy dzień, na samą myśl o ajranie robiło się zimno i nikt nie patrzył nawet w stronę chłopca.

Prawie wszystkie okna były pozamykane; stało przy nich kilka kobiet w wełnianych bluzkach, z włosami farbowanymi henną. Chłopiec wypatrywał uważnie, czy kto nie zechce wypić ajranu z jego cynowego kubka. Już trzy razy przebiegł wzdłuż pociągu. Ostry brzeg dzbana boleśnie uderzał go po chudych nogach. Krzywiąc się z bólu wykrzykiwał: — Ajran! Świeży, dobry ajran!

Żeby sprzedać choć cztery szklanki. Otrzymałby za nie dziesięć piastrów. Wówczas mógłby kupić razowy chleb. Nagle jak gdyby w blasku błyskawicy dojrzał dwoje głodnych dzieci, czekających na niego niecierpliwie.

— Ajran, świeży, dobry ajran!

Matka pracuje na wsi jako służąca, przychodzi do domu raz na tydzień. Przynosi z sobą kilka placków, trochę cebuli, a czasem trochę soku z winogron. Ale nie starczy tego, nawet na dwa dni, dla trzech głodnych żołądków. Troska o nakarmienie małych braciszków w ciągu pozostałych dni ciąży całkowicie na Hasanie. Jeden z malców ma dwa lata, drugi pięć. Są to rachityczne, słabe dzieci. Codziennie Hasan musi chować ajran, żeby wygłodniali chłopcy nie wypili go. I codziennie odchodzi na stację w obawie, że podczas jego nieobecności bracia zjedzą starą kozę, która gnieździ się z nimi w chacie i tak jak oni cierpi głód.

Ileż to razy wracał do domu z chlebem pod pachą i podczas gdy nalewał ajran do glinianej miski, widział z przerażeniem, że ciężki jak glina chleb już znikł. Wypijał wówczas trochę ajranu, nie zwracając uwagi na lekki ból brzucha (przywykł już do głodu).

Nie przerażały go jednak żołądki braci, które jak studnie nigdy nie zapełniały się i pochłaniały wszystko, co się dało. Do rozpaczy dopro-

wadzały go ich błyszczące, pełne nienawiści oczy, obserwujące go, gdy wracał do domu z pustymi rękami. I przypomniawszy sobie teraz te oczy, Hasan poczuł przerażenie i znów zaczął głośno wołać:

— Ajran!... Ajran!...

Nagle w jednym wagonie opuszczono szybę. Wysunęła się głowa na długiej szyi: — A no, nalej mi kubeczek.

Chłopiec podał mu kubek drżącą ręką. Człowiek pił drobnymi łykami i rzadki ajran ściekał z jego wąsów na koszulę.

— Nalej jeszcze jeden kubek.

Gdy wypił, rzucił chłopcu monetę dziesięciopiastrową. — Daj mi reszty pięć piastrów — powiedział.

— Kiedy nie mam reszty — odparł Hasan oglądając się.

Dokoła nie było nikogo prócz zawiadowcy stacji, który z wtuloną w ramiona głową czekał na odejście pociągu. Chłopiec odstawił dzban i podbiegł do zawiadowcy.

— Wujku, zmień mi dziesięć piastrów na dwie monety.

Zawiadowca nie raczył nawet odpowiedzieć i uderzył w dzwon.

— Daj no monetę — zawołał człowiek w oknie.

Chłopiec oddał mu pieniądze. Pociąg powoli ruszył. Człowiek wsunął pieniądze do kieszonki: — Co robić, nie mam pięciu piastrów. — Wagon oddalił się już o kilka kroków, gdy człowiek wysunął się z okna i zawołał:

— Hej, chłopcze, wybacz mi.

Hasan mruknął coś, potem podniósł dzban i poszedł do budynku stacyjnego. Usiadł tam koło ściany, chroniącej go od śniegu. Nie mógł wrócić do domu z pustymi rękami, postanowił więc zaczekać na wieczorny pociąg. Pocierał skostniałe ręce i drapał się w głowę. Jego niebieskie oczy łzawiły od wiatru.

Tak przesiedział do wieczora. Czasami wstawał, rozcierał rękami kolana, potem znów siadał, przymykał oczy, pogrążając się w pustkę, która była dla niego wypoczynkiem. Kilka razy przypomniał sobie matkę. Jak gdyby widział przed sobą jej zalaną łzami twarz. Dziwną litość odczuwał dla tej kobiety, która zmuszona była pozostawić swoje dzieci i ciężko pracować w innej wsi za nędzny kawałek chleba. Gdy biedna kobieta przychodziła do domu, te dwie głodne istoty witały ją takimi samymi, pełnymi nienawiści oczami. Matka gotowała zupę z pszenicy, potem usiłowała doprowadzić chatę do porządku. Pozostawała w domu do wieczora i odchodziła bez słowa. Hasan nigdy od niej nie słyszał czegokolwiek o ojcu lub o jakimś krewnym.

Prawdę mówiąc, odkąd pamięcią sięgał, nigdy o tym nie myślał. Wydawało mu się, że celem i treścią jego życia jest sprzedawanie ajranu na stacji i żywienie swoich małych braci. I dlatego dręczyła go jedna okropna myśl: co będzie, jeżeli pewnego dnia matka przyjdzie do domu, położy się na kilka dni i bez czyjejkolwiek pomocy urodzi w mękach jeszcze jedno dziecko? Potem odejdzie po upływie dziesięciu dni do pracy i pozostawi dziecko na jego opiece... Wówczas zmuszony będzie karmić jeszcze i tego nieproszonego gościa.

Chłopi nie wiadomo dlaczego unikają ich. Hasan nie pamięta, żeby ktokolwiek do nich przychodził. Koza daje coraz mniej mleka, życie staje się coraz cięższe i Hasan musi toczyć ciężką walkę o życie.

Latem jest trochę lżej. Kiedy z rana wychodzi z domu, jest jeszcze zupełnie chłodno. Przychodzi na stację nie odczuwając zmęczenia i natychmiast sprzedaje całą zawartość dzbana. Najwięcej cieszy go myśl, że będzie wracał z pustym dzbanem. Jeżeli nie udaje mu się sprzedać ajranu z rana, czeka do wieczora, ale bardzo często już w obiad dzban jest pusty. Przybywający na stację chłopi kupują ajran.

Wieczorny pociąg przychodzi o wpół do czwartej i latem Hasan wraca do wsi jeszcze za dnia. Ale teraz już na pół godziny przed nadejściem pociągu zapada głęboki zmrok. Na myśl o tym, jak zimno i strasznie będzie wracać do domu, Hasan zadrżał i chciał już wyruszyć, ale w tej chwili wyszedł zawiadowca i chłopiec zrozumiał, że zbliża się pociąg.

Pociąg stał bardzo krótko.

— Ajran, świeży ajran! — wołał Hasan.

Biegł wzdłuż pociągu zaglądając w zamknięte okna. Za mętnymi szybami migały niewyraźne zarysy ludzi. Śnieg dostawał się do ust, mokra ziemia klaskała pod olbrzymimi butami.

Gdy jasne kwadraty okien oddalającego się pociągu zaczęły skakać po kałużach, chłopiec zabrał dzban i powlókł się do domu. Oczy jego nie przyzwyczaiły się jeszcze do ciemności. Ajran w dzbanie dziwnie bulgotał przy każdym kroku. Ciało przenikała chłodna wilgoć. Nie myślał o niczym, szedł jak zwierzę, instynktem wyczuwając drogę. W miarę jak oddalał się od stacji, do bulgotania w dzbanie i człapania butów dołączyły się jeszcze jakieś dźwięki. W oddali wyły jakieś zwierzęta.

Hasan zadygotał jeszcze mocniej z przerażenia. Usiłował iść szybciej, lecz nogi odmawiały mu posłuszeństwa. Dzban uderzał boleśnie w obolałe kolana. Bał się ciemności, bał się wiatru, bał się błota i rozlegającego się wycia wilków. Zapomniał o głodzie, o zmęczeniu, zapomniał o oczach swych małych braciszków. Pragnął tylko jak najprędzej do-

stać się do domu, zaszyć się w kąt izby oświetlonej tlącym na kominie węglem. Byleby siedzieć w czterech ścianach i uciec od tej strasznej ciemności, od tego wycia...

Buty ugrzęzły w błocie; Hasan biegł dalej boso, wymachując dzbanem. Ajran wylewał mu się, bryzgał w twarz, oblewał odzież. Ze strachu szczękał zębami, z gardła wydzierał mu się krzyk przerażenia.

Minął już stojącą w połowie drogi suchą wierzbę. Otworzył szeroko oczy i patrzył w ciemność, jak gdyby chciał przebić ją wzrokiem. Ale nie widział nic. Nocą, nawet podczas pogody, światła wsi można było spostrzec dopiero, gdy podchodziło się zupełnie blisko, i chłopcu wydawało się, że nigdy nie dobiegnie do domu. Ogarnęło go dzikie, bezgraniczne przerażenie, był jak zwierzę, które zrozumiało, że nie umknie śmierci. Cisnął przed siebie dzban i kubek i biegł dalej krzycząc z całej siły. Lecz głos jego rozpływał się w ciemności.

Czasem w krzyku tym słychać było „mama, mama", czasem zaś tylko „a-a-ach a... aaaaa".

Wycie wilków to ginęło w śniegu, to znów rozlegało się wyraźnie gdzieś zupełnie blisko. Hasan nie miał już sił. Strach jak ściana otoczył go ze wszystkich stron. Rzadkie błoto ciężko chlupotało przy każdym kroku jego bosych nóg i ten dźwięk popędzał chłopca jak bicz, potęgował jego strach. Zabrakło mu tchu. Chciał spojrzeć przed siebie, przetarł oczy i nagle upadł. Potem podniósł się, zrobił kilka kroków i znów upadł. Z gardła jego wydzierały się dzikie krzyki.

Wilki zbliżały się powoli, krążyły dokoła niego i ich wycie zagłuszało krzyk chłopca. Leżał skulony. Śnieg zasypywał go, a on wciąż jeszcze szeptał szczękając zębami: — Mamo, mamusiu, mamo.

W tym samym czasie w domu, w odległości kilkuset metrów, czekali na niego dwaj mali bracia. Ogarnięci tym samym dzikim przerażeniem, tulili się do siebie nasłuchując świstu wiatru i wycia wilków, krążących dokoła wsi, i głośno płakali.

PRZEŁOŻYŁA MARIA GERO

SABACHATTIN ALI

Sabachattin Ali (1907—1948), demokratyczny pisarz turecki, rozpoczął pracę literacką w r. 1927. Ma w swoim dorobku tom wierszy *Góry i wiatr* (1934), kilka tomów powieści, dramat *Niewolnicy*. Sławę dały mu opowiadania (ostatni tom *Nowy świat)*, przedstawiające z wielką prawdą nędzę i warunki społeczne wsi tureckiej. Twórczość nowelistyczna Sabachattina Alego wniosła zupełnie nowy temat do literatury tureckiej i stanowi wstrząsające oskarżenie polityczne. Walkę ideową prowadził pisarz także w publicystyce, m. in. jako wydawca i redaktor pisma humorystycznego Marko-Pasza. Po zamknięciu wydawnictwa Sabachattin Ali usiłował prowadzić je dalej pod przejrzystym tytułem Zmarły Marko-Pasza.

Twórczość, poświęcona walce o wolność ludu tureckiego, naraziła pisarza na ciężkie prześladowania ze strony faszystowskiego rządu tureckiego. Sabachattin Ali stawał wielokrotnie przed sądem i był karany więzieniem, jego książki palono w egzekucjach publicznych. W marcu 1948 r. wytoczono mu ostatni proces, o podjęcie wydawnictwa Zmarły Marko-Pasza. Pisarz, wypuszczony na wolność, poniósł śmierć, w kwietniu 1948 r., z ręki skrytobójczej agenta policji tureckiej.

Opowiadanie *Ajran*, które ogłaszamy za pośrednictwem przekładu rosyjskiego (Библиотека Огонёк, 1950, nr 32, z przedmową Wł. Gordlewskiego), jest dokumentem walki o nową Turcję, której służyło pisarstwo Sabachattina Alego.

K R O N I K A

PIĄTY ZJAZD MŁODZIEŻY POLONISTYCZNEJ

Obrady piątego zjazdu młodzieży polonistycznej we Wrocławiu (18—23 marca 1951 r.), poświęcone tematowi *Mickiewicz — Słowacki — Romantyzm*, były dalszym etapem na drodze walki o postępową metodę badania literatury. Dowiodły one, że cała aktywna naukowo młodzież polonistyczna posługuje się i potrafi się posługiwać metodą marksistowską. Wyniki zjazdu mają zresztą znaczenie szersze: stanowią krok naprzód w rozwoju marksistowskiej wiedzy o literaturze w Polsce.

Wszystkie referaty zjazdowe cechowało systematyczne burzenie koncepcji burżuazyjnej historiografii, która ten okres w naszej literaturze zafałszowała chyba najdokładniej. Po ukazaniu w pozytywnych sformułowaniach rewolucyjnych treści polskiego romantyzmu stał się zarazem jasny sens polityczny tego zafałszowania; oczywiste, że było ono zawsze większe, głębsze tam, gdzie chodziło o ukrycie najbardziej „niebezpiecznych“, postępowych ideowo i artystycznie treści.

Potrafiono jednocześnie wykorzystać osiągnięcia tradycyjnej nauki o literaturze wszędzie tam, gdzie stanowi ona trwałe osiągnięcia (niektóre tezy Kleinera, Pigonia), w dziedzinie wiadomości materiałowych. Czerpano również owocnie z istniejących prac postępowych, zbliżających się do koncepcji marksistowskich i marksistowskich (Kubacki, Wyka, Żółkiewski), choć posunięto oczywiście dużo dalej problematykę badawczą.

Leżąca u podstaw wszystkich referatów teza estetyki marksistowskiej, ukazująca rozwój sztuki jako walkę o realizm, pozwoliła przedstawić literaturę polskiego romantyzmu w dynamicznym rozwoju, stworzyła podstawy dla nowej periodyzacji okresu, wiązała dzieło z rzeczywistością społeczną. W badaniach posługiwano się leninowską tezą dwunurtowości zjawisk literackich, korzystano z osiągnięć ostatnich prac Józefa Stalina o językoznawstwie i z dyskusji estetycznej.

Omawiając wyniki zjazdu (oczywiście tylko szkicowo, ze względu na rozmiar sprawozdania), będę uwzględniał zdobycze dyskusyjne i przede wszystkim podsumowanie obrad przez Stefana Żółkiewskiego, który uogólnił i wyciągnął wnioski periodyzacyjne, jak również wnioski dotyczące nowej koncepcji polskiego romantyzmu.

W nowym świetle ukazała się literatura lat poprzedzających wystąpienie romantyków, uwydatnił się zróżnicowany charakter cechujących ją tendencji. I tak referat *Poprzednicy romantycznego przełomu* (Janusz M a c i e j e w s k i, Zbigniew Ż a b i c k i) wyodrębniał tutaj tendencje postępowe, jak np. poezję legionową (Andrzej Brodziński, Wincenty Reklewski, Kanterbury Tymowski, Cyprian Godebski), powieść sentymentalną, cechującą się jednak przesunięciem konfliktów społecznych w dziedzinę przeżyć erotycznych. Jednocześnie istnieje nurt wstecznego romanty-

zmu wczesnego (powieść Mostowskiej), który ucieka do feudalizmu, rezygnuje z racjonalistycznych poglądów, wyraża pogardę dla człowieka. Ballada gloryfikuje feudalizm. Jak wykazała dyskusja, przeceniono jednak rolę sentymentalizmu w tym okresie; jego postępowość jest bardzo ograniczona, jak również postępowość poezji legionowej (np. przez jej obawę przed kapitalizmem). Nie docenione natomiast zostało niewątpliwie bardziej postępowe na pewnym etapie stanowisko Brodzińskiego (*Wiesław*).

Trzeba jednak powiedzieć, że w stosunku do tradycyjnych badaczy (Szyjkowski, Wojciechowski) rozszerzono problematykę w kierunku interpretacji marksistowskiej. Zasadniczo nie wyznaczone pozostało stanowisko Niemcewicza w tym czasie. Wykazano jednak z dostateczną siłą wagę wystąpienia Mickiewicza, przesuwając jednocześnie tradycje, z jakich czerpał, do sentymentalizmu XVIII w. (Kniaźnin), do sentymentalizmu sternowskiego, a nie do bardzo ograniczonego ideowo sentymentalizmu XIX w.

Z początkiem lat dwudziestych rozpoczyna się pierwszy podokres romantyzmu, lata przełomu romantycznego. Politycznie rzecz biorąc jest to okres walki o rewolucję szlachecką, w literaturze zaś odpowiada mu etap kształtowania postaci szlacheckiego rewolucjonisty.

Teza estetyki marksistowskiej — mówiąca, że dzieło sztuki jest jednocześnie przez swoją ideologię orężem walki politycznej, że należy częściowo lub całkowicie do nadbudowy — pozwoliła na klasową, polityczną interpretację sporów literackich okresu, na społeczną interpretację walki romantyków z klasykami.

Referat *Walka romantyków z klasykami* (Mateusz Dziewisz, Stanisław Kaszyński, Zenona Macużanka, Zofia Szprokoff) wykazał, że walka romantyków z klasykami w istocie maskowała ścieranie się obozu szlacheckiej rewolucji z obozem liberałów, przechodzących w tych latach na tory wstecznego i serwilistycznego procarskiego monarchizmu (np. Osiński, Koźmian, Mostowski). Posunięta już daleko w referatach zjazdowych umiejętność estetycznej i ideologicznej analizy dzieła literackiego, przy uwzględnieniu całej złożoności zjawiska literackiego, pozwoliła np. na ciekawą interpretację *Barbary Radziwiłłówny* jako wstecznego, idącego na ugodę z caratem manifestu reakcyjnego. Ta ocena dramatu posuwa dalej badania w stosunku do istniejących już, postępowych (Kazimierz Budzyk) prób rewizji tradycyjnej interpretacji.

Ukazując społeczny charakter przełomu romantycznego polemizowano z kosmopolitycznym stanowiskiem zacieśnienia go do wpływów Goethego, Byrona czy psychologistycznego ujmowania przeżyć miłosnych.

Zobaczyliśmy jasno, jak pozycja społeczna pisarza warunkuje wybór formy, typu estetycznego utworu: np. wsteczna rola poematu opisowego (Koźmian) czy będąca odzwierciedleniem świadomości mas ludowych postępowa forma wyrażania rzeczywistości w balladzie (Mickiewicz).

W osobnym referacie omówiono działalność Maurycego Mochnackiego (Sławomir Krzemień, *Maurycy Mochnacki jako krytyk i teoretyk wczesnego romantyzmu polskiego*). Zostały zarysowane granice, do jakich doszedł ten najbardziej konsekwentny i postępowy ideolog rewolucji szlacheckiej. Referent dokonał próby periodyzacji twórczości Mochnackiego, widząc szczytowy punkt jego działalności w publicystyce okresu powstania listopadowego.

O mickiewiczowskiej krytyce konwencji literackiej klasycyzmu mówił referat *O przedmowie do „Ballad i romansów“* (Sławomir Rogowski). Poglądy este-

tyczne Mickiewicza, jak to zostało udowodnione, nie są tylko odbiciem lektury filozofów i estetyków; decydująca dla nich jest istniejąca sytuacja ideologiczna. Są one czynnikiem uzasadniającym i kształtującym twórczość poety.

Zyskaliśmy nowe spojrzenie na wczesną twórczość Mickiewicza (np. interpretacja wiersza *Romantyczność*, gdzie poprzez analizę odmian tekstu doszedł autor referatu do koncepcji ludowego charakteru wiersza, negując zarazem przypisywany mu charakter ataku na racjonalizm). Bardzo cenne było porównanie *Ballad i romansów* z satyrą Szubrawców. Gdy satyry Wiadomości Brukowych mając dosadniejszy charakter nie naruszają jednak konwencji klasowego myślenia, to *Ballady* zbliżały się do pozycji wyzyskiwanego chłopa. To twierdzenie pozwoliła wysunąć interpretacja roli masek-upiorów, zjaw w balladzie. Traktując je jako odpowiednik ideologiczny stanowiska mas ludowych, które nie dojrzały jeszcze do rewolucji, usuwamy zarazem tradycyjny mit o rzekomym irracjonalizmie mickiewiczowskiej ballady i powrocie do średniowiecznych wierzeń.

Inne cechy estetyki Mickiewicza, wyznaczającej rewolucyjny program literatury romantycznej w tym okresie, to — według określenia referatu — normatywizm dialektyczny (zrozumienie uwarunkowania sztuki przez życie, prawo rozwoju społecznego). Na tle nowatorskich sformułowań referatu S. Rogowskiego uwydatniła się cała bezsilność tradycyjnych sądów o estetyce Mickiewicza (Życzyński). Dalsza dynamika rozwoju poglądów estetycznych Mickiewicza — to przezwyciężenie sprzeczności przedmowy do *Ballad i romansów* w rozprawie *O krytykach i recenzentach warszawskich* i w trzeciej części Dziadów („Salon warszawski").

Literacka rewolucja, jaką przyniosła twórczość Mickiewicza, nie była jednak wyosobniona z kontekstu zachodzących równocześnie na tej samej bazie społecznej zjawisk literackich — z całokształtu elementów wczesnej postępowej literatury romantycznej. Ten kontekst ukazywał referat *Postępowe oblicze wczesnego romantyzmu* (Hanna Kirchner, Ryszard Przybylski, Jan Siekiera). Szczególnie wyraziście i silnie uwydatniono znaczenie twórczości Goszczyńskiego (*Zamek Kaniowski*). Obraz ludu — i to ludu podczas buntu — świadczy o głęboko realistycznej postawie Goszczyńskiego.

Na tym tle nie wystąpiły może niektóre rewolucyjne pierwiastki w twórczości Mickiewicza. Referenci mówili słusznie o pewnym skrzywieniu realistycznego obrazu w balladzie, pochodzącym z niedojrzałości mas ludowych (protest wyrażający się przez maskę w baśni ludowej, co podkreślał zresztą S. Rogowski), nie docenili jednak np. drugiej części *Dziadów*, gdzie występują, choć w nieco zaszyfrowanej formie, oznaki dojrzewającego buntu (chór ptaków drapieżnych jest jakąś transpozycją chóru ludowego, niejako drugim chórem; obserwujemy w dramacie pełne nienawiści klasowej wystąpienia zamęczonych przez okrutnego pana). Natomiast w bardzo ciekawy sposób wydobyto poprawki i kolejne redakcje tekstu. Pierwotnie kierujący obrzędem Ksiądz został w drugiej redakcji zamieniony przez Mickiewicza na Guślarza. Jak wiadomo, w świetle szczegółowych badań, obrzęd Dziadów był prowadzony przez starca z ludu, a nie przez księdza. Zarazem pogłębia to sens klasowy dramatu.

Tutaj trzeba podkreślić to, co szczególnie wyraźnie wystąpiło w czasie czytania kolejnych referatów: kwestię interpretacji ideologicznej odmian tekstu. Tak więc praca nad jego ustaleniem, ustaleniem ważności poszczególnych wariantów, przestaje być li tylko pracą filologiczną, oderwaną od problematyki ideowej utworu;

przy ocenie ideologicznej dzieła cenne, a często niezmiernie ważne staje się badanie rękopisu.

Problematykę wczesnej twórczości romantycznej również na powieść rozszerzał referat *Romans historyczny wczesnego romantyzmu* (Ryszard Koniczek, Teresa Polakówna, Wanda Wiewióra).

Pierwszy etap periodyzacyjny kończy się wybuchem powstania listopadowego, „rewolucji konserwatywnej" — według określenia Engelsa. Podokres następny będzie się charakteryzował krytyką ograniczonej, dekabrystowskiej rewolucji, rewolucji szlacheckiej. Przed tym jednak okresem, wyprzedzając go, znajduje się mickiewiczowska krytyka dekabryzmu — *Konrad Wallenrod.*

Z powstaniem listopadowym kończy się postępowa działalność szlacheckich rewolucjonistów (Mochnacki), a rozpoczyna proces krytyki i dojrzewania do koncepcji rewolucji ludowej (Mickiewicz — *Historia Przyszłości*).

Ukazanie literatury romantycznej jako walki o coraz wyższy stopień realizmu, pogłębiającego się wraz z rozszerzaniem się horyzontów społeczno-politycznych pisarza, znajduje potwierdzenie w literaturze tych lat. Na marginesie należy dodać, że — nie wiadomo dlaczego — referentom i dyskusji wymknęła się (!) *Dziadów* część trzecia, która nie mieściła się w ramach referatów omawiających poszczególne zagadnienia twórczości Mickiewicza.

Referat o *Panu Tadeuszu* (Krystyna Leśniewska, Marek Pieczyński, Alina Witkowska) postawił w odniesieniu do tego utworu problem trwałych wartości w dziele literackim. Cenną zdobyczą jest teza o ludowym (materialistycznym) widzeniu rzeczywistości w poemacie. To warunkuje realizm utworu, trochę tylko zamącony sprawą „idei napoleońskiej".

Jako utwór realistyczny, mimo wstecznej pozycji ideologicznej autora, przedstawiona została *Nieboska Komedia (Próba interpretacji „Nieboskiej Komedii"* — Antonina Bartoszewicz, Teresa Skubalanka, Maria Kędzierska, Barbara Weberówna). Nienawiść do rewolucji, przy całym zrozumieniu jej nieuchronności, ustawiała Krasińskiego jak soczewkę skupiającą realistycznie zagadnienia. Ze względów klasowych jednak odbywa się charakterystyczne załamanie obrazu, spłycające nieco realizm utworu, ukazanie rewolucji w krzywym zwierciadle, ukazanie negatywnych cech w postaci bohatera rewolucji (Pankracy). Te cechy negatywne są zresztą w pewnej mierze uwarunkowane i realizmem utworu. Chodzi mianowicie o drugą tezę referatu: rewolucja, o jakiej mówi Krasiński, jest rewolucją burżuazyjno-demokratyczną. To tłumaczy oderwanie bohatera rewolucji od mas (Pankracy, Bianchetti), wykorzystanie mas jako siły napędowej rewolucji. Wydaje się jednak, że tkwią gdzieś w dramacie głębsze pokłady, wyczucie pewnej samodzielności czy nadchodzącej samodzielności mas (dość często głos oddany wyzyskiwanym, odgłos plebejskich, proletariackich rozruchów liońskich). Jednocześnie, jak podkreślał w dyskusji Jan Kott, wystąpiła i tutaj sprawa trwałych wartości w dziele sztuki. Zaszedł charakterystyczny proces eliminacji pewnych, klasowo ograniczonych, niewątpliwie jeszcze do feudalnej nadbudowy należących poglądów autora *Nieboskiej.* Obecnie czytamy ten utwór wbrew ideologii Krasińskiego, widząc jego wartość w pierwiastkach realistycznych, w patosie rewolucyjnym. Tak właśnie kiedyś interpretował *Nieboską Komedię* Edward Dembowski.

Sprawą w pewnym sensie osobną, do której wciąż powracano w toku obrad zjazdowych, to zagadnienie realizmu w literaturze romantycznej. Wydaje się, że określenie realizmu literatury romantycznej było bardziej precyzyjne przy analizie

poszczególnych utworów, w sformułowaniach szczegółowych; natomiast wnioski uogólniające nie wyszły chyba poza stadium płynności. I tak próbowano wyróżnić linię realizmu, nie będącą przejściem do wyższego etapu (*Pan Tadeusz*), gdzie spotykamy różne rodzaje realizmu, realizm stanowiący przejście do realizmu krytycznego (*Fantazy*?). Oczywiście, nie chodzi tutaj o stosowanie do każdego z tych „realizmów" innej metody badania, lecz o możliwie pełną definicję i określenie charakteru realizmu w utworach literatury romantycznej. Ważne to zagadnienie niewątpliwie ustali się na podstawie syntezy badań szczegółowych.

Okres lat 1830—1840 jest okresem krytyki rewolucji dekabrystowskiej i dojrzewania na emigracji nowych koncepcji społeczno-politycznych w określonych ugrupowaniach. Rozpoczynają się kontakty z krajem. Tutaj zjazd wysunął kwestię będącą naczelnym problemem dla naukowego postawienia zagadnienia emigracji i literatury emigracyjnej (zwłaszcza w wypowiedzi dyskusyjnej Kazimierza Wyki). Dotychczasowe literaturoznawstwo traktowało pisarzy emigracyjnych w jakiejś wielkiej pustce, odrywając ich od kraju. Tymczasem właśnie życie krajowe jest czynnikiem dynamizującym naszą emigrację, jest sprawdzianem syntez politycznych i społecznych przez nią wypracowanych. Rytm życia kraju warunkuje rytm życia emigracji.

Konsekwencją niedocenienia roli kraju było w tradycyjnym literaturoznawstwie zaniedbanie badań nad literaturą krajową oraz oderwanie od klasowej, społecznej i politycznej sytuacji w kraju twórczości romantyków-emigrantów. Trzeba powiedzieć, że zjazd uczynił stanowczo za mało w kierunku naprawienia tego błędu. Uwidoczniło się to w programie, uwzględniającym tylko jedną pracę o literaturze krajowej (*Poganka* Narcyzy Żmichowskiej), jak również w nie dość jeszcze silnym powiązaniu twórczości emigracyjnej z rytmem przemian krajowych.

Ostatni wreszcie podokres polskiego romantyzmu to lata 1840—1850. Cechuje go różnorodność zajmowanych stanowisk: występują tutaj epigoni (Zmorski), zwolennicy tendencji burżuazyjno-demokratycznych (Libelt), powstają wreszcie tendencje radykalne (Dembowski, Ściegienny, Związek Plebejuszy Stefańskiego), na emigracji najlepsi również przechodzą na pozycje rewolucyjnego demokratyzmu (Mickiewicz).

Referat o *Fantazym* (Jerzy Skórnicki) obrazował proces kończącej się krytyki „dekabrysty" (Waldemar Hawryłowicz) i ukazywał ludowego rewolucjonistę na czele chłopów z kosami (Jan). Rozprawiono się ze spłycającym społeczną wymowę utworu biografizmem. Próbowano podjąć zagadnienie wzniesienia się realizmu w literaturze romantycznej na wyższy stopień, na przykładzie omawianego utworu znaleźć jego przejście do realizmu krytycznego (ukazanie Jana od strony obyczajowej; rzecz kończy się *kleinbürgerlich*, według określenia referatu). Sprawy te są jednak bardzo skomplikowane; raczej jednak zamazanie postaci Jana, czystej od strony politycznej, przypisać należy brakowi szerszych perspektyw rewolucyjnych u Słowackiego w tym okresie.

Słuszna była polemika z przypisywaną *Fantazemu* stylistyczną konwencją barokową. Wykazano, że chodzi jedynie o indywidualizację mowy (Fantazy, Idalia), pełniącej tutaj rolę krytyki barokowej konwencji. Można mówić tylko o jakichś miejscowych skażeniach barokiem, wskutek drobnych niekonsekwencji artystycznych.

Referat o *Horsztyńskim* (*O Horsztyńskim. Próba postawienia problematyki* — Leszek Cyrzyk, Władysław Pieczonka, Edward Pochroń, Edmund Woj-

narowski) pokazywał dramat Słowackiego jako splot dwu historyzmów (rewolucja 1794 r. posłużyła do uwypuklenia rewolucji konserwatywnej 1830 r.). W dramacie występuje problem krytyki władz kierowniczych rewolucji, wykorzystujących lud. Referenci dostrzegli, że Słowacki w celu wydobycia istotnego sensu historii zmienia w poemacie okoliczności sądu nad Kossakowskim, przesuwając siłę karzącą z Jasińskiego — na lud. Ukazanie ludu jako motorycznej siły historii stanowi o realizmie utworu. Przez dramat przebiega jednak linia sprzeczności ideologicznych. Krytyka górnych warstw szlacheckich, arystokracji, nie rozciąga się już na średnią szlachtę. Apologia średniej szlachty stanowi wsteczny czynnik w utworze.

Jednak zawartości ideowe (m. in. krystalizowanie się bohatera pozytywnego — Nieznajomy) pozwalają postawić *Horsztyńskiego* obok *Fantazego*, jako utwór głęboko realistyczny.

Ostatnim utworem, poprzedzającym mistyczny okres w życiu Słowackiego, jest *Złota Czaszka* (referat Wiesławy Ottówny, *Złota Czaszka*). W referacie i dyskusji (w szczególności cenna wypowiedź Kazimierza Wyki) podkreślono, że przejście poety do mistycyzmu było konsekwencją ewolucji wstecznej, zaznaczającej się już w okresie pisania *Złotej Czaszki*. Uwstecznienie się poglądów społeczno-politycznych warunkowało zatem cofanie się linii realizmu.

W tym oświetleniu, jakie wydobyła dyskusja, towianizm i mistyka przestały być odzwierciedleniem czystego i cudownego „zrozumienia prawdy" czy ulegania wpływowi wizjonera, a nabrały właściwego oblicza, sprowadzając się do uwarunkowań społecznych. Tak więc — jeśli uznajemy okres romantyzmu za konsekwentny rozwój tendencji realistycznych, idących w parze z narastaniem rewolucji szlacheckiej, następnie z jej krytyką, a później z krytyką ograniczeń rewolucji burżuazyjno-demokratycznej, na drodze do rewolucyjnego demokratyzmu — towianizm i mistycyzm okazują się zamąceniem, zakłóceniem właściwej linii rozwojowej. Tego rodzaju interpretacja burzy do końca mit romantyzmu dążącego do mistyki jako swego szczytu.

Do całej twórczości Słowackiego nawiązywał referat *Z zagadnień realizmu w twórczości Słowackiego (postać bohatera typowego)* Tomasza Weissa.

Jedyny referat o literaturze krajowej, *„Poganka" Narcyzy Żmichowskiej* (Maria Olszaniecka), wyraźnie wychodził poza cenne w swoim czasie studium Boya, rozszerzając problematykę powieści poza ramy biografizmu, widząc w *Pogance* typową problematykę okresu. Autorka referatu zorientowała społecznie krytykę rzeczywistości w *Pogance*, dostrzegając w niej ostrze antyfeudalne i antykapitalistyczne. Ustawiając jednak Żmichowską jako nie umiejącą znaleźć wyjścia ze szlacheckiego zaułka, być może nie docenia się jej konkretnych związków z życiem rewolucyjnym.

Ostatni podokres, a zarazem cały okres romantyzmu, zamyka mickiewiczowska działalność w czasie wiosny ludów i przede wszystkim jego publicystyka w Trybunie Ludów. Badając tę problematykę (*Publicystyka Mickiewicza w „Trybunie Ludów"* — Stanisław Kuszewski, Henryk Olszewski, Jacek Trznadel) udowodniono rzuconą przez historiografię radziecką tezę o Mickiewiczu jako rewolucyjnym demokracie. Analiza poglądów filozoficznych i estetycznych poety na ostatnim etapie jego twórczości mówi, że są one jeszcze pełniejszym, konsekwentniejszym pogłębieniem tych cech, niż „normatywizm dialektyczny", ludowe, materialistyczne widzenie rzeczywistości (referaty o przedmowie do *Ballad i ro-*

mansów i o *Panu Tadeuszu*). W Trybunie Ludów zauważamy elementy żywiołowego materializmu i dialektyki, zrozumienie społecznego, klasowego charakteru sztuki.

Należy jeszcze nadmienić o referacie studentów Państwowej Wyższej Szkoły Pedagogicznej (*Nowy program literatury romantyzmu w szkole średniej na tle programu minionego dwudziestolecia* — Leokadia Banaszkiewicz, Władysław Pietruczuk), który wiązał niejako obrady zjazdu z praktyką pedagogiczną ukazując, jak zafałszowanie koncepcji romantyzmu służyło konkretnym celom politycznym, faszyzacji młodzieży w reżimie sanacyjnym. Referat wskazywał również na braki obecnego programu (np. brak w lekturze *Zamku Kaniowskiego*!).

Zjazd młodzieży polonistycznej nie był jedynie osiągnięciem naukowym, lub „naukowym" w tradycyjnym znaczeniu tego słowa, w jakimś sensie oderwanym od życia politycznego i zadań ideowych. Przyswojenie narodowi postępowej tradycji literackiej, a szczególnie płomiennego patosu rewolucyjnego polskich romantyków, jest dziełem walki o oblicze tradycji kulturalnej narodu i jego poziom kulturalny. Dlatego też wszelkie wysiłki nad realizacją tego zadania są walką o postęp na drodze, jaką wytknęło VI Plenum Partii: Pokój, Plan 6-letni, Socjalizm.

Jacek Trznadel

FREDRO NA NOWO

Zdawało się nam niekiedy, że spadek świetnego komediopisarza stanie się bardzo kłopotliwy, nie wytrzyma próby czasu. Komedie Fredry, ocalające w czarodziejskiej bani poezji rozkładający się świat szlachecki, nie przysłużyły się w ówczesnej epoce sprawie postępu. „Mówicie, że giniemy — zdawał się mówić komediopisarz — a patrzcie, jacy jesteśmy zdrowi i weseli". Było to namaszczanie wonnym balsamem mumifikującej się klasy i przeciwstawienie jej żywym. Stąd też wynikł atak Goszczyńskiego i Dembowskiego. Z tego powodu zachwycali się nim: hrabia Tarnowski, Kucharski, Chrzanowski.

Fredro jednakże przeszedł ponad epokami. Szedł co prawda przystrojony niekiedy w zabawne szaty błazna lub wieszcza. Przyjmując go ponownie na scenę należało przede wszystkim zatroszczyć się o zdjęcie tych szmat. Jeszcze przed rokiem 1939 Boy żelazną ręką eskulapa niemało zrobił w tej dziedzinie. Jasnym się stało, że Fredrę można ocalić tylko wówczas, gdy się go pokaże prawdziwym.

Dlaczego nie wolno Fredry fałszować? Dlaczego Fredro ocalał? Co daje robotniczej widowni hrabia galicyjski?

O trwałości komedii Fredry zadecydował przede wszystkim realizm, no i talent — zjawisko ogromnie złożone i nie przedyskutowane do końca. Z zastosowania metody realistycznej wynikała zamierzona i mimowolna krytyka szlacheckiego i mieszczańskiego otoczenia. Konserwatywna komedia Fredry, będąca świadectwem postawy społeczno-politycznej jego klasy, owa „góra śmiechu", którą zastawiano się przed naporem rzeczywistości, z chwilą wyginięcia tej klasy przestała być bronią ideologiczną. W nowym układzie sił społecznych pozostała jedynie strona obyczajowa tej komedii, ośmieszająca spadkobiercę manier magnackich, burżuazję. W ten sposób odczytał komedię widz dzisiejszy. Na to pozwolił mu sam autor. Wielką zasługą Fredry, właśnie wynikającą z jego pewności klasowej, było to, że swych bohaterów ukazał bez maski. Komedie jego posiadają jakąś idealną przejrzystość. I dlatego nie wolno fałszować Fredry, nie wolno zapychać gratami jego niewielkiego wnętrza.

Do tych elementów trwałych dochodzi jeszcze jeden bardzo ważny: język. Zwrócił na to uwagę Jan Kott w recenzji ze *Ślubów panieńskich* (Trybuna Ludu, 15 III 1951). Kott pisze: „Narodowość Fredry to przede wszystkim jego wiersz, jego język: konkretny, ścisły, nasycony jakimś zadziwiającym bogactwem ludowych powiedzeń, porzekadeł, porównań, przy całym swoim artyzmie będący czystym językiem mówionym..."

To wszystko zadecydowało o nieprzemijających wartościach Fredry. Pozostała sprawa realizacji jego utworów. Ogólnie prowadzono ją po linii odfałszowania autora. Tą szczęśliwą drogą poszła również wrocławska Scena Kameralna, dając 25 stycznia 1951 r. premierę *Ślubów panieńskich*, tej jednej z najbardziej uroczych komedii. Boy-Żeleński pisze: „Oglądać *Śluby panieńskie* na scenie jest zawsze rozkoszą; wiele musieliby dołożyć starań aktorzy, aby tę rozkosz zamącić...“

Rzecz dzieje się na wsi, w dworku pani Dobrójskiej. Pani Dobrójska i Radost postanowili połączyć stułą ręce Anieli i Gustawa, aby w ten sposób połączyć ich majątki, a właściwie majątek pani Dobrójskiej i stryja Radosta, bo Gucio jest gołysz. W tym zmodyfikowanym nieco środowisku feudalno-patriarchalnych stosunków rozpoczynają młodzi zdobywać to, co im już dawno przeznaczono. Miało to w oczach Fredry świadczyć o tym, że przecież rodzice nie są tacy nieżyczliwi, i to, co wybiorą dla grzecznych dzieci, warte jest tego wyboru! Gucio w *Ślubach panieńskich* sprawia trochę wrażenie furiata, który wywala dziurę w ścianie, aby się dostać do wnętrza domu, którego drzwi są na oścież otwarte. Zresztą wszyscy młodzi są owładnięci złudnym uczuciem jakiejś samodzielności (oprócz Albina). Kiedy jednak dochodzi do momentu, w którym należałoby z samodzielności skorzystać, wszystko okazuje się fikcją. „Samodzielna“ Klara, skoro dowie się z ust Anieli, że będzie z woli ojca żoną Radosta, woła:

Otóż nie będę! Otóż się nie boję!
Ma ojciec wolę, ja mam także moję.
Nie boję się! Nie!
(w płacz)
Cóż ja teraz zrobię?...
Jak raz mój ojciec co ułoży sobie,
To wszystko na nic, to ratunku nie ma!

Oto i po swobodzie. Zakreślonego koła feudalno-patriarchalnego nie wolno przekroczyć. Czyż Klara nie sprawia wrażenia młodego źrebaka, który uwiązany do kołka, biegnie swobodnie, dopóki lina się nie wypręży, a szarpnięte stworzenie nie padnie pyskiem w piasek? Ponad wszystkimi bowiem poczynaniami bohaterów *Ślubów panieńskich* można rozpostrzeć napis:

...gdzie dwie rodzin związku sobie życzy,
Związku się w końcu spodziewać wypada.

(Gustaw, akt I, sc. 4)

Gucio ma wiele zdrowego rozsądku, kiedy broni się przed nałożeniem na szyję jarzma feudalnej miłości. Bywa ona najczęściej obuta w ciepłe pantofle, otulona podgrzanym szlafrokiem, zaplątana w koronki i drobne intrygi. Co prawda, jego protest jest swoisty: są to nocne eskapady przez okno, powroty o świcie z głową ciężką od wina i miłostek. Gucio na pewno nie jest samotny. „Pod Złotą Papugą“ zjeżdża się więcej złotej młodzieży, dla której od dzieciństwa wyznaczono żony i majątki. I to jest właśnie świetna, wewnętrznoklasowa krytyka Fredry. Komediopisarz z dobrego serca dał Guciowi Anielę, a przecież mógł dać chociażby... Klarę. Toż to ona cieszyła się w scenie 4 aktu III z możliwości małżeństwa z Guciem:

Oto to! Oto mi radość!
Toż będę dręczyć i męczyć bez miary!
O, panie Guciu, będziesz ty miał zadość!

Zmieniłaby się wówczas i sytuacja w zakończeniu. To Albin szepnąłby do ucha Guciowi: „Każ się podkuć, bracie“, koniu boży, na ciężką harówkę w małżeństwie z kobietą-jaszczurką, kobietą-iskrą.

Wrocławskie *Śluby panieńskie* miały, ogólnie biorąc, dobrych wykonawców. Ze szczególną przyjemnością patrzyliśmy na Radosta (Władysława Staszewskiego) i Anielę (Marię Kozierską). Stryjaszek Radost, bezkrytycznie zakochany w Gustawie, wybuchający krótkotrwałym gniewem, który szybko przeradza się w jeszcze większą miłość, był chyba jedną z najprawdziwszych postaci Fredrowskich, oglądanych na scenach po wojnie. Widząc go zabiegającego dla Gucia o rękę Anieli mimo woli stawało się przed pytaniem: dlaczego stara się o to z takim poświęceniem? Czy czasem sąd o jego zamożności nie był troszeczkę bezpodstawny? czy stryjaszek nie liczył na wioseczki pani Dobrójskiej? Bo przecież wiemy, że nie prowadził życia anachorety. Często musiał Guciowi zatykać usta, aby ten nie wypaplał jego grzechów. A takie grzeszki bardzo przecież rujnują finanse. Jeszcze i teraz nie obce są Radostowi dreszczyki namiętności. Kiedy pani Dobrójska, żywiąca stary sentyment dla Radosta, wyzna znacząco, że „lepiej mało niż za wiele czucia“, Radost ucałuje gorąco jej rękę i powie: „Ach, mościa dobrodziejko!“ Staszewski zagrał tę scenkę doskonale.

Maria Kozierska (Aniela) odtworzyła naprawdę przekonywająco rolę sentymentalnej panny z dworku, nie posiadającej wiedzy o świecie, pozbawionej doświadczenia społecznego. Jest to urocze, ale przecież mdłe kobieciątko, które musi się kochać, aby istnieć. Przeraża ją zakaz miłości. Czyni śluby wbrew swojej woli (i to świetnie oddała Kozierska) tylko dlatego, że nie kochając jeszcze mężczyzny, boi się utracić miłość Klary. Bo kiedy Aniela zakocha się w Gustawie, „puści w trąbę“ Klarę. Kozierska w bardzo subtelnej grze ukazała nam proces budzenia się miłości w sentymentalnym serduszku owej pannicy. Nie jest to łatwe; o wiele łatwiejsza jest Klara i dlatego recenzenci (Kott, *Fredro coraz prawdziwszy*, Trybuna Ludu, 15 III 1951; Jerzy Pomianowski, *Fredro od tyłu i przodu*, Nowa Kultura, nr 13/51) może trochę przesadzili w pochwałach Barbary Krafftówny (Klary). Boy w *Obrachunkach fredrowskich* pisze: „Rola Anieli, tej amoureusy z polskiego dworku, jest osobliwie trudna do zagrania. Aniela jest to najbardziej urocze wcielenie „woli bożej“, jakie kiedykolwiek dreptało na dwóch łapkach w literaturze polskiej; rola niewinno-zmysłowa, harfa kobiecości grająca za samym zbliżeniem męskiej dłoni... Czegóż bo nie ma w tej roli: i duma dziewicza i tak drażniący erotycznie takt doskonale wychowanej panny, bierność hurysy, wdzięk, marzenie, poezja i to polskie cielątko wreszcie, którego rasa rozpleniła się później tak szczęśliwie“...

Klara w *Ślubach panieńskich* przoduje w nienawiści do mężczyzn. To ona jest organizatorką groźnego związku, który ma poniżyć i podeptać ich serca. Nie dziwmy się temu, toż przecież Klara stoi całe boże lata pod rynną łez Albina. Obok Albina widzimy Gustawa, który po nocnych bibach zasypia najbezczelniej w fotelu, w obecności pani Dobrójskiej i panien. Ten drugi okaz męski również nie bardzo zachęca do szacunku i miłości. Nic też dziwnego, że rozlega się mrożąca krew w żyłach przysięga:

Przyrzekam na kobiety stałość niewzruszoną
Nienawidzić ród męski, nigdy nie być żoną.

Reżyser Maria Wiercińska zrobiła ze sceny przysięgi dziewcząt prawdziwe arcydziełko. Widać było wyraźnie, gdzie pęknie ogniwo tego związku. Zanim to

jednak miało nastąpić, wydawało się, że nad głowami mężczyzn zawisła ciemna chmura. Ale wnet przejaśnił ją łagodny uśmiech doświadczonej kobiety, pani Dobrójskiej. Kiedy Radost wspomina o tajnych ślubach Anieli i Klary, pani Dobrójska mówi:

Dziecinne zamiary,
O których nie chcę wiedzieć, domyślam się ledwie!
— — — — — — — — — —
Na cóż więc zbijać myśli, co się zmienić muszą?
(akt II, sc. 1)

Klara, którą tekst charakteryzuje raz jako jaszczurkę, to znów jako iskrę („Klara nie może rozmawiać spokojnie, lada dmuchnięcie tę iskrę roznieci" — mówi pani Dobrójska), w wykonaniu Barbary Krafftówny wniosła wiele żywiołowej radości, buntu i przekory, lecz uczyniła to zbyt nerwowo. Odczuwało się brak cieniowania tekstu. Bo przecież chyba z pewną goryczą należało wypowiedzieć niektóre partie skierowane do Albina, chociażby w scenie 9 aktu II („Daj Boże, aby raz jeden wypadł kłębek z dłoni" itd.). Były to jednak drobne usterki, które utalentowana aktorka niewątpliwie przezwycięży.

Stanisław Bugajski (Gustaw) nie zawsze dorównał wspomnianej trójce aktorów. Szczególnie słabo wypadł w I akcie. Rozporządzał jakąś ograniczoną ilością ruchów, które niekiedy były szablonowe (np. podejście do okna z uniesieniem się na palcach, aby dalej widzieć, opieranie się o kolumny w pozycji sentymentalnego kochanka). Również niezbyt czysto wymawiał tekst. Jednakże zwolna się rozegrał i w scenie pisania listu (przecież trudnej) był już pełnowartościowym partnerem Anieli.

Igor Przegrodzki (Albin) „odwodnił" swego bohatera i to mu wyszło na korzyść. Dotychczas, gdziekolwiek oglądaliśmy Albina, wyobrażaliśmy sobie, że takiego beksę można wpuścić jedynie na scenę... skanalizowaną. To była przecież nieszczęśliwa, zakochana chmura deszczowa. Wrocławski Albin gotów był umrzeć z rozpaczy i umrzeć z radości, ale nie był tak skory do łez. I był z tym śmieszniejszy. Nie denerwował nas, lecz bawił.

Można by przedyskutować ustawienie epizodycznej postaci Jana. Dobrze się stało, że Janowi ogolono wąsy i brodę, zdjęto garb lat. Ale czy nie nazbyt go usamodzielniono, wyemancypowano? Taki swobodny sługa, od którego — odnosiło się wrażenie — Gucio uczy się manier i szelmostw, nie wiem, czy trzymałby się klamki pańskiej. Patrząc na Gucia i Jana, w ogóle dziwimy się, dlaczego nie chodzą razem do gospody „Pod Złotą Papugą".

Julia Elsner (Pani Dobrójska) nie miała poważnej roli. Tę, którą otrzymała, odtworzyła bez zarzutu, bardzo prawdziwie.

Sumując wszystko, mamy prawo powiedzieć, że wrocławskie *Śluby panieńskie* należały do dobrych przedstawień. Wygrano tutaj walkę o prawdziwego Fredrę, nie uroniono nic z jego bogactwa języka narodowego. Osiągnięcia te należą do całego zespołu. Specjalne uznanie należy się reżyserowi, Marii Wiercińskiej. Właśnie w jej koncepcji *Ślubom panieńskim* wrócono świeżość, pogodę, humor i barwność. To prawda, że komedia ta należy do najświetniejszych w naszym dorobku komediowym. Śmiejemy się nawet przy lekturze tekstu. Ale teatr te walory podkreśla lub zaciera. Genialny aktor i reżyser, K. S. Stanisławski, w artykule pt. *Praca aktora nad rolą* (Rocznik Moskiewskiego Artystycznego Teatru, rok

1948, t. I) tak pisze: „Literacki utwór dramaturga, sztuka, chociaż stanowi ukończony utwór poety, nie stanowi jednak ukończonego utworu teatralnego, dopóki nie otrzyma swego scenicznego ucieleśnienia przy pomocy artystów, swego żywego, scenicznego kształtu, bo po to jest właśnie stworzona. Tak jak nuty i partytura nie są jeszcze muzyką, tak napisana sztuka nie jest jeszcze spektaklem".

Wrocławska realizacja tekstu *Ślubów panieńskich* była dobrym spektaklem.

Tymoteusz Karpowicz

„JAK WAM SIĘ PODOBA" SZEKSPIRA NA SCENIE WROCŁAWSKIEJ

„Szekspir w naszych teatrach — to kłamstwo od początku do końca". To zdanie, wypowiedziane w r. 1936 przez jednego z koryfeuszów naszej sceny, Stefana Jaracza, warto dziś przypomnieć dla konfrontacji. Pozwoli to spojrzeć z perspektywy historycznej na pracę teatru wrocławskiego. Wystawiona przezeń niedawno (3 marca 1951) komedia Szekspira *Jak wam się podoba* jest niewątpliwie poważnym sukcesem na drodze do realizmu na scenie.

Przedstawienie zasługuje na uwagę przede wszystkim z dwóch względów: jako wyraz właściwego potraktowania zagadnień repertuaru i jako próba przełamania dotychczasowych metod realizacji scenicznej. Oba te czynniki mają decydujące znaczenie w walce o nowego widza.

Wybór sztuki Szekspira — i to właśnie tej, która stoi na pograniczu dwóch okresów jego twórczości — to nie przypadek. To przejaw świadomego dążenia do ukazania jak najszerszym masom szczytowych osiągnięć postępowej myśli ludzkiej. Szczególnie bogata pod tym względem jest epoka odrodzenia, „która wymagała olbrzymów i olbrzymów zrodziła". W jej rozmachu, w jej żywiołowej potędze, rwącej pęta feudalizmu, w jej głębokim humanizmie tkwią wartości nieprzemijające, dostrzegane i przez burżuazyjnych historyków kultury, ale szczególnie bliskie nam, uczestniczącym w tworzeniu nowego życia. Ukazanie tych wartości na tle klasowego ograniczenia epoki, która przecież niosła tylko nową formę ucisku i nie mogła w pełni zrealizować postulatów humanizmu, to zadanie dzisiejszego teatru. Wyzwalanie najszlachetniejszych uczuć, wiary w człowieka, poprzez ukazanie prawdy o epoce, w której wystąpiły one najsilniej, to dzisiejsza funkcja społeczna sztuk Szekspira.

Konsekwencją sceniczną takiego ujęcia jest dążenie do wydobycia z widowiska maksimum realizmu. W jakim stopniu osiągnął to teatr wrocławski?

Reżyser Edmund Wierciński potraktował szekspirowski świat zwaśnionych lordów, despotycznych władców, świat mądrych błaznów, ubogich pasterzy, dzielnych i wykształconych kobiet jako artystyczne odbicie otaczającej poetę rzeczywistości, jako złożony i wielopłaszczyznowy obraz Anglii elżbietańskiej. Takie ujęcie pozwoliło ujawnić całe bogactwo sztuki, która obok owej radosnej, młodzieńczej wesołości, entuzjastycznej apoteozy nowego, wymarzonego świata zawiera jednocześnie przebłyski krytycznego spojrzenia. Bystre oko Jakuba-Melancholika dostrzega w nim już brutalną przemoc i niesprawiedliwość, a w perspektywicznym skrócie widzi już przyszłego burżua w siedmioaktowej sztuce jego życia. Błędem byłoby usuwanie w cień lub wyszydzanie postaci Jakuba dla uniknięcia zgrzytu na tle pogodnej atmosfery uroczej idylli miłosnej, w której ramy usiłowano wtłoczyć *Jak wam się*

podoba. Ślad tych tendencji zakradł się — wbrew ogólnej koncepcji reżyserskiej — i do wrocławskiego przedstawienia w postaci owej pantomimy z V aktu, ilustrującej zarówno widzom jak i bohaterom sztuki, „co się stało, jak odstało". Może ona sugerować — jak to już zresztą podkreślił Jan Kott — że zasadniczym tematem komedii były losy czterech kochających się par, co wypacza jej sens. Błędem byłoby także stworzenie z Jakuba postaci centralnej, jakiegoś *porte-parole* autora, szczególne podkreślanie jego monologu, w którym dekadencko nastrojeni przedstawiciele kultury burżuazyjnej chcieli widzieć rozgrzeszenie własnej postawy wobec życia.

Obu tych błędów, wynikających z tendencji do utrzymania przedstawienia w jednym tonie — najczęściej za cenę usunięcia lub przyćmienia pewnych istotnych elementów dzieła — teatr wrocławski uniknął. Było to możliwe dzięki dialektycznemu potraktowaniu sztuki jako artystycznego wyrazu jedności przeciwieństw, tkwiących w epoce, która ją zrodziła.

Ta koncepcja teoretyczna znajduje potwierdzenie w tekście, gdzie oba punkty widzenia: entuzjastyczny i krytyczny — wzajemnie na siebie zachodzą. Jakub nie jest bynajmniej odosobniony i tylko wyśmiewany przez wesołych mieszkańców lasu ardeńskiego. Słusznie podkreśla to reżyser; wystarczy przypomnieć scenę, w której Amiens, a za nim inni podchwytują piosenkę zainicjowaną przez Jakuba. Przeciwnie, dobry Książę ceni głębię jego myśli i przyznaje się, że sam także miewa podobne. Słowa Koryna wskazują na to, że i w tym idealnym świecie istnieje podział na pasących owce i noszących wełnę, a energiczna rozprawa Probierczyka z „rywalem" Williamem jest poglądową lekcją stosunku przybyszów do „prawych dziedziców tej dzikiej krainy". Bo do nich przecież niewątpliwie należy urodzony i wychowany w lesie ardeńskim William, choć nie jego, lecz zwierzęta leśne ma na myśli Jakub, mówiąc o pogwałceniu ich praw. Uderza nas przy tym jeden charakterystyczny szczegół. Zabity przez myśliwców jeleń budzi w Jakubie litość i współczucie. A William? Sponiewierany przez Probierczyka, wystraszony i ogłupiały, jest dla nas zarówno w tekście jak i na scenie przede wszystkim śmieszny. Zapominamy o wyrządzonej mu krzywdzie, bawiąc się kosztem jego głupoty. Głupota bowiem była grzechem niewybaczalnym z punktu widzenia renesansowej filozofii życia. Ideał bohatera ludowego to ów znany dobrze jeszcze z niektórych romansów średniowiecznych sprytny chłopek, wywodzący w pole uczonego kazuistę. Prostak, który jak William korzy się przed pozorną uczonością błazna, niewart jest żyć w lesie ardeńskim. Inaczej ma się rzecz z Korynem. To człowiek znający życie i mający poczucie własnej wartości. Na wszystkie argumenty Probierczyka, zmierzające do wykazania jego niższości, zdrowy, chłopski rozsądek dyktuje mu prostą, lecz jakże wymowną odpowiedź: „jestem dobry robotnik".

Scena między Probierczykiem a Korynem to znowu przejaw złożoności sztuki. W twórczości Szekspira, wyrosłej z tradycji ludowego teatru, ścierają się dwa nurty: plebejski i dworski. Nie darmo obracał się przez pewien czas w środowisku hrabiego Southampton, nie darmo żył w okresie panoszenia się eufuistycznej maniery. Manierze tej wypowiedział walkę, prowadzoną często jej własnym orężem. Probierczyk broniąc pozornie obyczajów dworskich (pozwala mu na to pstry ubiór błazeński) z tym nastawieniem interpretuje słowa starego pasterza, żeby ukazać cały bezsens przyjętych konwencji towarzyskich. Jego właściwe stanowisko ujawni się najlepiej w kapitalnej scenie konfrontacji prostego i „dwornego" sposobu myślenia: Rozalinda (po przybyciu do lasu ardeńskiego): „O Jowiszu, jakże znużony

mój duch". Probierczyk: „Nie troszczyłbym się o ducha, gdyby moje nogi nie były znużone" (akt II, scena 4).

Rozprawa z kulturą dworską, z narzucaną przez nią konwencją literacką sięga głębiej. Szekspir odrzuca kanon miłości sielankowej, daje wielkim, silnym uczuciom prawo obywatelstwa wśród ludzi żywych, nie poprzebieranych za pasterzy. Dlatego to sentymentalna para — Sylwiusz i Febe — została odsunięta na plan dalszy, stała się po prostu zbędna. O ich losach zadecyduje tylko igraszka Rozalindy. Jedynym może śladem ich dawnej roli byłyby słowa Sylwiusza o miłości, powtarzane przez wszystkich zakochanych na scenie, a może i nie tylko na scenie. Słusznie potraktowane zostały te partie liryczne przez reżysera i wykonawcę (P o l k o w s k i), który w pozostałych sytuacjach, znów zgodnie z tekstem, jest dla nas raczej śmieszny.

Jednak żywej i przedsiębiorczej Rozalindzie nie wystarcza już takie ujęcie miłości. Ona daleka jest od tego, żeby „tylko pokorą być i posłuszeństwem"; postanawia działać. W tej postaci znalazła najpełniejszy wyraz właściwa ludziom renesansu aktywna postawa wobec życia. Wrocławska odtwórczyni tej roli (K r a s n o d ę b s k a) każe nam wierzyć, że istotnie Szekspir „sto zużył na nią form, kolorów, sto twarzy, oczu, serc i ciał". Można by o niej mówić bez końca, toteż bezpieczniej ograniczyć się do jednej tylko jeszcze uwagi. Ta urocza Rozalinda, w której — jak pisze G. Sinko w programie przedstawienia — kochały się legiony zakurzonych uczonych szekspirologów, to była do niedawna postać, dla której właściwie jedynie wystawiano komedię; zjawisko zrozumiałe wobec niedostrzegania istotnych treści sztuki. Rozalinda na scenie wrocławskiej to nie był tylko popis Krasnodębskiej, ale jeden z elementów świetnie współgrającego przedstawienia. Przez jej usta kontynuuje Szekspir krytykę konwencjonalnej miłości, przez jej usta demaskuje istotę feudalnych stosunków rodzinnych. Niektóre z wypowiedzi Rozalindy i Probierczyka wprost wydają się wyjęte z późniejszych o dwa wieki pism Monteskiusza, tak wielki ładunek sceptycyzmu w odniesieniu do wszystkich dziedzin współczesnej mu rzeczywistości wkłada w nie Szekspir.

Daje mu to okazję do rozwinięcia całego kunsztu komediopisarstwa. W obrębie jednej sztuki humor Szekspira przejawia się w najrozmaitszych postaciach: od wywodzących się w prostej linii z teatru ludowego elementów farsowych (William, ks. Psujka) poprzez żywiołowy, radosny śmiech cieszących się życiem ludzi, aż do wyrafinowanego dowcipu o zabarwieniu intelektualnym.

Te igraszki słowne — u Szekspira spełniające swą określoną funkcję — niemało kłopotu przyczyniły tłumaczom, którzy nie zawsze umieli z nich szczęśliwie wybrnąć. Oto kilka przykładów:

Przekład Ulricha (akt III, scena 3): Probierczyk: „Jestem tu z tobą i między twoimi kózkami, jak niegdyś najfantastyczniejszy poeta Owidiusz między kozakami" (w tekście angielskim gra słów *goats* — *Goths*). W wyniku tendencji do jak najwierniejszego odtworzenia oryginału Owidiusz znalazł się wśród kozaków. W użytym przez teatr wrocławski tłumaczeniu Miłosza igraszka polega na zestawieniu o wiele szczęśliwszym — tryków i Traków.

Inny przypadek. W nadmiarze gorliwości, jakby dla rekompensaty za miejsca, gdzie została zatracona świetność oryginału, Ulrich stwarza niekiedy dodatkowe kalambury. Akt I, scena 2 — Rozalinda: „A każdy drągal miał drąg w ręku". Stało się to kosztem interesującej wzmianki o tabliczkach na piersiach zapaśników: „Jesteśmy rośli i znakomitej postawy".

Jeżeli już mowa o przekładach, to warto zatrzymać się dłużej nad tekstem Miłosza, który bije na głowę wszystkie dotychczasowe próby przyswojenia Szekspira mowie polskiej. Ponieważ — jak słusznie podkreśla Miłosz — w wypadku sztuk pisanych choć w części wierszem tłumacze-niepoeci odpadają, a poeci, jak np. Lange, nie zawsze włożyli w przekład tyle pracy, ile by należało, większość sztuk Szekspira nie doczekała się jeszcze równie doskonałego przekładu. Miłosz, wbrew ogólnemu mniemaniu, jakoby tłumacze poeci bardziej niż inni odbiegali od tekstu puszczając wodze własnej fantazji, zadziwia wprost wiernością, nie mającą nic wspólnego z niewolniczym trzymaniem się oryginału. Nawet pobieżne zestawienie jego przekładu z wersją np. Ulricha, po którym prędzej moglibyśmy spodziewać się dosłowności, daje nieoczekiwane rezultaty.

Akt I, scena 1 — Orlando do Adama: „...usłyszysz, jak się będzie ze mnie natrząsał", co lepiej odpowiada angielskiemu „*shake up*" niż „jak na mnie napadnie" Ulricha.

Akt I, scena 3 — Rozalinda: „..z powodu przyszłego ojca mego dziecka"; u Ulricha: „z przyczyny córki mojego ojca", przez co zatraca się sens oryginału („*my childs father*")

Akt II, scena 4 — Koryn: „I wszystko kupię wam za wasze złoto". Ten szczegół, istotny dla myśli Szekspira („*And buy it with your gold*") również zawdzięczamy Miłoszowi. Ulrich go pomija.

Dzięki tak artystycznie wiernemu przekładowi tekst *Jak wam się podoba* zyskuje na wyrazistości, barwności, dosadności. Miłosz nie boi się wyrażeń takich jak: łajdak, drab, odwal się itp., choć — w myśl zasady, że „postaci dramatu nie muszą wcale przemawiać językiem pasażerów tramwaju" (nie tylko dlatego, że w czasach Szekspira nie było tramwajów) — nie nadużywa zwrotów wulgarnych. Wreszcie sprawę drugiej osoby, z którą borykali się wszyscy dotychczasowi tłumacze, rozwiązuje w sposób jedynie właściwy, oddając angielskie *sir* zależnie od sytuacji przez: „kawalerze", „mój panie" itp. Nie uciekał się przy tym, jak niektórzy poprzednicy, do staropolskiej tytulatury. Ten ostatni sposób wynikał z ich ogólnych założeń, z tendencji do archaizacji, która w konsekwencji prowadziłaby do ukazania Szekspira... w kontuszu. Jakkolwiek dalekie od tej skrajności, wydaje mi się błędem wplatanie w tekst słów Kochanowskiego czy Trembeckiego, jak to miało miejsce w przedstawieniu katowickim trzy lata temu. Teatr wrocławski obrał słuszną drogę zachowania jednolitego przekładu, choć w piosenkach tłumacz był bardziej skrępowany i nie zawsze mu się udało z całą wyrazistością oddać myśl oryginału.

Piosenkom tym warto poświęcić trochę uwagi, gdyż nie są one tylko motywem dekoracyjnym. Rzucają ciekawe światło na życie w lesie ardeńskim. Jego mieszkańcy to ludzie silni, gotowi do walki z przyrodą, osmagani dzikim wichrem zimowym, lecz niezdolni do życia w ramach systemu feudalnego. Dlatego uciekli od niego w świat utopii. Wrócą do realnego życia wtedy, gdy ich idea zwycięży wszystkich złych braci i feudalnych książąt.

Przeciwstawienie tych dwóch światów za pomocą odpowiednio dobranych dekoracji wydaje mi się słuszne i zgodne z tekstem, wbrew temu, co pisze Treugutt z okazji warszawskiego przedstawienia (Nowa Kultura, 1950 nr 37). „Symboliczne" (może nawet za bardzo) drzewa i para pasterska w stylowych kostiumach podkreślają nierealność owego wymarzonego świata, podczas gdy ponure kontury zamku książęcego i dworku Oliwera obrazują konkretną współczesność Szekspira.

Czynnikiem łączącym te dwa światy, na pozór nie mające z sobą nic wspólnego, są żywi, prawdziwi ludzie działający na scenie. Trzeba stwierdzić, że i tu zespół wrocławski osiągnął sukces, wydobywając dzięki swej grze wszystkie uroki szekspirowskiego tekstu. Ludzie ci, potraktowani przez reżysera historycznie, o wiele bardziej są nam bliscy, niż np. bohaterowie współczesnej sztuki amerykańskiej. Odległość w czasie nie gra tu roli i dziś już nie grozi nam oglądanie np. Febe z papierosem, jak na przedstawieniu w r. 1925. Ani bohaterowie szekspirowscy, ani dzisiejszy widz takiego „uwspółcześnienia" sztuki nie potrzebują.

Pewna kobieta, spytana, co jej się najbardziej podobało w przedstawieniu, odpowiedziała, że stosunek Orlanda i księcia do starego sługi, Adama. O czym to świadczy? Że kontakt między sceną a widownią istnieje. Widzowie współuczestniczą w przeżyciach bohaterów. To bardzo wiele. Chodzi tylko o to, żeby temu wzruszeniu towarzyszyło zrozumienie istotnego sensu sztuki. Ułatwia je program, zawierający słuszną i przystępnie napisaną interpretację komedii. Toteż śmiało można powiedzieć, że przemawia dziś ze sceny wrocławskiej żywy Szekspir i to — jak niegdyś w The Globe — do szerokich mas.

Przemysława Matuszewska

PAŃSTWOWY TEATR ZIEMI OPOLSKIEJ

To, że plan sześcioletni w walce o nowe socjalistyczne oblicze kultury Polski Ludowej, o nowego, socjalistycznego jej budowniczego zakreślił naszym placówkom kulturalnym wielkie i odpowiedzialne zadania, jest rzeczą ogólnie znaną; że owe zadania w poważnej mierze spadają na teatry prowincjonalne, i to teatry mniejszych miast, również nie ulega wątpliwości. I może dlatego właśnie, że są to prawdy oczywiste, a jednocześnie jakże trudne z uwagi na złożoność i doniosłość zagadnienia, zbyt mało o nich wiemy i piszemy. A szkoda. Mniejsze teatry prowincjonalne w ciężkich, nieraz pionierskich jeszcze warunkach wykonywują bardzo konkretną, bardzo ważną robotę kulturalną wśród naprawdę najszerszych mas robotniczych i chłopskich. I dlatego w pelni zasługują one na baczniejsze zainteresowanie i na jak najwydatniejszą pomoc. Odnosi się to także do Państwowego Teatru Ziemi Opolskiej. Zwracam uwagę na brzmienie nazwy. Teatr ten bowiem, jako półobjazdowy, nie jest tylko teatrem Opola, lecz teatrem całej Opolszczyzny.

Z początku trochę statystyki dla zorientowania w rozmiarach jego działalności. PTZO zasięgiem swym obejmuje całe województwo opolskie i przyległe tereny województw katowickiego i wrocławskiego. W roku 1950 teatr dał przedstawienia w 124 miejscowościach przy przeszło 230 tysiącach widzów. Dysponuje trzema zespołami złożonymi z 164 osób: kukiełkowym (Teatr Lalek) i dwoma dramatycznymi. Nieraz się zdarza, że wszystkie trzy ekipy wyruszają w teren.

Jesienią ub. roku dyrekcja sceny opolskiej znalazła się w obliczu przykrej perspektywy niewykonania rocznego planu produkcyjnego (zaprojektowanych było 700 przedstawień). Jednakże — dzięki pomocy Ministerstwa i Partii (zwiększenie taboru transportowego), a także dzięki ofiarnemu, kolektywnemu wysiłkowi całego zespołu teatralnego, ożywionego ideą wypełnienia zobowiązania — plan w dniu 17 grudnia został wykonany. Do końca roku wystawiono jeszcze 43 przedstawienia ponad liczbę przewidzianą.

Dyrekcja PTZO, na czele z Józefem Krzyżanowskim, obok starań o rozszerzenie zasięgu działalności, przejawia żywą troskę o podniesienie jakościowe produkcji artystycznych. Do celu zmierza różnymi drogami. W pierwszym rzędzie chodzi o powiększenie kadry aktorskiej, czyli w praktyce o zwiększenie etatów. Liczniejszy zespół przyczyniłby się do likwidacji tak niepożądanego zjawiska, jak obsadzanie przez aktora w jednej sztuce kilku ról. Umożliwiłby ponadto częstsze wystawianie sztuk o dużych obsadach, a przede wszystkim lepsze opracowywanie sztuk, staranniejszą oprawę, solidniejsze przygotowanie aktorów dzięki dłuższym próbom.

Z zagadnieniem kadr łączy się drugi poważny problem, znany choćby z ostatnich dyskusji w prasie literackiej, a mianowicie sprawa dopływu młodego narybku aktorskiego. Wiemy, jak o niego trudno. Niesposób na razie zasilić naszych scen wyłącznie absolwentami szkół dramatycznych. Z drugiej strony nie można poprzestać na zdolnych często, lecz zupełnie nie przygotowanych zawodowo aktorach świetlicowych. Dlatego na razie niezbędne staje się prowizorium, praktykowane również w teatrze opolskim, a polegające na tym, że przy teatrach państwowych organizowane są kursy przeszkolenia zawodowego. Aktor, który już ma zwykle za sobą pewne osiągnięcia sceniczne, uzyskuje konieczny zasób wiedzy teoretycznej.

O poziomie gry aktorskiej, o lepszym zrozumieniu spraw walczącego teatru Polski Ludowej decyduje w dużej mierze poziom ideowy pracownika teatru. W tym celu zorganizowano na terenie PTZO dwustopniowy kurs szkolenia ideologicznego. Projektowany jest na niedaleką przyszłość kurs estetyki marksistowskiej. Dużą wagę przywiązuje się do narad produkcyjnych, na których szeroko wypowiadają się wszyscy zainteresowani pracownicy, a także — do prób generalnych, po których odbywa się bardzo cenna wymiana poglądów i doświadczeń między widzem a teatrem.

O wysokim wyrobieniu ideologicznym świadczy także podjęte przez zespół techniczny i administracyjny współzawodnictwo zbiorowe i indywidualne z innymi scenami w Polsce. Osiągnięcia i na tym polu są zadowalające.

A teraz parę słów o wyjazdach w teren. Zaledwie 20% przedstawień odbywa się w Opolu. Ogromna ich większość przypada na miasteczka powiatowe, gminne, a nawet wsie Opolszczyzny. Teatr Lalek, dysponujący 11-osobowym zespołem, dociera do najmniejszych miejscowości, ucząc i bawiąc swoimi kukiełkami dzieci i dorosłych. (Ostatnio dużym powodzeniem cieszy się bajka W. Koweszki i J. Wesołowskiego, *Przygody Drewniaczka*, według opowieści A. Tołstoja). Zespół dramatyczny ma mniejsze możliwości terenowe, a mimo to znają go już dobrze nawet najodleglejsze okolice Opolszczyzny. Teatr w ciągu swej żmudnej kilkuletniej wędrówki po terenie miał na swej drodze do przezwyciężenia nie tylko trudności techniczno-organizacyjne (tych zresztą do dziś nie brak), lecz przede wszystkim musiał zdobyć widza. Pamiętajmy, że teren to specyficzny z uwagi na izolację kulturalną tutejszej ludności śląskiej przed powrotem tych ziem do macierzy. Robotnik, chłop czy pracownik spółdzielni produkcyjnej coraz chętniej odwiedza teatr, bo coraz bliższa staje się mu rzeczywistość Polski Ludowej. Jest coś głęboko wzruszającego w tych gorących oklaskach, jakie się słyszy na przedstawieniu *Dam i huzarów* czy *Wodewilu warszawskiego*. Żywe słowo polskiego teatru pełni coraz skuteczniej swą doniosłą misję kulturalną. I tu jeden przykład dla ilustracji. Po spektaklu *Podpalańskich buków* Kralika, sztuki poświęconej słowackiej problematyce spółdzielczej, a wystawionej w spółdzielni produkcyjnej we wsi Sidziny (pow.

Prudnik), grono chwiejnych gospodarzy zgłosiło niezwłocznie przystąpienie do spółdzielczego kolektywu.

Oczywiście, jest jeszcze wiele do zrobienia w dziedzinie widowisk objazdowych. Mam na myśli przede wszystkim wieś śląską, która dotąd zbyt rzadko jeszcze styka się z teatrem, choć szczególnie go potrzebuje. PTZO odwiedza wprawdzie spółdzielnie produkcyjne, lecz z racji swych kadrowych i technicznych możliwości nie może sobie pozwolić na regularne przedstawienia w terenie wiejskim. Problem domaga się rozwiązania.

Wspomnieć wypada jeszcze o jednym. Praca teatru objazdowego jest bardzo trudna. Najczęściej nie zdajemy sobie sprawy, ile wysiłku i najlepszej woli potrzeba, aby przewieźć cały tabor techniczny i artystyczny, zainstalować się w niewielkiej sali domu kultury i zagrać w warunkach iście spartańskich. Nieraz się zdarza, że aktor grając marznie w nie opalonej sali, nieraz wraca do domu późną nocą, jeżeli zepsuje się w drodze samochód. A od rana czekają go próby, kursy, nauka ról. Ta ciężka i odpowiedzialna praca całego zespołu teatralnego spotyka się w terenie z coraz większą życzliwością, pomocą i opieką miejscowego społeczeństwa.

Na licznych (bo aż 124) scenach Opolszczyzny wystawiane były od lata ubiegłego roku sztuki: *Pieją koguty* Bałtuszisa, *Dobry człowiek* Gruszczyńskiego, *Podpalańskie buki* Kralika, *Damy i huzary* Fredry, *Rewizor* Gogola. Obecnie grane są: *Wodewil warszawski* Stępnia i Gozdawy, *Jacht Paradise* Lema i Hussarskiego. Wkrótce zobaczymy sztuki: *Doktor Leśna* I. Krzywickiej i *Zabobonnik* Zabłockiego. A zatem repertuar przeważnie polskich sztuk współczesnych, prócz Fredry i Zabłockiego; poza tym jedna klasyczna sztuka rosyjska oraz jedna radziecka i słowacka o aktualnej problematyce wiejskiej.

Wydaje się, że wybór repertuaru poszedł po słusznej linii, bo najbardziej odpowiadającej potrzebom czasu i miejsca. Widz prowincjonalny, często stykający się po raz pierwszy z teatrem z prawdziwego zdarzenia, szczególnie wrażliwy jest na zagadnienia aktualne, bezpośrednio go obchodzące. Natomiast komedie klasyczne ukazują mu przebogate postępowe tradycje polskiego teatru. W ubiegłym sezonie wyróżniły się *Pieją koguty* Bałtuszisa bardzo starannym realistycznym opracowaniem sztuki i niemniej staranną grą aktorów, a *Dobry człowiek* Gruszczyńskiego — bardzo przekonywającymi scenami zbiorowymi, które zwykle tyle kłopotu przysparzają reżyserom.

Z ostatniego repertuaru niezwykle udanym spektaklem był *Rewizor* Gogola, grany przez dłuższy czas przy pełnej widowni tak w Opolu jak i na prowincji. Reżyser Witold Koweszko wydobył maksimum wielkiego realizmu z tej wspaniałej komedii, nie zatracając przy tym nic z jej urzekającego komizmu. Wyrównana gra zespołu aktorskiego dopomogła walnie reżyserowi w jego sukcesie. Mieczysław Bielecki, jako Horodniczy, nie tylko bawił, ale i przerażał, Jan Herkoperec najlepiej reprezentował świat prowincjonalnych bonzów. Przekonywający był również Chlestakow Edmunda Fettinga i Osip Witolda Koweszki. Z ról epizodycznych najlepiej wypadła, jak zawsze — bardzo poprawna, Zofia Bregułowa.

Dużym powodzeniem cieszy się obecnie *Wodewil warszawski* Stępnia i Gozdawy. Ta miła farsa muzyczna zawiera niewątpliwie wiele beztroskiego humoru, który Stanisława Zbyszewska umiejętnie spotęgowała zabawnymi gierkami sytuacyjnymi. Tylko że warszawskiego stylu i maniery było tam bardzo niewiele, lecz

to wina raczej autorów niż aktorów, którzy i tak robili, co mogli: śpiewali, tańczyli, jechali prawie że prawdziwym tramwajem (to też sztuka), gimnastykowali się, a nawet chodzili na rękach. Jak na zespół dramatyczny, a nie operetkowy, baletowy, sportowy — to bardzo dużo. Alicja Kleynowa, jako rezolutna Hela, udała się najlepiej. Aktorom dzielnie sekundowała 22-osobowa orkiestra pod batutą F. Rożynka — zalążek przyszłej filharmonii opolskiej.

Wreszcie pozostaje do sumarycznego omówienia wystawiona po raz pierwszy sztuka Lema i Hussarskiego *Jacht Paradise*. Sztuka porusza problem narastania sprzeczności amerykańskiego imperializmu, którego trzej rzecznicy: przemysłowiec, generał i uczony „atomowy" uczestniczą w wojennej hecy podżegania do wojny, po to, by w końcu paść ofiarą własnej perfidii, głupoty i podłości. Obraz tematycznie pomyślany jest świetnie, tezy autorów wyłożone prawidłowo, a proporcje ideologiczne i klasowe dobrze zarysowane. Niestety, szczegóły, które zawsze decydują, podważyły walory sztuki, a aktorzy dokończyli niszczącego dzieła. Konstrukcja sztuki cierpi na brak dramatycznego tempa, a ospałe i za długie dialogi nie absorbują ani widza, ani bohaterów. Sztuce brak organicznej zwięzłości, wskutek czego rozwiązanie konfliktów razi sztucznością. Poprawna gra M. Bieleckiego w roli generała i pary E. Fetting i I. Chudzikówna, reżyseria W. Koweszki, pomysłowe dekoracje K. Pręczkowskiego i M. Stańczaka — nie potrafiły zrównoważyć usterek kompozycyjnych i słabej gry pozostałych aktorów.

Czekamy niecierpliwie na sztukę Ireny Krzywickiej *Doktor Leśna*, zakwalifikowaną do wystawienia na festiwalu sztuk polskich.

Jerzy Parvi

N O W E   K S I Ą Ż K I

ZABYTKI ŚREDNIOWIECZNE

Stefan Vrtel-Wierczyński, WYBÓR TEKSTÓW STAROPOLSKICH. Czasy najdawniejsze do roku 1543, wyd. II, Warszawa 1950, PZWS.

W rok po reedycji tomiku średniowiecznej poezji polskiej świeckiej daje nam Stefan Wierczyński drugie wydanie swej staropolskiej chrestomatii.

Pierwsze wydanie tego cennego wyboru ukazało się w r. 1930, jako XII tom Lwowskiej Biblioteki Slawistycznej. Krytyka przyjęła je życzliwie, stawiając drobne tylko zarzuty. Wyrażono życzenie, by autor włączył do następnego wydania *Kazanie na dzień Wszech Świętych*, urywki ewangeliczne, reguły klasztorne, *Modlitwy Wacława*, *Objawienia św. Brygidy*, jako zabytki, które mogą i winny zainteresować historyka literatury.

Ale niczym już nie umniejszony tryumf odniosła książka w praktyce seminariów językowych, wypierając z nich zupełnie używaną podówczas chrestomatię Kryńskich. Przyczyną było to, że Kryńscy dali, nie zawsze nawet wierny, przedruk przedruków, a Wierczyński oparł się, gdzie to tylko było możliwe, na autopsji rękopisów i pierwodruków.

Po wojnie postanowił Stefan Wierczyński opracować drugie, poprawione i pomnożone wydanie wyboru, ale żadna drukarnia nie chciała się podjąć tak uciążliwego składu. Trzeba było poprzestać na fototypicznym przedruku wydania pierwszego (technika fotoofsetowa).

Mimo to udało mu się wprowadzić do tekstów poprawki (*corrigenda*, najważniejsze uwagi recenzentów, korektury *Kazań świętokrzyskich* w związku z wydaniem z r. 1934) i uzupełnić bibliografię.

W owych dopełnieniach bibliograficznych są jednak luki. Oto zestawienie nie wykazanych pozycji:

Bulla z r. 1136

Kozłowska-Budkowa Zofia, *Repertorium polskich dokumentów doby piastowskiej*, zeszyt I, Kraków 1937 (s. 36—38: kopie, wydania, przegląd wyników badań).

Maleczyński Karol, *W sprawie autentyczności Bulli gnieźnieńskiej z roku 1136*, Prace Wrocławskiego Towarzystwa Naukowego, seria A, nr 2, Wrocław 1947 (*Bulla* jest gnieźnieńskim falsyfikatem z lat 1139—1146).

Psałterz Floriański

Gębarowicz Mieczysław, *Dawna sztuka*, t. XI, (1939), s. 71—83.

Klapper J. *Der St. Florians Psalter, ein Glatzer Kulturdenkmal*, Glatzer Heimatblätter, Bd XXVIII, (1942), s. 5—9.

T a s z y c k i Witold, *Psałterz floriański nie jest zabytkiem śląskim*, J ę z y k P o l s k i, XXIX, 1949, nr 1, s. 1—13. Dopisek Kazimierza Nitscha, t a m ż e, s. 14.

T a s z y c k i Witold, *Psałterz floriański jest zabytkiem małopolskim. W odpowiedzi P. Prof. K. Nitschowi*, J ę z y k P o l s k i, XXIX, 1949, nr 3, s. 122—125. Uwaga Kazimierza N i t s c h a, t a m ż e, s. 125—126.

R o s p o n d Stanisław, *Czy Psałterz floriański powstał w Kłodzku*, R o c z n i k K ł o d z k i, t. II, 1949, s. 5—31.

Modlitwy codzienne

R o s p o n d Stanisław, *Zabytki języka polskiego na Śląsku*, Wrocław—Katowice 1948 (s. 54—64: śląskie teksty modlitw codziennych).

Biblia szaroszpatacka

U r b a ń c z y k Stanisław, *Z dawnych stosunków językowych polsko-czeskich*, Cz. I, *Biblia królowej Zofii a staroczeskie przekłady Pisma św.*, R o z p r a w y W y d z. F i l o l. PAU, t. LXVII, nr 2, Kraków 1946.

Bogurodzica

Brak tu przedwojennych artykułów Zdzisława J a c h i m e c k i e g o i jego powojennej historii muzyki polskiej, brak pracy L e h r a - S p ł a w i ń s k i e g o o języku *Bogurodzicy*, oświetlenia wersyfikacji pieśni dokonanej przez Marię D ł u s k ą w *Studiach z historii i teorii wersyfikacji polskiej* oraz artykułu, który łatwo może ujść uwagi historyka literatury: Piotr B a ń k o w s k i, *Dwa teksty „Bogurodzicy" w dwóch rękopiśmiennych statutach litewskich z I-ej połowy XVI w.*, A r c h e i o n, XVIII, 1948, s. 159—184 i 7 tablic.

Wiersz Słoty

P o l l a k Roman, *Złota-Frowinus*, S t u d i a z d z i e j ó w k u l t u r y p o l s k i e j, Warszawa 1949, s. 97—103.

Szkoda, że autor nie umieścił tych pozycji w *Uzupełnieniach bibliografii* (s. 367—368).

Z przedmowy dowiadujemy się z radością, że St. Wierczyński pracuje obecnie nad fototypicznym wydaniem zabytków polszczyzny średniowiecznej, i to zarówno dużych (*Rozmyślanie przemyskie*, *Kazania gnieźnieńskie*, oba *Psałterze*) jak i drobnych. Oby się one jak najprędzej ukazały!

Żaden wybór nie zadowoli wszystkich. Moim zdaniem, słusznie postąpił Wierczyński dając nam ⅔ tekstów religijnych, a ⅓ świeckich, bo nie na rotach sądowych i statutach kształcił się nasz język literacki. Szkoda, że nie udało się poszerzyć wyboru, ale nie myślmy na razie o nowym jego, pełniejszym wydaniu. Potrzeba nam kompletnego wydania średniowiecznych zabytków językowych. Na zjazdach, odbytych w maju 1950 r., wstawili je do postulatów edytorskich zarówno historycy literatury, jak i językoznawcy. Możemy sobie życzyć, aby w kolegium redakcyjnym nie zabrakło doświadczonego pracownika w tej dziedzinie — Stefana Wierczyńskiego.

Jerzy Woronczak

Władysław Kuraszkiewicz i Adam Wolff, ZAPISKI I ROTY POLSKIE XV—XVI WIEKU Z KSIĄG SĄDOWYCH ZIEMI WARSZAWSKIEJ, Kraków 1950, Polska Akademia Umiejętności.

Wszędobylski wiek XIX w osobach historyków, prawników, wreszcie filologów zauważył oprócz postaci mnichów w zaciszu klasztornym, także sylwetki skromnych podpisków sądowych grodzkich i ziemskich, pisarzy sądowych, którzy wedle potrzeby rozsypywali po łacińskich księgach sądowych teksty polskie rot, zapisek i przysiąg, składanych przez świadków, oskarżonych i oskarżycieli przed sądem grodzkim lub ziemskim. Roty te i zeznania sporządzane według formuły aktualnie, doraźnie, nieraz *ad hoc* składane po polsku, są niemniej starożytne jak najzacniejsze nasze pomniki literatury i posiadają wartość nieocenioną tak dla historyka i prawnika, jak dla filologa. O ile dla poprzednich mają wartość źródła dla dziejów kultury czy prawa, o tyle językoznawcy dostarczają materiału przede wszystkim z zakresu języka potocznego, którym mówili podpiskowie lub osoby postronne, zainteresowane w procesie, a więc dla dialektologii historycznej są nieocenione. Pojawiać się poczną już w XIV wieku, a ich wartość podnosi fakt, że są umiejscowione, bo służyły określonemu w miejscu sądowi, i schronologizowane, gdyż każda rota nosi ścisłą datę, przynajmniej roku, w którym została napisana.

Nic dziwnego, że odgrzebano drzemiące po archiwach stare księgi i akta sądowe i rozpoczęto ich przedruk. Czynili to, wedle swoich potrzeb, ludzie różni od drugiej połowy XIX w. poczynając, przedrukowując również mniej lub więcej systematycznie roty z różnych dzielnic; wynika z tego, że np. historyk, wydając roty sądowe jakiejkolwiek ziemi, wydawał pod swoim kątem widzenia, prawnik np. pod swoim. Ponieważ wydawcami byli przeważnie niefilolodzy — nie bez słuszności i z żalem powiada o tych wydawnictwach J. Łoś w *Początkach piśmiennictwa polskiego* — „może i na ich karb niejedną omyłkę policzyć trzeba, choć i filolog nie zawsze umiał sobie poradzić z trudnościami tekstu".

Najbardziej pożałowania godnym niedopatrzeniem z punktu widzenia filologicznego było w dotychczasowych wydawnictwach (nie tylko zresztą rot sądowych) nie dość ścisłe trzymanie się oryginału w przedruku. Jak w najnowszych badaniach nad ortografią i grafiką średniowieczną stwierdzono, nie jest obojętną rzeczą dla filologa nawet takie rozróżnienie przez pisarza, jak używanie długiego *S* i krótkiego *s*, kreskowanie czy kropkowanie liter, nie mówiąc już o takich spotykanych przeoczeniach, jak wstawianie, gdzie wydawca uznał za stosowne, *s* zgodnie z dzisiejszą ortografią w miejsce oryginałowego *sz* czy *z*. Wiadomo bowiem już coraz jaśniej, że najprawdopodobniej ortografia średniowieczna nie była tak bardzo niekonsekwentna i bałamutna, jak na przykład pod względem oznaczania nosowości samogłosek nosowych, oznaczania szeregów *s* — *ś* — *sz* i *z* — *ź* — *ż* itd. Słuszna jest zatem nieufność filologa przystępującego do roboty nad staropolskim zabytkiem w przedruku, skoro nie jest pewny jego wierności oryginałowi.

Roty sądowe, były więc przedmiotem nie tylko wydawnictw, ale i badań, wnosząc wiele ciekawego materiału tak dla historii języka jak i dla dialektologii historycznej. W tych krótkich ustępach, ukradkiem wychylających się z powodzi łacińskich ksiąg sądowych, odbija się bez obsłonek i ostro szereg życiowych spraw, których załatwienie otarło się o sąd grodzki czy ziemski. Tak więc przyzna się do winy w r. 1482 oskarżony: „Jakom zbił Nikolaum de Brzunino Kawieczyno... tedy, kiedy mi się łupić nie dał", albo zaświadczy inny o uczciwości podsądnego: „Jako ja to wiem, Filip nie kradnie we księżej ziemi, ani s złodziejmi złodziejski żywie" itd.

Ponieważ roty sądowe są odzwierciedleniem nie tylko szczerego życia i jego spraw, ale również szczerze i po prostu pisane, przeto odpowiednio wydane, wiernie z oryginałem pod każdym względem, dają doskonały materiał dla badań: 1. fonetyki staropolskiej, i to pod względem geograficznym, 2. słownictwa, 3. morfologii. Poza tym w rotach występuje bardzo wiele imion osobowych i nazw miejscowych, co dla polskiej ono- i toponomastyki ma wielkie znaczenie.

Ostatniego wydania rot sądowych dokonali Władysław Kuraszkiewicz i Adam Wolff. Wydawnictwo to obejmuje ogółem 66 ksiąg sądowych ziemskich (i grodzkich), a mianowicie: błońskie, tarczyńskie, warszawskie, warszawskie *fragmenta dissoluta,* wreszcie zakroczymskie (nie drukowane dotąd). Jest to pierwsze wydanie rot sądowych, dokonane zgodnie z postulatami stawianymi tego typu wydawnictwu przez językoznawcę i filologa: 1. Pod względem typograficznym i ortograficznym stara się o zupełną zgodność z oryginałem, przemyślnie unikając jedynie takich liter, które nie są sygnałem dla jakichś specjalnych wartości fonetycznych (rezygnuje np. z kropkowanego *y*, długiego *s* (ſ) lub *greckiego* σ (*sigma*, chociaż chciałoby się je widzieć i w przedruku), natomiast honoruje ważne znaki typu przekreślonego ø. Co do ortografii, to jest ona poza tym zachowana najzupełniej w całej rozciągłości, użytej przez pisarzy. 2. Rozróżnia w tekście przy pomocy szczególnych znaków umownych zanotowane w oryginale glosy lub zauważa również wyrazy przekreślone przez pisarza, błąd pisarza roty lub niedokończenie wyrazu w sposób hipotetyczny odpowiednio zaznacza. Itd.

Godne podziwu *novum* w książce W. Kuraszkiewicza i A. Wolffa to zaludnienie odpowiednich ksiąg mniej lub więcej dokładnie zidentyfikowanymi pisarzami i podpiskami. Wyróżniono 135 rąk pisarskich, z czego imiennie poznajemy 19 pisarzy ziemskich; co do podpisków zaś (*vicenotarius*), to znamy imiennie 41, o których wiemy, że 4 z nich przeszło, awansując, na urząd pisarza. Ze znanymi imiennie 56 pracownikami kancelaryjnymi powiązali wydawcy 23 ręce, identyfikując charakter pisma z imionami. Inne uwagi dotyczą pochodzenia pisarzy, przeważnie z Mazowsza, co nie jest obojętne dla badacza narzecza mazowieckiego. Wreszcie we wstępie pomieszczony jest wykaz pisarzy i podpisków warszawskich, łącznie z tytułem i profesją pracownika kancelaryjnego. Również przedstawiono na wstępie wykaz rąk, numerując je kolejno, podając kolejno przynależną do ręki ilość zapisek oraz pewnie stwierdzone nazwisko jej właściciela, o ile to było możliwe.

Na uwagę zasługuje ułożenie materiału z lat 1421—1558 (137 lat), nie według chronologii zapisek, lecz według rąk pisarzy, co należy uważać za specjalnie szczęśliwy chwyt dla badania rozwoju czy geografii narzecza mazowieckiego lub jego peryferycznych odcieni. Wiadomo bowiem, że bardzo często skargi na pomieszanie ortografii średniowiecznej, nawet w zabytkach klasycznych, były spowodowane pomieszaniem autorów różnych a niewiadomych, co stwarzało pozór znacznej niekonsekwencji ortograficznej. Podobnie na zasadzie ortografii, nieraz bardzo różnej, dziwiono się wydawnictwom Seklucjanowym, a na tej różnej ortografii S. Rospond w *Studiach nad językiem polskim XVI w.* wykazał brak autorstwa Seklucjana dzieł jemu przypisywanych. Ułożenie zatem zapisek i rot według ręki, a nie według daty, umożliwia lepszą orientację nie tylko w zmianach i niekonsekwencjach ortograficznych pisarza i podpiska, ale przede wszystkim pozwala ustalić system jednej ręki i na tej podstawie wnosić o różnicach przede wszystkim fonetycznych.

Książka obejmuje zatem 3100 zapisek, nazwanych chronologicznie, geograficznie

i autorsko. Między odpowiednimi stronami rozsypano 19 tablic z fotokopiami niektórych zapisek i kart, na których się znajdują. Fotokopie, jakkolwiek grubo mniejsze niż same księgi, dają przybliżone pojęcie o trudzie roboty archiwalnej wydawców, polegającym na wypatrywaniu ze średniowiecznej kursywy-łacinki koślawo i nie zawsze czytelnie wpisanych mazowieckich przysiąg i posądzeń.

Wspaniałym i dla filologa nieocenionym nabytkiem i narzędziem dla właściwego posługiwania się przedrukiem jest kompletny indeks: a) wyrazów pospolitych i b) nazw osobowych, miejscowości i ich derywatów. Oba zawierają hasła w transkrypcji dzisiejszej, z podaniem krótkiego kontekstu i samego wyrazu jak w oryginale, wraz z sygnałem, gdzie wyraz można znaleźć. Nie spotykanym też do dziś *novum* jest uwzględnienie statystyczne w tabeli, w indeksie imion pospolitych, niepokojącego przyimka (pref.) *s*-, bardzo ważnego dla dialektologii historycznej ze względu na pisownię w zabytkach *s*- lub *z*-, co ma swoje uzasadnienie historyczno-geograficzne. Wyszczególniono przy tym nie tylko ilość, ale rozbito jego występowanie na pozycje przed określonymi samogłoskami lub spółgłoskami. Nie pominięto również okazji odesłania badacza rot w wypadkach takich jak *zm*-||*sm*-. Indeks imion pospolitych obejmuje ogółem 3190 pozycji, indeks nazwisk, imion i ich derywatów — 1716 pozycji. Jest to materiał olbrzymi, występujący w różnych sytuacjach tekstologicznych, a więc do wyzyskania słowotwórczego, fleksyjnego, fonetycznego itp.

Tak układ typograficzny jak i samo opracowanie techniczne materiału są ujęte nowocześnie, z myślą o wyzyskaniu go do jak najszerszych badań językoznawczych i filologicznych. Przy tym olbrzymi ten materiał pochodzi z jednego ściśle terytorialnie i językowo określonego terenu, z Mazowsza, co jest niewątpliwie ważne, jeżeli chodzi o stronę materiałową.

Jak się bowiem okazuje z najnowszych badań nad staropolszczyzną, niezależnie od charakteru tych badań, niektóre poglądy, oparte na cząstkowych, niekompletnych materiałach, sromotnie zawodzą. Wykorzystanie p e ł n e dostarczanego przez wieki materiału roboczego daje dopiero dostatecznie pewną, filologiczną podstawę do koncepcji już niekoniecznie filologicznych, językoznawczych, ale dozwala na interpretację statystyczną, której niezbite fakty, ujęte w liczby, doprowadzą do właściwego rozwiązania wielu, nie zbadanych, ale tylko tykanych zagadnień.

Na tym m. in. polega nowatorstwo omawianej książki, że przy pomocy indeksu materiał tłumaczy się nie tylko z punktu widzenia językoznawczego, ale też da się wyrazić statystycznie; że użyto dla zestawienia materiału staropolskiego najnowszych narzędzi: trzymano się tak wiernie, jak tylko można, oryginału w przedruku, nie pominięto niczego, co mogłoby pomóc w objaśnieniu formy czy jej braku; a wreszcie — co najważniejsze — związano, przy pomocy dostępnych środków i możliwości, tekst z autorem, pismo z ręką piszącą.

Najlepszym świadectwem użyteczności tego wydawnictwa będą (i już są) prace oparte na nim, a należy się spodziewać, że dostarczy ono tematu do wielu istotnych i ważnych dociekań.

Stefan Reczek

TWÓRCZOŚĆ LITERACKA

J e r z y B r o s z k i e w i c z, KSZTAŁT MIŁOŚCI, T. 1—2. Czytelnik 1950—1951.

Chopin jako temat literacki miał stanowczo więcej szczęścia w poezji niż w prozie. Świadczy o tym choćby bogaty wachlarz nazwisk i tekstów poetyckich,

które przyniosła wydana przed paru laty w Warszawie antologia szopenowska. Proza artystyczna podobnego świadectwa nie dostarcza. Kiedy z jednej strony rosła ilość świetnych muzykologicznych analiz, mniej lub więcej popularnych monografii czy źródłowych wydawnictw, właśnie proza artystyczna dała zainteresowaniom szopenowskim wyraz wątły i nieprzekonywający. W popularnych broszurach o literackich pretensjach ustawiano Chopina w galerii wieszczów narodowych, ponieważ „razem z nimi i dla tychże samych powodów przekształcił się w wieszcza, hetmanił i hetmani dotąd wraz z nimi...“ (G. Junien, *O Chopinie jako wieszczu muzycznym Polski*), pozycje zaś poważniejsze rozgrzebywały skandale i skandaliki z George Sand, snując na tym tle blade, estetyzujące koncepcje. O tym, jaka była wartość tych książek, świadczyć może ich założenie twórcze, polegające np. na pokazaniu „nici celowości koniecznej, jaka warunkowała zbliżenie się Chopina i p. Sand... dla pełnego przyprawienia Chopinowi anielskich skrzydeł sztuki“ (J. Jankowski, *Miłość artysty*). Zapoznawano fakt, że okres najwydatniejszej pracy twórczej Chopina, okres, w którym powstała większość jego najlepszych utworów, przypada na lata warszawskie, że utwory te powstawały w dyszącej przedpowstaniową atmosferą Warszawie, że wyrastały z letnich wędrówek po mazurskich wioskach. Te doświadczenia i kontakty przytłoczono bogactwem plotkarskich anegdot, salonowych rozważań, które pozwalały na porównywanie Chopina z Hamletem i długie motywacje tych zestawień (Nino Salvaneschi, *Żal Szopenowski*).

Pierwszą — a wówczas jedyną — próbą przełamania tej konwencji była książka Adolfa Nowaczyńskiego o młodym Chopinie (*Młodość Chopina*, wznowiona w r. 1949). Książka ta, napisana w formie żartobliwych wspomnień starego Kolberga (których autentyczność słusznie później podawano w wątpliwość), przypominała kontakty Chopina z Mochnackim, Goszczyńskim czy Nabielakiem, trafnie interpretowała rolę postaci z najbliższego otoczenia Chopina w początkowych stadiach rozwoju jego twórczości, starała się pokazać Warszawę Konstantego i Nowosilcowa.

Tu dopiero wymienić należy opowieść biograficzną Broszkiewicza. Pierwszy jej tom zamyka ostateczny wyjazd Chopina z Warszawy tuż przed rewolucją 1830 r. Drugi przystaje na roku 1847, o dalszych dwu latach informując tylko krótką, końcową notatką.

Tom pierwszy daje interesującą analizę rozwoju twórczości młodego Chopina. Rozwój ten dokonywa się w ścisłym związku z artystyczną i polityczną atmosferą Warszawy, pokazaną np. przez dyskusje w salonie rodziców Fryderyka, jego dziecięce koncerty czy późniejsze kontakty osobiste z Mochnackim i in.

Broszkiewiczowi jednak nie wystarcza ta forma: słowo odautorskie przynosi komentarze, nie zawsze wiążące się organicznie z fabułą opowieści, często wręcz nie leżące na jej linii kompozycyjnej. Dzieje się to zawsze, kiedy autorowi chodzi o skrótowe pokazanie najważniejszych wypadków politycznych, które przez samego Chopina nie mogły być jeszcze należycie zrozumiane i odczute. Komentarz w takich wypadkach zajmuje początek rozdziału, nie zawsze zręcznie przeskakując potem do fabuły właściwej. Nasunąć się tu musi sposób, w jaki analogiczne zagadnienie rozwiązywał Leopold Infeld w powieści o Ewaryście Galois (*Wybrańcy bogów*). Tam podobne komentarze występowały tylko wtedy, kiedy wymagała tego akcja, np. pokazanie przyczyn takiej czy innej sytuacji w szkole, do której Galois uczęszczał.

Zarzuty te jednak nie mają racji bytu tam, gdzie autor pokazuje genezę szopenowskiej muzyki, gdzie analizuje procesy twórcze, gdzie, zawsze trafnie i przekonywająco, wykazuje społeczny, polityczny i artystyczny kontekst pierwszych pomysłów, ich źródła i powstawanie. Te doskonałe sceny odkłamują postać młodego muzyka, przypominają, że wieś, widziana jego oczyma, wieś, z której czerpał nowe prawdy muzyczne, była nędzną wsią pańszczyźnianych chłopów, przypominają, że pierwsze utwory Chopina powstawały w Warszawie ucisku politycznego, wśród gorących dyskusji, prowadzonych w zadymionych kawiarenkach, w których Fryderyk był częstym gościem. Broszkiewicz ustawia twórczość młodego Chopina na liniach walk obozów literackich, pokazuje zaplecze tych walk i ich rzeczywistą wymowę. Nie ginie też wśród tych spraw i problemów Chopin-człowiek. Broszkiewicz wykazuje tu duży umiar artystyczny, który pozwala na równomierne rozłożenie akcentów, który pozwala dostrzec odbicie spraw wielkich w drobnych, codziennych wydarzeniach. Pierwsze przeżycia, których dostarcza poznanie dzieł wielkich mistrzów, łączą się z osobistymi problemami, intymnymi myślami i zdarzeniami, dając obraz bliski pełności i historycznej prawdy.

Nieco inaczej układają się te sprawy w tomie drugim. Nie jest to podział mechaniczny. Z drugim tomem opowieści wkraczamy w nieco inną sferę zagadnień. Emigracyjne karty biografii Chopina dostarczyły Broszkiewiczowi nowego materiału, kryjącego poważne niebezpieczeństwa, których autor nie ustrzegł się w zupełności. O ile w tomie pierwszym dominowały zagadnienia twórczości i jej genezy, o tyle drugi przenosi akcent na sprawy osobiste: targi z wydawcą i sukcesy wydawnicze, romanse z Delfiną Potocką i George Sand. Urwanie opowieści na roku 1847 świadczy pośrednio o załamaniu się pierwotnej koncepcji. Broszkiewicz nie pokazuje np. ani zerwania z George Sand i sukcesów angielskich (jak to sugeruje lektura tomu drugiego), ani nie przeprowadza Chopina przez rok 1848, jakby to wynikało z koncepcji zasadniczej. Ożywienie twórczości Chopina w latach 1838—1841 niknie w wypadkach mniejszej uwagi — po roku 1841, kiedy powstaje m. in. *Sonata h-moll*, *Preludium cis-moll* itd., uwaga autorska powraca do spraw twórczości, ale nie na długo. Tym wyraźniej jednak podkreślić należy kilka doskonałych scen emigranckich, pokazujących rozwój artystycznej i politycznej świadomości Chopina, czy przede wszystkim celne literacko rozwiązania takich fragmentów, jak początki stosunków Chopina z George Sand, pokazane od strony plotkujących salonów Paryża, lub niefortunny romans z Marią Wodzińską.

Zgłosić by jeszcze można pretensję innego rodzaju. Listy Chopina dostarczają wielu celnych i dowcipnych sądów, określeń i charakterystyk, które szerzej wykorzystane w dialogach, dałyby im tym samym cechę autentyzmu, redukując zbędną czasami mowę pozornie zależną.

Na wyróżnienie zasługuje natomiast dobry, staranny język opowieści, wystrzegający się tanich efektów i zbędnego poetyzowania, stanowiący wcale nie drugorzędny walor książki.

Opowieść Broszkiewicza to na tle dotychczasowej literatury szopenowskiej książka pionierska. Ulegając czasami, szczególnie w tomie drugim, nienajlepszym tradycjom, jest jednak, przez trafne pokazanie postaci Chopina, przez ambicję jak najpełniejszego powiązania jego muzyki z epoką we wszystkich jej ideowych i społecznych komplikacjach, pozycją potrzebną i wartościową.

Zbigniew Kubikowski

S t e f a n Ż e r o m s k i, SUŁKOWSKI i TUROŃ. P i s m a, pod redakcją S t a n i s ł a w a P i g o n i a, t. XXI, D r a m a t y 2, Czytelnik 1950.

Między *Sułkowskim* Żeromskiego, napisanym w roku 1910 w Paryżu, a jego *Turoniem*, który powstał w roku 1923, są znaczne różnice formy. *Sułkowski* (czy *Róża*) mają jeszcze całe strony monologów i długich, wylewnych dyskusji, tymczasem *Turoń* i wkrótce później napisana *Przepióreczka* uderzają wartkością akcji i ostrością, gwałtownością, oszczędnością dialogów. Może to śmierć, która stała już zą plecami pisarza, niecierpliwie oczekując na swój moment, dyktowała mu ów przyspieszony i gwałtowny rytm dramatyczny?

Słusznie uczynił jednak wydawca *Pism* Żeromskiego, iż połączył *Turonia* w jeden tom z *Sułkowskim*. Bo zagadnienia poruszone w tragedii pisanej na gruncie paryskim odezwą się raz jeszcze w przedostatnim utworze scenicznym Żeromskiego, w *Turoniu*. Są to zagadnienia, dotyczące stosunku polskiego ruchu niepodległościowego do sprawy ludu, do kwestii chłopskiej. Na pytania, które stawia wierzący w rewolucję francuską adiutant Napoleona i jakobin Sułkowski, udzielą kiedyś częściowej przynajmniej odpowiedzi bohaterowie rozgrywającego się w roku 1846 *Turonia*. Myślowy związek tych dwóch, pozornie tak odległych utworów — wydaje się oczywisty.

Przypomnijmy sobie pierwszy akt *Sułkowskiego*, pamiętny grą Juliusza Osterwy. Widzę go, jak siada przy ognisku żołnierskim, jak rozmawia z legionistami przebywającymi koło Werony. Ta sama tęsknota za krajem ożywia serce adiutanta napoleońskiego i prostych żołnierzy. „Po polskim piasku — a choćby też i boso. Polski piach ciepły“ — mówi legionista Boś. „W tamtej stronie, na swoim polu, to ta i na bosaka ciepło, a tu, we włoskiej stronie — to jak w kościele. Nie pasuje na bosaka. Trza w butach“ — dodaje jeden z kolegów. A trzeci wreszcie wywołuje z pamięci obraz rodzinnej drogi, żyta „idącego polami“, bławatów, macierzanek, pokrzykujących przepiórek. Lecz za chwilę słyszymy taki oto głos społecznego protestu, jakby uprzedzający *Kordiana i chama* Kruczkowskiego. „K o ł o m a ń s k i: Przebijesz ścianę niemiecką, przyjdziesz w swoje dziedzictwo. I znowuj pojmie cię karbowy na pańskie, szlufy ci każe odpruć, mundur wojacki ściągnąć do ostatniego lejbika, rzemienie wojackie zawrze w komorze, a będzie ci swoim starym rzemieniem plecy orał, jak ojcom, dziadom, pradziadom. — B o ś: Kaj się gdzie smętarze między zbożami bielą, wszędzie przecie ojce leżą — bity naród. — T r z m i e l: Jakie ta beły króle, jakie ta bez polską ziemię idą teraz cesarze — kto ich ta, mocny Boże! wie i spamięta. A ino zawżdy ten sam beł podstarości i onego to samo prawo: od zaranku na pańskie naród gnać, a późnym zmierzchem popuszczać. — Z a l e s i a k: Ostały w chałupie ojce. Orzą na pańskim, sieją, żną. Przyjdziesz z wojaczki, spytasz się, jak i co... Cóż ci powiedzą? — K o ł o m a ń s k i: Odszedł okuman stary, a przyszedł nowy — sto razy gorszy pies“. Wtedy właśnie, w rozmowie z żołnierzami, podejmuje Sułkowski zobowiązanie: „N i e b ę d z i e c i e w i ę c e j b a t ó w b r a ć n a s w e j o j c z y z n y p o d w ó r c u“. „Żołnierze!“ — mówi chwilę potem — „Teraz jesteście ludźmi wolnymi. Na ostrzu bagnetów dla innych wolność po ziemi cudzej nosicie. Z jednego teraz jesteście pnia — ja i wy. Jakem ja pojął duszą, co się w naszych oczach za straszna rzecz dokonała, tak samo wy pojąć macie. Chcę, żeby się w was ocknęła jędza gniewu, jak we francuskim ludzie“. „I patrzcie: lud francuski wszystkich wrogów odepchnął, zdeptał, pokonał. W gniewie swym lud francuski porwał się na wszystko, co stary świat wypracował. Palił

stare prawa, targał wściekłymi rękami odwieczne świętości, broczył we krwi, żeby ze swego serca wydobyć nową, straszliwą siłę. Podobnie wy, kiedy przyjdziecie na ojczystą ziemię, macie nastawić bagnety przeciwko spróchniałym prawom podłości i przemocy człowieka nad człowiekiem[...]".

Sułkowski całym życiem udowadnia szczerość swych przekonań. W rozmowie, której się przysłuchuje droga mu księżniczka Gonzaga, wyjaśnia, że „nie jest z rodu książąt", tylko „nieprawym synem jednego z Sułkowskich, austriackiego oficera". „Nie zamilczę prawdy" — dodaje. — „Nie zlęknę się swej doli".

I taki ostateczny sens — wykazania niezłomnej wierności dla idei ludowej, zarazem narodowej, w najgłębszym sensie — ma śmierć Sułkowskiego w Egipcie.

W *Turoniu* próbują spiskowcy-rewolucjoniści 1846 roku porwać za sobą lud. Jedni czynią to szczerze, dla innych myśl walki z najeźdźcą przysłania wszelki sens społeczny tej walki. Jedni przybyli piechotą z dalekiej Francji, przesiąknięci są zapachem Centralizacji demokratycznej. Inni udzielali wprawdzie azylu rewolucyjnym konspiratorom: masonom, węglarzom, Związkowi Synów Ojczyzny, Młodej Sarmacji, Gromadzie Grudziądz, Sprzysiężeniu Demokratów, Stowarzyszeniu Ludu Polskiego, Kasprowi Cięglewiczowi, Goszczyńskiemu, Wiśniowskiemu, Dembowskiemu, Heltmanowi, Mazurkiewiczowi i tylu innym, przemykającym się chyłkiem, w przebraniu, pod obcym, przybranym nazwiskiem (akt 1) — jednakże treść społeczna ruchu jest im obca. I kiedy zechcą ogłosić zniesienie pańszczyzny oraz uwłaszczenie ludu, będzie już za późno. Podjudzone przez starostę austriackiego masy chłopskie ruszą na dwory, by wymierzyć sobie samym sprawiedliwość, po swojemu, i będą zabijać wszystkich panów, także i tych, którzy wyjdą do nich z powstańczym hasłem na ustach. Bo — jak mówi Boś w *Sułkowskim* — „my są naród nieufny. Z chłopskich my wyszli chałup. Nas sto razy zdradziła zdrada i oszukało oszustwo. To samo ojce nasze, dziady, pradziady".

W ten sposób oba utwory wiążą się wspólnym nurtem tematycznym, wielkością poruszonej tu sprawy. Sprawy, która niegdyś z taką siłą zabrzmiała w książce Maurycego Mochnackiego, *Powstanie narodu polskiego*, która odezwie się potem najostrzejszym akcentem w wierszu Mickiewicza *Ręce za lud walczące*, która już przed rokiem 1831 przenikała wiersze Antoniego Góreckiego, wyrzucającego nieszczerość szlachcie, walczącej przeciw caratowi, a równocześnie uciskającej własne chłopstwo.

Dlaczego nie udało się powstanie 1830/1831 roku, mimo niewątpliwych szans militarnych i wspaniałego bohaterstwa młodzieży? Mochnacki odpowiedział na to powołując się na brak społecznej treści powstania listopadowego, na zaprzepaszczenie szans porwania za sobą mas, i to nie tylko polskich, ale i rosyjskich.

Turoń — to ostrzeżenie, a zarazem wskazanie drogi, która wiedzie do zdobycia miłości ludu.

Wojciech Natanson

HISTORIA

B o h d a n B a r a n o w s k i, POWSTANIE KOSTKI NAPIERSKIEGO W 1651 R., Warszawa 1951, Prasa wojskowa.

J ó z e f B u r s z t a, WIEŚ I KARCZMA, Warszawa 1950, Ludowa Spółdz. Wyd.

W ł a d y s ł a w O c h m a ń s k i, ZBÓJNICTWO GÓRALSKIE, Warszawa 1950, Ludowa Spółdz. Wyd.

S t a n i s ł a w S z c z o t k a, WALKA CHŁOPÓW O WYMIAR SPRAWIEDLIWOŚCI, Warszawa 1950, Ludowa Spółdz. Wyd.

Zagadnienie wyzysku poddanych i walki chłopskiej o wyzwolenie zwróciło ostatnio, jako kluczowe zagadnienie formacji feudalnej, szczególnie pilną uwagę historyków. Stwierdzając, że dopiero po dokładnym zapoznaniu się z tym zagadnieniem będzie można właściwie oświetlić nasze dzieje w dobie Rzeczypospolitej szlacheckiej, szereg badaczy zwraca się dzisiaj do archiwów, by opracować tę kwestię w oparciu o źródła pomijane, niejednokrotnie celowo, przez dawnych historyków, albo też poddaje gruntownej analizie materiały już znane, ale błędnie dotychczas interpretowane. W związku z tymi badaniami ukazało się w ciągu ostatnich miesięcy kilka prac historycznych, poświęconych położeniu chłopów w Rzeczypospolitej szlacheckiej, a mających przeważnie charakter popularnonaukowy. Jakkolwiek nie wnoszą one na ogół wiele materiału nowego, świeżo zdobytego w archiwach, przecież — dzięki systematycznemu zestawieniu faktów, może znanych, ale rozproszonych po trudno dostępnych rozprawkach czy artykułach — dzięki krytycznemu podejściu do ich dotychczasowej interpretacji i wreszcie dzięki próbom właściwego wyjaśnienia — zasługują te prace zarówno na uwagę naukowca historyka, jak i każdego czytelnika, zainteresowanego naszą przeszłością.

Jest rzeczą niezmiernie znamienną, że o ile tylko jedna z omawianych prac zajmuje się kwestią wyzysku poddanego, to pozostałe poświęcone są różnym formom walki chłopa z wyzyskującym go szlachcicem. Opór chłopski i walka chłopa z wyzyskującą go klasą znajdowały niewielkie odbicie w dotychczasowej historiografii. Dla utrzymania fikcji jednolitego społeczeństwa wygodniej było tę sprawę pominąć milczeniem albo przesunąć na płaszczyznę „buntów kozackich". Tworzono więc mit „spokojnego", „nieskłonnego do buntów" chłopa polskiego, gdy w archiwach żółkły i pokrywały się pyłem dokumenty chłopskiej walki z uciskiem. Dlatego też dzisiaj poświęcić trzeba jak największy wysiłek na wydobycie z zapomnienia tych właśnie kart historii.

Rozpatrzmy bliżej omawiane książki.

J. B u r s z t a zajmuje się jedną z najciemniejszych stron wyzysku poddanego: zmuszaniem go do pijaństwa w celu powiększenia dochodów dworskich. Przedstawiając dzieje stosunku karczmy do wsi, autor podkreśla, że w związku z rozwojem gospodarki pańszczyźniano-folwarcznej karczma staje się monopolem w ręku szlacheckim. Szlachta wygrywa walkę o karczmę wiejską, prowadzoną z duchowieństwem (karczmy plebańskie), sołtysami (karczmy sołtysie) i z mieszczaństwem. Z wiekiem XVI karczma staje się jeszcze jednym narzędziem w ręku pana, służącym do jak najpełniejszego wykorzystania poddanych. Pojawia się przymus propinacyjny, obowiązek nabywania trunków tylko w karczmie dworskiej. W ten sposób szlachta, która przejęła w swe ręce produkcję trunków, zapewniała sobie ich zbyt. Gdy i to nie wystarczało, chwytała się jeszcze innego sposobu: przymusu konsumpcji. Pan po prostu narzucał chłopu kontyngent wódki, za który chłop musiał

płacić niezależnie od tego, czy chciał, czy też nie chciał pić. W rezultacie chłop często zachodził do karczmy; było to spełnianiem jeszcze jednego obowiązku wobec pana. Zresztą panowie starali się i innymi drogami zachęcić poddanych do pijaństwa. Nie mówiąc o własnym przykładzie (pijaństwo szlacheckie jest dobrze znane), korzystali w tym celu z kiermaszów, odpustów, wszelkich zabaw i uroczystości. Były one zawsze połączone ze spożyciem znacznej ilości trunków.

Nie należy przypuszczać, by chłopi pozwalali narzucać sobie przymus propinacyjny i konsumpcyjny bez oporu ze swej strony. Zachowało się wiele skarg poddanych, zwłaszcza z dóbr królewskich i duchownych, na zmuszanie ich przez szlachtę do szynkowania czy picia wódki. Trudno się wprawdzie spodziewać, by te zażalenia odnosiły jakiś skutek; są one jednak wyraźnym przejawem walki chłopów z tą formą wyzysku; co ważniejsza, wskazują na stały, bierny opór wobec narzuconego przymusu, polegający na omijaniu pańskich nakazów stałego zakupywania trunków w karczmie dworskiej. Trzeba jednak pamiętać, że ciężkie położenie poddanego było czynnikiem utrudniającym ten opór; wódka nieraz pozwalała mu zapomnieć o jego nędzy, nic więc dziwnego, że ostatecznie szlachecka polityka rozpijania chłopów kończyła się powodzeniem. W XVIII w. dochody z propinacji i wynajmu karczem stanowiły niekiedy ponad ⅔ ogólnego dochodu poszczególnych dóbr szlacheckich.

J. Burszta omawia także i inne funkcje karczmy w dobie pańszczyźnianej; była ona miejscem zgromadzeń chłopskich, sądów wiejskich. Tutaj chłop nie tylko mógł się zabawić, ale i posłuchać wieści ze świata. Ta wszechstronność i różnorodność spełnianych przez karczmę funkcji, fakt, że będąc instytucją wyzysku zaspokajała jednocześnie w pewnej mierze potrzeby kulturalne i społeczne poddanych, powiększał poważnie płynące stąd niebezpieczeństwo dla chłopów.

Wszechstronna analiza roli karczmy dworskiej, wykazanie, że „rozpijanie chłopów przez szlachtę nie jest wielkopańską swawolą", ale że „jest to jedno z podstawowych zjawisk pańszczyzny, związane z całym systemem pańszczyźnianej gospodarki", decyduje o wartości pracy. Nigdy jeszcze w naszej literaturze historycznej zagadnienia te nie zostały tak dokładnie i wyczerpująco przedstawione, nigdy nie została tak wyraźnie podkreślona zależność ich od podłoża ekonomiczno-społecznego. Toteż mimo pewnych zastrzeżeń, które można mieć co do niektórych sformułowań autora, jak i co do drobnych zresztą niekonsekwencji układu (np. dlaczego autor nie omawia udziału pielgrzymów w życiu karczmy w rozdziale o karczmie gościńcowej), trzeba uznać pracę J. Burszty za poważny krok na drodze do zrozumienia przyczyn tragicznego położenia chłopów pańszczyźnianych w dawnej Polsce.

Mimochodem wymienione zostały poprzednio skargi chłopskie na szlachtę i całkowita ich bezskuteczność. Zagadnieniem tym bliżej zajął się St. Szczotka, przedstawiając na kilku przykładach walkę chłopów o wymiar sprawiedliwości. Jak wiadomo, od czasów Zygmunta Starego sądownictwo w dobrach szlacheckich pozostawało wyłącznie w ręku pana. Natomiast dobra królewskie zachowały do końca istnienia Rzeczypospolitej prawo odwoływania się do sprawiedliwości królewskiej, do tzw. sądów referendarskich. Po wojnie ukazała się praca J. Rafacza, zajmująca się funkcjonowaniem tych sądów. St. Szczotka wykazuje natomiast, że sądy te nie tylko były machiną, działającą powoli i skomplikowanie, nie tylko zajmowały często stanowisko stronnicze i wyraźnie szlacheckie, ale nawet w wypadkach jawnej niesprawiedliwości, kiedy musiały wydać wyrok skazujący szlachcica-dzierżawcę, nie były w stanie później egzekwować swych postanowień. Kiedy bowiem szlachcic po-

trafił skutecznie dopilnować wykonania wyroków swych sądów patrymonialnych, to wyroki sądu królewskiego respektował tylko wtedy, gdy leżało to w jego interesie. Toteż nic dziwnego, że w dawnej Polsce istniało przekonanie, że „prawo jest jak pajęczyna, bąk się przebije, a na muchę wina".

Szlachcic jednak nie tylko lekceważył wyroki sądów referendarskich, ale i mścił się na chłopach, którzy się ważyli do nich odwoływać. Nie na darmo pojawiają się w uchwałach sejmikowych żądania, by wszelkie skargi na dzierżawców królewszczyzn traktować jako bunty. Choć żądania te nie stały się konstytucjami, samowola szlachecka pozwalała dzierżawcom wtrącać skarżących się chłopów do więzień, prześladować ich, bić i katować. Podziwiać też trzeba upór, z jakim poddani, nie zrażając się żadnymi trudnościami, potrafią przez lata całe procesować się ze swymi wyzyskiwaczami.

Gdy jednak bierna obrona zawodziła, a sprawiedliwości nie można się było w szlacheckiej Polsce doszukać, cóż pozostawało chłopom? Albo ucieczka od pana, ucieczka kończąca się zwykle przyjęciem nowego poddaństwa i popadnięciem w nową zależność, albo walka zbrojna o swe prawa. Walka ta nie zawsze musiała się przejawiać w formie powstania chłopskiego. Mogła to być również walka drobnej stosunkowo grupy chłopów z istniejącym porządkiem społecznym, prowadzona w formie jakiejś niewielkiej, ale stałej partyzantki. Taki rodzaj walki stanowi dla Wł. Ochmańskiego działalność zbójników góralskich.

Praca Wł. Ochmańskiego, opierająca się w największym stopniu, spośród omawianych tu książek, na nie znanych materiałach archiwalnych, stanowi całkowicie nowe spojrzenie na zbójnictwo. Zbójnicy tatrzańscy, którzy tak często przyciągali uwagę pisarzy, muzyków i malarzy, długo musieli czekać na to, by zajęło się nimi pióro historyka. Wprawdzie istniał szereg przyczynków do ich dziejów, przecież brakowało syntetycznego ujęcia, tłumaczącego faktyczną rolę i znaczenie zbójników a wolnego od mitologizowania czy upiększania legendami ich życia. Brak ten uzupełnia w znacznym stopniu praca Wł. Ochmańskiego. Autor wykazuje przede wszystkim gospodarcze i społeczne podłoże zbójnictwa góralskiego, podkreśla, że pojawienie się zbójnictwa wiąże się z okresem wprowadzania gospodarki pańszczyźniano-folwarcznej na Podhalu, z okresem wzmożonego wyzysku chłopów na tym terenie. Zbójnicy rekrutowali się zwykle z najuboższych warstw ludności góralskiej, spotykali się jednak z poparciem ze strony całej niemal wsi. Autor zajmuje się kwestią organizacji „towarzystw" zbójnickich, stwierdzając, że były one zwykle nieliczne, kilkuosobowe, oraz że obok stałych grup zbójnickich istniały „towarzystwa" zbierane dorywczo. Wiele miejsca poświęca omówieniu walki szlachty ze zbójnictwem, tworzeniu przez nią specjalnych oddziałów tzw. harników, surowemu i okrutnemu prawodawstwu. Wszelkie te środki jednak zawodziły. Zbójnictwo przetrwało aż do połowy XIX w., do okresu likwidacji pańszczyzny.

Trudno się wprawdzie nie zgodzić z zasadniczymi twierdzeniami autora, mimo to wydaje się, że w pewnych wypadkach przeceniają one nieco znaczenie zbójnictwa. Chociaż więc nie ulega wątpliwości, że zbójnictwo miało wyraźnie klasowy kierunek działania, to przecież nie można go uważać wyłącznie za świadomy ruch antyszlachecki. Przytoczone przez autora zestawienie (s. 108) napadów zbójnickich dokonanych w ciągu kilkudziesięciu lat na obszarze państwa żywieckiego, wskazuje, że obok 19 napadów na folwarki miało miejsce aż 40 napadów na bogatych chłopów i 31 na szałasy, również należące do nich. Widać stąd, że na tym terenie, gdzie bogaci chłopi (np. sołtysi) stanowili wcale liczną i wpływową warstwę, przeciwko

nim właśnie kierowali się zbójnicy, będąc raczej wyrazicielami interesów ubogich warstw ludności wiejskiej w walce z wyzyskiem bogaczy. Nie można także lekceważyć faktu pojawiania się wśród zbójników i pospolitych rozbójników (s. 63); zjawisko to ma swą wagę i musiało się odbić na całokształcie postępowania zbójników. Inna rzecz, że książce brakuje w ogóle zasadniczego omówienia różnic między zbójnikami a rozbójnikami. Niepotrzebnie autor także broni zbójników przed zarzutami okrucieństwa (s. 119). Sprawa ta musi być rozpatrywana na tle ogólnych zwyczajów ówczesnych, choćby sądowych, których okrucieństwo dokładnie jest zaznaczone na innym miejscu tej pracy. Zresztą przytaczane później opisy przypalania, stosowanego przez zbójników celem wydobycia wiadomości o ukrytych skarbach, stanowczo są niezgodne z nieco wyidealizowanym wizerunkiem zbójnika, który chce koniecznie ukazać nam autor.

Niesłuszne wydaje się także lekceważenie przez autora czynnika geograficznego jako pewnej podstawy umożliwiającej rozwój zbójnictwa. Za mało również podkreślone zostało znaczenie pogranicza. Bez omówienia roli tych czynników trudno zrozumieć, dlaczego wzrost wyzysku chłopa w ramach gospodarki folwarczno-pańszczyźnianej powoduje tylko na Podkarpaciu pojawienie się zbójników.

Autor wysoko ceni partyzantkę zbójników góralskich, mimo to jednak nie ulega wątpliwości, że bez porównania poważniejsze znaczenie miały masowe powstania chłopskie. W roku bieżącym przypada 300 rocznica najpoważniejszej próby powstania chłopskiego na terenie ziem etnicznie polskich dawnej Rzeczypospolitej, powstania Kostki Napierskiego. Niewielka, ale cenna rozprawa B. Baranowskiego stanowi zebranie naszych dotychczasowych wiadomości o tym powstaniu. Samo powstanie, organizowane w bliskim związku z ruchem Chmielnickiego, choć zakończone niepowodzeniem, stanowiło przecież wydarzenie niezmiernie doniosłe. Chłopi organizują się nie tylko na terenie Podhala, ale również w Wielkopolsce, na Mazowszu, w Lubelskiem. Długoletnia krzywda chłopska miała wydać owoce. B. Baranowski przytacza nowe, zupełnie nie znane szczegóły dotyczące próby współpracy między górnikami i hutnikami z terenów Małopolski a powstającymi chłopami. Jednak szybka i energiczna akcja ze strony feudałów i niedostateczna organizacja powstańców powodują prędkie załamanie się ruchu. Kostka Napierski ze swymi towarzyszami dostaje się w ręce zwycięzców. Wobec chłopów stosuje szlachta niezwykle surowe represje. Utrzyma się jednak tradycja walki o wyzwolenie chłopskie.

Właśnie najważniejszym zadaniem historii jest wydobycie tej tradycji, tradycji walki z uciskiem, walki o sprawiedliwy ustrój. Powoli i nasza historia zaczyna to zadanie wypełniać.

Józef Gierowski

Stefan Kieniewicz, KONSPIRACJE GALICYJSKIE (1831—1845), Warszawa 1950. Biblioteka Historyczna Książki i Wiedzy, 11.

Znany historyk warszawski, Stefan Kieniewicz, w ciągu lat powojennych wydał już szereg prac, dotyczących historii Galicji. Obejmowały one chronologicznie przeważnie okres wiosny ludów (*Galicja w latach 1846—1848, W stulecie wiosny ludów*, wydawnictwo źródłowe *Rok 1848 w Polsce*), względnie lat poprzedzających bezpośrednio rewolucję (wydawnictwo *Rewolucja polska 1846 roku*), ze specjalnym uwzględnieniem najbardziej palącego naówczas zagadnienia, kwestii chłopskiej (*Sprawa włościańska w galicyjskim sejmie stanowym, 1843—1845*, Sobótka,

czy *Sprawa włościańska w Galicji w roku 1848,* Przegląd Historyczny). W ostatniej swojej pracy Kieniewicz cofnął się nieco wstecz i przedstawił ruchy spiskowe w okresie pomiędzy upadkiem powstania listopadowego a okresem rewolucyjnym z lat czterdziestych.

Cechą charakterystyczną spisków w latach trzydziestych było to, że bodaj jedyny raz w XIX w. na tę skalę ich punktem centralnym była Galicja. Królestwo było zbyt przytłoczone ciężarem rządów paskiewiczowskich, w Poznańskiem rozwinęły się konspiracje na dobre dopiero na przełomie lat trzydziestych i czterdziestych. Toteż w dziesięcioleciu 1831—1841 uwaga żywiołów rewolucyjnych w kraju i na emigracji w dużej mierze zwrócona była na zabór austriacki.

Zjawisko to znane jest zresztą nie od dzisiaj i niejedno już na ten temat napisano. Jeżeli autor uznał za potrzebne napisanie nowej syntetycznej pracy o tym okresie historii Galicji, to po części skłoniło go do tego posiadanie pewnej ilości nowego materiału, a w pierwszym rzędzie przedstawienie zagadnienia w nowym naświetleniu. Chodziło mu, jak sam to formułuje, „o ukazanie konspiracji galicyjskich jako zewnętrznego objawu procesów zachodzących w łonie społeczeństwa, w szczególności zaś rywalizacji pomiędzy szlachtą a różnymi grupami mieszczaństwa i inteligencji. Stosunek tych grup społecznych do sprawy niepodległości, do zaborcy, a bardziej może jeszcze do sprawy włościańskiej, oto czynnik, warunkujący, przy bliższym wejrzeniu, zarówno rozrost jak też załamanie się i upadek spisków galicyjskich". Dlatego też mimo iż ciężar pracy spoczywa raczej na znanym materiale drukowanym (choć i archiwalia grają znaczną rolę), stanowi ona w stosunku do dotychczasowej historiografii poważny krok naprzód.

Zasadnicze zagadnienie, podjęte przez autora, stosunek sił szlachty i grup inteligencko-mieszczańskich w ruchu spiskowym na tle sprawy chłopskiej, przewija się przez wszystkie osiem rozdziałów, choćby nawet nie zawsze było jasno sformułowane.

Zaczął autor od charakterystyki społeczeństwa Galicji, ze specjalnym uwzględnieniem grup pośrednich pomiędzy szlachtą a chłopstwem. Po przedstawieniu wpływu powstania listopadowego na Galicję (*Przebudzenie polityczne Galicji*) omówione zostały w czterech rozdziałach poszczególne okresy ruchu spiskowego. O ile w okresie początkowym dominującą rolę odgrywała szlachta, to gdzieś od połowy 1833 r. kierownictwo spisków spoczywało w rękach emigrantów, którzy zaczęli szukać porozumienia z żywiołami inteligencko-mieszczańskimi i oficjalistami dworskimi (*Spisek wkracza w środowisko miejskie*). Stało się to w tym okresie, kiedy rząd austriacki zaczął gorliwiej tłumić spiski, a nawet forytować chłopów przeciw szlachcie. To wystarczyło, aby „zniechęcić szlachtę do udziału w spiskach".

Lata 1833—1841 to cały kalejdoskop organizacji, powstających i rozpadających się ponownie, ze Stowarzyszeniem Ludu Polskiego, Konfederacją Narodu Polskiego i Młodą Sarmacją na czele. Ciągle toczy się walka pomiędzy elementami bardziej i mniej radykalnymi (*Dwa nurty w łonie spisku*), przy czym jedną z zasadniczych kwestii jest sprawa chłopska. Pomimo że znaczenie jej rewolucjoniści galicyjscy, podobnie jak znaczna część społeczeństwa w kraju i na emigracji, doceniali, nie stworzono żadnego jednolitego programu, nie postarano się o zapoczątkowanie choćby jakichkolwiek reform. Pomimo oparcia się na żywiołach miejskich, pomimo całej rewolucyjności, działalność większości organizacji ciągle obliczona była na ewentualność porozumienia ze szlachtą. Jest to zresztą zjawiskiem zupełnie zrozumiałym wobec faktu, że szlachta pozostawała ciągle największą realną siłą w Pol-

sce. Tym łatwiej to zrozumieć, że po okresie przewagi emigrantów utracili oni wkrótce wpływ na rzecz żywiołów miejscowych. Było w ogólności cechą charakterystyczną dla ruchu spiskowego z okresu po r. 1831, że w momencie przenoszenia działalności na teren kraju często, choć nie zawsze, tępiało jego ostrze antyszlacheckie, a w kierownictwie do głosu dochodziły elementy ziemiańskie. Słabością ruchu na terenie Galicji było więc to, że „inteligentom szło... o mediację między chłopem a szlachtą, o zaspokojenie pierwszego bez szkody dla drugiej. Dylemat nierozwiązalny — zwłaszcza dla grupy społecznej, która nie miała w Galicji za sobą ani siły liczebnej, ani materialnego znaczenia". Stanowiska tego nie zdołały przełamać żywioły bardziej rewolucyjne. Toteż próby agitacji wśród chłopstwa wkrótce zaczęto tłumić w obawie przed jego radykalizmem.

Słabość elementów, na których oparty był ruch spiskowy, okazała się dowodnie podczas kryzysu na przełomie lat trzydziestych i czterdziestych. Likwidacja spisków, pozostająca także w pewnym związku ze zmianą koniunktury ekonomicznej, w której wyniku szlachta, zaangażowana jeszcze ciągle w ruchu, przeszła na pozycje działalności legalnej, sprowadziła na kraj parę lat względnej martwoty politycznej. Okres 1841—1845 to już tylko procesy i martyrologia.

Pomimo jednak klęski spisków, ogólny sąd autor formułuje w sposób następujący: „stały się [spiski] pierwszą szkołą polityczną oświeconego żywiołu miejskiego. Przed powstaniem listopadowym i nawet jeszcze w dobie zaliwszczyzny liczyła się w życiu politycznym Galicji tylko szlachta. Rozwój wypadków zraził ją do konspiracji, a eliminował z niej emisariuszy; za to inteligentom miejscowym dał kadry organizacyjne. Żywioł miejski stanął na czele ruchu narodowego, zrazu w warunkach konspiracyjnych. Ale ta podziemna praktyka umożliwiła mu już w r. 1848 jawne sięgnięcie po przewodnictwo w narodzie. Na tej samej pozycji tradycji wyrosło demokratyczne środowisko lwowskie, jedyna w kraju przeciwwaga dla wpływów ziemiańskich w ciągu paru dziesięcioleci. To było najtrwalsze następstwo ery konspiracji".

Adam Galos

Juliusz Demel, STOSUNKI GOSPODARCZE I SPOŁECZNE KRAKOWA W LATACH 1846—1853, Kraków 1951. Biblioteka Krakowska, 107.

Historia Galicji i Krakowa w XIX wieku doczekała się w okresie powojennym paru wartościowych prac. Złożyło się na to z jednej strony istnienie luk w dotychczasowej historiografii, co zresztą nie jest wyłącznym przywilejem tej dzielnicy, a z drugiej, co ważniejsze, znacznie lepszy niż w innych częściach kraju stan zachowania materiałów źródłowych. Po paru pracach Bieniarzówny, dotyczących okresu Rzeczypospolitej Krakowskiej, po rozprawie Knapowskiej o spiskach z lat 1830—1834, po szeregu opracowań Kieniewicza, zgrupowanych w okresie poprzedzającym wiosnę ludów, i paru drobniejszych pracach, związanych przeważnie z rocznicą 1848 r., w ostatnich miesiącach ukazała się nowa książka o stosunkach gospodarczych i społecznych Krakowa w latach 1846—1853.

Autor postawił sobie za zadanie wszechstronne przedstawienie stosunków w Krakowie w okresie pomiędzy likwidacją samodzielności Rzeczypospolitej Krakowskiej a rozwiązaniem Rady Miejskiej w r. 1853. Druga data posiada o wiele mniejsze znaczenie od pierwszej, ale narzucona została częściowo, jak się wydaje,

ilością materiału i zmianą charakteru źródeł. Jednocześnie w r. 1853 ukazała się praca Kalinki (*Kraków i Galicja pod panowaniem austriackim*), której wyniki poddaje Demel rewizji.

A materiał do tego celu miał obfity. Zazdrościć można historykom grodu podwawelskiego ilości archiwaliów, i to zgromadzonych w jednym miejscu, jak to spostrzegamy w tym wypadku. Z jednym wyjątkiem wszystkie rękopisy znalazł autor w Archiwum Akt Dawnych Miasta Krakowa, a były to akty władz miejskich, organizacji kupieckich, rzemieślniczych itd. Wiele materiału dostarczyła mu także ówczesna prasa, a więc Gazeta Krakowska, później Czas. Wreszcie pewne uzupełnienia dorzuciły niektóre drukowane pamiętniki.

Okres, opracowany przez Demela, jak sam autor stwierdza, traktowany był dotąd bardzo po macoszemu. Znacznie chętniej zajmowano się okresem Rzeczypospolitej Krakowskiej czy też ponownym rozkwitem miasta po r. 1866. Dobrze więc, że jako zapoczątkowanie badań nad tymi latami pojawiła się praca, dotycząca stosunków gospodarczych i społecznych, która z materiału archiwalnego wydobywa niezwykłe bogactwo faktów. Stać się ona musi konieczną pomocą dla autorów prac z zakresu historii politycznej, kulturalnej itd. (dla przykładu: z pracy Demela, choć będącej jeszcze w rękopisie, korzystał Wyka przy opracowywaniu swojej *Teki Stańczyka*).

Jak już wspomniano, omawiana praca daje bardzo wiele materiału faktycznego. Niesposób wprost w ramach krótkiego sprawozdania omówić choćby ważniejsze poruszone w niej kwestie. Mowa jest kolejno o władzach administracyjnych (rozdział najkrótszy i stosunkowo najuboższy w treść), dalej o ludności, jej podziale na grupy zawodowe i ruchu, o klęskach elementarnych i stanie bezpieczeństwa, o urządzeniach użyteczności publicznej; ciekawe wiadomości zawierają następne rozdziały: o gospodarce miejskiej, o systemie podatkowym, a zwłaszcza o pieniądzu i kredycie; wreszcie po szczegółowym przedstawieniu cen i płac znowu bardzo ciekawe są uwagi o rzemiośle, początkach przemysłu i handlu.

Obraz Krakowa, jaki można sobie wytworzyć na podstawie pracy Demela, potwierdza w pełni, tym razem już chyba w sposób bezapelacyjny, dotychczasowe sądy o ekonomicznym upadku i społecznym marazmie Krakowa w pierwszych latach rządów austriackich. Dowodzą tego dane, dotyczące gospodarki miasta, ciągłe niedobory budżetowe, pomimo zaniedbywania koniecznych nawet inwestycji. Jeszcze silniej przemawiają uwagi o chaosie pieniężnym, o braku ruchliwości i inicjatywy ze strony kapitału krajowego, a z drugiej strony o przenikaniu na teren Galicji kapitału obcego z innych części Austrii i z zagranicy. Dla przykładu wystarczy przytoczyć fakt, że w r. 1845 na 5.000 akcji kolei górnośląsko-krakowskiej kapitał krakowski posiadał zaledwie 800. Brak ruchliwości kapitału przejawiał się także w częstym lokowaniu go w listach zastawnych Królestwa Polskiego.

Najostrzej jednak zacofania stosunków krakowskich dowodzi sytuacja panująca w rzemiośle i handlu. Nie tylko, że niemal zupełnie brak było przemysłu, ale jakże nieliczne i odosobnione były próby jego tworzenia (praktyczne — mistrza kowalskiego L. Zieleniewskiego, publicystyczne — ks. Jakubowskiego). Toteż społecznie ciągle przeważały w Krakowie konflikty pomiędzy mistrzami a czeladnikami, pomiędzy cechami a fuszerami. Rzemiosło do tego stopnia nie czuło się zagrożone ze strony przemysłu, że nie odczuwało nawet potrzeby lepszego zorganizowania się dla obrony przed produkcją maszynową, jak to miało miejsce w innych częściach monarchii habsburskiej. Wbrew dotychczasowym sądom historyków (z Kalinką na

czele), autor za stan ten nie obciąża wyłącznie rządu austriackiego, który przeważnie nie interesował się rozwojem przemysłu, ale kładzie to na karb specyfiki rozwoju kapitalizmu polskiego, z przeważającymi ciągle wpływami szlachetczyzny, z „oporem psychiki szlachecko-ziemiańskiej". Jak pisze, „ideałem nawet warstw mieszczańskich, nawet jednostek posiadających wszelkie dane na powodzenie w przedsięwzięciach handlowych czy przemysłowych, pozostało mimo wszystko bogacić się byle jak, byle prędko, najlepiej jakąś zyskowną a lekką spekulacją, a potem kupić majątek, osiąść we dworze i żyć jak »pan« " (s. 254). Nie bez wpływu pozostawały także obawy szlachty o odpływ rąk roboczych do przemysłu. Tu należałoby dodać pytanie, czy i o ile nie było przypadkiem jakichś kroków ze strony znacznie bardziej rozwiniętego przemysłu z innych części monarchii, utrudniających najsłabsze choćby próby stworzenia konkurencji dla towarów importowanych. Być może były one zbędne.

Przemysłu w Krakowie nie było także i przed r. 1846, ale rozwinięty był za to znacznie lepiej handel, który na skutek zmian polityczno-celnych w latach następnych silnie podupadł. Połączone to było z przestawianiem się jego na wyłącznie austriacki kierunek, w stronę Wiednia i Pragi, a ze zrywaniem wielu kontaktów z Królestwem, Śląskiem czy zagranicą. Organizacja społeczna handlu, z kongregacją kupców, z uprzywilejowaniem starych rodów kupieckich, z walką z „przeszkodnikami", odpowiadającymi fuszerom rzemieślniczym itd., świadczy o zacofaniu, panującym także i w tej dziedzinie życia.

Wypadnie poprzestać na tych paru uwagach, mimo że praca Demela nasuwa ich znacznie więcej (np. dane dotyczące położenia poszczególnych grup zawodowych, aby wymienić przykładowo nieprawdopodobnie nisko płatnych nauczycieli ludowych; dalej — tworzenie się proletariatu, a właściwie może raczej preproletariatu). Widać z nich w każdym razie, że przy całej przewadze materiału faktycznego nad syntezą, przy nie kończących się szeregach cyfr i danych, pozwala ona na wytworzenie pewnego obrazu całokształtu zagadnienia.

Dodać należy, że praca ilustrowana jest blisko trzydziestoma trafnie dobranymi i przeważnie mało znanymi ilustracjami.

Adam Galos

WPROWADZENIE

Zdaje się, że praktyka polonistyczna rozstrzyga jeden z problemów kształtującej się nowej kultury: jak powinno wyglądać planowanie i teoretyczne wyposażenie krytyki literackiej?

Problem ów formułuje się jasno: gdzie znajdzie swoje miejsce szkoła krytyków: czy przy związkach literatów, czy przy polonistycznych katedrach uniwersyteckich? Jeśli dotychczas powiązania krytyki z uniwersytetami były zbyt nikłe i przypadkowe, nie ujęte programem odrębnego seminarium, to nie było to „przeoczeniem“ czy tylko kwestią rozwoju katedr, powolnego wzbogacania specjalności. Opory wynikały z zasady, z konieczności przyłączenia krytyki literackiej albo do sztuk pięknych, albo do nauki. Mając do wyboru — przy poszukiwaniu pionu krytyki, wśród wielu możliwości, jakie podsuwały kierunki teoretyczne — zasadę gustów i dobrego wrażenia, matematykę formalizmu i socjologiczne schematy, krytyk tracił przeświadczenie o naukowości swoich sądów.

„...jeżeli krytykę zaliczymy do nauk, to musi ona być obiektywną, jeżeli do sztuk pięknych, to, jak wszystkie sztuki, będzie ona subietywną“. I. Matuszewski — jak wielu — rozstrzygał to pytanie na rzecz subiektywizmu. Wobec tego rola uniwersytetów sprowadzała się nieraz w praktyce do magazynu starożytności literackich, a literackie kawy stawały się lekcjami dobrego smaku.

Lekcjami dobrego smaku są dziś dla krytyka prócz podstawowych pojęć o literaturze dyskusje w fabrykach i wśród wiejskich czytelników. I tu krytyk nie ustępuje autorowi. Ale krytyk musi o wiele głębiej od autora widzieć mechanizm rozwojowy naszej literatury, aby w dostępnej mierze kształtować współczesną literaturę na miarę jej wielkich, realistycznych tradycji.

„Ćwiczenia w pisaniu i mówieniu“, przewidziane przez Ministerstwo Szkół Wyższych i Nauki dla katedr polonistycznych, w środowisku wrocławskim zinterpretowane zostały właśnie jako seminarium orientujące

we współczesnej problematyce kulturalnej, a przede wszystkim w zagadnieniach krytyki literackiej i teatralnej.

W tej ostatniej dziedzinie, prócz teoretycznej dyskusji i zbiorowych konsultacji przy warsztacie reżysera i pisarza, źródłem oceny literackiej stały się dyskusyjne zebrania czytelników, doświadczenia pracowników bibliotek publicznych, opinie o zainteresowaniu literaturą i sądach o niej, jakie zbierali wrocławscy pisarze w akcji autorskich wieczorów na terenie województwa.

Jeśli roczną pracę seminarium oceniać jako planowy eksperyment, to jego zakończenie przemawiałoby właśnie za przyłączeniem krytyki literackiej do programu dydaktycznego polonistyki.

W chwili obecnej punktem wyjściowym było przekonanie o konieczności kształcenia polonisty pedagoga w szerszym znaczeniu tego słowa. Nie tylko pedagoga w szkole, ale korespondenta dziennika i tygodnika literackiego, praktycznego organizatora pracy kulturalnej poza większymi ośrodkami.

Drugą przesłanką pracy było ustalenie łączności sali ćwiczeń z życiem poza bramami uniwersytetu. Kilkadziesiąt recenzji literackich i teatralnych zapełniło albumy bibliotek, program radiowy i szpalty czasopism. Przy zmienności adresu czytelniczego powstawała zawsze konieczność różnicowania formy wypowiedzi od popularnego omówienia do krytycznego artykułu.

Można chyba, w zakończeniu tych uwag, wyrazić przekonanie, że prócz nauczycieli-działaczy kulturalnych, świadomych organizatorskiej odpowiedzialności w pracy w miastach uniwersyteckich, a szczególnie poza nimi, pojawi się w rejestrze współczesnej krytyki literackiej kilka dobrych nazwisk.

Czesław Hernas

Narcyza Żmichowska (Gabriella), POGANKA, opracował Tadeusz Żeleński (Boy), wydanie II przejrzane, Wrocław 1950. Biblioteka Narodowa, seria I, nr 121.

Biblioteka Narodowa ma swoją ustaloną tradycję, tradycję dobrą, jeśli chodzi o przygotowanie edytorskie tekstu. Bogate i nie przyczynkarskie komentarze, filologiczna dbałość przy przygotowaniu tekstu, no i wstępy, ale tu już budzą się liczne i poważne wątpliwości dotyczące naukowej prawdziwości wstępów.

W roku 1950 ukazało się wznowienie *Poganki*, jako wydanie drugie przejrzane (przez kogo?), w opracowaniu Boya-Żeleńskiego. Poza rozszerzeniem o kilka pozycji zestawienia bibliografii i drobnymi modyfikacjami przypisków, tekst nie różni się od wydania krakowskiego z roku 1930. Nawet przepuszczono kilka nieścisłości popełnionych przez wydawcę: we wstępie (s. VII) występuje Julia Molicka zamiast

Molińska, w tekście powtórzą się przeoczenia Boya (s. 41), zachowującego na ogół właściwości językowe Żmichowskiej, np. „niespodzianka", kiedy w pierwodruku czytamy „niespodziewanka". Można domagać się przywrócenia podtytułu *Powieść przy kominkowym ogniu opowiadana*, charakterystycznego dla kompozycji *Poganki*.

Niestety, opracowanie Boya wymagałoby dziś osobnego komentarza, nie jest ono najnowszą wiedzą o dziele, co więcej, często bywa przykładem sensacyjnego biografizmu, spłycającego sens i wartość książki. Oczywiście, byłoby historycznym fałszem odbierać Boyowi zasługi położone w pracy nad unaukowieniem naszego literaturoznawstwa, ale przy obalaniu tradycyjnych brązów posługiwał się on różnymi metodami, nie zawsze dobrymi, i na pewno nie jest słuszne jego witalistyczne spojrzenie na dzieło literackie, w tym wypadku interpretacja *Poganki* jako utworu, w którym wyżywa się erotyczny instynkt autorki, nie znajdujący w życiu zadowolenia. Z gruntu fałszywa jest konsekwencja takiej interpretacji, sprowadzająca typologię bohaterów do ukrywanych instynktów miłosnych. Typowa plotka boyowska: „Oto własna jej krew tętniąca w tym utworze. [...] Aż nazbyt naturalnym jest, że epoka dostarczyła osobistym przeżyciom Narcyzy swojej grandilokwencji i że skromną nauczycielkę, która poróżniwszy się z rozgrymaszoną panną tłucze się popłakując na kurowskiej bryczce, udrapowała we wspaniały romantyczny płaszcz hrabiego Beniamina, kawalera Złotego Runa (co sobie miała żałować!), wielkiego polityka, finansisty, artysty *etc.* Ta transpozycja — kiedy znamy listy do Bibianny — budzi uśmiech, ale wzrusza zarazem" (s. XXIX— XXX). Naturalnie, za późno dziś podejmować dyskusję z powyższym sformułowaniem, które budzi uśmiech, ale nie wzrusza.

Poganka wraz z całą twórczością Żmichowskiej była przez wiele lat zapomniana. Odkrył ją i skomentował ze swego stanowiska badawczego Boy. Dziś należałoby przede wszystkim ustalić zależności dzieła nie tyle od intymnej biografii Gabrielli, ile od inteligenckiej grupy Przeglądu Naukowego, w którego klimacie ideologicznym i artystycznym rodziła się *Poganka*.

Sama jej forma opowieści, ujętej w ramy dyskusji, opowieści używanej jako argument w dyskusji, jest bliska praktyce wieczorów kółka Przeglądu. Daleko jednak ważniejszym związkiem dzieła ze wspomnianym środowiskiem jest główna sprawa utworu, żywo dyskutowana w kole Przeglądu: kwestia przezwyciężenia epigonizmu, rozkładowych form romantyzmu w sztuce i wpływu tej rzekomo odizolowanej od życia sztuki na życie. Żmichowska rozwiązuje ją przeciwstawiając szlacheckiemu dworkowi kuszącą nieprawdę arystokratycznego salonu. Ale ostatecznie w tej walce o człowieka nie zwycięża ani dworek, ani pałac. Po prostu w ramach tego zagadnienia ograniczone stanowisko Żmichowskiej pozwoliło jej na przeprowadzenie doskonałej artystycznie krytyki dobrze klasowo ustawionych związków życia i sztuki, uniemożliwiło jednak postawienie pozytywnych rozstrzygnięć. Przy całej ostrej krytyce pałacu dworek pozostaje sentymentalnym wspomnieniem „z kraju lat dziecinnych"; nie ratują jednak Beniamina wspomnienia dworku. I to nie trudno zrozumieć w zestawieniu z praktyką życiową Żmichowskiej, inteligentki wywodzącej się z dworu szlacheckiego, krytycznej w stosunku do niego, ale też obarczonej sentymentem. Wiele mówiące jest również w obrazku wstępnym epitafium Henryka (pod którym chyba bezspornie ukrywa się Edward Dembowski). Żmichowska widzi w nim najlepszy patriotyzm. Jeśli to stwierdzenie budzi w niej szacunek i rodzi pod piórem pełne entuzjazmu wspomnienie, to radykalizm Dembowskiego jest dla Żmichowskiej niepokojący: „...z najobojętniejszym okrucień-

stwem stąpał po spotykanych w drodze zawadach, z najdoskonalszą pogodą umysłu i twarzy wesołością zbliżał się ku zamierzonej mecie, choćby tam kogo w drodze potrącił i zdusił. Strach czasem było tego dziecka z błękitnymi oczyma, z ślepym niedoświadczeniem a żądzą płomienną" (s. 22).

Na drogę zerwania z rodzinną tradycją dworku popchnął Beniamina tajemniczy urok obrazu Cypriana, przenoszący go w kraj szczęśliwej utopii. To jest przykładem destruktywnego wpływu sztuki na życie młodego i „dobrze się zapowiadającego" Beniamina, a obraz ów, którego symbolikę rozszyfrowujemy w całości kompozycji, jest przyczyną zarówno kariery Beniamina, jak i jego moralnej ruiny. Za obrazem kryje się przecież realna problematyka, kryje się pałac i jego właścicielka, Aspazja. Po pełnej rozczarowań karierze Beniamin wraca do domu, znowu staje przed obrazem Cypriana i zastanawia się: dlaczego nie może być tak, jak na portrecie? Wydaje mu się, że jego los jeszcze nie jest u schyłku, „że Aspazja pochwyci lutnię swoją, że Alcybiades w słowa natchnionych pomysłów obwinie scytal przy nim leżący. — Wszakże prawda, że i nam przyszłość z ideałem Cypriana spodobnieje" (s. 169). Pragnie Aspazję przenieść z pałacu do dworku („tam gdzie ty jesteś, martwość i zepsucie samo, we dwoje my byśmy tam na nowo skalali się i cierpieli" s. 169). To jest już ostatnia utopia Beniamina, po której zaraz następuje ostateczna krytyka pałacu, wyrażona w liście wysłanym stamtąd przez następnego kochanka pięknej Aspazji. Pałac zdobywa się na jedną radę dla Beniamina: samobójstwo.

Wraz z bankructwem życiowym Beniamina przechodzimy do nowej sprawy: winy wobec społeczeństwa. Na widok zupełnego zniechęcenia życiowego i depresji bohatera z kółka przyjaciół padają słowa: „Niech się wywiązuje z długów zaciągniętych wobec społeczeństwa jedyną, jaką może złożyć nam korzyścią — niechaj grozi i ostrzega straszliwym upadku swego przykładem" (s. 182). I właściwie na tym urywa się program krytyczny *Poganki*, przeprowadzony wszechstronnie i przekonywająco. Kiedy w dyskusji nad przyszłością Beniamina pada ostatnia i najszlachetniejsza możliwość uratowania go przez pracę dla kraju, autorka każe jej bohaterowi nie przyjąć. W końcowym obrazie, zaszyfrowanym ze względu na cenzurę językiem mówi Henryk (Dembowski): „Bracie mój! Bracie! gdybyś ty miał matkę!...[. . .] — Gdybym miał matkę — powtórzył Beniamin i także wstał z miejsca swojego, usta mu drżały, łza w oku błysnęła — gdybym miał matkę! O, pewnie z potępienia wiekuistego tylko matka wybawić może... — Więc słuchaj, powiem ci, Beniaminie, wszak wierzysz w ducha nieśmiertelność... Ale Beniamin nie słuchał już..." (s. 183). Zawiódł ostatni sposób rehabilitacji Beniamina, jaki mu — rzecz znamienna — poddaje Henryk. Tej rady Beniamin nie chce wysłuchać.

Żmichowska trafnie wskazała na powiązanie istniejące pomiędzy rozkładową rolą epigońskiej sztuki a moralnością arystokracji i jej antypatriotycznym charakterem. Taki właśnie jest „hrabia Beniamin", gdy tracimy go z oczu.

Powieść rozwarstwia się bardzo widocznie: pełny i możliwie najbardziej realny dom rodziców Beniamina i pałac Aspazji, baśniowy, umowny i symboliczny, od ogólnej swej wymowy do szczegółów. Jest w tym zróżnicowaniu bijącym w oczy, logika artystyczna Żmichowskiej, która w ten sposób nakreśla złudność pałacu, jego kuszący i pozłacany blask, za którym ukrywa się zdegenerowanie moralne arystokracji.

Krytyka arystokracji odezwie się u Żmichowskiej jeszcze w roku 1876, we wstępie do zbiorowego wydania pism Tańskiej. Oto cytat z fragmentu zatrzymanego przez cenzurę (Bibl. Jag., rkps 6431): „Obszerne włości nie wystarczyły, bo szły

z nimi o lepsze przemysłowców miliony, oświata nie wystarczała, bo nauki w całym kraju się upowszechniły i zdolnych, rozumnych, wykształconych, nawet wpływowych osobistości więcej poza jej szeregami niż w jej szeregach było. Otóż wszystkie te braki zastąpił najtrudniejszy do przebycia szaniec dobrego tonu [...]. Trzeba mieć bardzo stanowczo wyrobioną oryginalną prawdziwie indywidualność albo głębokie ukochanie prawdy, albo z jeszcze doskonalszą ogładą się urodzić. Inaczej jak tu się otrząsnąć z własnych artystycznych usposobień, jak nie cenić mistrzowskiego zestawienia sprzecznych szczegółów w harmonijną całość, jak nie podziwiać blasku, co nie razi, i zbytku, co jest do skromnej wygody podobny, wdzięku obcowania, co ma najszczerszej prostoty powab. Jak tu otrząsnąć się z miłego wrażenia doznanej uprzejmości" [1].

W *Pogance* skusił Beniamina właśnie urok życia arystokracji, nierealny, baśniowy, w którym wszystko małemu góralczykowi wydaje się niepokojące i pociąga go ku sobie, a treść ukryta za tym odsłoni się dopiero hrabiemu Beniaminowi z urywka gazety po opuszczeniu pałacu Aspazji. „Tajemnicą pełną uroku i dobrego smaku" nazywają tam zabójstwo człowieka w pojedynku. Hańbiąca zaś jest „nikczemna potwarz" o „rzekomym" niskim pochodzeniu hrabiego Beniamina. I ten moralny rozkład jest zawartością ostatniego szańca arystokracji: dobrego tonu. Dopiero to odkrycie wyzwala nas spod uroków ginącej klasy, w której nic już podziwiać nie można.

Po tych wnioskach zbliżamy się do artysty, którego dziełem był obraz Aspazji i Beniamina. Rozestetyzowany Cyprian i jego teoria sztuki stoją u podstaw nieszczęść bohatera utworu. Cyprian jako jedyną zasadę, wykraczającą poza warsztat artystyczny w jego życie, przyjmuje poszukiwanie rozkoszy, jakich dostarcza sztuka, a przede wszystkim sam proces tworzenia. Taką postawę przyjmuje także po „nauce dobrych zasad" otrzymywanej w pałacu — Beniamin, autor dzieła o starożytnościach etiopskich i „zachwycającej książeczki drobnych poezji pod tytułem *Czarnoksięstwa*", uznany również za najznakomitszego „spomiędzy dyplomatyków naszych" (s. 152). Zachowując cały wszechstronny związek między sztuką pozornie „czystą" a społeczeństwem i wskazując na klasowy związek tej sztuki z jej destruktywnym wpływem społecznym, staje Żmichowska wśród zwolenników realizmu w twórczości, równocześnie obalając *Poganką* teorie sztuki nieideologicznej (że użyję współczesnej terminologii), i wskazuje, że nie ma bezinteresownej kontemplacji, ale przeżywanie treści zawartej w dziele sztuki, które może posiadać ogromny wpływ na życie człowieka.

Maria Kopecka

Michał Bałucki, PAN BURMISTRZ Z PIPIDÓWKI. DWIE WIZYTY JEGO EKSCELENCJI. Wstępem opatrzył Jan Szeląg. Czytelnik 1950, Biblioteka „Szpilek", 9.

W r. 1950 na półkach księgarskich ukazała się jedna z nielicznych polskich powieści satyrycznych, książka zmarłego przed 50 laty Bałuckiego. Michał Bałucki dziwnie został przemilczany, jako autor prawie 30 powieści. Nie jest to bynajmniej dziełem przypadku. Ostrze satyry, stępione pod wpływem humoru i konieczności li-

[1] Jan Hulewicz, *Sprawa wyższego wykształcenia kobiet w Polsce w wieku XIX*, Kraków 1939, s. 85 przypis. Archiwum do Dziejów Oświaty i Szkolnictwa w Polsce, nr 5.

czenia się z odbiorcą, przeciw któremu było skierowane (w komedii), zbyt jawnie odsłania kulisy warstw: arystokratycznej, szlacheckiej i mieszczańskiej, by mogło być przez nie przyjęte bez zastrzeżeń. Dziś, gdy staramy się niejako wydobyć spod pyłu wieloletniej, tradycyjnej nauki o literaturze wszystko, cokolwiek nosiło na sobie znamię postępu, słusznie postąpiły Szpilki, wznawiając *Burmistrza z Pipidówki*.

Książka ta (o podtytule *Powieść z życia autonomicznego Galicji*) ukazała się po raz pierwszy w Krakowie w r. 1887. Nie wiemy, jakie wrażenie wywarła na czytelnikach; sądząc jednak po fakcie jej ponownego wydania w rok później, nie było ono najgorsze. Mieszczaństwo, choć dość zjadliwie potraktowane, zrozumiało, w czyją stronę wymierzył Bałucki ostrze pióra. Powieści Bałuckiego to karta wielkich przemian ideologicznych, dokonywających się w Galicji w ostatnich dziesiątkach lat ubiegłego wieku.

Nierealna, optymistyczna wizja rozwoju wielkokapitalistycznego (*O kawał ziemi*) ustępuje z czasem miejsca bardziej konkretnemu, możliwemu do zrealizowania programowi wzrostu burżuazji w oparciu o drobny przemysł, o rzemiosło wyzwolone z cechów. Na tym, wstecznym już, stanowisku pozostanie, broniąc się ponadto przed nowym wrogiem, przed rozszerzającą się, od czasu procesu Waryńskiego w r. 1880, agitacją socjalizmu. Na tym etapie powstaje dobre dzieło satyry powieściowej, *Pan Burmistrz z Pipidówki*. Gromiąc postępowanie wrogów drobnomieszczaństwa, nie omija satyra Bałuckiego i najbliższej mu warstwy, z której wyrósł i w której kręgu się obraca. Czy znaczy to — jak twierdzi St. Brucz (Łódź Teatralna, 1950, nr 1) — iż Bałucki nie dostrzegał klas, tylko luźne typy? Stanowczo należy temu zaprzeczyć. Postaci jego tworzą galerię typów ściśle związanych z warunkami społecznymi, które je kształtowały. Fakt, że satyra zwraca się i przeciw mieszczaninowi, dowodzi tylko bystrej obserwacji i pewnego obiektywizmu pisarza.

Burmistrz Pipidówki to nowy wytwór zarządzeń austriackich. Przed nim oraz przed całą grupą „ojców miasta" wyłania się poważny problem: co zrobić z tą autonomią w sprawach gospodarczych, która tak nieoczekiwanie spadła „z nieba" za pośrednictwem cesarza? Bezradność jest tylko chwilowa. Dalszy ciąg działań to niejako miniatura przemian, dokonywających się w burżuazji galicyjskiej. Począwszy od marzeń o zelektryfikowaniu miasta na wzór miast amerykańskich, poprzez istotny rozwój i podniesienie poziomu życia i higieny (założenie szkoły, wykopanie nowych studni itd.), aż do stwierdzenia, iż odbudowanie Płóciennic (na których uwiecznione mają być nazwiska projektodawców) jest obowiązkiem patriotycznym, „jest [to wszystko] miarą, jak i o ile kochamy przeszłość, zaklętą w murach tego gmachu".

W Pipidówce ostro zarysowuje się walka klas. Bałucki nie marzy już, mandat zwycięstwa oddaje swym wrogom...

Gdy przechodzimy do omawiania słynnej galerii typów wielkiego satyryka, nasuwa się przede wszystkim jedno pytanie: czy ironiczne oko autora nie zdołało odkryć ani jednej pozytywnej postaci w małej Pipidówce? Pozornie odpowiedź byłaby twierdząca. Oto główny bohater, burmistrz. Człowiek, który samotnie staje do walki z głupotą swych współbraci w imię polepszenia bytu gospodarczego Pipidówki, który początkowo wyśmiewany zdobywa mądrymi, realizowanymi projektami zaufanie i szacunek — bezsprzecznie jest bohaterem pozytywnym. Ciężar odpowiedzialności za spaczenie linii postępowania Pocięglewicza ponosi arystokracja, wciągająca go w wir przepychu. Od chwili zetknięcia się z nią burmistrza, a zarazem od chwili jego nawrotu do sarmackiej zasady „zastaw się, a postaw się", znika z kart

powieści jedyna postać pozytywna. Nie można bowiem tego miana nadać rajcom miejskim, wiecznie się kłócącym, ani kobietom pipidówczankom. Stanowią one co prawda główną sprężynę w mechanizmie życia miasta, ale zakres ich projektów (wysuwanych przez mężów na zebraniach) nie sięga poza ramy dogodzenia własnej ambicji. Zastanawia postać architekta, „niedowarzonego" inżynierka, którego nieuctwo jest jakby przesadzone. Zapomnieć o schodach w budynku? Chyba po to kazał mu autor popełnić tak poważne pomyłki, by wykazać poziom nauki w Galicji i podkreślić przeszkody w stawianiu Płóciennic, „pomnika sławy". Ostrze satyry godzi też we wzór dla pipidówczan, w przepych Krakowa. Przepych, w którego blasku niknie postać „jakiegoś tam pana Kraszewskiego", bohatera uroczystości krakowskich. Te żywe istoty, noszące wszystkie charakterystyczne cechy ludzi ówczesnej epoki, decydują o dodatniej ocenie powieści. Są one niejako rekompensatą za bladą, monotonną akcję i intrygę. Na niekorzyść autora zaliczyć by można zbyt łatwą może charakterystykę postaci, nie pobudzającą czytelnika do myślenia. Typizacja i obrazki obyczajowe — oto dziedzina, w której Bałucki wyzyskał do maksimum swój talent realisty. Intrygi arystokracji nie wzbudzają uśmiechu. Aluzje polityczne (jak np. walka o uzyskanie mandatu) są bardzo nieliczne. Bałucki politykiem nie był. „Marzenia o odzyskaniu samoistności zewnętrznej ustąpić dziś winny staraniom o samodzielność wewnętrzną" — pisze czołowy pozytywista warszawski, Świętochowski, w r. 1882. Szerszego widnokręgu nie można się spodziewać u Bałuckiego, ideologicznego szermierza mieszczaństwa galicyjskiego. Bałucki-satyryk przestawał się śmiać w obliczu niebezpieczeństwa. Nie śmieje się np. w noweli (wydanej razem z *Burmistrzem*) o niewiele mówiącym tytule *Dwie wizyty Jego Ekscelencji*, a podtytule charakteryzującym wprost stosunek do rzeczywistości *Szkic wiernie zdjęty z natury*. I tu znowu podobny przełom, jaki się dokonał w Pocięglewiczu: przejście głównego bohatera, szlachcica p. Andrzeja, z pozycji „neutralnej" (w stosunku do postępu) na pozycję, według Bałuckiego, wsteczną. Przemiana dokonywa się znowu pod wpływem arystokracji. Wyrazem przejścia szlachty polskiej na płaszczyznę przyjaźni z zaborcą (to znaczy z kapitalistami austriackimi) jest strój polski, a raczej myśl, z jaką zostaje on wdziany. Pan Andrzej, który w r. 1862 — wbrew woli potężnego kuzyna, Jego Ekscelencji (z duszą i ciałem zaprzedanego zaborcy) — ubiera swych synów w narodowe rogatywki, w dwadzieścia lat później nakłada na siebie kontusz i przypina karabelę, gdyż „wyższe sfery nie tylko nic nie mają przeciw temu, ale nawet życzą sobie, by to był niejako urzędowy strój naszej reprezentacji". Jako warstwa nie krocząca z postępem, szlachta łatwo zrezygnowała ze swego stanowiska i połączyła się z arystokracją.

Mieszczaństwo galicyjskie, stawiające coraz większy opór wielkiemu kapitalizmowi, nie ograniczyło tu jeszcze swych marzeń do panującego później hasła: „bogacąc siebie, bogacisz swój kraj". Powieść ta, wydana np. w Warszawie, musiałaby ustąpić miejsca w tej hierarchii powieściom, traktującym (z aprobatą autora) o rozwoju wielkokapitalistycznym. W warunkach galicyjskich była hasłem do walki przezwyciężającej zarówno konserwatywne tradycje szlacheckie, jak i drobnomieszczański zakres widzenia. Wykazywała ponadto dobitnie, iż między warstwą mieszczan a upadającą arystokracją nie może być mowy o sojuszu. M. Bałucki stanowił tę „siłę żywotną" swojej klasy, której tak dotkliwy brak odczuwała warstwa arystokratów i szlachty: potęgę żywego słowa. Nie wytrwał jednak, a raczej nie nadążył za szybkim rozwojem mieszczaństwa. Zejście z pozycji burżuazji do drobnomieszczaństwa odbiło się silnym echem w jego twórczości, stwarzając sytuacje bez wyjścia: mieszczaństwo Pipidówki upada, syn szlachcica, Karol, zostaje c. k.

urzędnikiem. I samego pisarza nie mija cios ze strony nowej, tworzącej nową nadbudowę ideologiczną klasy społecznej. Burżuazja odrzuciła jego twórczość, nie znalazłszy w niej miejsca dla siebie w okresie swego szczytowego rozwoju. Rozdźwięk między autorem, ograniczającym coraz wyraźniej swe aspiracje do ciasnego kręgu rozdawania uśmiechu, a rozwijającą się w ramach szalonych przemian społeczno-gospodarczych, żądną nowych podniet widownią załamuje wielkiego artystę. Na arenę literacką wkracza Cyganeria z Przybyszewskim, Wyspiańskim. W teatrach królują: Kisielewski, Zapolska. Epigon drobnomieszczaństwa staje się inteligentem wyrzuconym poza obręb życia. Powieść o burmistrzu z Pipidówki i nowela o Ekscelencji nie przejawiają jeszcze owych schyłkowych tendencji. Z tego względu nie można ich zaliczyć do powieści zdecydowanie wstecznych; ponadto, ponieważ w warunkach ciemnoty i ubóstwa Galicji, postęp winien był dokonać w pierwszym rzędzie poprawy poziomu życia, odważyłam się wliczyć te satyry nawet w szereg pozycji postępowych.

Na zakończenie jedna uwaga pod adresem redakcji. Dobra inicjatywa winna być oparta o dobry plan, a dobry plan powinien być dobrze realizowany. O ile *Pan Burmistrz z Pipidówki* ma dotrzeć do najszerszych mas, nie mogą się w nim znajdować słowa w rodzaju feretron, *comes imperii*, fakelcug, *legitime, ad hoc, Sitzbad, in odore sanctitatis, con amore, exegi monumentum, causer, quo titulo, etc.* — n i e w y j a ś n i o n e.

Elżbieta Rogalska

G a b r i e l a Z a p o l s k a, PISMA WYBRANE pod red. J a n a Z y g m u n t a J a k u b o w s k i e g o, tom I, Utwory Dramatyczne: Żabusia, Moralność Pani Dulskiej, Ich Czworo, Panna Maliczewska, Warszawa 1950, Książka i Wiedza.

W roku 1950 wyszły starannie drukiem *Pisma wybrane* Gabrieli Zapolskiej, obejmujące wybór utworów dramatycznych, powieści i nowel. Tom I *Pism wybranych* obejmuje cztery najlepsze komedie Zapolskiej: *Żabusię, Moralność Pani Dulskiej, Ich czworo* i *Pannę Maliczewską*.

Dramaty Zapolskiej były szokujące i rewolucyjne w odczuciu widza mieszczańskiego i na tle epoki, w jakiej się pojawiły.

Repertuar teatru krakowskiego za dyrekcji Kotarbińskiego, a potem Solskiego, to jest w latach 1899—1913, reprezentuje przeważnie takie pozycje jak: *Złote Runo, Goście, Matka, Śnieg, Odwieczna baśń, Gody życia* — P r z y b y s z e w s k i e g o; jak *Wesele, Wyzwolenie, Protesilas i Laodamia, Bolesław Śmiały, Noc listopadowa, Śmierć Ofelii, Sędziowie* — W y s p i a ń s k i e g o. W tym okresie na afiszu pojawił się dziesięć razy S ł o w a c k i, raz M i c k i e w i c z, dwa razy K r a s i ń s k i i raz N o r w i d. Mieszczańska publiczność teatru krakowskiego odbiera ze sceny albo wielkie dramaty romantyzmu (nie dostrzegając ich rewolucyjnych treści), albo dramaty Przybyszewskiego i jego szkoły, traktujące o „nagiej duszy".

Na tym tle komedie Zapolskiej mogły wydać się i wydały czymś małym, przyziemnym i gorszącym. Dulscy lub Prawiedulscy, którzy przy kawie (kupionej za wydzielone przez Dulską pieniądze) dyskutowali o nagiej duszy, ruszyli do ataku, aby zetrzeć Zapolską. W imię obrony moralności wypisywali na nią paszkwile. Zapolska o obozie młodopolskim miała też swoje zdanie. Po wizycie u Przybyszewskich pisze do Ludwika Szczepańskiego: „Jakie to komiczne! Taki snobizm z Krowodrzy. Tu kuchnia obok i dziewka bosa dudni po podłodze, pierze ścierki, a oni się uduchowiają".

Zapolska umiała dojrzeć, że kuchnia u Dulskich i Przybyszewskich jest taka sama. Już to jest jej wielką zasługą. W czasie gdy panujący prąd literacki zamyka oczy na sprawy społeczne, stwarza fikcyjne obrazy przemian ludzkiej psychiki, sam fakt sięgnięcia po temat nie spod obłoków, ale z kamienicy czynszowej, jest dużą zasługą autorki. Burżua z okresu imperializmu boi się obrazu rzeczywistości, nie chce widzieć nowej siły społecznej, proletariatu, nie chce widzieć własnej słabości. Narkotyzowanie się nagą duszą jest o wiele wygodniejsze i przyjemniejsze. Mieszczanin krakowski po powrocie z teatru, gdzie dawano sztukę Zapolskiej, uczuł się obrażony. Chłoszcząca satyra wywoływała ze strony chłostanego żywą reakcję. Stąd atak na autorkę. Zapolska jednak była krytykiem własnej klasy. Oszczędziła sobie i swojej klasie najtęższego ciosu. Nie postawiła przed oczy swoim czytelnikom nowej siły, która w roku 1905 przedsiębrała pierwsze kroki, aby zająć miejsce mieszczaństwa. Realistyczny warsztat pisarski Zapolskiej załamał się. Na odgłosy rewolucji roku 1905 Zapolska została głucha.

Prawie w każdej komedii Zapolskiej jest postać „sługi" uwodzonej przez panicza, podskubywanej przez starszych panów, która nigdy nie jest proletariuszką, nigdy nie ma świadomości klasowej proletariatu.

Człowiek „niższego urodzenia" nie jest nigdy bohaterem pozytywnym, choć często cieszy się sympatią autorki. Próbę stworzenia bohaterki pozytywnej mamy w *Żabusi*. Maria ma reprezentować nową, odrodzoną moralność, ale moralność mieszczańską. Zapolska chce odrodzić zgniłą moralność społeczeństwa. W tym celu chłoszcze moralność mieszczaństwa. Nie chce dostrzec, że odrodzić ją można tylko na drodze rewolucji społecznej. Zamknięcie oczu na szerszy obraz społeczeństwa, bez którego nie można rozpatrywać spraw moralności, narzuca Zapolskiej fałszywą koncepcję walki płci. Stąd zacieśnienie kręgu zainteresowań autorki do kręgu sypialni drobnomieszczańskiej.

Zapolska daleka była od operowania w swojej twórczości elementami nadprzyrodzonymi. To zbliża ją do pisarzy realistów. A jednak i jej zdarzy się czasem ukazać postać nierealną, jak na przykład Mandragorę, duszę ludzką w zielonym odcieniu, z prologu i epilogu *Ich czworo*.

Wymienione tu niektóre cechy twórczości Zapolskiej, niedopuszczalne na warsztacie pisarskim realisty, nie zmniejszają zasługi autorki, zasługi wystawienia zgniłej moralności mieszczańskiej pod pręgierz. Naturalistyczny sposób ukazywania świata nie pozwolił Zapolskiej uderzyć w najboleśniejsze miejsce. Sam fakt, że miała odwagę wyciągać i pokazywać na publicznym miejscu brudy i słabości klasy atakowanej przez siły postępowe, kwalifikuje ją do wznowienia w druku i do wystawiania w teatrze Polski Ludowej.

Istnieją dwie wersje *Moralności Pani Dulskiej*: jedna — umieszczająca akcję dramatu we Lwowie i druga — umieszczająca akcję w Krakowie. Pierwodruk *Moralności Pani Dulskiej* odpowiada wersji pierwszej, wydanie z roku 1924 — wersji drugiej. Mam wrażenie, że istnienie tych dwu wersji było wynikiem następującego faktu: prapremiera *Moralności Pani Dulskiej* odbyła się w Krakowie 15 XII 1906, premiera lwowska w miesiąc później, 16 I 1907. Zapolska zapewne dla teatru krakowskiego przeniosła akcję sztuki ze Lwowa do Krakowa. Piszę: „przeniosła ze Lwowa do Krakowa", opierając się na wersji pierwodruku (1907) i na nowelach Zapolskiej o Dulskich, w których akcja rozgrywa się we Lwowie.

Jest to tylko przypuszczenie wymagające sprawdzenia w niedostępnych mi i nie wiem czy zachowanych egzemplarzach teatralnych.

Jan Kulczyński

Adolf Rudnicki, PAŁECZKA, CZYLI KAŻDEMU TO, NA CZYM MU MNIEJ ZALEŻY, Czytelnik 1950. Klub „Odrodzenia".

Wiele jest książek mówiących o pisarzu-człowieku. Rzadko która jednak mówi o jego obowiązkach, jego roli w społeczeństwie. *Pałeczka* Rudnickiego, poświęcona zagadnieniu nowego pisarza, jest pozycją potrzebną. Książka ta miała być nie tylko obrazem życia naszych literatów. Miała być próbą osądzenia naszej literatury i jej twórców. Miała pokazać słabości i przyczyny zła. Zamierzenie autora było trudne i odpowiedzialne. Osądzając tę powieść Rudnickiego musimy wziąć pod uwagę trudność tematu.

Obraz środowiska pisarskiego pokazany w *Pałeczce* nie może nas zadowolić, bo nie jest całkowity. Eksponuje autor sprawy, które powinny być raczej drugorzędne. Wysunięcie na plan pierwszy prywatnego, osobistego życia pisarza, jego przeżyć erotycznych, kłopotów pisarskich, spowodowało, że sprawa zasadnicza — rola pisarza w nowym społeczeństwie — została potraktowana marginesowo. Uwaga autora skupiła się głównie na niezdrowej atmosferze w domach pisarzy, atmosferze plotek, wzajemnych zawiści. Obraz jest prawdziwy i przekonywający. Ale przecież jest to tylko jedna strona życia literatów. Od takiego pisarza jak Rudnicki domagamy się pełniejszego obrazu.

Bohaterowie książki mówią wprawdzie o obowiązkach pisarza wobec społeczeństwa i trzeba przyznać, że sformułowania ich są słuszne. Krzysztof czy Gabriel, główni bohaterowie *Pałeczki,* rozumieją, że pisarz powinien pomagać społeczeństwu w budowie nowego życia, ukazując prawdziwy jego obraz, bo tego przede wszystkim szuka w sztuce człowiek. Sprawy te jednak nie są postawione jako naczelne.

Dostrzega Rudnicki dysproporcję między szybkością rozwoju życia w nowej Polsce a rozwojem literatury, która pozostała daleko w tyle i nie umie w niczym pomóc społeczeństwu. Cytujemy autora: „Milion dzieci pojedzie tego roku na kolonie letnie: już w zeszłym roku nie było wypadku, żeby zabrakło miejsca dla robociarskiego dziecka... Milion dzieci! To prawda, że stajemy się nerwowi, kiedy chodzi o sztukę, o literaturę. Pomyśl, ile się zrobiło w ciągu tych kilku zaledwie lat! Buduje się jak nigdzie w świecie... Mamy takich ludzi jak Krajewski, jak Szeliga, w każdej dziedzinie mamy wyniki, a w literaturze — co tu ukrywać — nie!"

Jakie są przyczyny tych opóźnień literatury? Pisarzy obciąża przede wszystkim stary warsztat literacki, stara, dawna maniera pisarska, której nie mogą się wyzbyć. „Napór tysiącletniej tradycji, brak... fascynacji niektórych tematów" — mówi jeden z bohaterów. Nie mogą odzwyczaić się także niektórzy pisarze od stałego pisania o sobie, o swoich własnych tylko sprawach. Inni znów nie mogą wyjść z niedawnej przeszłości. Co jeszcze utrudnia pisarzowi nadążanie za życiem? Błyskawiczny jego rozwój, szybszy niż kiedykolwiek dawniej, rozwój, który powoduje, że świat jest dziś inny, niż był wczoraj, i że jutro znów się zmieni. Doświadczenia wczorajsze stają się bezwartościowe dzisiaj. Zadaniem sztuki jest jednak nie nadążać za życiem, ale wyprzedzać je, bo tylko wtedy będzie miała ona wartość, bo tylko wtedy będzie społeczeństwu służyć. Znów cytat: „Dawniej, gdy pisarzowi wystukała trzydziestka, sprawiał sobie szlafrok, duży dębowy stół, miękki fotel, zamykał drzwi... i zabierał się spisywać swoje i bliskich swoich dzieje, które za oknem miały swój dalszy ciąg. Wystarczyło mu wyjrzeć oknem, żeby zobaczyć swoje postacie, spacerujące po ulicy w warunkach mało co zmienionych od tych, którym przed chwilą służył słowem. Spróbuj dzisiaj wyjrzeć przez warszawskie okno, a zobaczysz tylko ruiny, albo murarzy. Chcąc zrobić użytek ze swoich doświadczeń, stajesz się

od razu pisarzem historycznym, czego nikt żywy nie zniesie; chcąc zaś być pisarzem współczesnym, zmieniasz się w małe dziecko, które o wszystko musi zapytać".

Sądy Rudnickiego są słuszne. Oczywiście, nie zgodzilibyśmy się, gdyby powiedział to samo o literaturze dnia dzisiejszego. *Pałeczka* jest już książką historyczną. Słuszność swych sformułowań osłabił jednak autor wkładając je w usta człowieka, który wypowiada je w przerwie między jednym a drugim utonięciem w miłości. Wagę słów zmniejsza wybitnie fakt, że człowiek, który je mówi, nie wyciąga z własnych słów żadnych konsekwencji, nie zmienia swego postępowania. A więc była to tylko deklamacja, a nie prawdziwe przekonania.

Obserwując przedstawionych tu pisarzy dostrzegamy, że bohaterowie są oderwani od bieżącego życia. Są jakoś dziwnie mało związani ze społeczeństwem. Nie mogą zrozumieć zachodzących w nim procesów. A przecież są to... pisarze, ludzie którzy na świat powinni patrzeć bystrzej niż ktokolwiek inny. Szymon Granowski reprezentuje właśnie postać literata, nie mogącego wyzwolić się od balastu przeszłości. Jest to pisarz pochodzenia żydowskiego. Tragiczny los Żydów w ostatniej wojnie stał się dla niego jedynym pasjonującym tematem. O niczym innym nie może pisać. Pragnie odtwarzać zamarły, nie istniejący już krajobraz ludzki. Taka postawa jest niesłuszna. Pisarz nie może ograniczać się tylko do uwieńczania wypadków minionych. Powinien włączyć się w bieżący nurt życia. Szymon nie jest wyjątkiem. Jest raczej pod tym względem postacią najbardziej typową. Autor krytykuje taką postawę, lecz postaci zdecydowanie innych nie stwarza. Dziwnie odizolował Rudnicki bloki mieszkalne pisarzy od tętniącego przecież życiem miasta. Cała prawie akcja książki ogranicza się do domu literatów. Czy naprawdę w roku 1948 (w lecie tego roku toczy się akcja) możliwe było wśród wszystkich pisarzy tak małe zainteresowanie życiem? Chyba nie. Utwór poświęcony zagadnieniu powojennego pisarza nie daje ani jednej naprawdę pozytywnej postaci!

Pałeczka ma niewątpliwie charakter dokumentarny. Pod zmienionymi nazwiskami ukrywają się prawdziwi literaci polscy. Nie trudno byłoby odnaleźć wzory. Dokumentarność książki jest bezsprzecznie jej zaletą. Mamy jednak do autora pretensję, że sportretował tylko postaci negatywne. Powinien był pokazać walkę pisarzy służących społeczeństwu z przeciwnikami, walkę, w której ci pierwsi zwyciężają. Tymczasem w powieści nie mamy walki ideologicznej, lecz tylko jakieś pasowanie się wewnętrzne. Bohaterowie przez cały czas akcji dosłownie nic nie robią. Nie widzimy ich zajętych jakąkolwiek pracą. Można powiedzieć słowami Rudnickiego, że ich „dni są tak szczelnie wypełnione niczym, że stanowią arcydzieło samo w sobie". Są to ludzie, którzy tylko patrzą, myślą i dyskutują między sobą o różnych abstrakcyjnych sprawach. Nie ma na nich wpływu żadna konkretna praca, która by związała ich z życiem, lecz brną w indywidualistycznych rozważaniach. I to jest niesłuszne.

Przyjrzyjmy się postaci Pałeczki. Nawiasowo dowiadujemy się, że pracuje ona w uniwersyteckim instytucie naukowym i że ma tam dużo pracy. Chcielibyśmy zobaczyć ją przy tej pracy. Autor jednak pokazuje ją stale na ławeczce w parku, rozmawiającą z Krzysztofem lub Gabrielem. Czy tu właśnie, w tej sytuacji poznajemy najprawdziwszą Pałeczkę? Na pewno nie.

Bohaterowie *Pałeczki* są dziwnie podobni do siebie. Nie mamy w książce postaci kontrastowych. Nie mamy wyrazistych konfliktów. Nie widzimy konkretnych ludzi, lecz tylko jakby ich zarysy, ich myśli.

Nadmierne rozwinięcie życia psychicznego postaci dominuje i eliminuje pozostałe cechy, nawet ich wygląd zewnętrzny jest potraktowany zaledwie szkicowo.

Przeważająca część akcji rozgrywa się w nocy. Ten zabieg pisarski spowodował zatarcie konturów. Nie tylko my nie widzimy wyraźnie postaci. Nie widzą się nawet dokładnie one same. Nie poznają się często.

Jeżeli twórczość Adolfa Rudnickiego będziemy rozważać jako drogę do realizmu, to *Pałeczkę* musimy uznać za krok wstecz na tej drodze. Już kończy się powieść? Jakie jest rozwiązanie? Główne postaci, Gabriel i Krzysztof, nie mają chęci tkwić dalej w twórczości indywidualistycznej. „Tylko książki-czyny mają rację bytu"... „Człowiek cierpi... ale świat dzisiejszy nie wszystkie cierpienia obchodzą". Gabriel zamierza nową swą działalność pisarską rozpocząć dziełem, które będzie antytezą osobistego *Każdemu to, na czym mu mniej zależy.*

Ale tu znowu pretensja do autora! Dlaczego książka urywa się właśnie w tym momencie, kiedy najbardziej zaczyna nas interesować? Nie wiemy, czy nie skończy się tylko na dobrych zamiarach. Jakiegoś przełomu u głównych bohaterów, niestety, nie widzimy. Ta metamorfoza na końcu jest trochę niezrozumiała.

Jeszcze jedno trzeba o *Pałeczce* powiedzieć. Jest to książka trudna. Nie weźmie jej do ręki prosty czytelnik i nie dla niego Rudnicki tę książkę napisał. Jest to rzeczywiście „dramat przed pustą widownią: gdzieniegdzie tylko siedzi garstka ludzi, dla których nie warto nawet puścić w ruch sceny obrotowej".

Janusz Golichowski

Bogdan Hamera, NA PRZYKŁAD PLEWA. Powieść, Warszawa 1950, Książka i Wiedza.

Powieść Hamery można by nazwać historyczną. *Na przykład Plewa* jest bowiem książką, która cofa nas w przeszłość, niedaleką co prawda w czasie, ale ogromnie odległa w skali zasadniczych i głębokich przemian życia wewnętrznego Polski. Akcja toczy się od ostatnich dni okupacji poprzez pierwsze dni czy tygodnie powolnego odradzania się organizmu państwowego i jego czynnika centralnego, siły produkcyjnej.

W powieści znajdujemy wąski wycinek ówczesnej rzeczywistości: kilku ludzi i jeden zakład produkcyjny. Talent autora na tej ograniczonej płaszczyźnie pokazał wielką ilość typowych rysów tych czasów. To jedna z większych zalet utworu. Najważniejsze jednak jest to, że Hamera, jeden z pierwszych w powojennej twórczości powieściowej, potrafił pokazać robotnika od wewnątrz, potrafił zbudować postaci bohaterów prawdziwe pod każdym względem: tak w działalności zawodowej jak w życiu społecznym, jak wreszcie we własnych ich przeżyciach.

Tematem jest proces przemiany wewnętrznej bezpartyjnego robotnika, Błażeja Plewy, przejście, drogą awansu społecznego, z pozycji ślepego najemnika kapitału (którego świadomość klasowa z trudem dochodzi do głosu, przykryta grubą warstwą obaw, zwątpień, niewiary w człowieka i rezygnacji, tych wszystkich produktów rozkładu organizmu kapitalistycznego państwa) na pozycje świadomego swych praw i obowiązków bojownika o nowego człowieka, o produkcję, proces powstawania albo raczej budzenie się ukrytej świadomości klasowej. Przemiana ta odbywa się na tle regeneracji prawie całkowicie przez okupanta zniszczonego polskiego przemysłu ciężkiego, będącej długotrwałą i żmudną walką z tysiącami drobnych i wielkich trudności, walką dochodzącą nieraz do spięć dramatycznych.

Cechą naszych czasów jest stały i niewspółmiernie szybki, w przeciwieństwie do przeszłości, rozwój życia we wszystkich jego przejawach. Ukazanie tego zjawiska, możliwie najdokładniejsze, jest jednocześnie celem współczesnej twórczości literackiej i warunkiem jej pozytywnej wartości. W jakim stopniu spełnił Hamera ten postulat? Temat, po jaki sięgnął, jest ważny i aktualny. Dojrzewanie ideolo-

giczne ludzi i wiążący się z nim bezpośrednio awans społeczny są dzisiaj zjawiskami codziennymi, a próba ukazania mechaniki tego procesu jest zamierzeniem wyjątkowo słusznym, ułatwia bowiem, przynajmniej na pewnym odcinku, zrozumienie najbardziej doniosłych zjawisk naszej epoki. Umieszczenie akcji utworu u wrót nowej rzeczywistości też jest uzasadnione. Obok tego, że ilustruje przebieg jej powstawania, pozwala też na ukazanie konsekwentnej i wyraźnej linii przemian bohatera. Chociaż *Na przykład Plewa* należy do powieści „produkcyjnych", udaje się autorowi uniknąć błędów stale prawie spotykanych w utworach tego typu. Współczesna powieść produkcyjna ma ukazywać najbardziej typowe sprawy i konflikty opisywanego środowiska, ale nie może natłokiem szczegółów technicznych przysłaniać roli człowieka, kierownika i organizatora produkcji. Hamera potrafił, ukazując realne tło, na pierwszym planie utrzymać człowieka. W opisie środowiska wykazuje się on pełną jego znajomością, polegającą nie na umiejętności literackiego ujęcia jednego czy drugiego procesu technicznego, ale na umiejętności wczucia się w środowisko, przeżycia jego spraw. Konsekwencją tego jest prawda psychologiczna kreślonych postaci, artystyczny takt i wielka trafność rysunku i rozwoju charakterów. Plewa, Wójcicki, Wonch — to nie postaci papierowe, spreparowane według określonego schematu, a składające się ze zlepku programowych haseł, ale ludzie żywi. Wydaje się, że o ile na innych odcinkach pracy artystycznej Hamera stoi nieco poniżej wymaganej normy, o tyle tutaj przekroczył ją z dużą nadwyżką.

W tym miejscu warto może poruszyć sprawę pozytywnego bohatera. Przy przeglądzie dotychczasowego dorobku literackiego, opartego o nową metodę twórczą, sprawa ta wyraźnie wysuwa się na pierwszy plan. Pozytywny bohater to postać łącząca w sobie wyraźną indywidualność (przez co staje się bardziej żywa, ciekawa i przekonywająca) z cechami typowymi dla swego środowiska i warunków, w jakich żyje. Postać, która reprezentując słuszną ideologię umie pokazać jej słuszność nie tylko w myśli i w mowie, ale i w działaniu, zdobyć się na p e ł n i ę konsekwencji swej postawy.

W galerii bohaterów powołanych do życia ostatnimi laty znajdziemy postaci, które przeważnie tylko w części spełniają te warunki: o ile na ogół reprezentują słuszną postawę ideową, to po większej części brak im prawdziwych, naturalnych cech indywidualnych, pozostają więc jedynie fikcją literacką. W zestawieniu z tym zastanawiający jest fakt, że postaci negatywne — pod względem pogłębienia psychologicznego, logiki budowy, dokładności rysunku — przewyższają bardzo często swoich pozytywnych przeciwników, a co gorsza, wysuwają się nieraz na pierwszy plan.

Hamera oczywiście impasu nie przełamuje całkowicie, ale jego Plewa wydaje mi się znacznym krokiem naprzód. Postać ta, oświetlona wielostronnie, jest wyposażona w bogatą gamę cech indywidualnych; z drugiej strony, posiada typowe cechy robotnika, jak np. przywiązanie do pracy, do warsztatu, wewnętrzną świadomość klasową, będącą busolą w działaniu nawet przy braku ideologicznego wyszkolenia i umożliwiającą zachowanie prawidłowego kursu. Umiejętna indywidualizacja i typizacja, oczywiście w granicach wykreślonych przez temat, pozwalają na osiągnięcie pomyślnego wyniku przy konstrukcji tej postaci. Natomiast przy postaciach dalszoplanowych, którym autor poświęca mniej uwagi, występują wyraźne odchylenia od tej linii, na skutek czego bledną one wyraźnie. Dotyczy to np. Woncha; Hamera wyposażył go w sąme rysy dodatnie, ale nie umotywował ich dostatecznie i postać ta staje się jakby odrealniona.

Poważnym mankamentem jest brak indywidualizacji języka. Wszyscy ludzie występujący w powieści mówią prawie tak samo, o ile pominie się wyrażenia fachowe czy żargonowe. Wyraźnie da się to zauważyć np. w scenie zbiorowej na zebraniu. Różnica pomiędzy językiem Karwackiego a mową robotników jest prawie niewidoczna; wyraźniej odcina się tylko Plewa. Braki językowe stanowią jeden z poważniejszych minusów powieści. Hamera prawdopodobnie za mało temu poświęcił uwagi. Powtórzenie w sześciu wierszach sześciokrotnie jednego wyrazu miało może spotęgować efekt, dało jednak wynik odwrotny. Takie określenia jak: „...przemierzając urzeczonym wzrokiem jego zwięzłą, krępą postać...“, porównania: „...oczy jego drgnęły jak uszy...“ — mogą wywołać pewne zastrzeżenia.

Metoda pisarska realizmu polega nie na wyłącznym rejestrowaniu faktów, byłby to bowiem naturalizm, ale na ich interpretowaniu, odcyfrowywaniu ich treści i związków z określonym kontekstem historycznym oraz osiągnięciu na tej drodze syntetycznego obrazu. Z zagadnieniem tym ściśle się wiąże polityczność tej metody, gdyż tylko słuszna postawa polityczna umożliwi jej użycie. Toteż jeżeli mowa o stopniu wnikliwości analizy politycznej autora, chodzi tu o stopień prawdy zawartej w jego utworze. Hamera posiada ostrość widzenia politycznego; dowodem tego jest wybór tematu, umiejętność pokazania linii rozwojowej bohatera, świata wewnętrznego robotnika, sił ścierających się na terenie walki o produkcję, ukazanie procesu walki o człowieka na tle pracy w fabryce w ten sposób, że poszczególne fazy tej walki są ilustrowane przez kolejne wydarzenia produkcyjne. Jednak i tu znajdzie się pewne „ale“. Jest nim brak umiejętności powiązania bardzo dobrych nieraz epizodów w konsekwentną, zwartą logicznie i artystycznie całość, słabość kompozycji. Pociąga to za sobą szereg uchybień natury ideologicznej, jak np. brak umiejętności ukazania kolektywnej pracy ideowo-politycznej, ustawienie partii w jakiejś pozycji co najmniej niejasnej itp.

Sprawę potraktowania partii można jeszcze usprawiedliwić tym, że akcja powieści rozgrywa się w r. 1945, kiedy partii było kilka, kiedy jedna prawdziwie proletariacka partia, PPR, wypracowywała sobie dopiero metody działania w nowych warunkach, w ostrej walce z wrogiem wewnętrznym i zewnętrznym. Cały ten proces jednak trzeba było należycie wydobyć i pokazać.

Udało się natomiast Hamerze uniknąć błędu wielu utworów powojennych, pustej deklaratywności. Ogranicza on poważnie komentarz autorski, zastępując go inteligentnie skonstruowanymi dialogami. Jeszcze większy efekt dają niektóre obrazy, np. przemarsz wojsk radzieckich przez most, epizod z nowym mieszkaniem, scena przesłuchania Plewy. Żywe, sugestywne reakcje postaci, obok błyskotliwości i dużego ładunku treściowego dialogów, stanowią poważne walory artystyczne książki. Autor potrafił przez wąską szparę niejako pokazać życie prywatne Plewy, ale rozstawienie motywów i ich oświetlenie pozwala czytelnikowi na odtworzenie dostatecznie pełnego obrazu.

Rozwiązanie głównego konfliktu jest słuszne. Hamera pokazał, że awans społeczny to nie tylko polepszenie warunków pracy i egzystencji, ale droga najlepszych jednostek do bardziej odpowiedzialnych zadań, a z drugiej strony — powiększenie odpowiedzialności i wysiłku w ich realizacji.

W zakończeniu trzeba zaznaczyć, że walory powieści przewyższają możliwe do usunięcia braki, dzięki czemu książka jest nie tylko wartościowa, ale i ciekawa (o co nie zawsze dbają nasi pisarze) i pozwala rokować dla debiutującego pisarza jak najlepsze nadzieje na przyszłość.

Jerzy Uśpieński

TREŚĆ ZESZYTU

NOWE KSIĄŻKI

Str.

Zabytki średniowieczne

Twórczość literacka

Historia

Debiuty krytyczne

*